Wzruszenia gwarantowane!
Najlepsza książka Magdaleny Witkiewicz.
KATARZYNA BONDA

Magdalena Witkiewicz

Są historie, które zostają w nas na zawsze. Są osoby, których nigdy nie zapominamy.

Jeszcze się kiedyś spotkamy

FILIA

Magdalena
Witkiewicz

Jeszcze się kiedyś spotkamy

FILIA

Wszystkie postaci i historie w tej książce są wymyślone. Prawdziwym jest jedynie to, że mój dziadek, Klemens Samulewski, wyruszył na wojnę i nie wrócił. Nie wiemy, co się z nim stało. Ta powieść jest inspirowana tym wydarzeniem.

Moim przodkom.

To dzięki Wam jestem taka, jaka jestem. Mam nadzieję, że gdzieś tam, gdzie jesteście, patrzycie na mnie i jesteście ze mnie dumni.

Życie ludzkie dzieje się tylko raz i dlatego nigdy nie będziemy mogli stwierdzić, która z naszych decyzji była słuszna, a która zła, ponieważ w danej sytuacji mogliśmy decydować tylko jeden raz. Nie dano nam żadnego drugiego, trzeciego, czwartego życia, abyśmy mogli porównać konsekwencje różnych decyzji.

Milan Kundera, „Nieznośna lekkość bytu”

Kto chce wszystko do końca przemyśleć, zanim postąpi krok naprzód, spędzi całe życie na jednej nodze.

Przysłowie chińskie

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa
Oświadczenie
Dedykacja
Cytaty

ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI

EPILOG
POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA
BIBLIOGRAFIA

Reklama
Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ I

A ja szepnę skrycie,
och, życie, kocham cię, kocham cię,
kocham cię nad życie.
Choć barwy ściemniasz,
Choć tej wędrówki mi nie uprzyjemniasz,
Choć się marnie odwzajemniasz,
Kocham cię, życie.

Edyta Geppert, „Och, życie, kocham cię nad życie”
Autor tekstu: Wojciech Młynarski

1

Dzisiaj (2017 r.)

Mówi się, że aby kogoś poznać, należałoby z nim zjeść beczkę soli. Jestem ciekawa, ile herbat czy kaw trzeba by z kimś wypić z porcelanowych filiżanek lub tekturowych kubków, aby wiedzieć, że to właśnie jest ktoś, na kogo czekałaś całe życie.

Historia mojej miłości zaczęła się od kartonowego kubka z kawą latte, przyniesioną z Warsu na trasie Szczecin–Gdańsk, natomiast historia mojej babci to delikatne porcelanowe filiżanki z pozłacanym brzegiem i motywem niezapominajek. Stoją u mnie w gablotce za szkłem. Już nieco wyszczerbione, zarysowane przez czas i wojenną zawieruchę. Babcia nie pozwalała nikomu z nich pić. Ja staram się czasem je wyciągnąć z szafki, nalać do nich świeżo zaparzonej herbaty czy naszej ulubionej kawy z lekką mleczną pianką. Nie chcę o nich zapomnieć, nie chcę zapomnieć tego, czego się dzięki tej całej historii nauczyłam. Są symbolem tego, że w życiu nie zawsze warto czekać. Tego, że należy się cieszyć chwilą i każdego dnia być wdzięcznym za to nasze życie.

Są po to, bym pamiętała o tym, co było kiedyś i co z pewnością miało wpływ na to, kim byłam i kim jestem teraz. Niebieskie niezapominajki, zdobiące delikatne porcelanowe brzegi, zdają się przypominać słowa dziadka Franciszka wypowiadane do babci Adeli…

Gdy wyruszał na wojnę, obiecał jej: „Jeszcze się kiedyś spotkamy”.

Nigdy nie interesowałam się historiami rodzinnymi. Jako dziecko nie rysowałam drzewa genealogicznego. Wśród rodowych pamiątek było kilka podniszczonych już zdjęć. Szczególnie pamiętam jedno. Zrobione pod nieistniejącym już starym kinem Gryf w Grudziądzu. Wiem, że babcia bardzo lubiła tam chodzić.

Uśmiechnięta babcia Adela w towarzystwie trzech młodych mężczyzn i ciemnowłosej dziewczyny. Po prawej stronie babci stał dziadek Franciszek, władczo ją obejmując, jakby całemu światu chciał pokazać, że ta kobieta należy do niego. Po lewej stronie był wujek Janek. Przyjaciel od zawsze. Na śmierć i na życie. Zawsze jakby trochę z boku, ale na tyle blisko, by w razie potrzeby podać pomocną dłoń. I jak się później miało okazać, często ta dłoń była potrzebna.

Obok wujka Janka stoi jasnowłosy mężczyzna spoglądający z wyraźnym zachwytem na wpatrującą się w niego szczupłą, czarnowłosą dziewczynę.

Babcia Adela… Pewna siebie kobieta w sukience w kwiatki. Zerkająca prosto w obiektyw i patrząca z optymizmem w przyszłość. Kobieta być może marząca o spokojnym życiu u boku któregoś z tych mężczyzn stojących obok niej.

Na odwrocie zdjęcia widnieje data napisana zamaszystym pismem dziadka. Dzisiaj wiem, że to jego pismo. Wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłam tę fotografię, było to dla mnie zupełnie nieistotne. *Grudziądz, 15 sierpnia 1939 roku.*

Teraz żałuję, że zaczęłam zagłębiać się w historie rodzinne tak późno. Zbyt późno… Zrobiłam to dopiero wtedy, kiedy wszyscy, których mogłam zapytać, jak było naprawdę, już dawno spoglądali na mnie z nieba, obstawiając, jakie decyzje życiowe tym razem podejmę i czy będą one trafne, czy nie. Pewnie babcia Adela też obserwowała to wszystko. Spoglądała na całe moje życie, nic nie komentując.

Nigdy nie podważała moich wyborów, tak jak i nie chciała mówić o swoich. Nawet moja mama i wujek Staszek, brat mamy, niewiele wiedzieli o rodzinnej przeszłości. W ich domu zupełnie się o tym nie mówiło. Babcia Adela chyba chciała zapomnieć o tych trudnych wojennych latach, kiedy to przyszłość, nawet ta najbliższa, była tak niepewna.

Cieszę się, że wreszcie, po tylu latach, znalazła swoje szczęście. Może nie tyle znalazła, ale je w końcu dostrzegła. Może trochę później, niż by chciała, ale wiem, że z pewnością była bardzo szczęśliwa. „Na własne życzenie, Justynko – mówiła. – Gdyby to człowiek taki głupi nie był i wcześniej podejmował trafne decyzje. Albo gdyby chociaż wiedział, które z nich są trafne. A tak? Człowiek niezdecydowany, nie wie, którą z dróg ma pójść. Czasem jest podejrzliwy i zamiast tej jasnej drogi wybiera tę najciemniejszą, bo ma wrażenie, że jasna jest pułapką. A niekoniecznie. Czasem życie trzeba brać po prostu takie, jakim jest. Nie można dopowiadać sobie czegoś, co nie istnieje".

Tuż przed śmiercią wyznała mi wszystko. Historia, którą wtedy usłyszałam, wydawała mi się nieprawdopodobna. Po raz pierwszy opowiedziała mi o całym swoim życiu. Rozmawiałyśmy bardzo długo. A w zasadzie to ona mówiła prawie cały czas. Opowiadała o swojej życiowej ścieżce, która była niemalże taka jak moja, i o wyborach, jakich dokonała przez te wszystkie lata. Tak bardzo byłyśmy do siebie podobne!

Porządkując jej mieszkanie, znalazłam kilka pożółkłych zdjęć, dokumentów i listów. Siedząc w tym starym mieszkaniu, byłam tak blisko niej, jak nigdy dotąd. Wręcz czułam jej obecność. Dlaczego tak późno mi to wszystko opowiedziała?

O tyle rzeczy jeszcze chciałam zapytać, ale już nie zdążyłam…

Gdy wracałam z Grudziądza pociągiem, przez zupełny przypadek w moje ręce wpadł pewien artykuł. Może kiedyś zignorowałabym taki tekst, jednak po rozmowie z babcią spojrzałam na to wszystko zupełnie inaczej…

Całe szczęście, że zwróciłam na niego uwagę! Artykuł w kolorowym czasopiśmie dla pań uświadomił mi, że to, kim jesteśmy, nie zależy wyłącznie od naszych genów czy wychowania, ale również od przeżyć naszych przodków. Od wszystkich tajemnic, które krążą w naszych rodzinach, do kilku pokoleń wstecz. Każda śmierć, każde narodziny, niechciane ciąże i zdrady, które miały miejsce w naszej rodzinie w przeszłości, mogą mieć wpływ na to, jakimi ludźmi jesteśmy.

Epigenetyka, psychologia transgeneracyjna. Wtedy nic mi to jeszcze nie mówiło, ale wkrótce miało stać się dla mnie naprawdę istotne, a przede wszystkim miało pomóc mi odpowiedzieć na kilka ważnych życiowych pytań.

Tamtego dnia, gdy babcia zaprosiła mnie na herbatę, a tak naprawdę zaprosiła, bym się z nią pożegnała przed ostatnią z najdłuższych życiowych podróży, poznałam wiele historii, a nawet kilka rozwiązanych tajemnic. Jednak dopiero po śmierci babci uzmysłowiłam sobie, jak duży wpływ miały one na moje życie, które dzięki temu zupełnie się zmieniło. Na lepsze. Chyba

wreszcie dorosłam. Przestałam na wszystko CZEKAĆ. Czekać, jak prawie przez całe swoje życie czekała moja babcia Adela.

Ja już nie czekam. Chwytam każdy dzień i się do niego uśmiecham. Wierzę, że będą w nim cudowne chwile. Myśląc o tym, że doświadczę ich jeszcze w moim życiu, nie zapeszam. Ja je wizualizuję.

Nie martwię się jutrem. Po co się przejmować? Jutro i tak nadejdzie i to, jakie będzie, zależy w dużej mierze od tego, jakie jest nasze dziś i jakie było nasze wczoraj. A staram się, by każda chwila mojego życia była jak najlepsza. I nawet mi to wychodzi.

2

„Gazeta Ludowa”, dawniej „Gazeta Grudziądzka”,
15 sierpnia 1939 r.

Czy się na manewrach skończy?
Dwa miliony Niemców pod bronią

Wskutek ostatnich powołań na ćwiczenia wojska niemieckie według oceny zagranicznych rzeczoznawców wojskowych liczą obecnie półtora miliona ludzi pod bronią, a mają się zbliżyć do 2 milionów, gdy na jesieni nastąpią nowe powołania. Niezależnie od powołania w pierwszych dniach sierpnia kilkudziesięciu 26-33-letnich, ostatnio można zanotować następujące zarządzenia wojskowe:
1) Ruchy wojsk w Prusach Wschodnich, na Pomorzu i w Południowych Niemczech w przygotowaniu do manewrów, które mają się rozpocząć za 10–14 dni.
2) Przy udziale około tysiąca samolotów w Niemczech Północnych na całym terenie między granicą holenderską a granicą polską odbywały się manewry lotnicze, zakończone we czwartek wieczorem.
3) Prace przy żniwach przyspieszane gorączkowo nie tylko przy użyciu wielu tysięcy ochotników rekrutujących się spośród studentów wyższych uczelni, Hitlerjugend itp., ale także przy odkomenderowaniu do prac żniwnych wielu urzędników biurowych i robotników fabrycznych.
4) Przyspieszenie umocnień na granicy zachodniej i wschodniej.
Rzeczoznawcy zagraniczni są zdania, że w tym roku przygotowania wojskowe osiągną swój punkt kulminacyjny o dwa tygodnie wcześniej niż w ubiegłym roku. Obecnie Niemcy mają stałego wojska 700.000. Do tego dodać należy 400 tysięcy poborowych roczników 1906, 1907, 1910–11 i 1913, których 24 kwietnia powołano na trzymiesięczne przeszkolenie wbrew pierwotnym planom nie zwolniono. Dalej 400.000 powołano 17 lipca. Mają oni przejść skrócone wyszkolenie do końca sierpnia. Wreszcie 9 września ma być powołany trzeci kontyngent liczący również około 400.000 ludzi. Koncentracje na manewry obejmować będą po kilkaset tysięcy ludzi. Terenem manewrów mają być Prusy Wschodnie, Pomorze Zachodnie i Niemcy Południowe przy granicy z Czechami i Morawami. Podczas, gdy na

Pomorzu drugi korpus prowadzić będzie manewry oparte na założeniu wojny ruchomej, w Prusach Wschodnich odbędą się ćwiczenia w obronie umocnień z udziałem formacji stale przydzielonych do linii obronnych i pospolitego ruszenia do 55 lat. Manewry w Niemczech Południowych na terenie obszarów sudeckich mają na celu wypróbowanie sprawności jednostek zmotoryzowanych.

15 sierpnia 1939 r.

– No i co? – Adela wzruszyła ramionami, kończąc czytać artykuł z „Gazety Grudziądzkiej”. – Co ja mam z tym zrobić?

– Wojna będzie – stwierdził Janek.

– Będzie. – Joachim pokiwał głową.

– Bzdury! – Adela cisnęła w chłopaków gazetą. – Tam wciąż są manewry wojskowe. Po co mnie straszysz?

– No właśnie, po co ją straszycie? – zapytał Franciszek. – Nie martw się, ja się tobą zaopiekuję. I nie będę cię straszył. – Puścił do niej oko.

– Zobaczycie jeszcze, wspomnicie moje słowa – upierał się Janek.

– Czarnowidztwo – prychnęła Adela.

– Ja też się boję – jęknęła Rachela, a Joachim objął ją ramieniem.

Stali przed kinem Gryf. Umówili się tam, by spędzić kolejne beztroskie popołudnie, a Franciszek i Joachim, zamiast zastanawiać się, jaki film chcą obejrzeć, roztaczali jakieś przerażające wizje rzekomo nadchodzącej wojny.

– Strasznych filmów dziś nie grają – powiedział Franek. – Możemy iść na „Wrzos”.

– To romans? – Janek skrzywił się.

– A co, nie lubisz romansować? Dwa tygodnie temu grali „Cnotliwą Zuzannę”. Na niecnotliwą pewnie byśmy poszli

z większą przyjemnością, prawda? – Roześmiał się i klepnął przyjaciela po plecach.

Franek nic nie odpowiedział. Adela, Rachela i Joachim podeszli do tablicy, na której przypięte były filmowe plakaty. Franciszek skorzystał z okazji, że nikt poza Jankiem nie może go usłyszeć.

– Stary, odpuść ją sobie – mruknął, patrząc mu w oczy. – Odpuść… Kocham cię jak brata, ale nie każ mi, proszę, wybierać między wami.

– A może niech ona wybierze? – Jan zacisnął usta.

– Ona już wybrała.

– Jak to wybrała?

– Wybrała – powiedział pewnie Franciszek. – Wczoraj.

– A co z twoimi studiami? Przecież za chwilę zdajemy maturę.

– Poczeka na mnie. Obiecała, że poczeka.

– Ojciec cię zabije. – Janek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Dlatego na razie nic nikomu nie mówimy. Tobie mówię, żebyś, wiesz…

– Wiem – westchnął. – Teraz już wiem.

– Janek… – zaczął Franciszek. – Ty tak na poważnie z tą wojną?

– No co ja mam ci powiedzieć? – Wzruszył ramionami. – To, co chcesz usłyszeć, czy to, o czym jestem przekonany?

– Nic nie mów. Ale przyrzeknij mi jedno… Zaopiekujesz się nią, jakby mnie nie było? – Franciszek spoglądał z nadzieją na Janka.

– Franek, co ty mówisz?

– Nic, nic… Chodźmy do kina – szybko zmienił temat.

– Franek! Janek! Chodźcie, pan Stanisław zrobi nam zdjęcie! – Adela stała uśmiechnięta obok potężnego mężczyzny z aparatem.

– Chodźmy. – Franciszek poklepał przyjaciela po plecach. – Będzie dobrze. Kto, jak nie my?

Franek objął władczo dziewczynę, Jan stanął trochę z boku. Obok Rachela i Joachim. Pstryk i gotowe. Uwiecznieni na kliszy

młodzi ludzie u progu najbardziej tragicznego wydarzenia dwudziestego wieku. W ich oczach tliła się nadzieja na dalsze beztroskie życie. Na miłość, rodzinę, dzieci… przyszłość pełną blasku i szczęścia.

Adela, Rachela, Franciszek, Jan i Joachim. Przyjaciele od dziecka, pełni marzeń i planów, nieprzyjmujący do wiadomości tego, co wisiało w powietrzu.

3

16 sierpnia 2006 r.

Śmierć babci nie była dla nikogo niespodzianką. Sama nas na to przygotowała. Chociaż czy można się przygotować na to, że kogoś już się nie zobaczy? Chyba nie. Zdążyliśmy się jednak wszyscy z nią pożegnać. Babcia złamała kość biodrową i ostatnie tygodnie życia spędziła w łóżku. Opiekowała się nią mama, trochę pomagałam ja. Nie chciała przyjechać do Gdańska, chociaż pewnie znacznie ułatwiłoby to wszystko. Zmarła w swoim domu. Czasem tak sobie myślę, że umarła tylko dlatego, że nie mogła się pogodzić z utratą samodzielności. Zawsze była przebojowa, można powiedzieć: samowystarczalna. Musiała mieć ostatnie zdanie. Zodiakalny skorpion… Zawsze się kłócę ze skorpionami. Z nią też się kłóciłam. Może właśnie dlatego, że ja też jestem z tych, co lubią postawić na swoim?

Na pogrzeb przyjechała cała rodzina. Babcia została pochowana na starym cmentarzu w Grudziądzu, przy parku miejskim, tuż obok swojego męża i Ralfsa, przyjaciela z czasów wojennych.

Po raz pierwszy wtedy miałam do czynienia ze śmiercią kogoś tak mi bliskiego. Moje dzieci nie rozumiały, co się dzieje. Tłumaczyłam im, że babcia odeszła, że kiedyś się z nią spotkamy. Starałam się im wytłumaczyć, że taka jest kolej losu. Rodzimy się i umieramy. I że każdy z nas kiedyś umrze.

– Nawet ty, mamusiu? – zapytał mój syn.

– Nawet ja.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź i skrzywił się, jakby zaraz miał się rozpłakać. Cóż, mnie było trudno pogodzić się ze śmiercią babci, a co dopiero dziecku, które właśnie dowiedziało się, że nie zawsze będzie blisko matki.

Po pogrzebie zjedliśmy obiad w restauracji Leśniczówka. Babcia Adela bardzo lubiła to miejsce. Podobno chodziła tam na tańce, a z dziadkiem po raz pierwszy się całowała w rosarium. Tak mówi przynajmniej jedna z rodzinnych anegdot.

Nie było z nami przyjaciół babci, z którymi szła przez życie. Pożegnała się ze światem jako jedna z ostatnich. A może wcale się nie pożegnała, tylko stwierdziła, że nie chce dłużej leżeć bezczynnie, tylko musi działać gdzieś tam, w przestworzach, gdzie powłoka cielesna jest jej zupełnie niepotrzebna, a wręcz mogłaby przeszkadzać w realizacji jakichś ważnych misji?

Po pogrzebie postanowiłam jeszcze przez jakiś czas zostać w Grudziądzu, potrzebowałam być jeszcze blisko niej. Bo wydawało mi się, że ona wciąż jest tuż obok… Mój mąż musiał wracać. Wzywała go korporacja, nieczuła na rodzinne smutki. Ja z mamą i tatą pojechałam do mieszkania przy ulicy Legionów, które zajmowała od dziesięciu lat. Podobno wcześniej mieszkała tam jej przyjaciółka, jeszcze ze szkoły. Wielki, okrągły stół, masywna szafa z porcelaną za szybą… Jak bardzo tam jej brakowało!

Babcia siadywała zawsze na krześle, wyprostowana jak struna. Słuchała tego, co mamy jej do powiedzenia, a sama niewiele opowiadała. Nie była typem babci, która bierze swoje wnuki na kolana, przytula i jest lekiem na całe zło. Była oschła, a nawet surowa. Czasem nieco zbyt surowa i wymagająca. Potem trochę się zmieniła, złagodniała. Ale zawsze niezmiennie spoglądała na mnie badawczo, nie komentując moich poczynań.

O sobie, o swoim życiu też niewiele mówiła. Za wyjątkiem kilku chwil, tuż przed tym, jak odeszła.

– Mogę wziąć pamiątki, które są w komodzie? Zdjęcia? – zapytałam mamę. – Chciałabym je przejrzeć.

– Zdjęcia? – zdziwiła się i spojrzała na ojca.

– Tak, zdjęcia i zapiski. Przepisy… I to pudełko po bombonierce, to z listami.

– Jasne, możesz – zgodziła się mama, otwierając szafę z obrusami. – Wezmę ten. Na święta będzie – powiedziała, gładząc haft richelieu, pamiętający czasy wojny.

– Mamo, może poczekaj z tym jeszcze? Nie musisz tego robić teraz. Nie musisz porządkować tego wszystkiego – zasugerowałam nieśmiało.

– Masz rację. Nie mogę… – westchnęła, a w jej oczach pojawiły się łzy. – To nie był dobry pomysł.

– Mania, przyjedziemy tutaj przecież. Na spokojnie zdążysz wszystko poukładać. – Tata poklepał ją po ramieniu. – Teraz nie jest dobry czas na to wszystko. Jeszcze za wcześnie…

Mama pokiwała głową.

– Ale ten obrus wezmę. – Włożyła go do torby. – I serwetę. To trochę tak, jakby mama była z nami.

– Dobrze – zgodził się tata. – Ale wracajmy dzisiaj do domu.

– Ja zostanę…

– A co ty tu, dziecko, będziesz robić? – zdziwił się tata. – Jak potem chcesz wracać?

– Pociągiem. Jutro albo pojutrze.

– No a co z dziećmi? – zapytała mama.

– Mamo, przecież mają ojca. Dzisiaj będą jeszcze u babci Hani, a jutro już wrócą do domu.

– A jak u was? – zaniepokoiła się mama.

– Mamo, to nie czas i miejsce na rozmowę o moim małżeństwie.

Tata spojrzał porozumiewawczo na żonę. Ta wzruszyła ramionami.

– Chcę po prostu pobyć sama. Potrzebuję tego – powiedziałam.

– Dobrze. – Potaknęła głową mama. – Rozumiem. – Chociaż pewnie nie rozumiała nic.

Wypiliśmy wspólnie herbatę, a potem rodzice pojechali w stronę Gdańska. Ja chciałam sama pooglądać zdjęcia, popatrzeć na to, co było dla babci na tyle drogocenne, że zdecydowała się schować to do pudełka po czekoladkach i puszki po herbacie.

Babcia miała kilka takich „skrzyń skarbów". W jednej z nich, tej metalowej po herbacie, chowała guziki. Jako dziecko bardzo lubiłam się nimi bawić. Przekładałam je, układałam z nich kolorowe obrazki. Nawet grałyśmy z babcią w kółko i krzyżyk guzikami. Dla mnie na zawsze pozostała zabawą w guziki i dopiero dużo później dowiedziałam się, jak naprawdę nazywa się gra, przy której spędziłyśmy wiele wakacyjnych wieczorów. Zastanawiałam się, do czego one były przyszyte czy w jakich okolicznościach ktoś je oderwał. Był tam jeden taki duży, kolorowy. Bardzo go lubiłam. Zawsze wymyślałam historie z nim związane. Co roku wydawało mi się, że należał do kogoś innego, a nie do mojej mamy. Otworzyłam teraz puszkę i wysypałam wszystko na stół. Uśmiechnęłam się na widok tego właśnie starego kolorowego guzika. Gdy byłam mała, wydawał mi się dużo większy.

– Twoja mama urwała go sobie od płaszcza – mówiła kiedyś babcia.

– Nakrzyczałaś na nią?

– Nie. – Uśmiechała się.

– Moja mama by na mnie nakrzyczała.

– Z pewnością nie! Nie wiesz, w jakich okolicznościach oderwał się jej ten guzik!

Słyszałam to już wcześniej wiele razy. Za każdym razem babcia dopowiadała trochę i już sama nie wiedziałam, co w tej historii było prawdą, a co nie. Podobno kiedyś wujek Staszek był chory i mama poszła do apteki po lekarstwa. Miała może osiem lat. Biegła i spotkała kominiarza. Pomyślała życzenie i tak mocno złapała za ten guzik, że go urwała. Do apteki nie dotarła, bo uznała, że to już jest zupełnie niepotrzebne, skoro pomyślała życzenie, by brat wyzdrowiał. Wujek faktycznie wyzdrowiał, a mama nie pozwoliła sobie przyszyć tego guzika. Myślała, że wtedy czar pryśnie i wujek znowu zachoruje. Taki mały talizman…

Albo ten metalowy, z napisem „Levi Strauss". Od dżinsów Michała. Kiedyś babcia wyjechała do sanatorium, a ja miałam podlewać jej kwiaty. Oczywiście oficjalnie miałam to robić sama, ale prawda była taka, że tak intensywnie je „podlewałam", że Michałowi urwał się guzik od jego ukochanych lewisów. Nie mogliśmy go znaleźć i oboje panikowaliśmy, bo bardzo chcieliśmy zatrzeć ślady naszej schadzki. Nawet nie wiedziałam, że babcia go znalazła. Nie pytała, skąd się tam wziął. Babcia miała swoje tajemnice i akceptowała to, że ktoś może mieć je również.

Zakłuło mnie w sercu. Jaka szkoda, że nie mogę z nią już o tym wszystkim porozmawiać. Popytać… Część historii odeszła wraz z nią, a to, co opowiadała tuż przed śmiercią, było mieszanką jej wspomnień, niespełnionych marzeń i oczekiwań.

Zebrałam całą garść guzików ze stołu, przesypując je między palcami. Tak, były wyjątkowo cenne. Pełne wspomnień… Tych ludzi, którzy nosili je przyszyte na swoich ubraniach, dawno już nie było, a one zostały. Było tam więcej talizmanów. Niektóre chyba nawet od wojskowego munduru. Takie metalowe, z wybitym

numerem III i inne, jakby w drobne kropeczki. Każdy miał inną historię…

Odłożyłam puszkę na stół. Chciałam ją zabrać do domu. Oczywiście mogłam poczekać na to, gdy kiedyś przyjadę tu samochodem, ale chciałam je mieć w Gdańsku już teraz. Wiedziałam, że będę często powracać do związanych z nimi opowieści. Może jakimś cudem moje dzieci w dobie wszechobecnych gier komputerowych i filmów również zainteresuję guzikami? Chyba jednak nie. Uśmiechnęłam się do siebie. Guzikami ja będę się bawić, wspominając z sentymentem babcine historie.

Do tej komody nie zaglądałam już dawno. Nie potrafiłam sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio. Po ślubie rzadziej odwiedzałam babcię. Potem, kiedy zaczęła chorować, to ona częściej była gościem w Gdańsku niż my w Grudziądzu. Nie zaglądałam do tych pudełek przez ten czas. Otworzyłam pierwsze z brzegu. Na wierzchu kilka ususzonych gałązek niezapominajek, a pod spodem listy. Listy dziadka do babci.

Mam czas, więc piszę do Ciebie ten list, bo tak mi bardzo tęskno za Tobą, więc żeby sobie ulżyć, trzeba choćby tylko pisać – przeczytałam fragment nakreślony pięknym pismem dziadka.

Babcia nie pozwalała mi wyciągać zbyt często tych listów. Pewnie bała się, że je poniszczę. Albo może doczytam coś pomiędzy wierszami?

List z Ameryki, pewnie od tego przyjaciela, który podarował mi kiedyś moje marzenia, kupując mi lalkę Barbie. Zerknęłam tylko.

Hartford, USA, marzec 1947 r.

Adelo!

Mam nadzieję, że ten list do Ciebie dotrze. Nie wiem, gdzie teraz mieszkasz, ale podobno poczta dochodzi. Piszę, bo chcę, byś wiedziała, że żyjemy. Mamy nadzieję, że Ty też cieszysz się dobrym zdrowiem.

Nie czytałam dalej. Będzie na to jeszcze czas, gdy wrócę do domu.

W tym samym pudełku była kopia niemieckiego dokumentu, poświadczającego, że dziadek zmarł. Tego samego, który przysłał mi Konrad kilka dni po tym, jak się poznaliśmy. Babcia poskładała go równiutko i włożyła do pudełka z listami. Nie chciała, bym dociekała tego, co wydarzyło się w przeszłości. Próbowałam wtedy z nią rozmawiać, ale później mi zapał osłabł. Na świat przyszły dzieci, nie było na nic więcej czasu. Nie było czasu na rozmowy o tym, co teraz, a co dopiero o tym, co wydarzyło się kiedyś. Moje małżeństwo się sypało, więc nie miałam natchnienia do tropienia rodzinnych tajemnic.

W kolejnym pudełku, tym po czekoladkach Goplana, były zdjęcia. Dziadek, przystojny mężczyzna w krawacie, tuż przed wyjazdem na front. Kolejne czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej babci, prowadzącej rower wzdłuż ulicy, kilka zdjęć z dziadkiem i jeszcze z innym mężczyzną, wujkiem Jankiem. Na samym spodzie kolorowe zdjęcie, nieco wcześniejsze. Ja je robiłam. Tak, to było zaraz po tym, jak zrobiłam prawo jazdy, gdy babcia się uparła, że musi zobaczyć znajomego sprzed lat. Zachowała jego zdjęcie. Teraz już wiem, że był dla niej kimś ważnym. Bardzo ważnym… Nie tylko dla niej zresztą.

Spojrzałam na starszego mężczyznę ze zdjęcia. W dłoniach trzymał filiżankę z niezapominajkami. Tę samą, która stała w witrynce. Uśmiechnęłam się do niego. Szkoda, że jego już też o nic nie mogłam zapytać. Teraz już było za późno…

Następnego dnia rano siedziałam już w pociągu relacji Grudziądz–Gdynia. Musiałam się chyba zdrzemnąć, bo nawet nie

zauważyłam, gdy obok mnie usiadła starsza pani.

– Przepraszam, obudziłam panią. Przysiadłam tutaj, bo bardzo nie lubię sama podróżować – mówiła, uśmiechając się do mnie.

– Nie szkodzi. – Odwzajemniłam uśmiech. – Nie wzięłam nic do czytania i pewnie dlatego zaraz zasnęłam. Nie planowałam spać w pociągu.

– No tak, w dzisiejszych czasach to może być bardzo niebezpieczne… Przeczytałam już wszystko. – Zamachała trzymanym w rękach czasopismem. – Tak myślę, że panią może tam coś zainteresować. – Spojrzała na mnie badawczo. – Ja zaraz wysiadam. Proszę. – Nie zważając na moje protesty, wręczyła mi gazetę, złapała torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

– Ale… – Próbowałam za nią iść, ale staruszka zniknęła w tłumie wysiadających na stacji.

Odłożyłam gazetę na stolik. Bolała mnie głowa, nie miałam ochoty czytać. To nie były łatwe dni.

Wkrótce obok mnie usiadł młody chłopak ze słuchawkami na uszach. Od Gdańska dzieliło nas dwadzieścia minut, więc zaczęłam się zbierać do wyjścia. Gdy pociąg się zatrzymywał, a stałam już przy drzwiach, dogonił mnie chłopak z przedziału, trzymając w ręku gazetę, którą dostałam od starszej pani.

– Zostawiła to pani. – Uśmiechnął się. – Proszę.

Podziękowałam. Przecież nie musiał wiedzieć, że gazeta tak naprawdę nie należała do mnie.

Widać świat postanowił, że z różnych przyczyn powinnam tę gazetę mieć, a może nawet przeczytać. Teraz już wiem dlaczego. Przekonałam się o tym dwa tygodnie po powrocie od babci. A dokładniej w tym momencie, kiedy skręciłam nogę w kostce, odprowadzając pierwszy raz po wakacjach dzieci do niani, i potem uziemiona leżałam w domu, a niania, która zaczęła opiekować się zarówno dziećmi, jak i mną, na moim stoliku położyła stos czasopism. Na wierzchu była właśnie ta z podróży pociągiem.

Znalazłam w niej artykuł, jak można powiedzieć, o pewnego rodzaju podróżach. O podróżach do czasów przodków i o wpływie ich losów na nasze współczesne marzenia, plany, działania i życiowe wybory.

Po chwili siedziałam zaczytana. Miałam wrażenie, że ktoś na mojej drodze postawił tę starszą panią i tego młodego chłopaka w słuchawkach na uszach, a w końcu nagle dziwnym trafem wyrósł przede mną krawężnik, o który się potknęłam i skręciłam nogę. Wszystko po to, bym wreszcie znalazła chwilę i poczytała o tym, co spowodowało, że moje życie było takie, jakie było i o tym, co zrobić, by mogło stać się lepsze.

Im bardziej zagłębiałam się w artykuł, tym więcej rozumiałam. Przed moimi oczami pojawiały się migawki z mojego życia, przypominałam sobie ważne decyzje, które wreszcie potrafiłam sobie w rozsądny sposób wytłumaczyć. Czułam, że właśnie stało się coś bardzo ważnego. Że ta chwila ma związek z tym, co było dawniej i tym, co działo się właśnie teraz. I byłam pewna, że to wszystko będzie miało wpływ na moją przyszłość.

Czasem się zastanawiałam z przyjaciółkami, dlaczego nasze życie wygląda tak, a nie inaczej. Dlaczego są ludzie, którym się wszystko udaje. Tacy, którzy wychodzą na zewnątrz w czasie deszczu, a okazuje się, że właśnie zaświeciło najpiękniejsze słońce. Są też tacy, którym zawsze wiatr wieje w oczy i choćby się starali nie wiadomo jak, zawsze mają gorzej niż inni. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że czasami sami jesteśmy twórcami naszej przyszłości, że sami możemy decydować o wielu sprawach, jakie nas spotkają w życiu.

Kluczem do kreowania przyszłości jest często nasza podświadomość. Ma ona wielką moc sprawczą budowania świata

rzeczywistego. Nastawienie do życia odgrywa olbrzymią rolę w tym, co się nam przydarzy później. Podświadomość wpływa praktycznie na każdą sferę naszego życia. Tak wiele jest ukrytych mechanizmów, blokad, przekonań, emocji i myśli, z których istnienia nie zdajemy sobie nawet sprawy.

Ten czas po śmierci babci pozwolił mi zrozumieć więcej, ale pomógł mi przede wszystkim zrozumieć siebie, a co za tym idzie – świat wokół mnie. Moje niezbyt udane małżeństwo i tęsknotę za czymś, co było kiedyś i za tym, co nie miało szans powrócić.

Dowiedziałam się, że tego, kim jesteśmy, nie zawdzięczamy tylko genom, jakie przekazali nam przodkowie, ale też temu, co w ich życiu się wydarzyło. Wszystkie ich sekrety i czyny, zarówno te chwalebne, jak i naganne, odgrywają ogromną rolę w naszej codzienności. Ten emocjonalny spadek po rodzinie można przyjąć z uśmiechem, ale też można odrzucić. Trzeba tylko sobie uświadomić jego istnienie. Ja właśnie wtedy sobie to uświadomiłam… Zobaczyłam, że podążam dokładnie takimi samymi ścieżkami, jakimi zmierzała moja babcia Adela.

Teraz wiem, że gdy się przypatrzeć losom naszych rodzin, można z łatwością zaobserwować powtarzalność pewnych wydarzeń w różnych pokoleniach. Aby przerwać ten łańcuch zdarzeń, należy czasem dokończyć jakąś starą sprawę, która przez lata czekała na rozwiązanie, komuś przebaczyć albo coś zrozumieć. Mnie się w końcu udało. Mogłam po tym wszystkim przytulić się do męża i wypić z nim herbatę z porcelanowych filiżanek w niezapominajki, które odgrywały tak ważną rolę w tej całej historii. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że się uda. Wtedy myślałam, że jedynym rozwiązaniem jest rozwód, którym miałam się zająć, gdy uspokoi się nasze życie po śmierci babci.

ROZDZIAŁ II

Kiedyś znajdę dla nas dom
Z wielkim oknem na świat.
Znowu zaczniesz ufać mi,
Nie pozwolę Ci się bać.
Kiedyś wszystkie czarne dni
Obrócimy w dobry żart.
Znowu będziesz ufał mi.
Teraz śpij…

Anita Lipnicka, „Piosenka księżycowa”

1

Grudziądz, wrzesień 1999 r.

– Twoja babcia ma doskonałe pomysły. – Michał przeciągnął się i ziewnął. – Śniadanie do łóżka?

– To u nas rodzinne – odpowiedziałam.

– Co rodzinne? Śniadania do łóżka? – Spojrzał na mnie.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Doskonałe pomysły. Jaka babcia, taka wnuczka, i tak dalej. – Uśmiechnęłam się.

– Nigdy nie spodziewałem się, że weekend w Grudziądzu może być tak fantastyczny – stwierdził, głaszcząc mnie po policzku.

– Nawet za bardzo nie zobaczyłeś tego Grudziądza. Jakoś nie było okazji.

– Nieważne gdzie, ważne z kim. – Michał pocałował mnie w usta. – Idę zrobić nam śniadanie. Nie ruszaj się z miejsca.

Wcale nie miałam zamiaru ruszać się z miękkiej, pachnącej jeszcze naszą wspólną nocą pościeli. Uśmiechnęłam się. Dla mnie też był to uroczy weekend. Babcia wyjechała do sanatorium w Inowrocławiu i poprosiła, bym przyjechała na tydzień, żeby pilnować domu, podlewać kwiaty i co jakiś czas palić światło w oknach.

– Nie wiadomo, Justynko, czy złodzieje akurat nie przyjdą. Trzeba sprawiać wrażenie, jakby w domu cały czas ktoś był. Nawet czasem możesz postukać w ścianę czy pohałasować.

Nie wiem, czy babcia miała na myśli akurat tego typu hałasy, które miały miejsce tamtej nocy. Spędziłam w jej mieszkaniu kilka dni, a na weekend przyjechał stęskniony Michał z wielkim bukietem róż.

Z Michałem spotykałam się już od prawie dwóch lat i bardzo nie lubiłam się z nim rozstawać, choćby na krótko. Dlatego też przyjechał do Grudziądza od razu, kiedy tylko mógł.

Poznaliśmy się na studiach. Przez pierwsze dwa lata mijaliśmy się na korytarzach, znając się tylko z widzenia. A potem trafiliśmy do jednej grupy na kierunku finanse i rachunkowość. Grupa ta skupiała najlepszych studentów, którzy często oprócz nauki nie mieli w życiu nic do roboty. My byliśmy nieco inni. I ja, i Michał czuliśmy się początkowo bardzo nieswojo wśród osób sprawiających wrażenie, że są zafascynowani wyłącznie czytaniem grubych naukowych książek, liczeniem nieskończonej ilości słupków i prognozowaniem wszystkiego, co się da, więc od początku trzymaliśmy się razem.

Na pierwszym wykładzie, na którym jeszcze wypadało być, przycupnęliśmy gdzieś z tyłu, obok siebie.

– Dalej usiąść się nie dało? – Uśmiechnął się do mnie.

– No nie. – Roześmiałam się po cichu, ale oczywiście po chwili zobaczyłam karcący wzrok dziewczyny w okularach, która siedziała tuż przede mną.

– Michał – przedstawił się.

– Justyna. – Podałam mu rękę.

– Wygląda na to, że jesteśmy razem w grupie. Zatem warto się zaprzyjaźnić.

Zaprzyjaźnialiśmy się przez całe studia. A w zasadzie pod koniec trzeciego roku byliśmy już nierozłączni. Uczyliśmy się

razem, wspólnie spędzaliśmy wakacje. Czy snuliśmy plany? Może i tak, ale ja zawsze wiedziałam, że trzeba skończyć studia, a potem myśleć o przyszłości. Michał, jak się okazało, myślał o niej już wcześniej.

2

Któregoś dnia, tuż pod koniec studiów, przyszedł do mnie rano. Był niezwykle zadowolony. Zastał mnie w piżamie, ku wielkiej rozpaczy mojej mamy, która po pierwsze, nie uznawała wizyt przed południem, a po drugie, nie tolerowała przyjmowania gości w strojach odbiegających od ogólnie przyjętych norm. Przykrótka piżama flanelowa z oderwanym górnym guzikiem była jak najbardziej odbiegająca od jej ściśle określonych zasad.

– Nie mogłem się doczekać, by ci o tym powiedzieć. – Usiadł na moim łóżku.

Mama celowo zostawiła drzwi otwarte, bo przecież mój widok w samej piżamie na pewno mógł rozochocić Michała do tego stopnia, że nie zważając na obecność rodziców, rzuciłby się na mnie niczym wygłodniały wilk.

– O czym? – wysapałam, wciąż jeszcze nieprzytomna.

– Wyjeżdżamy!

– Ale dokąd? Kiedy? – Nie wiedziałam, o czym on w ogóle mówi. Nie pamiętałam, byśmy planowali jakikolwiek wyjazd. – Jakieś zimowe wakacje? Ferie?

– Do Stanów! – wykrzyknął.

– Do Stanów? O czym ty mówisz? A sesja?

Czekały nas ostatnie egzaminy i obrona pracy dyplomowej. Michał wciąż nie mógł wybrać tematu, dwa razy już zmieniał promotora, a ja w zasadzie już wszystko miałam przemyślane i byłam na dobrej drodze do zakończenia studiów w terminie.

– Olać sesję! – Michałowi z podekscytowania świeciły się oczy. – Taka okazja może się nie powtórzyć!

– Czekaj, powoli…. Albo ja się jeszcze nie obudziłam, albo ty coś plączesz. – Wstałam z łóżka. – Poczekaj, przyniosę kawę.

Poszłam do łazienki, umyłam zęby i opłukałam twarz zimną wodą. Jakie Stany? O co chodzi? Miałam wrażenie, że tak dobrze znany mi facet zwariował, a stabilny grunt, który zawsze był pod moimi stopami, nagle zaczął się osuwać, a ja bardzo szybko traciłam nad tym wszystkim kontrolę.

Nadal nic nie rozumiejąc, poczłapałam do kuchni, gdzie natknęłam się na karcący wzrok mamy.

– Ubrałabyś się. – Skrzywiła się z niesmakiem.

– Mamo, przecież nie chodzę na golasa – burknęłam.

– Tego by jeszcze brakowało! – Mama wyjęła dwa kubki z szafki. – Zrobię wam kawę i przyniosę. Śniadanie wam też zrobić?

Uśmiechnęłam się i pocałowałam mamę w policzek.

– Z serem i pomidorem? – zapytała. – Jak zawsze?

Entuzjastycznie pokiwałam głową.

– Zaraz przyniosę.

Nieważne, ile miałam lat, zawsze było tak samo. Byłam wtedy ciekawa, czy gdy przekroczę pięćdziesiątkę, mama dalej będzie mi robić kanapki z serem i z pomidorem. A może będzie robić je moim dzieciom?

Kiedy wróciłam do pokoju, Michał siedział na tapczanie. Pościel schował już do środka. Zawsze był bardziej uporządkowany niż ja, denerwował go bałagan i chaos. Dlatego też byłam zaskoczona jego niespodziewaną wiadomością. Nie znałam go od tej strony. Nigdy nie podejmował decyzji spontanicznie.

– Siadaj! Wszystko ci opowiem. – Przesunął się i zrobił mi miejsce obok siebie.

Usiadłam i spojrzałam pytająco.

– Pamiętasz mojego kuzyna Marka? – zaczął.

– Raz chyba go widziałam – potwierdziłam. – Ten z Koszalina?

– Tak. I on kilka lat temu pojechał do Stanów.

– Już wiem, spotkałam go, gdy kiedyś odwiedził twoich rodziców.

– No właśnie, to on. Wygrał zieloną kartę i teraz pracuje tam legalnie, w małym warsztacie samochodowym. Jego teść ma firmę budowlaną i potrzebuje rąk do pracy. Jak najszybciej – mówił zafascynowany.

– No i? – zapytałam, chociaż wiedziałam już, do czego Michał zmierza.

– I dzwonił do mnie tydzień temu. Zaproponował mi, bym pojechał. Opłaca mi przelot, to teraz tylko jeszcze musimy skombinować kasę na samolot dla ciebie. Ale damy radę.

– Czekaj, tydzień temu? Dla mnie? – zdziwiłam się. – Ale, Michał, poczekaj… Od początku… Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałeś?

– Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– No i zrobiłeś – mruknęłam. – Kiedy to miałoby być?

– Na początku lutego – oświadczył spokojnie Michał.

– To już za miesiąc! A studia?

– Nie wiem, może dziekankę się weźmie. Nie myślałem jeszcze o szczegółach – powiedział beztrosko. – To się potem ogarnie.

– Michał, do kiedy masz podjąć decyzję?

– Ja już ją podjąłem! – zawołał z euforią. – Taka okazja może się nie powtórzyć! Ty się wahasz?

– Michał, czekaj, ja… nie chcę nigdzie jechać. – Pokręciłam głową. – Przynajmniej nie teraz. Może najpierw skończmy studia, przecież zostało nam już tak niewiele, a potem się nad tym wszystkim zastanówmy – zaproponowałam.

– Justyś, tu nie ma się nad czym zastanawiać. Za co chcesz żyć w tym kraju? Przecież tutaj nie ma szans na nic fajnego.

– Za co żyć? Za pieniądze. Konkretnie złotówki – odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy. – Nasi rodzice jakoś dają radę. Podobnie jak tysiące innych osób.

– Ale może warto pomyśleć o lepszym starcie dla nas?

– Lepszym starcie? I kiedy wrócimy? I z czym wrócimy? – pytałam zdenerwowana.

– Z pieniędzmi na mieszkanie.

– Będę miała mieszkanie. Wiesz przecież, że babcia kupiła je dla mnie. Teraz jest wynajmowane, ale potem będzie moje. Obiecała mi to.

– Justyś, to zaledwie jeden pokój. – Skrzywił się. – Jak ty chcesz żyć w kawalerce?

– Moi rodzice zaczynali też w jednym pokoju.

– I skończyli na trzech – westchnął Michał.

– No i co? Mało? Są nieszczęśliwi?

– Może byliby szczęśliwsi, gdyby mieli dom. Kto to wie…

Zaczynała mnie denerwować ta rozmowa. Nie dość, że te wszystkie rewelacje o wyjeździe spadły na mnie jak grom z jasnego nieba, to teraz jeszcze okazało się, że jestem dzieckiem nieszczęśliwych rodziców, a ten stan wynika z naszych beznadziejnych, według Michała, warunków lokalowych. Totalny idiotyzm!

– Michał, poczekaj… – Złapałam go za rękę. – Skończmy studia, przecież to nastąpi już za chwilę. Potem wyjedźmy na rok czy nawet więcej. Przecież jesteśmy już na ostatniej prostej!

– Chyba ty jesteś… – Michał wzruszył ramionami. – Ja z magisterką jestem jeszcze w lesie. Biernacki mnie nie puści.

– Może trzeba było się zabrać do roboty – mruknęłam. – A nie wszystko zwalać na Biernackiego. Ja nie chcę wyjeżdżać, Michał.

– Mam jechać sam?

– Nie chcę, żebyś jechał – wydukałam. – To wszystko zmieni. Uważam, że to bardzo zły pomysł.

– Po prostu rozsądnie patrzę na życie. Dbam o to, by wejść w dorosłość tak, jak chcę, a nie do czego jestem zmuszony. Nie chcę potem żebrać u rodziny.

– Michał…

– Nie rozumiesz! – Wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. – Studia zawsze można dokończyć, a taka okazja może się już nie powtórzyć. Nie kumam, że tego nie rozumiesz! – warknął zdenerwowany.

Ja z kolei zupełnie nie rozumiałam jego podejścia. Zawsze uważałam, że trzeba skończyć jedną rzecz, by zacząć drugą. O dziwo, potem życie w najmniej przewidywalnych okolicznościach to zweryfikowało, ale wtedy byłam pewna jednego – że trzeba zamknąć jedne drzwi, by otwierać kolejne. Michał chciał iść jak burza, biec przez życie, nie zważając na zamknięte bramy i wysokie płoty. Nie dbał o to, że niektóre drzwi za nim same zatrzaskują się z hukiem i nie ma już powrotów do przeszłości.

Wtedy Michał wyszedł, a ja zostałam sama, ze zburzonymi planami na przyszłość. A raczej z mocno niepewną i zawirowaną taflą mojej przyszłości. Lubiłam, gdy w życiu wszystko było poukładane. Nie tolerowałam nagłej zmiany planów. Wydawało mi się do tej pory, że w tym byliśmy z Michałem do siebie podobni. Lubiłam niespodzianki, ale ta była na zbyt wysokim poziomie abstrakcji.

– Pokłóciliście się? – Do pokoju weszła mama.

– Nie wiem… Nawet nie jestem pewna, czy można to tak nazwać – jęknęłam. – Po prostu różnica zdań. Ale na tyle ważna, że nie wiem w ogóle, co o tym myśleć. Michał chce jechać do Stanów.

– Na wakacje?

Pokręciłam głową.

– Nie, do pracy. Budować nam dobry start czy jakoś tak. Mamo, on chce przerwać studia, by harować na budowie i zarabiać dolary.

– Ale przecież nie będziecie mieli złego startu. Skończycie całkiem porządne studia, pracę w rachunkowości zawsze znajdziecie. Jakbyście mieli być razem, to przecież i mieszkanie jest, to od babci, a ona na pewno się zgodzi, byście wcześniej tam zamieszkali, lokatorzy mają przecież trzy miesiące wypowiedzenia…

– Mamo, Michałowi jest wszystkiego za mało. Za mało pieniędzy, zbyt małe mieszkanie… – Westchnęłam.

– Justynko, z jednej strony to dobrze, że on wciąż chce wyżej, mocniej, bardziej… – Zamyśliła się na chwilę. – Tylko trzeba się zastanowić, czy akurat tędy droga. Może warto najpierw skończyć studia, zamknąć pewien etap w życiu, a nie tak zostawić wszystko rozbabrane.

– To samo mu mówiłam.

– A on?

– On stwierdził, że trzeba szybko podejmować decyzje, łapać okazję, gdy się nadarzy, bo może się nie powtórzyć.

Mama westchnęła.

– Mamo, ja tak nie umiem… Nie jestem typem giełdowego gracza, nie umiem szybko zmieniać planów. Przyzwyczajam się do tego, co mam i do tego, co chcę osiągnąć. Ja już widziałam nas w tej kawalerce. Artur się oświadczył Magdzie i jakoś myślałam, że i u nas będzie wszystko takie uporządkowane. Ślub, małe mieszkanie, które wspólnie będziemy remontować, kiedyś dziecko…

Spoglądała na mnie spod przymrużonych powiek, jakby z powątpiewaniem.

– Co? Za dużo romansów się naoglądałam? – zapytałam.

– Może za mało rozmawiałaś z Michałem o przyszłości – zasugerowała mama.

– Nie rozmawiałam wcale – przyznałam.

– I chyba to był błąd… Co teraz?

– Nie wiem sama. – Wzruszyłam ramionami. – Mam nadzieję, że nie wyjedzie. Ale ma już bilet, więc marne szanse, że zostanie w Polsce. Chce nawet kupić bilet dla mnie…

Spojrzała na mnie z przestrachem.

– Mamo, spokojnie. Zawsze chciałam wyjechać do Stanów na wakacje, wiesz przecież, ale nie tak nagle, nie zawalając wszystko, nad czym tutaj pracowałam przez tyle lat. Chcę zakończyć jeden etap. Może po obronie pojadę tam na chwilę, ale na pewno nie chcę rzucać wszystkiego po to, by zmywać naczynia w knajpach. Mamo, według niego Stany to spełnienie marzeń!

– A według ciebie nie… – Mama wzruszyła ramionami. – I tę swoją odmienność musicie uszanować, a na dodatek jakoś postarać się z nią żyć.

– Pamiętasz? – Uśmiechnęłam się smutno. – Kiedyś też myślałam, że tam jest raj na ziemi.

Mama chyba nie pamiętała, bo wyglądała na zdezorientowaną.

– Pamiętasz, jak marzyłam o lalce Barbie? Gdy byłam mała, przyjechali do nas przyjaciele babci z czasów wojny. Pamiętasz? Ci, co wyemigrowali do Stanów.

– Tak? – Mama nadal nie wiedziała, do czego zmierzam.

– Podarowali mi lalkę, dokładnie taką, o jakiej marzyłam. Poza tym mnóstwo słodyczy, i to takich, jakich u nas nie było. Ale, mamo, ta lalka była dla mnie wtedy spełnieniem marzeń. Stany Zjednoczone jawiły mi się niczym idylla. Może teraz właśnie tak jest z Michałem? Byleby żadnej lalki Barbie tam sobie nie znalazł…

Potem rozmawialiśmy z Michałem jeszcze kilka razy o naszej przyszłości. O tym, co nazwałam „kiedyś tam". „Kiedyś tam" mieliśmy sprawić sobie duże mieszkanie, na które Michał zarobi w Stanach. „Kiedyś tam" będziemy mieli dzieci, najlepiej dwoje. „Kiedyś tam" Michał skończy studia, które właściwie już przerwał, bo przecież i tak miał za chwilę wyjechać, to po co ciągnąć coś, co za chwilę miało być już mało ważne? A może i skończy te studia w Stanach, na jakimś prestiżowym uniwersytecie, takim jak Yale albo Stanford? Bo przecież ten Uniwersytet Gdański to nic wspaniałego. Co innego Stany!

Teraz najważniejszy był wyjazd. Jego wyjazd. Bo już ustaliliśmy, że ja nie pojadę. Przynajmniej teraz. Bo „kiedyś tam" może go odwiedzę. Z pewnością go odwiedzę! „Kiedyś tam".

– Justyś, czasami życie daje ci prezent w momencie, kiedy wcale tego prezentu nie oczekujesz – mówił. – I tak jest teraz.

– Tak, ale to, co dla kogoś jest wymarzonym prezentem, dla innego może być puszką Pandory – westchnęłam.

Dla Michała wyjazd był oknem na świat. Nadzieją na lepszą przyszłość. Dla mnie był samotnością, przekreśleniem życiowych planów i utratą wiary w spełnienie marzeń. Samotne wieczory, samotne wyjścia do kina. Przytulać się będę mogła już chyba tylko do poduszki. Bo do kogo?

– Na jak długo chcesz jechać? – zapytałam. – Postanowiłeś już?

– Na pół roku? Myślę, że uda mi się zarobić tyle, bym mógł już z czymś konkretnym wrócić.

– Nie wytrzymam tyle czasu bez ciebie… – jęknęłam.

– To jedź ze mną, przecież możesz. – Pogłaskał mnie po policzku. – Proszę, zgódź się. Razem będzie nam lepiej…

– Michał, to zdezorganizuje mój cały świat – powiedziałam ze łzami w oczach.

– Cały świat? A ja? Czy ja nie jestem częścią twojego świata?

– Jesteś bardzo ważną częścią mojego życia, ale nie możesz ode mnie wymagać, bym rzuciła wszystko, co dla mnie ważne i na co pracowałam ciężko kilka lat.

– Rozumiem, że to wszystko jest ważniejsze ode mnie? – zapytał zaczepnie.

– Ważniejsze od twoich pochopnych decyzji, które wydają ci się megadojrzałe. A tak naprawdę… – Nie dokończyłam, bo bałam się, że powiem kilka słów za dużo.

– Co tak naprawdę? – Spojrzał na mnie uważnie.

– Chcesz wiedzieć, co myślę tak naprawdę? – zapytałam, patrząc mu w oczy.

– Mów.

Nie wytrzymałam. Wybuchłam.

– Tak naprawdę to sobie myślę, że twój wyjazd to wybryk gówniarza, któremu odechciało się uczyć. Gówniarza, który ma ochotę poszaleć i zaznać nieco wolności. Gówniarza, który myśli, że wyjazd do roboty za granicę jest spełnieniem jego marzeń! – wykrzyczałam. – Taki filmowy *American dream*.

– Czyli przez te trzy lata uważałaś, że jestem nieodpowiedzialnym gówniarzem? – warknął, zaciskając pięści.

– Nie, Michał. Cały czas myślałam, że jesteś rozsądnym facetem. – Próbowałam się uspokoić.

– No i jestem – powiedział stanowczo. – Myślę o naszej przyszłości.

– Nie myślisz. – Pokręciłam głową. – Zostawiasz mnie samą na pół roku. Czy ty wiesz, ile może zdarzyć się przez pół roku?! Wydaje ci się, że trawa za płotem jest bardziej zielona, a to nieprawda. Jest taka sama, o ile nie gorsza!

– Justyś, ty chyba nie wiesz, co mówisz! – Michał patrzył na mnie jak na obcą osobę. – Pół roku w Stanach… Ty wiesz, jak ja podszkolę język?

– Tak, będziesz wiedział, jak jest po angielsku „wiadro z farbą” i „młotek”. No, może jeszcze ewentualnie „cegła”.

– Jesteś złośliwa – stwierdził. – I chyba mi zazdrościsz.

– Ja? Zazdroszczę? Michał! Czego mam ci niby zazdrościć?

Pewnie mogliśmy spożytkować ten czas do jego wyjazdu zupełnie inaczej. Teraz to wiem. Jednak wtedy głównie kłóciliśmy się i udowadnialiśmy sobie nawzajem swoje racje. Po co? Nie wiem. Później życie mnie nauczyło, że takie siłowanie się i przekomarzanie jest kompletnie bezsensowne. Fajnie, że ludzie są różni, i jeżeli kogoś kochamy, powinniśmy szanować tę odmienność. Może wtedy właśnie powinniśmy ją dostrzec, zaakceptować i postanowić, że każde z nas jednak powinno iść swoją drogą?

Trudno utrzymać związek na odległość. Niektórym się udaje, innym zupełnie nie. Wtedy byłam pewna, że nam się uda. Chciałam zamknąć oczy i je otworzyć za pół roku, by było tak, jak teraz… Byśmy dalej siedzieli beztrosko na kanapie, by dalej moja mama wchodziła do pokoju bez pukania i krzywiła się na widok tego, że siedzimy zbyt blisko. Tak bardzo chciałam, by było normalnie.

Obiecałam sobie, że poczekam. Pół roku to nie całe życie. To TYLKO pół roku.

– W sierpniu już będziemy razem – powiedział. – Może wtedy wspólnie zamieszkamy?

– Zobaczymy… Będę czekała – obiecałam.

Tydzień przed wylotem Michał jeszcze raz próbował przekonać mnie do wyjazdu. Zaprosił mnie do siebie na wieczór. Tamtego dnia był sam, jego rodzice gdzieś wyszli. Za progiem jego mieszkania zobaczyłam porozstawiane wszędzie na podłodze niewielkie świeczki. Prowadziły mnie od drzwi w przedpokoju do salonu, gdzie czekała przygotowana przez Michała kolacja. W wazonie na stole stał bukiet róż.

– Justyś, proszę, zastanów się jeszcze nad wyjazdem – wyszeptał drżącym głosem. – Jak my sobie bez siebie poradzimy? Przecież nie damy rady. Błagam, przemyśl to.

W oczach miał łzy.

– Michaś, ty nie musisz jechać…

– Justyś, ja nic nie mam… Nie mam nic, co mógłbym ci zaoferować.

– Nie musisz mi nic dawać, wystarczy, że jesteś blisko mnie.

– W Afryce musiałbym pewnie cię kupić od twojego ojca za dziesięć wielbłądów. – Uśmiechnął się.

– Ale jesteśmy w Europie, a mój ojciec nie miałby nawet gdzie trzymać tych wielbłądów. – Próbowałam poprawić mu humor.

– Wytrwamy, prawda? Przyjadę, a potem już zawsze będziemy razem.

– Teraz możemy być razem. – Złapałam go za rękę.

Michał pokręcił głową.

– Nawet mnie nie stać na pierścionek dla ciebie. – Spojrzał mi w oczy. – Nie można tak zaczynać. Kiedy Artur oświadczył się Magdzie, też poszedłem do jubilera… Justyś, ja chcę, byś miała brylanty! Zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

– Naprawdę byłeś u jubilera? – zdziwiłam się. – Przecież sam mówiłeś, że oni to robią za szybko.

– A co miałem powiedzieć? Że mnie nie stać na pierścionek?

– Michał, ja nigdy nie przywiązywałam wagi do takich rzeczy.

– Wiem, ale dla mnie jesteś księżniczką. A księżniczki powinny być obsypywane brylantami. – Uśmiechnął się i po chwili dodał: – Wiesz, jadę się tam sprawdzić… Sprawdzić jako mężczyzna. Nigdy nie mieszkałem sam. Nie chcę spod skrzydeł mamusi wejść pod twoje skrzydła. Nie byłabyś wtedy ze mną szczęśliwa.

– Jedziesz tam po to, by dorosnąć? – Nie dowierzałam.

– Może trochę… Może chcę spróbować, jak to jest być zdanym wyłącznie na siebie.

– Z takim uśmiechem to nie potrwa zbyt długo – westchnęłam. – Przecież wiesz, że bardzo szybko zjednujesz sobie ludzi. Będziesz miał nowych przyjaciół szybciej, niż się tego spodziewasz.

– Nie będę miał ciebie. – Przytulił mnie mocno. – A ty jesteś najważniejsza.

Zjedliśmy kolację, wypiliśmy wino. Potem siedzieliśmy długo i rozmawialiśmy o tym, jak będzie wyglądało nasze życie, gdy wróci. Nie chcieliśmy spać, bo kolejna taka noc miała się długo nie powtórzyć. Siedziałam wtulona w ramiona Michała, a w radiu Anita Lipnicka śpiewała o tym, że znajdzie dom z wielkim oknem na świat. Kołysaliśmy się w rytm muzyki, a po moich policzkach spływały łzy.

– Znajdę ten dom dla nas – wyszeptał mi do ucha. – Z wielkim oknem na świat. Wrócę. To stanie się szybciej, niż się spostrzeżesz. Obiecuję ci.

Tamten wieczór i noc były kwintesencją całego naszego związku. Miłość, czułość, długie rozmowy. Wzajemne zrozumienie, szacunek i akceptacja. Dlatego go kochałam. Mogłam polegać na nim we wszystkich trudnych życiowych momentach. Gdy zadzwoniłam, przyjeżdżał i przytulał mnie. Czasem nawet nic nie

mówił, a ja znajdowałam spokój w jego ramionach. Wiedziałam, że tych ramion będzie mi brakować najbardziej. Pewnych spraw nie można załatwić za pomocą maila czy przez telefon.

Na lotnisku nie mogliśmy się pożegnać tak, jak tego chcieliśmy. Jego rodzice, brat, dziadkowie – wszyscy chcieli być przy nim. Mama Michała była na mnie wyraźnie obrażona, że nie jadę z jej synem.

– Powinnaś być przy nim – wycedziła przez zęby.

– A to nie on powinien być przy mnie? – zapytałam, patrząc na nią odważnie.

– On ci niczego nie obiecywał – powiedziała oschle.

– Ja mu też niczego nie obiecywałam, proszę pani.

– On tam dla ciebie jedzie – syknęła.

– Ja tego nie chciałam. – Pokręciłam głową. – Bardzo tego nie chciałam.

Wtedy nie spodziewałam się, że planowane pół roku przemieni się w rok, a potem w jeszcze więcej. Nie wiedziałam, że przez pierwsze dwa lata będziemy spotykać się niemalże jedynie na internetowych czatach. Nie wrócił w sierpniu, nie wrócił też na kolejną Gwiazdkę. W lipcu skasował samochód swojego szefa, a nie miał ubezpieczenia, więc musiał na niego zarobić. Gdy mi o tym powiedział, byłam i zmartwiona, i wściekła. Chciałam do niego jechać. Od razu, natychmiast, nie zważając na koszty.

– Justyś, to bez sensu. Ja naprawdę teraz potrzebuję kasy, dwie osoby trudno tutaj utrzymać.

– Michał, przyjadę. Może pomogę ci jakoś?

– Justyś, zanim ty tu znajdziesz pracę, będę musiał pracować na nas oboje – westchnął. – Przepraszam cię, ale teraz nie mogę

sobie na to pozwolić, bo ten cholerny samochód spędza mi sen z oczu. Najpierw muszę to załatwić.

– A potem?

– A potem zobaczymy.

3

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Majówka
Data: 2 maja 2000

Kochanie, cudna pogoda u nas. Pamiętasz, jak w ubiegłym roku majówkę spędziliśmy razem? Przejechaliśmy na rowerze jednego dnia pięćdziesiąt kilometrów. Dla mnie to rekord świata. Wszystko mnie bolało!
Wtedy nie byłam zadowolona, ale dzisiaj wiele bym dała, by pojechać z Tobą dokądkolwiek. Magda zapraszała mnie do siebie nad jezioro, ale nie miałam ochoty jechać. Ruszę dalej z magisterką, bo zostało mi już niewiele, a teraz wszyscy gdzieś powyjeżdżali, więc jest spokój i mogę skupić się na pisaniu.
Napisz, co u Ciebie. Znalazłeś wreszcie jakieś mieszkanie?
Kocham Cię i odliczam dni. Jeszcze trzy miesiące bez Ciebie. Dam radę.
Justyna

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Re: Majówka
Date: May 3, 2000

Majówka z Tobą to było coś! Z rowerem damy radę w następne wakacje. Tylko trzeba Ci kupić coś nowego. Ogarniemy temat!
Przeprowadziłem się. Mieszkamy teraz blisko metra, więc do pracy blisko. Poznałem dwóch Polaków i dwie Czeszki. Mieszkamy razem. Wynajęliśmy trzy pokoje. Jestem z Grzegorzem w jednym. Fajny chłopak, ze Śląska. Razem jest raźniej.

Z dziewczynami rozmawiamy po polsku. Jest dużo śmiechu. Jana nawet uczy mnie czeskiego. Nie wiem, co z tego wyjdzie!
Już nie pracuję u teścia mojego kuzyna. Okazało się, że to ściema. Opowiem Ci więcej, jak będziemy rozmawiać.
Tęsknię. Tutaj jest tak pusto, zimno… bez Ciebie. Już nawet raz pomyślałem, by wrócić, ale wpłaciłem kaucję za mieszkanie i ledwo starczyłoby na bilet.
Taka szkoła przetrwania.
Dam radę, prawda?
Wolf

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Wilk
Data: 4 maja 2000

Kochanie! Oczywiście, że dasz radę! Przecież jesteś wilkiem!
Chociaż wolałabym, żebyś wrócił. Może potrzebujesz pieniędzy na bilet? Mam jakieś oszczędności. Pomogę, pamiętaj, że jestem!
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Kasa!!!!!
Date: May 4, 2000

Justyś, jak Ty możesz mi proponować pieniądze? Przecież to ja tutaj przyjechałem zarabiać, by zbudować nam dom w Polsce. Chociaż… nie jest tak kolorowo. Chyba szybko nie zbuduję tego domu.
Czasem myślę, że miałaś rację, mówiąc, że skusił mnie American dream.
Samotne wieczory są do dupy.
Trzy razy się zastanawiam, zanim kupię sobie piwo. Obracam każdego dolara trzy razy. Tak chyba nie można żyć.
Tęsknię.
Twój Wolf

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Re: Kasa!!!!!
Data: 5 maja 2000

Wilku, wracaj…
Wiesz, że ja czuję, kiedy Ci źle. Chyba byłam jedyną osobą, przy której umiałeś płakać. Nie graj przede mną, tylko po prostu wracaj. Wracaj wtedy, gdy zarobisz na ten cholerny bilet. Ile na niego musisz pracować? Może pożycz od kogoś pieniądze? Nie wiem… Wracaj, czuję, że tam nie jesteś szczęśliwy.
Ja wciąż piszę. Już kończę. Obrona została wyznaczona na 23 maja. Dam radę, prawda? Nawet się nią nie denerwuję, bo denerwuję się Tobą. Mogliśmy razem się tutaj denerwować. Twój promotor jakoś podobno złagodniał. Nawet pytał o Ciebie.
Może będziesz mógł wrócić i bronić się we wrześniu?
Pomyśl o tym!
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Obrona
Date: May 20, 2000

Justyś, trzymaj się na tej obronie! Wierzę w Ciebie! Co do września, to chyba nie ma szans…
Nie będę miał teraz przez kilka dni możliwości napisać maila, bo dostałem pracę. 12 godzin dziennie sprzątamy po remontach. Praca ciężka, ale dobrze płatna.
Tak sobie myślę, że Ty tam w czystej sukience i butach na obcasach, a ja w moich brudnych spodniach roboczych to zupełnie inny świat.
Kochasz mnie jeszcze?
Pewnie gdybyś zobaczyła mnie takiego, szybko byś przestała.
Powodzenia, OMC* pani magister!
Wolf
* O-MAŁO-CO

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Twoje spodnie
Data: 21 maja 2000
Wilku! No jak Ty w ogóle możesz tak mówić?! Wiesz, że ja Cię lubię nawet bez spodni! A wręcz powiedziałabym, że bardzo lubię Cię bez spodni!
I jeszcze napiszę, że się stęskniłam!
Za Tobą bez spodni.
Nie pisz mi takich rzeczy!
Czy jak Ci napiszę, że wyszłam właśnie z wanny, uwierzysz?
No i tak… ja spodni też nie mam.
Kocham Cię.
J.

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: DZIĘKUJĘ!
Data: 23 maja 2000

O matko! Jakie piękne kwiaty!
Nie wierzyłam, gdy przeczytałam bilecik!
Skąd wiedziałeś, że się obronię?
No tak, jakbym się nie obroniła, to byś powiedział, że kwiaty były na pocieszenie!
Tak bardzo za Tobą tęsknię, tak chciałabym z Tobą świętować ten sukces.
Wypiliśmy szampana z rodzicami. Dzwoniła babcia Adela i powiedziała, że lokatorzy z jej mieszkania się wyprowadzili, a ja już jestem dorosła i powinnam mieszkać sama. Wyobrażasz sobie? Moja babcia! Kazała mamie dać mi klucze, więc wygląda na to, że się przeprowadzam! Tak bardzo się cieszę! Pewnie w weekend będę malować ściany.
Moja mama robi z tego tragedię. Ale chyba taki los matek. Pewnie jak moje dziecko się będzie wyprowadzało, też będę lamentowała.
Kocham Cię.
Jeszcze raz dziękuję za róże.
Czuję się dzisiaj taka ważna!!!
Mgr Justyna Borkowska

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Szanowna pani magister
Date: May 30, 2000

Szanowna Pani Magister!
Czy ja mogę do Pani mówić po imieniu? Czy to będzie zbytnie spoufalanie się z Panią?
Kochanie, wiedziałem, że się uda!
Masz większe szczęście niż ja. Bo ja znowu szukam roboty. Jana, ta Czeszka, też szuka i tak siedzimy całymi dniami sami.
Czeska kuchnia jest całkiem, całkiem!
Prawdopodobnie jednak od poniedziałku zaczynam. Grzegorz, jeden z tych chłopaków, z którymi mieszkam, wraca do Polski i zwalnia się jego miejsce. Sprząta magazyny w sklepie. Mówi, że spoko praca. Zobaczymy. Na razie jestem na zero.
Kocham Cię.
Wolf

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: ?
Data: 2 czerwca 2000

Wolf, ale jak to na zero??? Przecież jesteś już tam od lutego! Przecież miałeś już wracać za chwilę?
Wolf, co się dzieje?
Przecież to jest kompletnie bez sensu! Siedzisz tam, zamiast tutaj i pracujesz ciężko, a nic z tego nie masz?
Naprawdę to jest bez sensu!
Zadzwoń do mnie, to pogadamy. Albo spotkajmy się na czacie gdzieś w sieci.
J.

Od: Justyna Borkowska

Do: Michał WOLF
Temat: ???
Data: 15 czerwca 2000

Misiu, nie odzywasz się. Wszystko jest OK? Mama mówiła, że dzwoniłeś dwa razy, nie było mnie w domu. Muszę kupić komórkę, to będziesz mógł dzwonić zawsze.
Przepraszam, że tak napisałam w poprzednim mailu, ale naprawdę pomyślałam, że to bez sensu…
Proszę, daj jakiś znak.
I złe wieści… Zostałeś skreślony z listy studentów. Ale z pewnością można to jeszcze jakoś cofnąć. Najwyżej powtórzysz semestr…
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Re: ???
Date: July 1, 2000

Justyna, masz rację. Ale teraz to jeszcze bardziej jest bez sensu, bo miałem wypadek. I te studia… Nie spodziewałem się niczego innego. Długo by pisać.
Dostałem pracę jako dostawca i skasowałem wóz szefa. No i pozytyw jest taki, że mam pracę, a minus jest taki, że muszę spłacić auto.
Nic mi się nie stało, ale samochód do kasacji.
Pracuję dwa razy więcej.
Mam mniej czasu.
I będę miał jeszcze mniej pieniędzy.
O ile to możliwe, by mieć jeszcze mniej.
Na razie nawet nie mam ochoty dzwonić i pisać.
Pracuję i jem knedliczki.
Michał

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Re: Re: ???
Data: 1 lipca 2000

Michał? Jaki wypadek? Jakie, kurna, knedliczki?
Coś Ci się stało? Czy Ty się dobrze czujesz?
Może już dosyć prób związanych z dorosłością?
Może już warto przyznać się do porażki i wreszcie wracać? Przecież tak nie można!
Mam pomysł! Przyjadę do Ciebie! Poszukam tanich lotów i przyjadę. Czasem można znaleźć fajne okazje. Wyobrażasz sobie to? Za tydzień moglibyśmy być znów razem! Może sama Cię namówię do powrotu. Wierzę w to!
Kocham Cię.
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: przyjazd
Date: July 5, 2000

Justyś, to jest bez sensu… Nie przyjeżdżaj. Teraz to zupełnie bez sensu. Ja pracuję cały czas, nie ma mnie wcale. Warunków do mieszkania też za bardzo nie ma. Gnieździmy się w czwórkę.
Kup sobie lepiej coś ładnego za te pieniądze.
Ja myślę, jak to wszystko ogarnąć. Ale sam nie wiem jak. Daj mi chwilę.
Muszę sam sobie z tym poradzić.
Wolf

4

Byłam przekonana, że Michałowi w tych Stanach nie było wcale różowo. *American dream* prysł już pierwszego dnia pracy, a po pierwszym miesiącu nie było po nim śladu. Nie chciał się przyznać do porażki. Został skreślony z listy studentów, nie miał za bardzo do czego wracać. Przynajmniej w tym roku akademickim. A potem ten wypadek… I znowu musiał zaczynać od zera.

– Przyjeżdżaj – mówiłam za każdym razem, gdy udało nam się porozmawiać. – Damy jakoś radę.

– Nie po to pojechałem, by wracać ze spuszczoną głową – słyszałam zawsze.

– Ja wiem, marzysz, by przyjechać czerwonym ferrari i pokazać, że jesteś kimś. Te czasy się już skończyły.

Rozmawialiśmy coraz rzadziej. Trochę przeszkadzała nam różnica czasu i nie mieliśmy wciąż kasy na telefony, ale tak naprawdę to było chyba tylko pretekstem do tego, by właśnie nie rozmawiać. Na początku próbowałam mu opowiadać o tym, co u mnie. O tym, że dostałam pracę.

– Za ile? – pytał.

– Na początek tysiąc osiemset na rękę – powiedziałam z dumą.

Tysiąc osiemset złotych od razu po studiach w tamtych czasach naprawdę nie było małą kwotą.

– Za tyle nie opłacałoby mi się wstać z łóżka – stwierdził Michał wyniośle.

Dlatego też przestaliśmy mówić o pracy. Nasze rozmowy ograniczyły się tylko do wyznawania sobie miłości i obietnic, że będziemy na siebie czekać. Czasem nieśmiało pytałam, kiedy wraca, a on się wtedy bardzo denerwował. Miałam wrażenie, że chce ze mnie zrobić zupełnie nieodpowiedzialną dziewczynkę, która tylko chce się przytulać do swojego „Misia", a przecież on, „Misio", był stworzony do dużo ważniejszych celów.

Oczywiście, mogłam do niego pojechać. Ale najpierw ten wypadek, następnie dostałam pracę, potem w pracy szło mi coraz lepiej. Michał już nie mówił, że dla takich pieniędzy nie warto wstawać z łóżka. Ale do przyjazdu mnie skutecznie zniechęcał.

Przeprowadziłam się do kawalerki, w której mieliśmy zacząć budować nasze wspólne życie. Uznałam, że w pewnym wieku po prostu trzeba zacząć być mniej zależnym od rodziców. Stanęłam na własnych nogach. Oczywiście powiedziałam Michałowi o przeprowadzce, ale chyba go to nie cieszyło. Przestałam mówić mu o moich sukcesach, bo on nie miał swoich i najwyraźniej nie chciał słuchać, że wiedzie mi się coraz lepiej. Coraz częściej wszystko, co polskie, było dla niego mało atrakcyjne. A ja żyłam wspomnieniami i jego wyidealizowanym obrazem. Cały świat pędził obok mnie, zaliczałam kolejne śluby znajomych, łapałam kolejne welony i bukiety na weselach, ale tak naprawdę byłam sama.

Każde z nas zbudowało swój oddzielny świat, w którym umiało funkcjonować zupełnie samotnie. Nawet nie potrafiliśmy sobie wzajemnie pokazać tych naszych światów. Może gdybyśmy się trochę postarali, dalibyśmy radę to zrobić, ale chyba nam obojgu przestało już na tym zależeć.

– Umówiłabyś się z kimś na kawę – mówiła mi wciąż Magda, moja przyjaciółka z lat szkolnych.

To było chyba w lipcu, zaraz po tym, gdy Michał miał wypadek samochodowy. Siedziałyśmy w naszej ulubionej kawiarni w centrum Gdańska i oglądałyśmy album z jej ślubu. Wtedy jeszcze była zakochana, z wzajemnością, do nieprzytomności, w Arturze. Właśnie dowiedziała się, że jest w ciąży, co sprawiło, że miała ochotę swoim szczęściem dzielić się z całym światem.

– Niby z kim miałabym się na tę kawę umówić?

– Z kimkolwiek. – Z dezaprobatą pokręciła głową. – O, zobacz, na przykład tamten facet na ciebie patrzy!

Pomachała do mężczyzny stojącego przy barze. Ten uśmiechnął się do nas.

– Przestań! To mój wykładowca! – Skinęłam grzecznie głową.

– To co? Wykładowca też człowiek. – Magda wzruszyła ramionami. – Jakiś taki młody.

– Tak, był od razu po studiach. Jest chyba kilka lat od nas starszy. O, Boże, on do nas podchodzi! – Poczerwieniałam gwałtownie.

– Dzień dobry, pani Justyno. Co za miłe spotkanie! Cezary Gromadzki – przedstawił się Magdzie, a mnie podał rękę. – Jak miło panią zobaczyć. Minęło już dobrych kilka miesięcy od ukończenia studiów?

– Tak, szybko to zleciało. – Uśmiechnęłam się nieśmiało.

– I jak sobie pani radzi? – zapytał. – Praca jest?

– Jest. Pracuję w biurze rachunkowym. W zasadzie już od pół roku. Bardzo sobie chwalę.

– Nie wątpiłem w to. Wiedziałem, że sobie pani poradzi. Pani też z branży? – zapytał Magdę.

– Broń cię Panie Boże. – Wzdrygnęła się Magda. – Jeżeli chodzi o cyferki, to ogarniam tylko te, które wskazują, ile mąż mi wpłaca na konto. – Zachichotała.

– U ciebie jest inaczej, jak widzę – powiedział Cezary.

Płynnie przeszedł na „ty”. Nie przeszkadzało mi to.

– Tak, u mnie nie ma męża, który by mi wpłacał cokolwiek na konto.

– A ten… ten… – Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Michał – podpowiedziałam.

– O, właśnie. Nie mam pamięci do imion.

– Michał wyjechał pół roku temu do Stanów – poinformowała skwapliwie Magda. – Kochani, zostawiam was, muszę lecieć – dodała po chwili, zostawiając dwadzieścia złotych na stole. – To za kawę.

– Proszę wziąć, ja stawiam – zaoponował Cezary.

Ja bym zaprotestowała, ale Magda nie miała z tym nigdy problemu.

– Dziękuję! – Obdarzyła Cezarego najpiękniejszym uśmiechem na świecie i tanecznym krokiem wyszła z kawiarni.

Zostaliśmy sami. Wypiliśmy jedną kawę, potem drugą. I jeszcze zjedliśmy po ciastku. Dawno nie rozmawiało mi się z nikim tak dobrze. Ktoś mnie słuchał, ktoś był zainteresowany tym, jak wygląda moje życie. Ktoś uśmiechał się, gdy mówiłam o swoich sukcesach i marszczył brwi, gdy zastanawiał się, dlaczego mój komputer nie działa tak, jak powinien.

– Ten komputer to ci mogę pomóc naprawić. Czasem wystarczy przeinstalować kilka rzeczy.

– Nie będę cię fatygowała. – Uśmiechnęłam się. – Masz z pewnością sporo innych spraw na głowie.

– To żaden kłopot. Naprawdę… – Spojrzał na mnie, a ja przez chwilę miałam wrażenie, że zrobi wszystko, by do mnie przyjść. A w zasadzie do mojego komputera.

Nie pozwoliłam mu na to od razu. Ale kilka dni po naszym spotkaniu w kawiarni w końcu do mnie przyszedł. Wypiliśmy kawę, potem uruchomił laptop.

– Na początek trzeba zdefragmentować dysk – powiedział, gdy sprawdził kilka rzeczy.

– To znaczy? – zapytałam.

Komputer służył mi wyłącznie do pracy. Korzystałam z programów księgowych, poza tym używałam go tylko jako maszyny do pisania.

– To tak jak w życiu, wydaje ci się, że masz wszystkie części układanki, ale one są położone w zupełnie przypadkowych miejscach. Zbyt dużo czasu zajmuje ci analizowanie wszystkiego, co masz. Zajmujesz się drobiazgami, a nie masz miejsca na budowanie czegoś większego. Albo zajmuje ci to więcej czasu.

– Do czegoś zmierzasz? – wydukałam.

– Nie, tłumaczę ci po prostu, czym jest defragmentacja dysku – odpowiedział spokojnie.

Wpatrywałam się wtedy w monitor, obserwując, jak na początku przypadkowo rozmieszczone kwadraciki porządkują się i układają w kolorowe rzędy. Moje życie chyba też potrzebowało defragmentacji. Na razie jednak nie potrafiłam znaleźć właściwego polecenia, które by to moje życie skonsolidowało.

Widywaliśmy się potem dość często. Czasem u mnie, ale przeważnie w tej samej kawiarni, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zawsze kawa, ciastko i długie rozmowy o wszystkim. Takie, których tak bardzo mi teraz brakowało.

– Pobrudziłaś się – powiedział któregoś dnia, gdy jedliśmy wyjątkowo wielkiego ptysia. Byłam cała w bitej śmietanie.

Cezary dotknął palcem mojego policzka, by zetrzeć ślad. Ten dotyk był bardzo intymny, a przynajmniej tak mi się wydawało. Dawno nie dopuszczałam do siebie mężczyzny tak blisko. Wzdrygnęłam się. Zapadła niezręczna cisza. Chyba jednak moje życie nie było do końca „zdefragmentowane".

Podniosłam pustą już filiżankę do ust, by zająć czymś myśli i ręce, gdy napotkałam na sobie wzrok. Wzrok kobiety. Z sąsiedniego stolika patrzyła na mnie z wyrzutem mama Michała.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się niepewnie.

Nie robiłam nic złego, ale zdawałam sobie sprawę, jak to mogło wyglądać.

– Widzę, że się nieźle bawisz – powiedziała półgębkiem.

Nie widziałam jej od momentu pożegnania na lotnisku. Nigdy za sobą nie przepadałyśmy, a teraz chyba już zupełnie przepadła szansa na jakąkolwiek przyjaźń.

– Tak, piję kawę ze znajomym.

– Widać, że to bliski znajomy – wycedziła.

Cezary spoglądał to na mnie, to na nią, nic nie rozumiejąc.

– Pani Zosiu, to jest Cezary Gromadzki. Wykładowca mój i Michała. Spotkaliśmy się tutaj przypadkiem… – zaczęłam się tłumaczyć.

– Nieważne!

Wstała bez słowa, ciągnąc za sobą równie zdezorientowaną, co Cezary, znajomą, zapłaciła rachunek i wyszła z kawiarni.

– Chyba już pójdę – wydukałam.

– Zrobiłem coś złego? – niepewnie zapytał Czarek.

– Nie, ale ja najwyraźniej tak. – Pokręciłam głową.

– Niby co? – zdziwił się.

– Wypiłam z tobą kawę?

– A nie możesz pić kawy, z kim chcesz? Czy to, że on wyjechał za granicę, ma spowodować, że będziesz żyła w totalnej towarzyskiej

ascezie?

– Mam chłopaka…

– No i co z tego? Czy ci, którzy mają chłopaka, dziewczynę lub żonę, nie mogą pić kawy?

– Mogą. – Spuściłam wzrok.

– Wiem, o co ci chodzi. Ale zastanów się… Jego nie ma już tak długo w Polsce. Może czas wyjść z klatki? Albo chociaż ją otworzyć? I zacząć normalnie żyć?

Cezary był wyśmienitym towarzyszem do rozmów i do śmiechu. Oprócz odwiedzania „naszej" kawiarni raz byliśmy w kinie, potem w teatrze, często chodziliśmy też na spacery. Faktycznie miałam wrażenie, że otworzyłam klatkę, która tak naprawdę nie była nigdy zamknięta, ale do tej pory ja nawet nie zauważałam drzwi.

Michałowi nic o nim nie mówiłam. Nie chciałam go denerwować. Nie musiałam się z niczego tłumaczyć, bo też nie robiłam nic złego. A podobno tylko winni się tłumaczą.

Kiedyś zapytał sam:

– Kim jest ten facet, z którym moja matka widziała cię w kawiarni?

– Cezary Gromadzki. Pamiętasz go? Mieliśmy z nim ćwiczenia z rachunkowości zarządczej.

– Pamiętam – powiedział oschle.

– Michał, chyba nie jesteś zazdrosny?

– Nie – uciął krótko. – Niektórzy muszą pracować, by inni mogli się bawić.

– Michał! Przecież chyba mogę wypić kawę ze znajomym.

– Oczywiście, kawę możesz. Ale moja mama powiedziała, że to nie była tylko kawa – warknął i się rozłączył.

Próbowałam się z nim połączyć, ale nie odbierał.

To chyba było najgorsze uczucie… Wiedziałam, że nie robię nic złego, ale czułam się winna. Cholernie winna. Wtedy chyba pierwszy raz przeszło mi przez myśl, że jeżeli ktoś już mnie o coś obwinia, powinnam dać mu ku temu powód.

Tamtego dnia Cezary dzwonił do mnie kilka razy. Nie odebrałam. Potem skłamałam, że telefon mi się rozładował czy coś podobnego. Potrzebowałam czasu, by nad wszystkim się spokojnie zastanowić.

Jak Michał mógł mnie podejrzewać o cokolwiek? Przecież czekałam na niego, czekałam na każdą wiadomość, każdy mail. To ja częściej pisałam wiadomości niż on. Zawsze wcześniej przychodziłam do pracy i przy porannej kawie kreśliłam kilka słów. Michał miał trudniej. Nie wziął ze sobą komputera, czasem chodził do kawiarenki internetowej, by odebrać pocztę i wysłać coś do mnie. Komputer kupił dopiero potem, ale to nie spowodowało, że nagle zaczął zasypywać mnie listami. Nie miałam mu tego za złe. Wiedziałam, że pracuje. Zamykałam oczy, zaciskałam pięści i po prostu chciałam to przetrwać. Przecież kiedyś wróci… Nawet już widziałam to, jak będę ubrana na lotnisku, gdy będę go witać.

A Cezary? Cezary był kolegą, z którym mogłam iść na kawę, ciastko z kremem, obejrzeć film i porozmawiać o defragmentacji. Defragmentacji komputera, nie życia.

Lubiłam to uczucie, gdy się z nim spotykałam. Czułam się doceniana, zauważona. Pozwalałam na to, by pocałował mnie w policzek na przywitanie, kilka razy dostałam kwiaty. Znowu czułam się kobietą. Widywaliśmy się kilka razy w tygodniu.

Nawet kilka razy u mnie nocował. W salonie, oczywiście, nie ze mną. Bo po co miał wracać nocą do domu, gdy późno kończyliśmy rozmawiać czy oglądać film? Potem trudno było odpowiedzieć na pytanie: „Jak ci minął dzień?", które zresztą Michał zadawał coraz rzadziej.

– Dobrze, bardzo dobrze – odpowiadałam zdawkowo. – A co u ciebie?

Michał opowiadał o amerykańskich znajomych, którzy mnie coraz mniej interesowali, i o problemach, których kompletnie nie rozumiałam. To był zupełnie inny świat. Żył w całkiem innej bajce. I coraz częściej ogarniał mnie strach, czy ta bajka będzie miała wspólne, szczęśliwe zakończenie. A ja szczęśliwe zakończenia bardzo lubiłam. Te w książkach i w filmach, ale przede wszystkim te życiowe, o które było nieco trudniej.

Kiedyś, tuż po Wszystkich Świętych, wieczorem zadzwonił Czarek.

– Jestem blisko, może wino? – zapytał. – Miałem trudny tydzień i chyba muszę odreagować.

Ja też miałam trudny dzień. Leżałam akurat w wannie i nie miałam ochoty na gości. Chociaż właściwie Czarek nie był już gościem. Miał u mnie swój ulubiony kubek, a nawet swoje miejsce na kanapie. Niedawno zmarła mama Czarka i wierzyłam, że potrzebuje odreagować ten jesienny czas.

– Przyjeżdżaj – powiedziałam. – Za ile będziesz? Bo siedzę w wannie i chciałabym jeszcze trochę się popluskać.

– Siedem minut. Może być?

– Może – zgodziłam się, choć nieco niechętnie.

– Dobra, siedemnaście. Skoczę jeszcze po lody.

– Siedemnaście wystarczy w zupełności. – Roześmiałam się.

Rozbrajał mnie. To właśnie tak powinnam rozmawiać z Michałem. To Michał powinien do mnie przychodzić z winem i bez pukania wparowywać do łazienki, by taplać się ze mną w pianie. Czarkowi, oczywiście, nie mogłam na to pozwolić. Bo miałam chłopaka. Chłopaka, którego nie widziałam już rok, chłopaka, który był tysiące kilometrów stąd. Już zapomniałam, jak pachnie i jak to jest, gdy się czuje pod palcami jego ciało. Czasem wyobrażałam sobie, że jest tuż obok. Dotykając się, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że to jego dłonie…

Dzwonek do domofonu! Szybko wyszłam z wanny, owinęłam się ręcznikiem i otworzyłam drzwi. Miałam kilka minut, zanim wbiegnie na trzecie piętro. Szybko nałożyłam na siebie bluzę od dresu i spodnie.

– Sorry, jestem wcześniej. – Uśmiechnął się, wręczając mi wino. – Ależ pachniesz!

Chciał pocałować mnie w policzek, ale odchyliłam się i jego usta wylądowały w zgięciu mojej szyi. Ten pocałunek zdecydowanie nie był tylko przyjacielski. Chrząknęłam, a zmieszany Cezary odwrócił wzrok.

– Naleję wina – zaproponował.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że coś się zmieniło. Nagle w tym dresie, bez bielizny pod spodem, poczułam się tak bardzo… nieubrana.

Czarek usiadł na sofie i upił łyk wina. Ja też sięgnęłam po kieliszek.

– Pójdę zrobić coś do jedzenia – powiedziałam.

Weszłam do kuchni, wyjęłam z lodówki pomidory i mozzarellę. Stałam przy blacie kuchennym, tyłem do drzwi, i nawet nie usłyszałam, kiedy wszedł Cezary. Zorientowałam się dopiero, gdy stanął tuż za mną. Bardzo blisko. Objął mnie, jego ręce znalazły się na moim brzuchu, pod bluzką. Nie odwróciłam się. Nie odepchnęłam go. Staliśmy tak przez chwilę. Moja ręka tylko

zacisnęła się mocniej na trzonku noża. Czarek zaczął całować moje włosy, jego ręce sunęły coraz wyżej, w stronę moich piersi.

– Czarek, przestań! – Odwróciłam się do niego i go lekko odepchnęłam.

– Justyna, ja za długo już czekam. – Pokręcił głową. – Dlaczego mam przestać? Przecież…

– Bo jest Michał – wydukałam, szybko oddychając.

– Gdzie jest? Gdzie on jest, do cholery? Nie widzę go tutaj! – krzyknął. – W twojej łazience nie ma jego szczoteczki do zębów, nie ma jego wody po goleniu… nie ma go tutaj.

– Wiesz dobrze, jaka jest sytuacja…

– Sytuacja? Nie widzisz faceta prawie rok, a wciąż na niego czekasz? Ile będziesz jeszcze czekać? – pytał podniesionym głosem. – Dziesięć lat? Dwadzieścia? Czy ty jesteś jakąś męczennicą?

– Czarek, myślałam, że jesteśmy tylko przyjaciółmi…

– Tylko przyjaciółmi? Z tobą? Nie da się! Za późno, Justyna, za późno!

– Czarek, przepraszam… – Skryłam twarz w dłoniach.

– Nic nie mów! Nic już nie mów… – powtórzył. – Wychodzę. Nie wiem, przemyśl to wszystko, ja też to wszystko przemyślę, bo to, co robisz, jest kompletnie bez sensu.

– Czarek, nie wychodź… – prosiłam. – Piłeś przecież.

– Tylko łyka – warknął i zniknął za drzwiami.

Usiadłam przy stole nakrytym dla dwóch osób i przy dwóch pełnych kieliszkach wina. Najpierw duszkiem wypiłam jeden, przeznaczony dla mnie, a potem ten, którego Cezary nie zdążył wypić. Nie pomogło. Sięgnęłam po wino i prosto z butelki wlałam w siebie całkiem sporo.

Przed oczami przewijały mi się wspomnienia związane z Michałem. Nasze randki, studenckie czasy, jego śmiech i bardzo, bardzo niebieskie oczy, które zawsze na mnie patrzyły z taką

fajną czułością. A Cezary? Był taki… swojski. Codzienny. A przede wszystkim był blisko. Już prawie nie pamiętałam, jak pachnie Michał, na pewno gdybym poczuła ten zapach, wiedziałabym, że to on, ale zaczęłam się zastanawiać, czy ja nie żyję tylko wspomnieniami.

Pewnie Magda by mi powiedziała, że jestem młoda, że nie powinnam czekać na kogoś, kto nigdy pewnie już do mnie nie wróci. Ja w dalszym ciągu wierzyłam, że jeszcze będziemy razem. Przecież ja, do cholery, nigdy nie dałam do zrozumienia Cezaremu, że między nami może być coś więcej! W moim mieszkaniu wszędzie stały ramki ze zdjęciami z wakacji, na których Michał mnie czule obejmował. Pocztówki ze Stanów, zasuszone kwiaty. Tak, te wszystkie suszone róże przytargałam z mojego panieńskiego pokoju do kawalerki, w której teraz mieszkałam. Nawet ten wielki bukiet, który dostałam od niego na pożegnanie. Był już zakurzony, osypywał się i miałam go sprzątnąć, ale po prostu nie mogłam. To byłoby tak, jakbym się z nim miała pożegnać na zawsze. Nie z bukietem, z Michałem.

On nawet jeszcze nie był w tym mieszkaniu. Tak bardzo chciałam mu je pokazać. Na razie ograniczyłam się tylko do wysyłania mu zdjęć. Wiadomo jednak, że zdjęcia nie oddają wszystkiego.

Kolejny łyk wina.

Do cholery, dlaczego nie mogło zostać tak, jak było?! Najchętniej chciałabym mieć ich obu. By obaj wiedzieli o swoim istnieniu i kompletnie nie mieli nic przeciwko swojej wzajemnej obecności w moim życiu.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Nie mogłam się doliczyć, która godzina była u Michała. Nigdy do niego nie dzwoniłam. To on to zawsze robił. Tym razem wybrałam jego amerykański numer. Nie odbierał, więc napisałam mu wiadomość:

Kocham Cię. Tęsknię. Nie chcę żadnego domu, nie chcę pieniędzy, wracaj do mnie. Teraz. Szybko. Naprawdę Cię potrzebuję.

Zasnęłam na sofie przed telewizorem. Gdy się obudziłam, czekał na mnie mail.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: nie da się
Date: December 1, 2000

Kochanie, to nie takie proste. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę…
Pewnie śpisz, ale gdy się obudzisz, zajrzyj na nasz czat. Będę jeszcze tutaj przez chwilę.
Wolf

Obudziłam się zaraz, gdy usłyszałam powiadomienie. Od niedawna mieliśmy sieć osiedlową i miałam stałe łącze internetowe. Od razu zalogowałam się na czat, na którym zwykle pisywaliśmy. Teraz pewnie zdzwonilibyśmy się na Skypie, wtedy nie było to takie proste. Kilka portali miało swoje czaty, gdzie można było porozmawiać nie tylko w „pokojach" tematycznych, ale również prywatnie.

Zalogowałam się.

Justyna: Ile to jest „trochę"?

Siedział akurat przed komputerem, bo od razu odpisał.

Michał: Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Justyna: Zapomniałam, jak pachniesz, nie pamiętam twojego dotyku, zapomniałam już, co to seks.
Michał: Justyna…
Justyna: Michał, właściwie dlaczego ty nie chcesz wrócić? Co cię tam trzyma?
Michał: Zobowiązania. Wiesz przecież.
Justyna: Tutaj też masz zobowiązania. Masz mnie.
Michał: Justyna, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie.
Justyna: Michał, to nie jest normalne, ja tutaj, ty tam.
Michał: Zawsze możesz przyjechać.
Justyna: I co ja tam będę robić? Pracować na zmywaku, gnieżdżąc się w mieszkaniu z innymi Polakami, którzy szukają szczęścia? Ja mam tutaj dobrą pracę, mieszkanie, tylko brakuje mi miłości.
Michał: Może ci się znudziło czekanie?
Justyna: Tak, znudziło mi się! Masz rację! Bardzo mi się znudziło.
Michał: Rozumiem. Śpij spokojnie.

Uciął tę rozmowę i tej nocy już się do mnie nie odezwał. Ja dopiłam resztkę wina, po czym poszłam do łazienki i wszystko zwymiotowałam.

Tamten wieczór nie należał do najbardziej udanych. Zasnęłam i obudziłam się bardzo późno. Z nadzieją zerknęłam na telefon. Żadnych nieodebranych połączeń. Czarek nie dzwonił. Skrzynka mailowa również była pusta.

Poszłam do kuchni. Na stole leżały nie do końca pokrojone pomidory i zeschnięta mozzarella. Skrzywiłam się. Nalałam sobie wody z kranu do butelki po coca-coli, pomoczyłam ręcznik, który przyłożyłam do czoła i wróciłam do łóżka. Nad nim wisiało nasze zdjęcie. Z wakacji na Mazurach, gdy pływaliśmy jachtem, wtedy… wtedy kochaliśmy się po raz pierwszy. Nie wyszło, ale czułość Michała wynagrodziła nam wszystko.

Życie naprawdę przypominało huśtawkę. Raz fruwasz wysoko, wysoko, by zaraz potem z hukiem spaść na ziemię i mocno się

potłuc.

Z Czarkiem spotkałam się potem jeszcze tylko raz. Minęłam go w galerii handlowej. Stał z jakąś kobietą. Rozmawiali, a on z uśmiechem poprawiał jej niesfornie spadający kosmyk włosów. Chyba nie zwrócił na mnie uwagi. Nawet nie chciałam, by mnie zauważył. Bo co mielibyśmy sobie powiedzieć? Wiadomo co: on powiedziałby, że właśnie układa sobie życie, a ja? Ja pewnie uśmiechnęłabym się i stwierdziła, że u mnie bez zmian. Że czekam. Wciąż czekam.

Ileż, do cholery, można czekać? Całe życie?

ROZDZIAŁ III

Co mi, Panie, dasz, w ten niepewny czas?
Jakie słowa ukołyszą moją duszę, moją przyszłość, na tę resztę lat?

Bajm, „Co mi, Panie, dasz?”
Autor tekstu: Beata Kozidrak

1

„Ile można czekać? Całe życie?” – trudno zliczyć, ile razy Adela zadawała sobie to pytanie podczas tych wojennych lat.

Nikt nie spodziewał się, że wojna będzie tak długo trwała.

Lata, miesiące, dni oczekiwania aż to się wszystko skończy, oczekiwania na normalność, która tak bardzo jest potrzebna. Niezależnie od czasów, w których przyszło nam żyć.

2

1 września 1939 r.

Polskie Radio

Halo, halo. Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. O godzinie 5.40 oddziały niemieckie przekroczyły polską granicę, łamiąc pakt o nieagresji. Zbombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszą Państwo komunikat specjalny.

A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Wysiłek całego narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa.

Franciszka Schulza obudziło głośne stukanie do drzwi. Najwyraźniej jego rodzice też zerwali się z łóżka. To chyba matka, owinięta w podomkę, pierwsza otworzyła drzwi. U progu stał Joachim Schmidt, najlepszy przyjaciel Franka ze Szkoły Budowy Maszyn. Młody, zawsze tryskający humorem Niemiec. Tym razem nie miał jednak zadowolonej miny.

– O tej porze? – jęknął Franek, ziewając.

Ojciec spojrzał na syna karcąco. Panu Alojzemu wystarczyło jedno spojrzenie na Joachima, by połączyć ze sobą wszystkie

fakty. Niepewność polityczną i bardzo wczesną wizytę młodego przyjaciela syna.

– Zaczęło się? – zapytał cicho ojciec Franciszka.

Joachim pokiwał głową.

– Niemcy napadli na Polskę – wyszeptał. – Złamali pakt o nieagresji. Niemieckie bombowce ruszyły.

– Boże, gdzie? – Mama Franciszka złapała się za serce.

– Wieluń, przy granicy niemieckiej, i Westerplatte. Nie wiem dokładnie, co się tam dzieje.

– Zaatakowaliście nas! – Franciszek rzucił się z pięściami na przyjaciela. – Jak mogliście?!

Walił na oślep i gdyby nie Alojzy, który stanął między nimi, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

– Ja nikogo nie zaatakowałem. To nie jest moja wojna! – krzyknął Joachim, trzymając się za szczękę. – Nie chcę jej tak samo, jak wszyscy normalni ludzie. To wojna Hitlera i jego świty o jakieś tylko jemu znane idee. Opanuj się, Franek!

– Jesteś przecież Niemcem, jak Hitler[1]! – wykrzyknął Franciszek.

– Uspokój się – powiedziała matka, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Uspokójcie się obaj, a ja idę zrobić wam śniadanie.

– Mamo… – Franek spojrzał na nią z wyrzutem. – Śniadanie?

Nie do pomyślenia wydawało mu się, że matka w tej chwili myśli o jedzeniu, że w ogóle może myśleć o czymkolwiek innym niż wojna, Hitler, bombardowanie i przyszłość.

Po chwili ponownie usłyszeli pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie. Jeszcze wczoraj wyznawali zasadę „Gość w dom, Bóg w dom”. Wszyscy przypuszczali, że wkrótce może się to zmienić i przez ich drzwi będą wchodzić nie tylko ci, którzy są tam mile widziani.

– Wojna – wysapał zdyszany Janek, wpadając do mieszkania. – Wiedziałem! Słyszeliście już?

Franek pokiwał głową. Janek zawiesił swój wzrok na Joachimie.

– Ty też będziesz się na mnie wyżywał? – spytał zaczepnie Niemiec. – Za moich rodaków? I za Hitlera? Też nie będziesz mi już chciał podać ręki? Od razu jestem wrogiem? Będziesz mnie bił?

– Przestań! – Janek machnął ręką. Odsunął krzesło od stołu i na nim usiadł, skrywając twarz w dłoniach.

Pani Stanisława przyniosła herbatę. Siedzieli w milczeniu i mieszali tę herbatę, chyba dla zabicia czasu albo dla zajęcia myśli czymkolwiek innym niż niepewna przyszłość.

– Szybko się skończy, prawda? – Milczenie przerwała w końcu mama Franciszka.

– To będzie długa wojna. – Joachim pokręcił głową. – Trzeba się modlić, by zostać przy życiu u jej kresu.

– Sama modlitwa nie wystarczy – stwierdził Franciszek. – Trzeba walczyć.

– Z kim będziesz walczyć, do cholery? Ze mną? – zdenerwował się Joachim.

– Z wrogiem!

– A wiesz chociaż, kto nim jest? Ja? Mój ojciec? Nasz profesor od muzyki czy niemieckiego? W tych czasach wrogiem może okazać się twój najlepszy przyjaciel!

Janek i Franek spojrzeli badawczo na Joachima.

– Nie mówiłem o sobie – westchnął.

W pokoju nastała niezręczna cisza.

– Jezu, co się z wami stało? Przecież mówiłem już, że to nie jest moja wojna!

– To ja może doleję herbatki – powiedziała pani Stanisława i wyszła do kuchni.

Po chwili wróciła z dzbankiem.

– To nie czas na kłótnie. Nie czas na walkę. – Ojciec Franka pokręcił głową. – Tym bardziej między przyjaciółmi.

– Według Hitlera i Mościckiego to właśnie ten czas. Wszyscy jesteśmy żołnierzami – upierał się Franciszek.

– To nie jest moja wojna… – powtarzał Joachim i z niedowierzaniem kręcił głową. – Ja chciałem normalnego życia. I, do cholery, nawet chciałem je spędzić z Rachelą! Normalnie! Rozumiecie?

Pani Schulz usiadła naprzeciwko młodego Niemca, popatrzyła na niego ze współczuciem i pogłaskała go po policzku. Wszyscy wiedzieli, jaki stosunek ma Hitler do Żydów. Rachela była pół-Żydówką.

– Ona nie jest Żydówką… – Joachim pokręcił głową, jakby czytał w myślach pani Schulz. – Jej mama jest, ale ojciec nie. Przecież znacie go. Profesor Goldblum uczył nas muzyki. On nie jest Żydem! Czy zawsze nazwisko przesądza wszystko?

W tamtym momencie właśnie do wszystkich dotarło, że nastaną ciężkie czasy. Ktoś, kto powinien być wrogiem, może okazać się przyjacielem, a najbliższa osoba, pozornie życzliwa, może wbić nóż w plecy, a przy tym uśmiechać się jak zawsze.

Joachim nie umiał się odnaleźć w tej sytuacji. On, Niemiec, jego ojciec, wysoko postawiony urzędnik państwowy, wyznawca i czciciel Hitlera. Jego najlepszymi przyjaciółmi byli Polacy, a ukochaną – pół-Żydówka.

Joachim od urodzenia mieszkał w Grudziądzu, przy ulicy Legionów, która od teraz miała nosić imię Adolfa Hitlera, sprawcy tego całego wojennego zamieszania. Jego rodzina miała piękne trzy pokoje w kamienicy z windą. Chyba jedyną taką w Grudziądzu. Widział oczyma wyobraźni, jak kiedyś do tych pokoi wprowadza Rachelę. Widział to! I widział, jak i ojciec, i matka aprobują jego związek. Niestety… Chyba będzie musiał

zweryfikować marzenia. Ale nie podda się. Tacy jak on nigdy się nie poddają.

Grudziądz, 2 września 1939 r.

Odezwa
Wzywa się wszystkich obywateli miasta Grudziądza i okolicy, by zgłaszali się do Ochotniczej Straży Obywatelskiej w celu utrzymania ładu i porządku w mieście w razie potrzeby.
Zgłoszenia przyjmuje się natychmiast w ratuszu, pokój 7.
Grudziądz, dnia 2 września 1939 r.
Prezydent Miasta Grudziądza, Komendant Ochotniczej Straży Obywatelskiej

– Idziemy – powiedział Franciszek. – Nie można tak siedzieć bezczynnie. To grzech.

Janek pokręcił głową.

– Co to były za piękne czasy, gdy bezczynnie i beztrosko mogliśmy leżeć na trawie – westchnął.

– One wrócą. Już niedługo. Ale teraz trzeba opanować ten bałagan, który się porobił. I to jak najszybciej.

Mężczyźni udali się do ratusza, by zgłosić swoją chęć do pomocy. Pełni ideałów i wiary w to, że mogą wszystko. Nawet szybko pokonać wroga.

Grudziądz, wrzesień 1939 r.

Wrześniowe dni mijały. W Grudziądzu można było spotkać coraz więcej żołnierzy Wehrmachtu, ulicami jeździły potężne niemieckie

czołgi. Powoli już chyba nawet wszyscy przyzwyczajali się do tego widoku.

Adela pracowała w księgarni Arnolda Kriedtego przy ulicy Mickiewicza, która zaraz po wejściu Niemców do Grudziądza została przemianowana na Pohlmann Strasse. Szła do pracy, jak co dzień, starając się odnaleźć w tych innych, zupełnie nowych dla niej czasach. Niekiedy wyjście z domu było jedyną możliwością uzyskania najświeższych informacji o bieżącej sytuacji. Szczególnie jeżeli pracowało się u Niemców.

Wracając do domu, starała się robić zakupy. Jej rodzice mieli niewielkie oszczędności – ojciec schował w domu kilka tysięcy złotych, które potem wymienił na marki niemieckie. Matka bała się, że jeżeli Niemcy wprowadzą kartki żywnościowe, to ich, Polaków, one nie obejmą, i uważała, że trzeba jak najszybciej powiększyć zapasy. Na początku Adela kupowała wszystko w polskich sklepach, głównie z poczucia patriotyzmu, jednak w krótkim czasie wszystkie interesy zostały przejęte przez Niemców. Nie miała zatem wyboru, kupowała tam, gdzie jeszcze mogła dostać cokolwiek. Gdy tak codziennie szła po mieście, była coraz bardziej przerażona. Na ulicach ludzie przystawali na widok niemieckich żołnierzy pozdrawiających się na chwałę Hitlerowi, gestem, który od tej pory miała tak często oglądać. Nie mogła na to patrzeć. Starała się iść przed siebie, nie widząc nic wokół. I robić swoje. Teraz przedwojenne marzenia, by być szczęśliwą, zamieniły się w pragnienie, by po prostu przeżyć.

Praca w księgarni? Kto w czasie wojny kupuje książki? I jakie książki? Wszystkie polskie pozycje zostały schowane albo zniszczone. Na wystawach właściciel pokazywał tylko niemiecką literaturę. Z dnia na dzień Grudziądz zmieniał się w zupełnie inne, obce jej miasto. Miasto, w którym strach było chodzić po ulicach, miasto, w którym odgłos jadących samochodów wzbudzał

niepokój, a odgłos szybkich kroków za tobą oznaczał jedynie, że trzeba podjąć decyzję, czy się chować w bramie, czy uciekać.

Adela w pracy słuchała niemieckiego radia. Coraz bardziej nienawidziła tego świata i wojny. Prasa i radio przekazywały propagandowe informacje o „krwawej niedzieli" w Bydgoszczy. Według tych informacji Polacy mieli zamordować w Bydgoszczy sześćdziesiąt tysięcy Niemców. Gdy przyszła do pracy, właściciel księgarni wskazał jej artykuł na pierwszej stronie „Der Danziger Vorposten".

– Widzisz? – powiedział. – Co nam zrobiliście?

– Chyba pan w to nie wierzy, panie Kriedte! – zaprotestowała Adela. – To niemiecka propaganda! Tylko po to, by uderzyć w nas, Polaków!

Mężczyzna nic nie odpowiedział.

Adela nie myliła się. Miasto aż huczało od doniesień o masowych egzekucjach Polaków dokonywanych przez niemieckich żołnierzy, członków Gestapo i cywilów należących do Selbstschutzu. Oczywiście według Niemców były to wyłącznie akcje odwetowe za *Bromberger Blutsonntag*.

Czwartego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Grudziądz został zajęty przez żołnierzy Wehrmachtu. Za nimi do miasta wkroczyły specjalne oddziały niemieckiej policji bezpieczeństwa, zwanej Einsatzgruppen. Jej zadaniem było zwalczanie wszystkich wrogów Rzeszy, a zwłaszcza osób szczególnie zasłużonych dla Polski, jak nauczyciele czy duchowni. Jednym z najważniejszych funkcjonariuszy niemieckiej

policji w Grudziądzu został Reiner Schmidt, ojciec Joachima. W obawie, że syn zostanie wysłany na front, ojciec załatwił mu posadę w policji.

– Czy ktoś mnie w ogóle pytał, czy ja chcę wkładać ten mundur? – denerwował się Joachim. – Nie jestem kolejnym służalczykiem Hitlera!

– Teraz nastały czasy, że nikt nas nie będzie o nic pytał. Musimy ufać Bogu i intuicji – mówił spokojnie pan Reiner.

– I Hitlerowi? – zapytał sarkastycznie Joachim.

– I Hitlerowi – potwierdził ojciec, podnosząc wysoko głowę.

– Tato, ty chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz! – Joachim pokręcił głową.

– Lepiej żyć w zgodzie ze zwycięzcami niż z przegranymi. Powiedz to swoim przyjaciołom, dopóki jeszcze nie jest za późno.

Joachim Schmidt nienawidził wojny i nienawidził swojego munduru. Najbardziej z tego względu, że mundur ten stwarzał dystans i oddalał go od jego przyjaciół. A szczególnie od Racheli.

– Ona nie jest dla ciebie! – powtarzał ojciec. – Musisz to wreszcie zrozumieć, bo w tych czasach nie można się zadawać z Żydami.

Joachim stał i wpatrywał się w czubki swoich wojskowych butów. Bał się, że za dużo powie i będzie tego żałował. Nie chciał, by wojna pomiędzy narodami rzutowała na wojny na gruncie domowym. Niestety było to nieuniknione. Spojrzał na ojca ze złością.

– Mówiąc o tym, że masz powiedzieć przyjaciołom, z kim mają trzymać, nie miałem na myśli tej Żydówki – dodał ojciec.

– Ona nie jest Żydówką! – Joachim zacisnął pięści.

– Wystarczy na nią popatrzeć. Ten nos, włosy, oczy… Niełatwe teraz czasy dla Żydów – powiedział cicho. – I dla tych, którzy się z nimi zadają.

Joachim spojrzał na niego z nienawiścią. Odwrócił się i zniknął za drzwiami.

– Joachimie! Wracaj! – Usłyszał wołanie ojca. – Mundur zobowiązuje!

Nie chciał tego robić, ale wrócił. W milczeniu słuchał ojca i jego wizji świata na najbliższe dni.

[1] Hitler urodził się w Austrii, ale 7 kwietnia 1925 r. zrzekł się austriackiego obywatelstwa, a dopiero 26 lutego 1932 r. uzyskał niemieckie.

3

Kierownicze warstwy ludności w Polsce winny być w miarę możliwości unieszkodliwione. […] Ludzi należy rozstrzeliwać lub wieszać natychmiast, bez dochodzeń. Szlachta, duchowieństwo i Żydzi muszą być zlikwidowani.

Reinhard Heydrich, szef Policji Bezpieczeństwa Rzeszy,
7 września 1939 r.

Joachim wraz z grupką mężczyzn w mundurach niemieckiej policji w kolejnych dniach dokonywał rewizji w różnych budynkach państwowych. Przeszukiwali urzędy straży granicznej, komisariaty graniczne. Kolejnego dnia zjawili się w Związku Strzeleckim, by zarekwirować broń.

– Joachim, poszukaj, czy jest tutaj jakaś kartoteka członków związku – rozkazał dowódca. – Może nam się do czegoś przydać.

Joachim wiedział, że jednym z członków związku był Hipolit Kotliński, ojciec Adeli. Szybko pobiegł do odpowiedniego pomieszczenia i zaczął grzebać w papierach. Jest! Kartoteka z fotografiami członków związku. Strona czterdziesta – Hipolit Kotliński. Szybko wyrwał tę kartkę, a potem jeszcze kilka innych na chybił trafił, by brakująca strona nie wzbudziła podejrzeń. Czasem i w czasie wojny uśmiechnęło się do kogoś szczęście. Osoby, których fotografie zostały schowane za pazuchę, były bezpieczne. Przynajmniej w tym momencie. Joachim uśmiechnął się do siebie. Już wiedział, dlaczego musiał przywdziać ten

mundur. Będzie walczył w czasie tej wojny. Nie będzie walczył z Hitlerem, nie będzie też walczył z Polakami. Będzie walczył o pokój. I o to, by jak najwięcej osób dotrwało do momentu, gdy ta cholerna wojna się zakończy.

Zaraz potem udał się na Gosslerstrasse. Z łatwością przyzwyczaił się do nowych nazw ulic. Rachela zawsze go poprawiała, że to nie żadna Gosslerstrasse, tylko Staszica. Mieszkała przy tej ulicy, w dużej kamienicy z czerwonej cegły. Joachim wszedł do środka i zapukał do drzwi.

– Dzień dobry – przywitał się, widząc Sarę, matkę Racheli.

– To chyba nie jest dobry dzień. – Kobieta pokręciła głową i westchnęła. – Chociaż może każdy dzień, który teraz uda nam się przeżyć, jest godny tego miana. – Zmierzyła wzrokiem jego niemiecki mundur. – Wejdź.

– Przyszedłem do Racheli. Zastałem ją?

– Tak, jest w domu. Gdzie miałaby wychodzić? Jeszcze chcesz się z nią spotykać? – Zmrużyła oczy. – Mimo tego, że jej matka jest Żydówką?

Joachim nic nie odpowiedział. Wszedł do pokoju, rozglądając się niepewnie. Pani Goldblum szła tuż za nim.

– Siadaj. Rachela zaraz przyjdzie.

Wpatrywała się w niego bardzo uważnie. Jakby chciała wyczytać z jego twarzy to, co jest skryte w jego myślach.

– Proszę pani, ja… ja ją kocham. – Joachim usiadł w fotelu i schował twarz w swoich dłoniach.

– To chyba nie jest dobra wiadomość – westchnęła matka Racheli.

– Od kiedy miłość nie jest dobrą wiadomością? – zdziwił się Joachim.

– Od kiedy? – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Od kilku dni. Szczególnie niedobre wieści to miłość Niemca do Żydówki. Albo Żydówki do Niemca. To jest jeszcze gorsze.

– A w czym Niemiec jest gorszy?

– Nie Niemiec, Joachimie, nie Niemiec. W tych czasach to my jesteśmy najgorsi… – powiedziała smutno. – Widziałeś te plakaty?

– Jakie?

– W całym mieście wiszą. – Pani Goldblum wskazała głową na okno. – Mamy się zgłosić do siedziby Einsatzgruppe V. Urządzili ją w szkole, przy Młyńskiej dziewiętnaście.

– Nigdzie nie idźcie! – krzyknął Joachim.

– Tak też myślałam… – wyszeptała Sara. – Ci, co tam poszli, już nie wrócili… I już nie wrócą, prawda?

Joachim złapał kobietę za ręce.

– Pani Saro… Proszę o tym nie myśleć – powiedział powoli, ale stanowczo. – Pomogę wam we wszystkim. Jeżeli tylko będziecie czegoś potrzebować, załatwię to. Ale myślę, że ze względu na profesora Goldbluma nie będzie to potrzebne. Przecież uczył mnie muzyki, to on pokazał mi Wagnera, Beethovena, Bacha. On nauczył mnie kochać Niemcy za to, jakimi były! Przecież nie mogą zrobić krzywdy takiemu człowiekowi i jego rodzinie!

– W czasie wojny nie są brane pod uwagę żadne względy. – Sara pokręciła głową, patrząc w jakiś nieokreślony punkt przed siebie. – Ludzie przestają być ludźmi, a stają się potworami. Ciężki czas dla nas nastał, Joachimie. Chyba nie powinieneś się tutaj pojawiać. Dla swojego dobra… My jesteśmy już przegrani, ale ty jeszcze możesz być zwycięzcą. Mało to ładnych Niemek w okolicy? Albo choćby Polek, które w łatwy sposób dałyby się zniemczyć? Będzie ci łatwiej w życiu…

– Mamo! – W drzwiach do salonu stanęła Rachela. – O czym ty mówisz?

Podeszła do Joachima. Ten wstał z fotela.

– O życiu, dziecko, o życiu… Nie mieszaj mu w głowie, zanim będzie za późno.

– Już jest za późno – stwierdził Joachim. – Rachela, zostaniesz moją żoną? – zapytał nagle.

Ukląkł przed dziewczyną i spoglądał na nią pytająco.

– Joachim! – krzyknęła pani Goldblum. – Ja się na to nie zgadzam! – Wzburzona wstała z krzesła. – To nie czas, by zakładać teraz rodzinę.

– Mamo, a po wojnie? – zapytała drżącym głosem. – A po wojnie, jak przeżyjemy?

– Dziecko drogie… – Matka spojrzała na córkę ze współczuciem. – Jak przetrwacie, macie moje błogosławieństwo… O ile przetrwacie… – Ukradkiem otarła łzy. Nie bardzo wierzyła w to, że ktokolwiek z nich tę wojnę przeżyje.

Joachim wstał i chciał coś powiedzieć, ale pani Goldblum uciszyła go gestem ręki.

– Nacieszcie się sobą. To dla was ważny dzień. Będę się modlić, byście długo po wojnie go pamiętali i byście opowiadali o nim dzieciom i wnukom. – Zamyśliła się. – Ja na chwilę wychodzę, może uda mi się kupić coś do zjedzenia. Coraz z tym trudniej, a będzie jeszcze gorzej… – Włożyła sweter i wyszła z domu.

Rachela odprowadziła ją wzrokiem.

– Czasem boję się, że wyjdzie z domu i już nie wróci… Zobacz, jak wszystko się zmieniło. Ojciec mówił, że będzie wojna, ale nikt z nas w to nie wierzył. – Westchnęła. – Albo nie chciał wierzyć. Chociaż mama kazała robić zapasy. Piekłyśmy chleb i mamy pochowane suchary. Ale co nam to da, skoro nie wiemy, czy za chwilę nam ich ktoś nie zabierze? Albo nas wywiozą gdzieś w świat i zostaną tu po nas tylko te suchary, nikomu nieprzydatne.

– Kochanie… – Odgarnął Racheli włosy z czoła. – Zrobię wszystko, by było dobrze. Ta wojna nie będzie trwała wiecznie.

– Na to nie masz wpływu. – Pokręciła głową. – Mamy wpływ tylko na to, co się dzieje teraz. W tej minucie. Nie wiemy, co będzie za chwilę. Nawet za kilka sekund.

– Ale możemy zadecydować o tym, co jest teraz – powiedział cicho Joachim. – Nie odpowiedziałaś mi na pytanie…

– Joachim!

– Kocham cię, Rachelo. Wyjdziesz za mnie? – Jeszcze raz ukląkł przed nią. – Muszę to wiedzieć teraz.

Rachela przytuliła jego głowę do siebie.

– Tak. Jeżeli tylko przetrwamy, to tak – powiedziała, całując go w czoło.

Joachim wyciągnął z kieszeni pudełeczko. W środku był złoty pierścionek z rubinem.

– Należał do mojej babci. Kiedyś mi go dała i powiedziała, że mam go ofiarować tej najważniejszej dla mnie kobiecie. Ty jesteś najważniejsza.

– Nie mogę go przyjąć…

– Zatrzymaj go. Może schowaj go gdzieś głęboko. Jak będziesz musiała, to go sprzedasz. Pieniądze w tych czasach mogą wiele. Biżuteria również.

Rachela założyła pierścionek na smukły palec.

– Pasuje. – Uśmiechnęła się, oglądając swoją dłoń. – Szkoda, że nie mogę się nim teraz odpowiednio nacieszyć.

Objęła Joachima i stali przytuleni przez dłuższą chwilę. Oboje chcieli tak trwać do końca świata.

– Kocham cię. Chyba od zawsze. – Joachim chciał powiedzieć jak najwięcej, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Wydawało mu się, że każda chwila jest zbyt krótka, by wyznać, co czuje, opowiedzieć o tym, jak będzie dbał o ukochaną. Zbyt mało czasu, by podzielić się marzeniami, tak niepewnymi

planami, które snuł codziennie z myślą o niej. O nich. Pocałował ją jeszcze raz. Oboje mieli wrażenie, że świat na chwilę się zatrzymał i żadne słowa już nie są potrzebne.

– Nie lubię tego twojego niemieckiego munduru – wyszeptała, rozpinając jego guziki.

– Kochanie? – Spojrzał pytająco.

– Mamy dwie godziny. Dwie godziny, które będziemy pamiętać całe życie – powiedziała dziewczyna, obejmując go. – Nie wiem, co przyniesie jutro, więc chcę cię zapamiętać, poczuć cię całego i choć przez chwilę tobą oddychać. Nawet jeżeli już nigdy więcej mielibyśmy się nie spotkać.

– Nie mów tak. – Joachim pokręcił głową. – Nie mogę myśleć teraz o niczym innym, jak o tym, że przez kolejne dwie godziny będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Kochali się ten pierwszy raz na wąskim tapczanie stojącym w wielkiej kuchni. Uczyli się swoich ciał, zaskakiwali swoimi reakcjami. Oboje każdym gestem chcieli okazać sobie uczucia. Udowodnić, że świat jeszcze się nie skończył, i zapamiętać jak najwięcej. Jednak mieli nadzieję, że dobry los pozwoli im jeszcze na niejedną wędrówkę w świat przeznaczony tylko dla tych, którzy kochają i są kochani.

Wtedy nie myśleli o tym, że los może szykować dla nich wiele smutnych niespodzianek. Nie brali pod uwagę tego, że w życiu nie zawsze są szczęśliwe zakończenia. Żyli chwilą, którą każde z nich zapamiętało do końca swoich dni.

W tym czasie, kiedy Rachela i Joachim po raz pierwszy byli tak naprawdę razem, na grudziądzkim rynku Niemcy zniszczyli Pomnik Niepodległości oraz doszło do zatrzymania kilkunastu osób, głównie przedstawicieli miejscowej inteligencji.

Takie jest życie – pełne sprzeczności. Śmiech i płacz. Wielka radość i ogromna rozpacz.

4

Sabina Neumann z zazdrością patrzyła na Joachima, który właśnie wychodził z domu Racheli. Podobno w życiu nie ma przypadków, więc co sprawiło, że dokładnie o tej porze stała po drugiej stronie ulicy? Przecież to niesprawiedliwe, że ta Żydówka tak zawładnęła jego sercem!

Sabina, Rachela i Adela chodziły do tej samej szkoły, Szkoły Zawodowej i Gospodarczej przy ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, czyli obecnej Trinkenstrasse. Mieszkały również niedaleko siebie i nawet przez pewien czas wydawało się, że się zaprzyjaźnią, ale coś nie wyszło. Nie chodziło nawet o to, że Sabina żywiła jakąś specjalną niechęć wobec Żydów. W zasadzie nie zależało jej zupełnie na innych, bez względu na ich pochodzenie. Dbała tylko o siebie i ludzie byli jej potrzebni tylko do tego, by zaspokajać jej zachcianki. Zawsze osiągała to, co sobie zaplanowała i dlatego też zupełnie nie mogła pogodzić się z tym, że Joachim, który spodobał jej się od pierwszego spotkania, robił maślane oczy do tej małej Żydóweczki.

Joachima poznała, gdy Szkoła Budowy Maszyn zaprosiła dziewczyny ze Szkoły Zawodowej i Gospodarczej na bal. Było to wielkie coroczne wydarzenie. Każda z nich stroiła się cały dzień, by zabłysnąć. Sabina wiedziała, że od tego balu mogło wiele zależeć. Na przykład jej przyszłość, bo przecież jest różnica, czy wyjdzie się za mąż dobrze, czy źle. Wszyscy wiedzieli, że do Szkoły Budowy Maszyn nie chodził byle kto, jednak matka zwróciła jej

uwagę na niepewne czasy i obie ustaliły, że lepszy będzie Niemiec niż Polak. A już absolutnie żaden Żyd. W to, że uda się jej omotać każdego, kogo omotać będzie chciała, i to już pierwszego wieczora, obie nie wątpiły. Jej bujne kształty, wąska talia i długie blond loki zawsze zwracały uwagę mężczyzn. A Sabina chętnie to wykorzystywała. Jaka matka, taka córka. Ojciec, bogaty przedsiębiorca, sympatyzujący zawsze z tymi, którzy akurat byli u władzy, niezbyt wiele miał do gadania. Przynosił pieniądze, dawał względne poczucie bezpieczeństwa w tych trudnych czasach, do niczego więcej nie był potrzebny.

Niestety z planów pań Neumann nic nie wyszło. Joachim zainteresował się Rachelą, a Franciszek Adelą. Został jeszcze Janek, ale kimże on był? Synem nie wiadomo kogo, urodzonym we wsi pod Grudziądzem. Mieszkał gdzieś nad piekarnią, w wynajmowanym pokoju, bo jego matka uparła się, by się kształcił. Zresztą on też robił maślane oczy do wybranki Franciszka. Co oni w niej widzieli?

Sabina jednak nie traciła nadziei. Wiedziała, że sytuacja Żydów jest więcej niż niepewna, i zdawała sobie sprawę, że w tym przypadku bardzo łatwo będzie pozbyć się rywalki. Jednak gdy zobaczyła Joachima, który wychodził od Racheli i uśmiechał się do całego świata, zastanawiała się, czy nie jest już za późno. Chociaż w sumie… na co za późno? To, że się kochali ten jeden raz, nic przecież nie zmieniało. Niejeden mężczyzna musi sobie poszaleć przed ślubem. Zresztą kobieta też…

Oczywiście zazdrość powodowała ucisk w żołądku, jednak Sabina postanowiła być cierpliwa. Nie będzie pokazywać pannie Goldblum, kto teraz ma władzę. Pokaże jej tylko to, że Żydzi, a w szczególności Rachela, tej władzy nie mają. Postanowiła też nie zaczepiać Joachima. Nie teraz. Nie miała ochoty oglądać jego nieprzytomnych z miłości oczu i wyobrażać sobie ust całujących ciało innej kobiety. Natomiast miała ogromną ochotę popsuć

Racheli ten dzień. Marzyła o tym, by teraz powiedzieć jej coś strasznego. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu inspiracji. W tych czasach nietrudno było o przyniesienie złej nowiny. Na słupie wisiała ulotka nawołująca do przeciwstawienia się Niemcom. Sabina podeszła do niej i zerwała ją. Może jeszcze Rachela nie wie o masowych egzekucjach. To chyba dobry czas, by jej o tym opowiedzieć, ze szczegółami.

Sabina zwichrzyła nieco włosy, zrobiła zbolałą minę i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu Racheli.

– Dzień dobry, Sabinko, co ty tu robisz? – Usłyszała głos pani Goldblum.

– O Boże, jak się przestraszyłam! Teraz to przecież nie wiadomo, kto stoi za twoimi plecami – powiedziała szybko, machając ulotką. – Bo ja, proszę pani, idę właśnie do was! Zobaczyłam tę ulotkę i aż mi się słabo zrobiło!

– A co to za papier? – zapytała Sara.

– Nawoływanie, by być przeciwko Niemcom. Wie pani, jakie są konsekwencje? Zdarłam to ze słupa, by nikt się nie dowiedział, moglibyście być w niebezpieczeństwie!

– Jesteśmy cały czas w niebezpieczeństwie. – Pani Goldblum pokręciła głową. – Jest wojna.

– Teraz to nic! Rozstrzeliwują po kolei! Za niesubordynację! Szczególnie Żydów… – dodała cicho. – I ja chciałam o tym opowiedzieć Racheli, by uważała! – Mówiła teatralnym szeptem.

Sara Goldblum spojrzała na dziewczynę, która wyglądała, jakby była przede wszystkim żądna sensacyjnych wiadomości. Przypomniała sobie łagodne oczy swojej córki i ten ważny dla niej dzień i uznała, że takie wiadomości mogą jej tylko zepsuć tę radosną chwilę. Niech dziewczyna zazna na moment normalności, jak najdłużej się da. Choćby miało to być tylko kilka minut.

– Racheli nie ma teraz w domu – skłamała. – Nie będę cię zapraszać do środka, bo nie wiem, kiedy wróci, a ja mam dość

dużo pracy. – Nie patrzyła Sabinie w oczy.

– Ale… – Dziewczynie pociemniały oczy. Zrobiły się niemalże granatowe. Przez chwilę nawet miała ochotę wykrzyczeć, że pani Goldblum łże, że przecież widziała Joachima, jak wychodził od Racheli, ale to by zdradziło jej plan. – Aha… – powiedziała tylko. – To proszę jej koniecznie przekazać to, o czym mówiłam. I proszę nie wywieszać ulotek na słupach, bo to naprawdę może się dla was źle skończyć – stwierdziła, dumnie podnosząc głowę.

Sara Goldblum patrzyła za dziewczyną, gdy ta odchodziła. Coś jej się w niej nie podobało. Nie wiedziała tylko jeszcze co. Głośno weszła do domu, w razie gdyby Joachim jeszcze był u Racheli. Cóż, kiedyś też była młoda. Miała marzenia. Niektóre z nich się spełniły, a z tych najbardziej romantycznych wyrosła. Chciała, by jej córeczka jak najdłużej mogła jednak wierzyć w bajki i ona, Sara, nikomu nie pozwoli tego zmienić.

30 września 1939 r.

Ostatni komunikat Polskiego Radia: Halo, halo. Czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienia przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła! Niech żyje Polska!

– Trzeba wyrzucić radio – stwierdziła Helena Kotlińska, odsuwając się od maszyny do szycia – Jak Niemcy je u nas zobaczą, nie będzie dobrze.

– Chyba schować radio – poprawił ją mąż.

– Znajdą i nas zabiją. – Pani Helena wróciła do pracy.

– Mamo! – zdenerwowała się Adela.

– Takie czasy. Nigdy nie wiesz, czy ten Niemiec na nas nie doniesie. – Zaczęła poruszać nogami, by uruchomić mechanizm starego singera.

– Jaki Niemiec? Joachim? – Adela próbowała przekrzyczeć hałas, jaki wydawała maszyna. – Jesteśmy przyjaciółmi. Mamo, znasz go przecież od dawna!

– Różnie to z tymi przyjaźniami bywało.

– Mamo! Czy możesz na chwilę przestać szyć? Możemy porozmawiać?

– O czym tu rozmawiać, moje dziecko? – westchnęła Helena. – Nikogo nie można być pewnym w tych czasach.

– A ja myślę inaczej… Dzięki temu, że on tu przychodzi, jesteśmy bezpieczniejsi.

– Może i masz rację… I tak z nas wszystkich Niemców zrobią.

– Co to, to nie! – krzyknął pan Hipolit. – Niemcem nie będę i nie będę też Niemcom żadnego radia oddawał! Mamy piwnicę, znajdzie się miejsce pod ziemniakami.

– Ziemniaków będzie ubywać – westchnęła jego żona.

– Zanim ubędzie ziemniaków, mamo, to skończy się ta wojna. – Adela wzruszyła ramionami.

Matka pokręciła głową.

– Chciałabym mieć twoją wiarę… Może to dobrze, będziesz miała siłę walczyć. – Uśmiechnęła się smutno.

– Trzeba mieć nadzieję – stwierdziła Adela. – Jak ją stracimy, to już naprawdę nie będzie po co żyć.

Państwo Kotlińscy mieszkali przy ulicy Paderewskiego (po wybuchu wojny – Bothstrasse), w niewielkim schludnym domku,

otoczonym zwykle mnóstwem kwiatów. Matka Adeli miała do nich rękę. Sadziła je tak, że było pięknie niemalże przez cały rok.

Hipolit Kotliński, ojciec Adeli, był stolarzem. Jednym z lepszych i bardziej doświadczonych fachowców w mieście. Matka od zawsze szyła. Potrafiła wyczarować za pomocą maszyny dosłownie wszystko – pościel, wieczorową suknię z kawałka ładniejszej firanki czy ubranko dla niemowlaka. Może dlatego udawało im się przetrwać tę wojenną zawieruchę. Helena szyła dla Niemek wytworne stroje, przerabiała sukienki na zupełnie nowe kreacje i była niezastąpiona. Hipolit z kolei naprawiał meble i schody. Był typową złotą rączką i potrafił naprawić wszystko. Doceniali go i Niemcy, i Polacy. Dzięki temu zawsze było co włożyć do garnka. Czasem więcej, czasem mniej, ale nigdy nie chodzili głodni. Gdy mieli jakieś zapasy, dzielili się ze wszystkimi dookoła.

– Chcecie rosołu? – zapytała pewnego dnia Helena, gdy u Adeli siedzieli akurat jej przyjaciele: Franek, Jan, Rachela i Joachim. – Kurę dostałam od Weissów. Chudy będzie, bo dużo wody wlałam, ale pomyślałam, że zjecie z przyjemnością.

– Dawno nie jadłam rosołu. – Rachela rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w wielką wazę na stole.

– Kiedyś będziesz go gotować codziennie. Aż ci obrzydnie. – Joachim nalał Racheli pełen talerz.

Adela spojrzała na nich podejrzliwie.

– Czy ja o czymś nie wiem? – Uśmiechnęła się. – Czy my o czymś nie wiemy?

Franek i Jan nic z tego nie rozumieli.

– Nie mam pierścionka… Znaczy mam, ale jest za duży, za drogi, by go nosić teraz. Ale tak, Joachim mi się oświadczył.

– I nic nie mówicie?! To trzeba uczcić! – zawołała Adela.

– Czcimy przecież. – Rachela roześmiała się głośno. – Najlepszym rosołem pani Kotlińskiej.

– A zamierzacie się teraz pobrać? – zapytał poważnym tonem Franciszek.

– Nie. – Rachela pokręciła głową. – Po wojnie.

– Czyli już za chwilę – pogodnie stwierdziła pani Helena. – Adela twierdzi, że wojna się skończy, gdy zjemy wszystkie ziemniaki z piwnicy.

– To musimy je jeść bardzo szybko – parsknął Janek. – Gratulacje, kochani. Życzę wam szczęścia i długiego życia.

– I rosołu aż do znudzenia! – wykrzyknęła Adela.

– To zupełnie niemożliwe! – Rachela roześmiała się, po czym przytuliła się do niemieckiego munduru Joachima.

Nie spotkali się tamtego dnia tylko po to, by świętować zaręczyny. Joachim zasugerował, że jedynym rozwiązaniem, by móc zostać w Grudziądzu, a nie zostać wysłanym na front, jest praca w przemyśle, który był dla Niemców bardzo istotny.

– Mogę wam pomóc – zapewnił. – Pogadam z ojcem. Słyszałem, że jedynym wyjściem dla was, byście nie zostali wywiezieni na roboty do Niemiec, są znajomości. On je ma.

– Już z nim rozmawiasz? – zapytał Janek.

– Nie, ale w waszej sprawie pogadam – przyznał Joachim.

– Myślisz o czymś konkretnym? – Franek patrzył na przyjaciela badawczym wzrokiem.

– Herzfeld & Victorius albo w Unii, u Ventzkiego.

– Tam chyba jakieś wanny robią? – zdziwił się Franek.

– Nie myślicie chyba, że Niemcy w czasie wojny nadal będą w HV produkować wanny i piece? – Joachim pokręcił głową. – Na pewno niedługo zakłady będą podporządkowane potrzebom Wehrmachtu. Niemcy już nawet zmienili nazwę zakładu na Junker & Ruh Graudenz. Tak samo Unia – z pewnością produkcja

maszyn rolniczych zostanie ograniczona albo i w ogóle zastąpiona na rzecz zaopatrzenia dla wojska.

– Poradzimy sobie tam? – zapytał niepewnie Jan.

– Wy? – Uśmiechnął się. – Wy sobie wszędzie poradzicie. Spadacie zawsze na cztery łapy!

Janek i Franciszek dostali pracę u Ventzkiego. Codziennie dojeżdżali do pracy tramwajem. Gdyby zamknąć oczy i wsłuchać się w stukot kół o szyny, można by sobie wyobrazić, że nic się nie zmieniło od czasu, gdy jechali do kina Gryf, beztrosko zastanawiając się, jaki film za chwilę będą tam oglądać.

W tramwaju zwykli ludzie, toczący swoją własną wojnę. By przetrwać, by mieć co do garnka włożyć i by zasypiać wieczorem w swoim domu, w towarzystwie tych samych osób, z którymi spędziło się poranek.

– A ja nie będę czekał na koniec wojny – powiedział nagle Franciszek.

– Z czym? – zapytał Janek.

– Ze ślubem.

– Nie boisz się?

– Boję się – przytaknął Franciszek. – Bardzo się boję i dlatego właśnie nie chcę czekać.

– Nie za bardzo rozumiem… – Janek zmrużył oczy.

– Co byś zrobił, gdybyś dowiedział się, że jutro masz wyjechać na front? A pojutrze umrzesz? Jak byś się zachował, wiedząc, że to ostatni dzień twojego w miarę normalnego życia?

Janek spoważniał.

– Nie wiem, co bym zrobił. Ale masz rację. Wiem, co ty powinieneś zrobić. Ja bym do niej biegł, choćby teraz.

– Smutny taki wojenny ślub, prawda? – zapytał cicho Franciszek.

– Po wojnie wyprawicie wesele. Prawdziwe wesele – rozmarzył się Janek. – Takie na sto osób.

Franek się roześmiał.

– Mnie na tym nie zależy, ale Adela pewnie by chciała. – Po chwili spojrzał na Janka. – Będziesz naszym świadkiem?

– Jasne. – Uśmiechnął się.

– I jeszcze jedno… Czy jakbym zginął na wojnie, zaopiekujesz się nią? Tak naprawdę? Postarasz się, by była szczęśliwa?

– Franek, co ty?! – Janek najwyraźniej nie chciał tego słuchać. – Będziemy się wszyscy bawić na waszym weselu. I Joachim z Rachelą, i ja. Nie mogę się doczekać. Wódka się będzie lała strumieniami. Albo piwo. Kupimy sobie sto butelek piwa z Browaru Kuntersztyn!

– Tylko potem rano nie wstaniemy.

– A kto by chciał wstawać? Będziemy balować kilka dni.

– Ale teraz poważnie, przyjacielu. Zaopiekujesz się nią, gdyby cokolwiek mi się stało?

5

Przyszłość była tak niepewna… Franciszek to wiedział. Nie miał brylantów, nie miał rodowych rubinów, jak Joachim. A może i miał, ale jego rodzice nie byli przychylni temu, że on chce się żenić.

– To nie czas, by kobiety były ci w głowie, synu! – krzyczał ojciec. – Nie dość, że wojna, to jeszcze za młody jesteś do żeniaczki!

– Cicho, Alojzy! – zganiła go matka.

– Co cicho? Uczyć się ma chłopak, maturę robić, na studia iść.

– Gdzie on teraz maturę zrobi, a tym bardziej na studia pójdzie? – Pani Stanisława skrzywiła się. – Wojna wszędzie.

– Może się zaraz skończy. – Pan Alojzy rozłożył ręce. – A on będzie z żoneczką wtedy baraszkował. Mało to dziewczyn? Baraszkuj sobie z wieloma, ale to nie czas na żeniaczkę!

– Alojzy! – Matka wydawała się oburzona.

– Nie mam racji? Chłopak dwadzieścia lat ma i już chce się żenić. Nie daj Boże dzieci będą jakieś z tego zaraz. I jak ty w tę wojnę kolejne gęby wyżywisz? Jak ledwo nam wystarcza? To nieodpowiedzialne!

Ojca nie dało się przekonać. Franciszek wiedział, że nie może liczyć na wsparcie rodziny. A bliscy Adeli? Miał nadzieję, że pokochają go jak syna. To było takie smutne, że w tych trudnych wojennych czasach człowiek nie otrzymywał wsparcia od najbliższych w najważniejszych dla niego sprawach.

Franek postanowił natychmiast iść do Adeli. Powinna jeszcze być w księgarni. Wysiadł z tramwaju i udał się w stronę Pohlmann Strasse. Ale przecież jak się oświadczać z pustymi rękami? Nie miał biżuterii, a nawet kwiatów. Ze spuszczoną głową szedł ulicą, zastanawiając się, czy może warto jednak poczekać, aż ta wojna się skończy. Tylko co wtedy… jak nie dotrwają do jej końca?

Minął sklep z napisem na drzwiach: „Lombard H. Kirsch". Zatrzymał się na chwilę. Może tam znajdzie coś, na co go stać? Ale czy to jest sens przeznaczać wszystkie swoje pieniądze na coś, co będzie jedynie wyrzutem sumienia, że tyle pieniędzy się wydało?

– Czegoś konkretnego pan szuka? – Usłyszał głos zza lady.

– Nie wiem. Czegoś, by o mnie pamiętała.

– Biżuteria? – Mężczyzna wskazał na witrynę pełną naszyjników.

– To chyba nie czas, by kupować biżuterię. – Franciszek pokręcił głową.

– Są tacy, co kupują, ale są też tacy, co sprzedają.

Franek rozglądał się przez chwilę i dojrzał na jednej z półek dwie porcelanowe filiżanki, ozdobione delikatnym motywem niezapominajek. Cena była przystępna. Na pewno niższa niż pierścionka z niebieskim oczkiem, który leżał tuż obok.

– Poproszę te filiżanki – powiedział.

– Z niezapominajkami. – Sprzedawca uśmiechnął się promiennie. – Przyniosła je tutaj taka starsza pani. Powiedziała, że przynoszą szczęście. Jej podobno przyniosły. Sprzedała je, a potem poszła karmić gołębie. Beztrosko, wie pan? Jak gdyby nigdy nic… Jak gdyby wojny nie było. Chociaż w czasie wojny gołębie, tak jak ludzie, walczą o każdy okruch. – Zamyślił się. – Ta staruszka mówiła, że nie ma się czego obawiać, że nie potrzebuje już dwóch filiżanek, bo jest całkiem sama. Ale

wierzyła, że kogoś jeszcze uszczęśliwią. Policzę panu mniej za nie – oznajmił, pakując porcelanę w gazetę.

– Dziękuję. Dam je mojej przyszłej żonie. I wierzę, że co rano będziemy pili z nich herbatę. Przez całe nasze długie życie. Naprawdę w to wierzę…

Franciszek z małym pakunkiem obwiązanym sznurkiem ruszył w stronę księgarni. Adela już wychodziła do domu.

– Nie spodziewałam się, że przyjdziesz. – Uśmiechnęła się. – Co tam masz?

– Prezent. – Rozpromienił się Franek.

– Prezent? – zdziwiła się dziewczyna. – Dla mnie?

– Tak. I chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

– Tak?

Franciszek drżącymi rękami rozwijał gazetę i po chwili wyciągnął dwie jednakowe filiżanki.

– Ja bym chciał z tobą co rano pić z nich herbatę. A potem kawę. Chciałbym z tobą spędzić resztę życia. I mam nadzieję, że to nasze życie będzie jak najdłuższe i wiele będzie tych kaw i herbat.

– Franek… – Adela przytuliła się do chłopaka.

– Kochanie, zostaniesz moją żoną? Nawet w ten trudny czas? Przetrwamy tę wojnę razem?

– Tak – zgodziła się z uśmiechem.

– Zwariowałaś do cna! – denerwowała się matka. – Ja nie wiem, co powie ojciec, jak z piwnicy wróci!

Ojciec jak zawsze próbował się czegoś dowiedzieć, wsłuchując się w trzeszczące radio. Z różnym skutkiem mu to wychodziło, ale

czasem się udawało złapać jakieś strzępki rozmów czy niewyraźny dźwięk nadawanych wiadomości. Nasłuchiwał audycji BBC oraz stacji francuskojęzycznych i wszystko starał się zapamiętywać. Potem chował to radio głęboko pod ziemniakami, których to dość szybko ubywało. Za słuchanie radia w tych wojennych czasach groziła nawet kara śmierci, więc musiał się z tym kryć.

– Mamo, a ile ty lat miałaś, gdy za mąż wychodziłaś? – zagadnęła Adela.

– To były zupełnie inne czasy… – westchnęła.

– Też była wojna.

– Jeszcze nie.

– To znaczy, że gdybyśmy się zdecydowali rok wcześniej, pochwalałabyś naszą decyzję?

– Wtedy bylibyście stanowczo za młodzi. – Matka przecząco pokręciła głową. – Adelko, to naprawdę nie czas na zakładanie rodziny.

– A jeżeli jej nigdy nie założę? Bo nie dożyję jutra?

– Nawet tak nie mów! – obruszyła się pani Kotlińska. – Wojna się niedługo skończy. Nie wierzę w tę euforię Niemców.

– Ja już chyba przestałam w to wierzyć – westchnęła Adela.

6

22 października 1939 r.

Powoli wszyscy tracili nadzieję na szybkie zakończenie wojny. Fabryka Ventzkiego, w której pracowali Jan i Franciszek, zmieniła profil produkcji, przestawiając się z maszyn rolniczych na części do łodzi podwodnych, pociski do dział przeciwlotniczych oraz łuski do amunicji.

– Czasem mam ochotę tam coś popsuć – powiedział Janek, gdy wracali, jak co dzień, tramwajem do domu. – Tak, by im ta cała produkcja nie wyszła.

– To dobry pomysł, ale na małą skalę nie ma sensu. Musimy pomyśleć o czymś większym.

– Teraz będzie tylko gorzej, skoro Grudziądz wcielono do Rzeszy.

– Słyszałeś, co w ubiegłym tygodniu mówił Forster na wiecu dla folksdojczów? – zapytał Franciszek.

– Nie chodzę na wiece dla folksdojczów – oburzył się Janek.

– Ja też nie, ale chłopaki opowiadali w fabryce. Mówił, że Okręg Gdańsk-Prusy Zachodnie ma w krótkim czasie stać się stuprocentowo niemiecki, a Polacy nie mają tu czego szukać i powinni zostać stąd wszyscy wyrzuceni. I zdziwił się, że na ulicach miasta nie widać jeszcze polskiej krwi, mimo że popełniono tu tyle morderstw na Niemcach. W niedzielę zatrzymywano wychodzących z kościoła Polaków. Nasz kościół

oszczędzono, ale do tego w mieście bojówkarze wtargnęli jeszcze w trakcie nabożeństwa.

– Będzie jeszcze trudniej… – westchnął Janek.

– Być może, ale Niemcy się chyba zaczynają bać, że jest ich za mało – z satysfakcją stwierdził Franek. – Hitler się przeliczył.

– Dlaczego tak myślisz?

– W ubiegłym tygodniu przyszli z ankietą. Z gminy. Spis ludności robią.

– Do mnie też.

– Wypełniasz? – zapytał Franciszek. – Mój ojciec powiedział, że nie będzie wypełniał żadnych ankiet dla Niemców. Ja sam nie wiem, co robić.

– Podobno trzeba. Inaczej może się to źle skończyć. Dla całej rodziny.

– Po co im to? Jak myślisz?

– Mówiłem ci już, za mało ludzi mają. Boją się, że mogą przegrać wojnę.

– I co, ze wszystkich chcą zrobić Niemców? Nawet z tych, którzy czują się Polakami? – nie dowierzał Franek.

– Na to wygląda… Z nas na pewno.

– A dlaczego niby my jesteśmy bardziej Niemcami niż inni? – Zmarszczył brwi.

– Bo doskonale znamy niemiecki? Bo chodziliśmy do dobrej szkoły? – zaczął wymieniać Janek. – I oprócz języka znamy dobrze historię, kulturę? Doskonały materiał na Niemca, prawda? Nawet na niemieckiego patriotę.

– Doskonały – mruknął Franek.

– Chyba nie ma wyjścia…

– Co nam zrobią, jak nie wypełnimy? Wyrzucą nas z domów? – Wzruszył ramionami.

– A myślisz, że będą mieli skrupuły?

Franek westchnął głośno.

– Myślę, że nie.

– To trzeba to załatwić jak najszybciej.

Franek i jego mama wypełnili dokumenty. Podobnie jak Janek i jego rodzina, która mieszkała na wsi niedaleko Grudziądza, a także rodzina Adeli. Tylko Alojzy Schulz uparcie twierdził, że nie będzie wypełniał żadnych niemieckich papierów.

– Stwarzasz zagrożenie dla nas wszystkich! – denerwowała się matka Franciszka. – Nie możesz narażać naszego życia! Nawet nazwisko masz niemieckie!

– I bardzo nad tym ubolewam! – mruknął. – To Niemcy narażają nasze życie. Nie będę sprzedawał siebie!

– Tato, nie sprzedajesz siebie, po prostu spisujesz swoje dane.

– Dla Niemców! – krzyknął. – A kto wie, co oni z tym wszystkim zrobią?

Jak się okazało, nie można było nie odpowiedzieć urzędowi. Ojciec Franciszka nie wypełnił ankiety, ale już po kilku dniach przyszedł do niego żandarm, który po krótkiej rozmowie w cztery oczy wyszedł z wypełnionym dokumentem.

– Straszył mnie obozem – powiedział krótko Alojzy. – Nie miałem wyjścia.

– Dobrze zrobiłeś. – Matka położyła rękę na jego ramieniu.

Ojciec odsunął się gwałtownie.

– Dobrze zrobiłem? Tu nie było dobrego wyjścia! Każde było najgorsze! Czy wy nic nie rozumiecie? Od tej pory już wszystko stracone. Będziemy musieli tańczyć tak, jak nam zagrają! – denerwował się. – Mają nas w garści!

– Ale to nie znaczy, że będziemy Niemcami – spokojnie zauważył Franciszek. – Przynajmniej w naszych sercach. Zresztą może nas na tę listę nie wpiszą.

– Podejrzewam, że to oznaczałoby dla nas śmierć – westchnął pan Alojzy. – Teraz więc chyba trzeba się modlić, by jednak nas na nią wpisali.

ROZDZIAŁ IV

Kiedy byłem mały,
pytałem: „Co to życie,
co to życie, mamo”.
„Widzisz, życie to ja i ty,
ten ptak, to drzewo i kwiat”,
odpowiadała mi.

W życiu piękne są tylko chwile,
w życiu piękne są tylko chwile.

Dżem, „Naiwne pytania”
Autor tekstu: Ryszard Riedel

1

– Nie mogłem mu pomóc! Nie mogłem! – Joachim wpadł do księgarni, w której pracowała Adela. – Biegłem, by go ostrzec, by uciekał! – krzyczał. – Nie zdążyłem! Widział mnie wśród tamtych, szedł z podniesioną głową, patrzył na mnie. Rozumiesz, on myślał, że to ja! Już nic nie będzie takie samo!

– Spokojnie… Joachim, spokojnie. – Dziewczyna przysunęła mu krzesło, by usiadł, bo stał przed nią i cały drżał. – Powiedz dokładnie, co się stało. Możemy tutaj bez pośpiechu porozmawiać. – Pchnęła go na krzesło, by usiadł.

Joachim jakby tego nie słyszał, w kółko powtarzając, że to nie jego wina. Adela próbowała jakoś go uspokoić, a w końcu w odruchu bezradności nalała herbaty do filiżanki i podała mężczyźnie.

– Teraz to raczej bimber by się przydał! – Prychnął. – Co ja mam jej powiedzieć? Co ja mam powiedzieć Racheli? Co ja mam jej powiedzieć…

– Najpierw po kolei opowiedz mi, co tak naprawdę się stało. – Adela przysunęła swoje krzesło i usiadła naprzeciw Joachima.

– Rano dowiedziałem się, że będą kolejne zatrzymania. Matka podsłuchała i powiedziała mi o tym. Podobno całą noc błagała ojca, by ostrzegł profesora Goldbluma. Był nieugięty. Niszczą polską inteligencję, a Goldblum jest podwójnie narażony, bo to mąż Żydówki – relacjonował szybko Joachim. – Wiesz, jak Hitler się uwziął na Żydów! Rano matka mnie obudziła i mi o tym

powiedziała, więc od razu pobiegłem, ale było już za późno! Rozumiesz? Za późno! – Drżały mu ręce. – Myślałem, że go oszczędzą! Zobaczyłem go, jak idzie popychany przez jakiegoś nieznanego mi Niemca, który poganiał go i na niego wrzeszczał. Gdy obok mnie przechodzili, ten Niemiec pozdrowił Hitlera, ja wyciągnąłem też odruchowo rękę w tym samym geście. Do tej pory widzę wzrok profesora Goldbluma! I siebie w tym niemieckim mundurze, wyciągającego rękę w uwielbieniu dla człowieka, który chce zniszczyć świat. Kocham moją ojczyznę, kocham Niemcy, lubię Goethego, kocham opery Wagnera… właśnie dzięki profesorowi. Rozumiesz? Dzięki niemu kocham moją ojczyznę! Ale to, co teraz się dzieje, to nie są moje Niemcy! Adela, myślałem, że go oszczędzą!

Kiedy Adela ujęła dłoń Joachima, ten podniósł na nią załzawione oczy.

– Czy ty wiesz, że ja cały czas mam go przed oczami? Jak idzie z dumnie podniesioną głową? Czuję na sobie jego wzrok… Najgorsze było to, że on nie był zaskoczony, widząc mnie. On był zrezygnowany i jakby pogodzony z tą straszną rzeczywistością!

– Wyciągnę go stamtąd – mówił dwa dni później, głaskając niewielkie i drżące dłonie Racheli. Nie mógł patrzeć na jej rozpacz. – Obiecuję, że zrobię wszystko, by go stamtąd wyciągnąć. Pogadam z ojcem.

– Nie wyciągniesz – jęknęła zrezygnowanym tonem. – Będzie kolejną tarczą dla żądnych krwi Niemców. Nie musisz przede mną ukrywać prawdy. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Wiem, że wczoraj była egzekucja.

Joachim spuścił głowę w milczeniu. Naprawdę miał nadzieję, że Rachela nie dowie się o tym. Faktycznie poprzedniego dnia na

placyku przy dawnej alei Marszałka Józefa Piłsudskiego oddział Selbstschutzu rozstrzelał publicznie dziesięciu więźniów. Gdy się o tym dowiedział, był przerażony. Na szczęście wśród zabitych nie było profesora Goldbluma. Sprawdził to. Wszyscy zamordowani byli członkami Polskiego Związku Zachodniego, polskiej organizacji patriotycznej, która co prawda po wybuchu wojny zawiesiła swoją działalność, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że zrzeszała inteligencję. A tej za wszelką cenę Rzesza chciała się pozbyć, bo mogła się okazać uciążliwa dla okupanta. Z tego, co wiedział Joachim, profesor chyba nie należał do związku. Zresztą gdyby nawet należał, to przecież by się tym pewnie nie chwalił.

Joachim nie chciał mówić o egzekucji Racheli, wystarczyło, że był jej świadkiem. Polacy krzyczeli przed śmiercią: „Jeszcze Polska nie zginęła!". Podziwiał ich za odwagę, nie mógł jednak nic zrobić. Nienawidził siebie za to, że stał w oddali, przypatrując się, jak dających oznaki życia dobijano strzałami z pistoletu.

– To za te plakaty? – cicho zapytała Rachela.

– Za jakie plakaty? – zdziwił się.

– Sabina mówiła, że będą egzekucje za rozlepianie przez Polaków i Żydów plakatów nawołujących do oporu wobec Niemców.

– Po co ona cię straszy?

– Ja nie rozlepiam plakatów. – Rachela pokręciła głową. – Ale Sabina kiedyś spotkała moją mamę i jej to powiedziała.

– Nie słuchaj tego. Zrobię wszystko, byś była bezpieczna. I twojego ojca też stamtąd wyciągnę. Wiem, gdzie ich trzymają.

Rachela spojrzała na niego pytająco. Joachim westchnął. Nie chciał rozmawiać z ukochaną o szczegółach. Zdawał sobie sprawę, że dzieliła ich pewnego rodzaju przepaść. Marzył, by po prostu z nią gdzieś uciec, daleko od pogrążonego w wojnie świata, ale nie było takiej możliwości. Przynajmniej teraz.

– Prawdopodobnie trzymają go przy ulicy księdza Budkiewicza[2], w więzieniu sądowym. Muszę sprawdzić. Albo w budynku Internatu Kresowego. Wiem, że tam są urzędnicy, lekarze, księża, polska inteligencja… Nauczyciele też.

– Wypuszczą ich?

– Nie wiem… – westchnął Joachim. – Tego naprawdę nie wiem, choć bardzo bym chciał. Mam nadzieję, że uda się zrobić wszystko, by twój ojciec bezpiecznie wrócił do domu.

Ukląkł przed nią i położył głowę na jej kolanach. Poczuł się przez chwilę tak, jakby ta cała wojna nie istniała. Rachela głaskała go po jasnych włosach, zastanawiając się, co przyniesie im los i czy kiedyś będą tak beztroscy, jacy powinni być ludzie u progu dorosłości.

[2] Obecnie ulica Sikorskiego.

2

– Nie możemy dłużej czekać – oznajmił Franciszek. – Musimy się pobrać.

– Franek, spokojnie, nie zorganizujemy teraz ślubu. Moi rodzice go nie chcą, twoi zresztą też nie. Trzeba przygotować ich powoli na tę okoliczność. Może poczekamy jeszcze chwilę?

– Ale my tego chcemy! – zaprotestował. – Myślisz, że oni na naszym miejscu by się zastanawiali?

– Sama nie wiem…

– Niedługo zamkną wszystkich księży i nawet nie będzie komu nam tego ślubu dać. – Prychnął. – Joachim mówił, że całą polską inteligencję chcą zamknąć. Duchownych też.

– W takich momentach cieszę się, że mój ojciec jest stolarzem – mruknęła dziewczyna.

– Stolarz nie udzieli nam ślubu. A księdza może już nie być… Nawet z parafii wokół Grudziądza ich wszystkich zgarnęli.

– Franek! – zdenerwowała się Adela.

– Kochanie… – Złapał ją za ręce. – Ja po prostu chcę być z tobą. Chcę zasypiać i budzić się przy tobie.

– A gdzie będziemy mieszkać? – przytomnie zapytała Adela.

– Gdziekolwiek.

– Beztrosko jak na przyszłą głowę rodziny – bąknęła.

– A nie uważasz, że ludzie doskonale potrafią dostosowywać się do zmian? Jak zostaniemy mężem i żoną, będziemy wiedzieć, że mamy być razem. Choćbyśmy mieli spać w twoim starym łóżku.

– Jest strasznie wąskie. – Uśmiechnęła się.

– To dobrze, będziemy się w siebie mocno wtulali – wyszeptał.

– Jak mocno? – zapytała prowokująco.

– Tak, że bardziej już nie można – powiedział, patrząc jej w oczy. Pogładził ją po policzku i po szyi. – Proszę… Zróbmy to…

Adela westchnęła.

– Ale jak to chcesz załatwić? Rodzice się w życiu nie zgodzą, ani twoi, ani moi.

– Pójdziemy do kościoła i przysięgniemy sobie miłość.

– Tylko we dwoje? Bez rodziców? – Adela patrzyła na niego ze smutkiem.

– To jest nieważne. Możemy we dwoje. A może ktoś, kto nam dobrze życzy, będzie chciał nam towarzyszyć w tak pięknym dniu? Na pewno Janek, Joachim, Rachela, może Sabina przyjdzie nam złożyć życzenia.

– Doborowe towarzystwo – mruknęła Adela. – Niemiec, Żydówka, dwóch Polaków i folksdojczka.

– Skąd wiesz, że Sabina jest folksdojczką? – zapytał Franciszek.

– Tak się mówi. – Adela wzruszyła ramionami.

– Nieważne. – Franciszek pokręcił głową. – Ważne, że będziemy razem.

– A kiedyś będziemy mieli prawdziwy dom? Taki z okrągłym stołem w jadalni?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. – I z wielką szafą, gdzie za szkłem będziemy trzymać nasze zaręczynowe filiżanki.

– Tylko musimy pilnować, by przez wojnę się nie potłukły.

– Będziemy o nie dbać. Tak jak o naszą miłość. Zawsze – powiedział Franciszek, patrząc na narzeczoną rozmarzonym wzrokiem.

Ślub miał odbyć się kilka dni później, tuż po południu. Franciszek załatwił z księdzem, że niewielkie przyjęcie odbędzie się zaraz potem na plebanii. Sabina i Jan byli świadkami. Adela nie chciała zaprzątać tym głowy Racheli, gdyż ta martwiła się o ojca i chyba niezręcznie byłoby ją prosić w takiej chwili o angażowanie się w cokolwiek innego. Jednak obiecała, że przyjdzie na ślub, by dzielić z nimi ich radość. Joachim miał zatroszczyć się o jedzenie. Obiecał, że załatwi coś specjalnego.

Rodzicom nic nie mówili. Adela chciała powiedzieć tylko mamie, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Nie chciała, by ktokolwiek starał się ją powstrzymać. Była pewna swojej miłości do Franka. To trwało już jakiś czas. Nie poznali się na tym balu, co Joachim z Rachelą, znali się niemalże od dziecka. Od dawna Franciszek przynosił jej małe bukieciki niezapominajek, które zawsze suszyła między stronami książek. Te niezapominajki były symbolem ich miłości. Gdyby ślub brała wiosną albo chociaż latem, mogłyby być w bukiecie ślubnym lub wplotłaby je sobie we włosy. Teraz było zbyt zimno i na to, by rosły niezapominajki, i na to, by jakiekolwiek kwiaty wplatać we włosy.

Sabina miała przyjść do niej z rana. Adela nie chciała być sama tego dnia. Potrzebowała porozmawiać z kimś o beztroskich czasach, nie myśleć o wojnie. Dlatego też wolała spędzić ten dzień z Sabiną. Nie lubiła jej tak, jak Racheli, ale ona była przytłoczona ostatnimi wydarzeniami. Sabina była zawsze beztroska, uśmiechnięta i wesoła. Czasem zarażała tym śmiechem innych. Adela chciała egoistycznie, by ten dzień był wesoły i szczęśliwy. By był to wyłącznie jej dzień. Jej i Franka. Niezmącony żadnymi przykrymi wydarzeniami, smutnymi myślami. Tylko radość, o ile to w ogóle było możliwe.

Sabina spóźniła się ponad godzinę.

– Przepraszam cię bardzo, musiałam jeszcze coś załatwić – powiedziała wymijająco. – Naprawdę przepraszam, myślałam, że

to wszystko szybciej pójdzie. – Pokręciła głową, z lekka zdenerwowana.

– Nie martw się, czasem tak jest. – Adela uśmiechnęła się. – Jak wyglądam? – Wstała i przeszła się po pokoju.

– Rewelacyjnie – stwierdziła Sabina. – A co masz pod spodem?

– Pod spodem? – zdziwiła się. – Bieliznę.

– Mam coś dla ciebie. – Wręczyła Adeli małą paczuszkę.

– Co to?

– Zobacz.

Dziewczyna rozwinęła pakunek. Były tam piękne nowe pończochy, pas i majtki.

– Sabina! – Spojrzała na nią zaskoczona. – To załatwiałaś dzisiaj? I dlatego się spóźniłaś? – Adela objęła koleżankę. Nie mogła uwierzyć, że Sabina, zwykle mało hojna i nieskora do sprawiania komukolwiek przyjemności, dała jej taki prezent. – Dziękuję ci bardzo. Jesteś najlepsza na świecie – powiedziała ze łzami w oczach.

Sabina odwzajemniła uścisk. Nawet ona przez chwilę poczuła się dziwnie. Była pewna, że gdyby przyszła panna młoda wiedziała, jaka była cena tego kosztownego prezentu, nigdy, przenigdy w życiu nie chciałaby go otrzymać. Na szczęście nie wiedziała. I bardzo długo miała się nie dowiedzieć.

Dziewczyny powiedziały państwu Kotlińskim, że idą do Sabiny. I że na pewno nie wrócą przed godziną policyjną, co może oznaczać, że nie wrócą wcale tego dnia, tylko dopiero następnego.

– Nie lubię, jak nie mam wszystkich w domu. – Pani Helena z niezadowoleniem pokręciła głową. – Adelko, postaraj się wrócić na noc. Będę spała spokojniej.

– Śpij, mamo, spokojnie. I przygotuj się, że wrócę jutro.

– Co wy będziecie robić tak długo? Całą noc? – martwiła się mama. – W nocy się śpi.

– Mamo! – Uśmiechnęła się i spojrzała na matkę.

– Co się stało?

– Nic. – Córka pokręciła głową. – Przytul mnie, po prostu.

Pani Helena nie była zbyt wylewna, więc tylko poklepała córkę po ramieniu.

– No, dobra, dobra. Idźcie już.

– A będziesz spała spokojnie?

– Będę. Obiecuję. – Mama nie patrzyła córce w oczy, tylko wycierała ręce w swój fartuch, mimo iż nie były wcale brudne.

3

Adela i Sabina w kościele były pierwsze. Usiadły w ciężkich drewnianych ławkach. Adela lubiła ten kościół w Tarpnie. Chodziła tam od zawsze, co niedzielę. Matka jej opowiadała, że kiedyś w tym miejscu była restauracja Concordia. Już po pierwszej wojnie uznano, że to będzie najbardziej odpowiedni obiekt do przerobienia go na kościół. Właściciel restauracji sprzedał ją właśnie na ten cel. Najpierw istniała tylko kaplica, potem szybko ruszyły dalsze prace – przebudowano wielką salę Concordii na kościół. Dobudowano miejsce na główny ołtarz, zakrystię, a nawet dzwonnicę.

Matka Adeli przed wojną śpiewała w chórze Cecylia. Zawsze mówiła córce, że na jej ślubie wystąpią najpiękniej, jak się da, by ją godnie poprowadzić do ołtarza. Trochę będzie brakowało śpiewu matki oraz pełnego zrozumienia i wsparcia ojca. Dziewczyna na chwilę posmutniała.

– Wszystko w porządku? – zapytała Sabina.

– W porządku. – Uśmiechnęła się blado. – Po prostu zrobiło mi się sentymentalnie.

– Będzie dobrze. – Sabina chwyciła koleżankę za rękę. – Ta wojna minie i wszystko się dobrze skończy.

Adela uśmiechnęła się. Chyba do tej pory źle odbierała Sabinę. Przecież to normalna, wrażliwa kobieta! Dobrze, że była blisko. Dobrze, że w takim dniu trzymała ją za rękę i podnosiła na duchu swoim uśmiechem.

Joachim wpadł do kościoła w ostatniej minucie. Kilka chwil wcześniej usłyszał od matki Racheli, że jej córka nie chce go widzieć.

– Jak to nie chce mnie widzieć? – wydukał. – Przecież dzisiaj wychodzimy! Dzisiaj jest ślub Adeli i Franka! Już za chwilę!

– Powiedziała, że na żaden ślub nie idzie. – Pani Goldblum załamała ręce.

– Chryste, co się stało? – Joachim nie mógł uwierzyć.

– Nie wiem. – Pani Sara pokręciła głową. – Nie chce powiedzieć. Czy wyście…? Może ona…?

– Mogę do niej wejść?

Widząc chwilowe zawahanie pani Goldblum, minął ją w drzwiach i wszedł do kuchni, gdzie na tapczanie, na tym, gdzie jeszcze niedawno się kochali, siedziała zapłakana Rachela.

– Kochanie, co się stało?! – Podszedł do niej, ale widząc wzrok pełen nienawiści, zawahał się.

– Jak ty w ogóle śmiesz tutaj przychodzić?! – krzyknęła. – Po tym wszystkim?!

– Rachelko, nie denerwuj się. Powiedz mi, o co chodzi – próbował uspokoić dziewczynę.

– O co chodzi?! – Z jej oczu leciały pioruny. – O co chodzi?! Musisz bardziej ukrywać się w czasie wykonywania obowiązków służbowych, ty parszywy Szkopie!

Joachim nic z tego nie rozumiał.

– Widziałeś… widziałeś to wszystko i nic nie zrobiłeś! – wykrzyczała Rachela. – Byłeś tam z nimi! Byłeś, gdy zabierano ojca. Szedłeś razem z nimi. Też go popychałeś? Też pokazywałeś swoją wyższość?

– Rachela, to nie tak… – Joachim próbował się tłumaczyć.

– Jak nie tak? Jak to nie tak? Nie było cię tam? Nie widziałeś tego?

– Kochanie… widziałem – przyznał Joachim. – Ale przez zupełny przypadek. Nie byłem wtedy na służbie. Przechodziłem tamtędy.

– Nie wierzę ci! Po prostu ci nie wierzę! – Rachela kręciła głową. – Nie wierzę ci, że widziałeś to wszystko i nic nie zrobiłeś. Nie wierzę, że nie przyczyniłeś się do tego, by wziąć do niewoli niewinnego człowieka. Człowieka, który podobno tak wiele dla ciebie znaczył, człowieka będącego ojcem dziewczyny, którą podobno kochałeś! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! Nie wierzę! – Joachim próbował ją przytrzymać, ale zaczęła go okładać pięściami. – Weź sobie ten pierścionek po babci. – Wcisnęła mu go w dłoń. – Umarłabym, gdybym musiała nosić pierścionek, który podarował mi zdrajca!

Joachim zacisnął zęby. Wyszedł z kuchni, zamykając za sobą drzwi. Usiadł przy stole i schował twarz w dłoniach. Po chwili spojrzał na matkę Racheli. Wiedział, że pani Sara Goldblum wszystko słyszała.

– To prawda – przyznał. – Widziałem go… Stałem i patrzyłem z daleka, jak go prowadzą. Nie mogłem… nie umiałem nic zrobić. Tak naprawdę to biegłem, by go ostrzec. – Zamyślił się. – Nie zdążyłem. Zabrakło mi kilku minut. Kilka cholernych minut, abym go uratował. Wierzy mi pani? – Spojrzał błagalnie na matkę Racheli. Ta pogłaskała go po dłoni.

– Wierzę – westchnęła.

– Gdyby tylko ona mi uwierzyła… – Zrozpaczony Joachim pokręcił głową. – Gdyby uwierzyła…

– Uwierzy. Daj jej tylko trochę czasu – powiedziała cicho.

– Dzisiaj miało być tak pięknie – westchnął. – Mieliśmy oboje się cieszyć radością Adeli i Franka. A teraz Rachela powiedziała, że nigdzie nie idzie.

– Idź sam. Jeszcze się zdążycie nacieszyć wszystkim w życiu. Ona i tak nie jest teraz w nastroju do okazywania radości. Nieumyślnie mogłaby popsuć tę uroczystość. Złóż od nas życzenia parze młodej.

– Myśli pani, że mogę do niej jutro przyjść? – zapytał. – Porozmawiać? Może będzie chciała mnie wysłuchać.

– Może daj jej trochę czasu? – zasugerowała pani Goldblum. – Musi wszystko przemyśleć.

– Pojutrze?

– Przyjdź za kilka dni. Emocje opadną, a ja postaram się z nią wcześniej porozmawiać.

– Dziękuję. – Joachim pocałował kobietę w rękę. – Dziękuję – powtórzył. – Ja jestem. I czekam. I jak tylko będę mógł coś zrobić, zrobię. Wierzy mi pani?

– Wierzę. – Sara uśmiechnęła się smutno. – Idź już, bo się spóźnisz.

Mężczyzna niechętnie wyszedł z mieszkania. W korytarzu, na komodzie, zostawił pierścionek. Im się bardziej przyda. Należał przecież do Racheli.

Do kościoła wszedł równo z Franciszkiem i Jankiem.

– A ty sam przyszedłeś? – zdziwiła się Adela. – Gdzie Rachela? Coś się stało?

Joachim przecząco pokręcił głową.

– Wszystko w porządku z Rachelą? – zapytała ponownie.

– Tak, nie jest w formie – powiedział wymijająco. – A dokładniej chyba mamy za sobą pierwszą poważną kłótnię.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

– No, wszystko będzie dobrze – oznajmił z wymuszonym uśmiechem. – Naprawdę – dodał, ale zupełnie nie był o tym

przekonany.

– Wszystko będzie dobrze. – Sabina poklepała go po ramieniu.

Ona jedyna w tym towarzystwie wiedziała, że będzie dobrze. Niekoniecznie dla Racheli, ale dla niej i dla Joachima na pewno. Przecież się o to postarała. Taka była cena delikatnych pończoch, pasa i majtek, które pod swoją sukienką miała Adela, a którymi tej nocy miała olśnić swojego męża.

Wszystko miało swoją cenę. Nawet pończochy. Ale życie ludzkie też. I zaskakujące czasem było, jaka ta cena była niska. Ot, równa cenie ślubnej bielizny wojennej panny młodej.

– Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci – w kościele rozbrzmiewała przysięga małżeńska.

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Po tych słowach Adela poczuła się najszczęśliwsza na świecie. Nic nie mogło zmącić jej szczęścia.

Małżonkowie poszli na chwilę pomodlić się pod ołtarz świętego Antoniego. Wraz z nimi świadkowie. Adela, Franek i Janek prosili o szczęście dla świeżo upieczonych małżonków. Sabina modliła się zupełnie o co innego – by jej działania przyniosły zamierzone skutki. Nie wątpiła w to, że tak się stanie, ale uznała, że modlitwa w tej intencji zupełnie nie zaszkodzi.

– Mam dla was prezent – powiedział ksiądz, gdy przeszli na plebanię. – Bawcie się dzisiaj i świętujcie. – Wyciągnął dwa wina mszalne.

– Ja też coś mam. – Joachim rozpromienił się, wyjmując z torby kilka butelek piwa.

– Kuntersztyn! Stary, jak to zrobiłeś? – wykrzyknął Franciszek.

– Janek mi mówił, że miało być sto, ale może na dobry początek te kilka wystarczy?

– Sto kupimy sobie i będziemy pić po wojnie – obiecał Franciszek. – Umówimy się we trójkę i wypijemy wszystko.

– Zdrowie pary młodej – wzniósł toast ksiądz. – Bądźcie szczęśliwi. Cieszcie się dobrym zdrowiem i długim życiem!

Adela spojrzała na męża z miłością. Przez krótką chwilę była pewna, że świat zrobi wszystko, by spełnić te życzenia.

Nie była to noc poślubna jak z bajki. Zamiast kochać się do utraty tchu, długo rozmawiali. O teraźniejszości i o przyszłości. Budowali swoje przyszłe życie w marzeniach, głęboko wierząc w to, że los pozwoli im je również budować w rzeczywistości.

Zostali na plebanii. Ksiądz użyczył im małego pokoiku, pełnego bibelotów, książek i pamiątek. Miękkie łóżko, przykryte ręcznie robioną kapą, i stół z czterema krzesłami.

Sabina, Janek i Joachim wyszli na tyle wcześnie, by zdążyć wrócić do domu przed godziną policyjną.

– Zazdroszczę im tej wiary w przyszłość – stwierdził Janek. – Zazdroszczę im odwagi, że w tych trudnych czasach postanowili stworzyć coś zupełnie nowego.

– Miłość zwycięża wszystko – bąknął Joachim, mając nadzieję, że i w jego przypadku miłość pomoże pokonać wszystkie trudności. Wierzył, że Rachela po kilku dniach dojdzie do siebie i na wszystko spojrzy świeżym okiem.

– A kiedy wasz ślub? – zapytał Janek.

– Nasz? Pewnie po wojnie. Chociaż Rachela widzi coraz więcej problemów.

– Problemów?

– Mam wrażenie, że zaczyna zauważać przepaść pomiędzy Żydami i Niemcami.

– Każdy zaczyna ją zauważać – oznajmiła Sabina.

– Ja staram się tego nie widzieć – westchnął Joachim. – Ale czasem ciężko, gdy się pracuje w takim miejscu. Tam już chyba wszyscy mają znieczulicę. Albo inaczej… dla nich Żyd nie jest człowiekiem.

– Jak mogą tak mówić? – zapytała Sabina.

– Wiesz, mam nadzieję, że nie ogarnie mnie ta znieczulica. Chociaż człowiek widzi tyle strasznych rzeczy i nie może pomóc. Nie może pomóc, chociaż by bardzo chciał. A pewnie z czasem zacznę odwracać głowę od rzeczy, na które nie mam wpływu. – Zamyślił się.

Szli we trójkę jeszcze kawałek, aż stanęli przed domem, w którym mieszkał Jan.

– Idź do domu, ja odprowadzę Sabinę – powiedział Joachim.

– Dziękuję. – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– Wieczorami na ulicach jest już pusto.

– Wszyscy chcą się ukryć przed godziną policyjną.

– Zobacz, do czego to doszło, że dyktują nam, kiedy mamy wychodzić z domu. A najgorsze, że i w domu wcale nie jest bezpiecznie.

– Nie czujesz się bezpieczny w domu? – zapytała Sabina ze zdziwieniem.

– Ja się czuję, ale bardzo boję się o Rachelę. Ona żyje tak, jakby chodziła po niebezpiecznym trzęsawisku. Nie wiesz, kiedy może zapaść się w otchłań.

– Przy takim rycerzu u boku jej to nie grozi – wyszeptała Sabina.

– Staram się ją chronić. Ale jak długo będę mógł? – zapytał Joachim. – Profesora Golbluma nie udało mi się uratować.

– Nie możesz zbawić całego świata.

– Ale tam chyba mogłem coś zrobić. – Pokręcił głową. – Wiesz, że ja widziałem, jak go zabierali? Właśnie o to ma do mnie żal Rachela. O to, że nic nie zrobiłem w tamtym momencie, by go uratować. Ale co ja mogłem zrobić? Przecież gdybym powiedział, że to pomyłka, że kocham jego córkę, od razu mnie też by zgarnęli. Sabina, ale to znaczy, że jestem tchórzem!

– Nie jesteś tchórzem. – Pogłaskała go delikatnie po policzku. – Jesteś dobrym człowiekiem. Jest wojna i trzeba sobie radzić z nieszczęściami, które na nas spadają. A czas leczy rany. Ja w to głęboko wierzę. Wszystkie gwałtowne burze trzeba przeczekać.

Sabina dobrze wiedziała, co mówi. Liczyła na to, że i w przypadku Joachima czas uleczy rany. A ona, Sabina, mogła być opatrunkiem, który ukoi ból i pomoże tę ranę szybciej zagoić. Zrobi wszystko, by się tak stało. Czasem trzeba pewne rzeczy na dobre zburzyć, by budować na nowo. Ona była cierpliwa.

Przez kolejne kilka dni Joachim nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kilka razy łapał się na tym, że zupełnie bezwiednie idzie w stronę domu Racheli. Ciągnęło go do niej, tęsknił.

Czwartego dnia nie wytrzymał. Postanowił z nią w końcu porozmawiać. Przecież miłość zwycięży wszystko. Póki profesor Goldblum żyje, jest dla niego szansa. Specjalnie nie wsiadł do tramwaju. Chciał podczas spaceru ułożyć sobie w głowie wszystko, co chce jej powiedzieć.

Stanął przed kamienicą, w której mieszkała dziewczyna. Coś mu nie pasowało. W oknie Racheli nie wisiały firanki. Może robiła pranie?

Gdy wchodził do klatki schodowej, minął dwóch mężczyzn wynoszących z trudem białe pianino. Chyba nawet nie rozłożyli go do końca i dlatego nie mogli się pomieścić w drzwiach i je strasznie obijali o ściany i futryny. Co chwilę słychać było polskie i niemieckie przekleństwa. Bez szacunku. Przecież na tym pianinie ostatnio grała Rachela!

– Co panowie robicie? – zapytał zdenerwowany. – Przecież popsujecie to pianino!

– E tam, i tak się nikomu już nie przyda – warknął tragarz. – Wynosimy wszystko.

– Ale dlaczego? – zaniepokoił się Joachim.

– W sobotę wywieźli tych Żydów, co tam mieszkali. – Mężczyzna otarł pot z czoła. – Trzeba teraz ze wszystkim porządek zrobić.

– Musimy wynieść wszystkie śmieci – dodał drugi.

Joachim wbiegł szybko na piętro i wpadł do mieszkania. Było niemal całe ogołocone. Na ścianach nie wisiały obrazy w solidnych złotych ramach, zostały po nich tylko jaśniejsze ślady. Ciężkie, rzeźbione meble też już ktoś najwyraźniej zabrał, podobnie jak pianino. Tapczan, na którym jeszcze niedawno kochali się, był cały poszarpany i pocięty nożem. Usiadł na nim i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wierzę… Nie wierzę… Spuściłem ją z oka na chwilę i… zupełnie mi zginęła. – Pokręcił głową. – Nie wierzę.

Chciał krzyczeć z bezsilności. Wiedział, że zrobi wszystko, by ją odzyskać. Może i Rachela znikła mu z oczu, ale z jego serca nigdy nie zniknie.

Promienie słońca, zupełnie nieadekwatnie do sytuacji, wpadły przez odsłonięte okno do pokoju. W szparze podłogi błysnęło rubinowe oczko zaręczynowego pierścionka Racheli.

Rodzina Adeli nie była zadowolona z decyzji młodych.

– Ale jak to ślub? Bez nas? – zdziwiła się matka dziewczyny. – Jak mogliście wziąć ślub bez rodziców?

– Nie chcieliście się zgodzić… Mamo, ja bałam się wam powiedzieć – wyszeptała Adela – Mamo, to jest dobra decyzja. Jesteśmy tego pewni.

Pani Helena stała przez chwilę bezradnie, wpatrując się raz w córkę, a raz w jej świeżo poślubionego męża.

– Chodźcie, dzieci – westchnęła. Wyciągnęła ręce do Adeli i Franciszka, a potem zrobiła znak krzyża na ich czołach. – Żyjcie długo i bądźcie szczęśliwi.

Przygotowała im pokój, by mogli razem zacząć swoje życie.

– Trochę macie tu ciasno. – Ojciec uśmiechnął się przepraszająco. – Potem sprawimy wam większe łóżko, teraz musicie się pomieścić na tym wąskim.

– Damy radę, tato.

– Wszystkiego najlepszego, dzieci. Bądźcie szczęśliwi mimo tej wojennej zawieruchy.

Rodzice Franciszka nie chcieli nawet słyszeć o żadnym ślubie. Nie zaakceptowali niesubordynacji syna. Według nich ta decyzja przekreśliła ich nadzieję na to, że kiedyś stanie się znanym inżynierem, lekarzem, prawnikiem czy kimś równie ważnym. Franek wiedział, że od tej pory będzie musiał mieć inną rodzinę. Bo ta, z którą był związany najmocniej, nie akceptowała jego wyborów życiowych i tym samym nie zaakceptowała jego ukochanej żony, Adeli Schulz. A ona była dla niego najważniejsza na świecie.

ROZDZIAŁ V

Opadły mgły, skończyła się noc
i nagle świt przywrócił ci wzrok
Coś nie jest tak, jak miało być
w życiu twym.
Zgubiłeś się w tysiącu dróg,
zgubiłeś sens najdroższych słów.
Zaklęty krąg obcych rąk
osaczył cię.
Gdy nie masz już sił,
by dalej iść,
w siebie spójrz.
Pozwól sercu prowadzić cię
poprzez słońce i deszcz,
poprzez światło i cień.
Chmurę myśli za siebie rzuć,
niepotrzebna ci już,
niepotrzebna by czuć.

Anita Lipnicka, „Diabeł i Bóg”

1

W piwnicy państwa Kotlińskich nie było już ziemniaków, a wojna się jeszcze nie skończyła. Nie sprawdziły się przewidywania pani Kotlińskiej, która od początku okupacji wierzyła w swoje słowa. Nie było łatwo przetrwać, mimo że do wojny długo się przygotowywała. Jeszcze przed jej wybuchem, podobnie jak Sara Goldblum, kroiła chleb na kromki i suszyła w piecu. Potem worki pełne sucharów stały w spiżarni. Były tam też worki z mąką, cukrem, solą i suszonymi warzywami. Pani Helena starała się gromadzić wszystko, co tylko miało szansę przetrwać kilka lat. Kupowała miód, suszyła owoce. Potem, na samym początku wojny, gdy jeszcze można było kupić cokolwiek, dalej robiła zapasy. Jej mąż, Hipolit, początkowo z niej drwił, ale nieraz potem dziękował Bogu, że ma tak zaradną żonę.

Niemcy najwyraźniej chcieli Polaków zagłodzić. To była ich kolejna, dobrze przemyślana akcja. Niemcy i Polacy mieli odrębne kartki reglamentacyjne. Niemcy dostawali większe przydziały żywności. W ciągu pierwszych miesięcy na osobę na tydzień przeznaczono 250 gramów mięsa, 100 gramów tłuszczu, 2,5 kilograma chleba i 3,5 litra odtłuszczonego mleka. Owoce i warzywa były wydzielane jedynie po tym, jak zostały zaspokojone potrzeby niemieckich obywateli. Później sytuacja się nieco poprawiła, ale zakładany przydział racji żywnościowych nie zaspokajał codziennych ludzkich potrzeb.

Władze okupacyjne wprowadziły również obowiązek obsługiwania Niemców w pierwszej kolejności, później wyznaczono inne godziny zakupów dla Polaków i inne dla Niemców. Nieprzestrzeganie tych zasad mogło grozić nawet tygodniowym aresztem.

Oczywiście wszystko można było kupić. Nielegalnie, narażając swoje życie. Ci, którzy mieli gospodarstwa na wsi, mogli wyżywić tych, co byli w mieście. Powstał czarny rynek. Za nielegalny ubój zwierząt, przemiał zboża czy ukrywanie plonów groziła jednak kara, nawet śmierci. Za nielegalny przewóz żywności również można było zginąć czy trafić do obozu.

Pani Helenie nie brakowało mąki, jednak nie wiedziała, na jak długą wojnę musi mieć zapasy i jak wiele z jej mniej zaradnych przyjaciółek w młynku kawowym mieliła perz, żołędzie i korę brzozową, by potem dodać to do mąki i upiec chleb. Taki bochenek był i tak dużo lepszy niż ten dostępny na kartki. W swoim niewielkim przydomowym ogródku siała warzywa i zioła, tak by w razie czego można było zjeść cokolwiek.

Joachim też pomagał. Czasem pani Helena dostała coś od Niemców, u których szyła. Radzili sobie.

Układali sobie wszyscy to wojenne życie, jak mogli, ale nie było to łatwe. Janek pracował w dalszym ciągu u Ventzkiego, a Adela pomagała matce w szyciu.

– Zadziwiona jestem, że Niemki wciąż potrzebują nowych sukien. – Kręciła głową. – Zastanawiam się, gdzież one w nich chodzą.

– Dla mężów się stroją. – Uśmiechnęła się pod nosem, chociaż podejrzewała, że jej mąż najbardziej lubił, gdy była naga.

– Zobacz, jaka ładna tkanina. – Pani Helena przyłożyła lekki różowy materiał do twarzy. – Suknia ślubna ma z tego być. Jakbyś powiedziała mi o ślubie, to też bym ci jakąś sukienkę uszyła. Wyczarowałabym coś.

– Nie zgodziłaś się na ślub – przypomniała Adela. – Na chrzciny uszyjesz.

– Adelko, czy ty mi właśnie chcesz o czymś powiedzieć?

– Nie, mamo. – Adela roześmiała się, widząc minę matki.

– To dobrze. – Pani Helena odetchnęła z ulgą. – To chyba zbyt trudne czasy, by powoływać na świat potomka. Jeszcze młodzi jesteście, macie czas.

– Nie martw się, mamo. Też myślę, że to jeszcze nie czas.

Wcale jednak tak nie myślała.

– Franek, a jak się któremuś z nas coś stanie? – zapytała go poprzedniego wieczora. – To może lepiej, jak zostałby po nas jakikolwiek ślad?

– O czym ty mówisz? – Franciszek odwrócił się do niej.

Układali się już oboje do snu na dużym łóżku podarowanym im przez pana Hipolita w nieco spóźnionym prezencie ślubnym. Adela piła herbatę z zaręczynowej filiżanki z niezapominajkami.

– O dziecku – powiedziała.

– Kochanie, rozmawialiśmy o tym. To nie jest dobry czas, by powoływać dzieci na świat.

– Czasem dzieci same się na ten świat pchają.

– Adela? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Nie, nie jestem w ciąży. – Roześmiała się. – Ale bardzo, bardzo chciałabym być.

– Kochanie, ale teraz są takie niepewne czasy. Nie ma co jeść. Jak ty chcesz wyżywić dodatkową osobę? Na jaki świat ty chcesz

ją powołać?

Adela usiadła zmartwiona.

– Franek, czy my kiedykolwiek będziemy żyć normalnie?

– Wierzę, że będziemy.

– Tak tęsknię za tym, kiedy było bezpiecznie, kiedy człowiek zasypiał z myślą, że obudzi się rano i uśmiechnie do świata.

– Możesz nadal się uśmiechać do świata. – Franciszek przytulił żonę.

– Mogę, ale świat tak rzadko się uśmiecha ostatnio do mnie – mruknęła zamyślona.

2

Joachim nie mógł sobie poradzić z tym, że Rachela zniknęła tak nagle. Tym bardziej, że stało się to w momencie, gdy nie widział ukochanej od kilku dni. Długo nie mógł ustalić, co się z nią stało. Ktoś mówił coś o więzieniu, więc oczywiście sprawdzał, czy jej tam nie ma. Chyba szukał jej już wszędzie. Wydawało mu się, że zaginęła bezpowrotnie. Nie zależało mu na niczym. Wyprowadził się z domu, bo nie mógł patrzeć na swojego ojca.

– To przez ciebie! To wszystko przez ciebie… – cedził przez zęby.

– Nie było mnie tam wtedy! – krzyczał Reiner. – Przecież wiesz!

– Ale za iloma wywózkami stoisz? – zapytał Joachim. – Czy zdajesz sobie sprawę, że wśród tych ludzi, których kazałeś aresztować lub rozstrzelać, była jakaś matka, żona, narzeczona, ukochana kobieta? Zdajesz sobie sprawę, że ktoś mógł rozpaczać tak jak ja? Czy ty w ogóle wiesz, na co skazujesz tych ludzi? Gdyby tylko na śmierć! Ale często czeka ich powolna agonia w męczarniach!

– Joachim, obiecuję, że zrobię wszystko, by uratować Rachelę – obiecał spokojnie ojciec. – To nie będzie łatwe, ale postaram się.

– Tak, dla ciebie i innych tobie podobnych łatwym jest tylko kogoś zabić. Ratowanie kogoś przekracza wasze możliwości!

– Joachimie!

– Zniszczyłeś mi życie! Ty i ten twój Hitler. Zniszczyłeś życie wielu osobom. I po co? – Nie mógł się uspokoić. – Co ci moja Rachela przeszkadzała? Tak bardzo nienawidzisz Żydów, że nie

mogłeś znieść, że będzie jakiś w twojej rodzinie? Że w twoich wnukach będzie płynęła żydowska krew?

– Joachimie!

– Nie umiem cię nazywać ojcem – wybuchnął. – Nie potrafię… Nienawidzę cię za to, co robisz!

Joachim wyprowadził się jeszcze tego samego dnia. Zamieszkał razem z Jankiem w pokoju wynajmowanym od Jana Węgorzewskiego, właściciela piekarni w Tarpnie. Pokój był niewielki, ale wszystko było lepsze niż codzienność z ojcem, który według Joachima był odpowiedzialny za pewną śmierć jego ukochanej. Nie mógł na niego patrzeć. Gdy tylko spoglądał na niego, zaraz przypominał mu się profesor Goldblum, popędzany przez jakiegoś Niemca, i inni ludzie, którzy wtedy szli w tak niepewną przyszłość. Oczyma wyobraźni widział też Rachelę. I jej ulubione białe pianino, brutalnie wynoszone przez dwóch osiłków z jej mieszkania.

– Synku… – Wieczorem znalazła go matka. Była u Adeli i ta powiedziała, gdzie prawdopodobnie znajduje się Joachim. – Nie oceniaj zbyt pochopnie ojca. To nie jest zły człowiek. Znam go.

– Mamo, wydaje ci się, że go znasz. – Joachim pokręcił głową. – Jak ty mogłaś przez tyle lat z nim być i patrzeć na to, co on robi? Nie przeszkadzało ci to? Może wcześniej było inaczej, ale teraz?

– Synku, nie wszystko jest takim, jakim się wydaje – powiedziała cicho matka. – Staram się widzieć dobro.

– Dobro? To chyba musisz patrzeć w zupełnie przeciwnym kierunku, niż on się znajduje. Bo obawiam się, że w jego pobliżu całe dobro umiera! Jakby ojciec szedł zieloną łąką, to w miejscu, gdzie by stanęły jego stopy, łąka zamieniałaby się w pogorzelisko!

Wkrótce potem Reinera Schmidta oddelegowano do służby w głąb Rzeszy. W przeddzień wyjazdu Joachima znowu odwiedziła matka.

– Synku, przyszłam się pożegnać. Może przyjdziesz się zobaczyć z ojcem?

– W życiu!

– Synku, trzeba przebaczać.

– Przebaczać? – Zdenerwował się. – Mamo! Ja nadal jej nie odnalazłem.

– To nie jest tak, jak myślisz. – Matka popatrzyła na niego ze smutkiem. – Pożegnaj się z nim, choćby ze względu na mnie.

– Mamo, nawet dla ciebie nie mogę tego zrobić.

Pani Schmidt westchnęła.

– Nie chciałabym, byś kiedykolwiek tego w życiu żałował – westchnęła i rozejrzała się po niewielkim, skromnym pokoiku. – Tu masz klucze. Od jutra nasze mieszkanie jest twoje. Ojciec podpisał stosowne papiery.

Joachim przeprowadził się do mieszkania rodziców. Gubił się w trzech wielkich pokojach. Czasem zasypiał na pograniczu jawy i snu, a wtedy zdawało mu się, że w tych przestronnych pomieszczeniach rozbrzmiewa śmiech Racheli. I zaraz potem słyszał dźwięk pianina. Szkoda, że wtedy go nie zabrał. Miałby chociaż jakąkolwiek pamiątkę po niej. A tak nie miał nic. Oprócz pierścionka, który powinna wziąć ze sobą. Może udałoby się jej w jakiś sposób kupić wolność. A zresztą pewnie i tak by jej go zabrali.

Miał wrażenie, że wszystko wokół niego się sypało. Adela z Frankiem mieli siebie i rzadko się z nimi spotykał. Janek jeszcze widywał Franka w pracy, ale Joachim prawie wcale. Adeli i Sabiny też nie spotkał już dawno. Przez chwilę zatęsknił za tym, by znowu w tym samym gronie iść do kina czy do parku. Zaraz sobie jednak przypomniał, że to nie byłoby to samo grono. Nikt nie był w stanie zastąpić Racheli.

– A dlaczego ci tak zależy na tej informacji? – zapytał Joachima dowódca, gdy ten intensywnie poszukiwał swojej ukochanej.

– Ktoś mnie o to prosił – skłamał Joachim.

– Jak będę coś wiedział, dam znać.

Nie mógł nic więcej zrobić. Mógł uczynić tylko jedno – zapomnieć. Nie o Racheli, bo o niej zawsze będzie pamiętać, ale o bólu, który wiąże się ze wspomnieniami.

3

Od zaginięcia ukochanej minął już rok. Stracił nadzieję na to, że kiedykolwiek ją przytuli. Zależało mu jednak, by się dowiedzieć, co tak naprawdę się z nią stało. Niestety, ślad po niej zaginął.

Tamtego dnia wracał z pracy, gdy zobaczył Sabinę. Jakże dawno jej nie widział! Chyba się nieco zmieniła. Wysmuklała i przez to jej niebieskie oczy stały się jeszcze wyraźniejsze, większe i bardziej błękitne.

– Sabina! – zawołał.

Naprawdę ucieszył się, że ją spotkał. Zreflektował się, że chyba jej unikał przez ostatnie miesiące. Wydawało mu się, że ona oczekuje od niego czegoś więcej, a ze względu na Rachelę było to przecież niemoliwe.

– Joachim? – Rozpromieniła się. – Jak miło cię zobaczyć!

– Nawet nie wiesz, jak mnie miło! – Pocałował ją w policzek. – Może wypijemy razem herbatę?

– Z przyjemnością. – Sabina uśmiechnęła się niepewnie.

Usiedli w kawiarni Danziger Hof, w której mogli przebywać tylko Niemcy.

– Co u ciebie słychać? – zapytał.

– Żyjemy z dnia na dzień. Jakoś sobie radzimy. Odkąd przyjęliśmy obywatelstwo niemieckie, jest lepiej.

– Ciężkie czasy dla każdego. Dla Niemców też.

– Ciężkie – przyznała. – Słyszałam, że twoi rodzice pojechali w głąb Rzeszy.

– Tak. Mieszkam teraz sam. Za duże to mieszkanie dla mnie… – Uśmiechnął się.

– Musisz się postarać o jakąś panią Schmidt – wyszeptała.

Joachim zesztywniał. Czyżby Sabina źle zrozumiała jego uwagę o zbyt dużym mieszkaniu?

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna i położyła swoją ciepłą dłoń na jego dłoni. – Przepraszam – powtórzyła. – Czasem człowiek plecie głupoty, a potem żałuje.

– Nie szkodzi. Czasem nawet ja chciałbym zapomnieć.

– Nic o niej nie wiadomo? – zapytała z troską.

– Nic. – Joachim pokręcił głową.

– Nawet twój ojciec nie mógł w niczym ci pomóc?

– Nie chcę o tym mówić – uciął.

Sabina westchnęła.

– Przecież to niemożliwe, by człowiek tak zniknął z dnia na dzień. – Otarła łzę z policzka. – Pamiętam, jak grała na pianinie… Miała takie smukłe palce, stworzone do muzyki fortepianowej.

Zauważyła wyraz twarzy Joachima.

– Joachimie, czas leczy rany. – Pogłaskała jego dłoń. – Kiedyś ten smutek minie, zamieni się w lekką melancholię, a będziesz pamiętał tylko najpiękniejsze momenty.

Siedzieli tak przez chwilę, wpatrując się w swoje pełne smutku twarze. Nagle Joachim poczuł, że coś się w nim zmieniło. Może Sabina miała rację? Może kiedyś będzie umiał kochać? Może faktycznie zaprosi do mieszkania jakąś panią Schmidt?

Uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję ci. Chyba pomagasz mi…

– W czym? – zapytała dziewczyna.

– W czym? – Zamyślił się. – Pomagasz w otwieraniu oczu na życie. Bo przez ostatni rok nawet nie zauważyłem, że poza moją rozpaczą jest jakieś życie. Dziś, pijąc z tobą herbatę, zobaczyłem

to po raz pierwszy od dawna. – Po chwili dodał: – Spotkamy się kiedyś jeszcze?

– Miałaś, mamo, rację – powiedziała Sabina, gdy wróciła do domu. Mama przez okno oczywiście zobaczyła, że jej córkę odprowadza jakiś wysoki i postawny mężczyzna.

– To, że miałam rację, to wiem, zawsze mam rację. Ale tym razem o co chodzi?

– Z Joachimem – odpowiedziała Sabina.

– A to był on? On cię odprowadził do domu? – Matka błyskawicznie się ożywiła.

– On – odparła Sabina zadziornie. – Spotkałam go dzisiaj przypadkiem.

– Przypadkiem?

– Tym razem przypadkiem.

– No dobrze, a w czym miałam niby rację?

– W tym, jak powiedziałaś, że za szybko próbuję go osaczać, że mam mu dać trochę czasu…

– I dałaś.

– Dałam. A dzisiaj? Zaprosił mnie na herbatę i chyba chce się jeszcze spotkać. – Uśmiechnęła się znacząco.

– Brawo! Będzie coś z tego?

– Nie wiem, ale chyba jest taka szansa.

– A o tej Żydówce coś wiadomo?

– Niestety nie – westchnęła dziewczyna.

– Dlaczego niestety? – zdziwiła się pani Neumann.

– Bo jakby wiadomo było, że nie żyje, miałabym chyba łatwiej – powiedziała beztrosko, stojąc przed lustrem i poprawiając fryzurę. – A tak będę musiała się bardziej pomęczyć, by go zdobyć.

– No cóż, jesteś wytrwała, tak jak ja. – Matka pogłaskała córkę po głowie. – Najważniejsze, że nikt nie stoi na twojej drodze. Po prostu trzeba chwilę poczekać, a wkrótce będziesz panią Schmidt. Sabina Schmidt… też ładnie.

4

W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Niemcy zajęli Danię, nie napotykając na zbyt wielki opór. Potem zaatakowali Norwegię, Belgię, Holandię, Luksemburg i Francję. W połowie maja skapitulowała Holandia, a dwa tygodnie później Belgia. Następnie Francja podpisała zawieszenie broni. U boku wojsk Francuzów walczyli także Polacy.

Nawet najwięksi optymiści powoli przestawali wierzyć w to, że Niemcy przegrają tę wojnę.

– Nic z tego, chyba jednak nie będzie łatwo pokonać Niemców – narzekał Alojzy Schulz. – Nawet ja straciłem nadzieję. – Westchnął cicho. – Syn nas opuścił, wojna się nie kończy. Nie jest jednak najgorzej, dopóki mamy dach nad głową. – Uśmiechnął się smutno do żony.

Jak mu potem wypomniała żona, powiedział to w złą godzinę. Kilka dni później do ich drzwi zapukał obcy mężczyzna. Kiedy pani Schulz otworzyła drzwi, zobaczyła, że w progu stał Niemiec, wymachujący dokumentem przydzielającym mu dom, w którym do tej pory mieszkali państwo Schulz. Wykwaterowano ich na ulicę imienia najbardziej znienawidzonej osoby na świecie – Adolf Hitler Strasse.

– Specjalnie nas tutaj chyba zameldowali – denerwował się Alojzy, stojąc na balkonie. – Byśmy widzieli ich siłę i jeszcze bardziej tracili nadzieję.

Ulicami przejeżdżały niemalże bez przerwy wojska niemieckie – ciężarówki załadowane wojskowym sprzętem i wozy zaprzężone w konie. Maszerowała piechota w pełnym rynsztunku. Mówiono, że Niemcy idą na wschód.

Dwudziestego drugiego czerwca nastąpił atak Niemców na ZSRR. Wieści o zwycięstwach armii niemieckiej były porażające. Gazety codzienne i ilustrowane tygodniki pełne były zachwytów nad zwycięstwami Wehrmachtu, zdjęć wraków czołgów i armat oraz pędzonych do niewoli Sowietów.

– Zima ich pogrąży – powiedziała stanowczo pani Schulz. – Delikatne niemieckie tyłki nie są przyzwyczajone do srogich zim na wschodzie. A mówię ci, Alojzy, ta zima będzie wyjątkowo mroźna! Z pewnością ktoś nad nami czuwa!

Pani Schulz miała rację. Wehrmacht ponosił coraz większe straty, szczególnie na froncie wschodnim. Oczywiście Niemcy dalej próbowali szerzyć propagandę zwycięstwa, jednak liczne nekrologi w codziennej prasie były naocznym dowodem porażki na wschodzie.

W „Der Danziger Vorposten", gazecie, która zawsze leżała w centralnym miejscu księgarni Kriedtego, najczęściej można było przeczytać przy nazwiskach poległych żołnierzy *Für Führer, Volk und Vaterland* – „Za Wodza, naród i ojczyznę". Docierały też pogłoski o transportach z frontu wschodniego rannych żołnierzy niemieckich – z odmrożonymi rękami, twarzami i stopami. Pani Schulz miała rację. Niemcy nie byli przygotowani na srogie rosyjskie zimy. A na przełomie lat tysiąc dziewięćset czterdzieści

jeden i czterdzieści dwa zima przyszła wcześnie i okazała się bardzo mroźna.

– Muszę być pewien, że to prawda – stwierdził ojciec Adeli, gdy Franciszek przyniósł mu od znajomego pracującego na dworcu wieści o rannych Niemcach jadących ze wschodu. – Zaraz przyjdę. – Wstał od stołu.

– Co jest prawdą? Co ty chcesz sprawdzać? Dokąd ty idziesz? – denerwowała się jego żona.

– Im mniej wiesz, tym lepiej – mruknął.

– Hipolicie! Nie wyrzuciłeś tego radia! Narażasz nas na niebezpieczeństwo! Jak możesz?

– Ostatni raz… – mruknął Hipolit.

– Idę też. – Franciszek wstał od stołu.

– Franek! – zawołała Adela.

Spojrzał błagalnie na żonę.

– Chodź, dziecko – westchnęła Helena z wyższością. – Napijemy się herbatki i będziemy się modlić, by nikt tych głupców nie nakrył. Bo chyba wszystko tylko w rękach Boga.

Hipolit z Franciszkiem poszli na strych, gdzie stało ukryte między belkami podtrzymującymi dach radio. Kiedy ziemniaki się skończyły, trzeba było je przenieść w inne miejsce. Długo nie mogli złapać stacji, w końcu nastawili wiadomości nadawane z Londynu. Wszystko wskazywało na to, że na całej długości frontu wschodniego Niemcy ponieśli dotkliwą klęskę. Właściwie można się było tego domyślić, bo działania Niemców tylko potwierdzały tę teorię. Wszystkie środki szły na armię, dlatego też

ograniczano przydziały żywnościowe dla cywilów, szczególnie dla tych, którzy nie byli Niemcami.

Hipolit i Franciszek po raz pierwszy od bardzo dawna poczuli, że przepełnia ich nadzieja.

Zdając sobie sprawę ze swojej słabości, wszelkimi metodami starano się zmusić Polaków do tego, by wstąpili w szeregi narodu niemieckiego. Niektórzy, jak Sabina Neumann i jej rodzice, zrobili to od razu, z innymi polskimi obywatelami nie było tak lekko. Oczywiście Niemcy stosowali różnego rodzaju naciski. W zależności od miejsca zamieszkania Polaków były one różne. W Wielkopolsce kierowano się w sprawach narodowościowych względami czysto rasowymi. Trzeba było zadać sobie dużo trudu i podjąć wiele starań, by zostać wpisanym na listę narodową. Natomiast na terenach Pomorza Gdańskiego, gdzie chciano niemieckiej armii zapewnić nową dostawę „mięsa armatniego", potrzebny był wielki hart ducha, aby oprzeć się akcji zniemczania. Albert Forster, namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, stawiał na zgermanizowanie jak największej liczby miejscowej ludności. Ta akcja dotyczyła również Grudziądza.

Od początku wojny urzędnicy odwiedzali domy i pod hasłem „spisu ludności" zbierali ankiety, które mogłyby się przysłużyć sprawie. Jednak niewielu było ochotników, którzy dobrowolnie decydowali się przyjąć obywatelstwo.

Czwartego marca czterdziestego pierwszego roku wydano rozporządzenie, które regulowało status prawny osób wpisanych, nadając im niemiecką przynależność państwową. Niemiecka lista

narodowościowa[3] miała za zadanie oddzielić prawdziwych Aryjczyków od tych, którzy nimi nie są. Składała się ona z czterech kategorii. Pierwszą stanowili Niemcy, którzy sprzyjali Trzeciej Rzeszy, do drugiej przyjmowano mniejszość niemiecką w Polsce, do trzeciej tych, którzy mieli choćby domieszkę niemieckiej krwi i przy tym oceniano ich jako łatwych do zniemczenia. Na terenach Pomorza Gdańskiego były to w zasadzie wszystkie osoby znające niemiecki lub posiadające nazwisko czy imię niemieckie. W ocenie hitlerowców gwarantowały one szybką „regermanizację". Czwarta grupa przeznaczona była dla Polaków pochodzenia niemieckiego, a także Polaków, którzy po pomiarach czaszki i innych badaniach uznani zostali za wartościowych rasowo. Pierwsze dwie grupy dostawały obywatelstwo automatycznie, a pozostałe warunkowo, wskutek indywidualnej decyzji urzędnika.

Każdej z czterech grup folkslisty przypisano inne przywileje. Oczywiście najkorzystniejsze, takie jak kartki żywnościowe z najwyższymi przydziałami oraz talony na szeroki asortyment różnych dóbr, przysługiwały osobom z grupy pierwszej i drugiej. Osoby te korzystały również z najwyższego stopnia obywatelstwa niemieckiego.

– Teraz będzie lepiej – powiedziała z nadzieją Adela.

– Lepiej? – zdziwił się Franciszek. – Zrobią z nas Niemców. Tylko dlatego, że znamy język.

– I nazywacie się Schulz – dodał pan Hipolit. – Chociaż my mamy polskie nazwisko i też nas wpisali na listę.

– Można się od tego odwołać do urzędu… – zaczął Franciszek.

– Joachim mówił, że to samobójstwo. Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie zrobi. Ty też nie możesz, Franciszku –

stwierdziła stanowczo Adela. – Zresztą jakbyśmy się sprzeciwili, to wszystko by nam zabrali, pozbawili wszelakich praw. Trzeba ratować życie i ten niewielki majątek, który posiadamy. Ale przede wszystkim życie.

Wieczorem, gdy leżeli już w łóżku, powiedziała cicho:

– Będzie więcej jedzenia. Będziemy inaczej traktowani. Mniej strachu…

– Może masz rację – niepewnie zgodził się jej mąż, chociaż nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Franek… A może… może pomyślimy o powiększeniu rodziny? Może właśnie teraz, kiedy wydaje się, że przez chwilę będzie nam lepiej? – Popatrzyła na niego z ufnością.

– Adelko… – Złapał ją za rękę.

– Kochanie… Przecież też tego chcesz… – Uśmiechnęła się i zaczęła rozpinać guziki koszuli nocnej.

– Ja chcę ciebie.

– Jedno drugiego nie wyklucza.

Adela usiadła na nim i nachyliła się. Spoglądał na jej opadające włosy, pełne usta i rozpiętą koszulę.

– Chyba mnie przekonałaś – westchnął. – A to akurat dzisiaj? – Przewrócił ją na plecy i zaczął podsuwać koszulę wyżej.

– Nie wiem. Możemy spróbować dzisiaj…

– I jutro… – dodał.

– Tak, i pojutrze.

– Pojutrze też – wymruczał, całując jej szyję.

– Codziennie.

– Taaak.

Kobiety od zawsze miały swoje sposoby, by przekonać mężczyzn do swoich marzeń.

Kochali się tej nocy beztrosko. Po raz pierwszy przyjmując wszelakie tego konsekwencje z uśmiechem. Byli pełni wiary w to, że kolejny rok przyniesie im spełnienie marzeń. W to, że wojna się szybko skończy, przestali wierzyć, ale byli pewni, że mimo tych zawirowań dziejowych można odnaleźć w życiu szczęście.

Myśleli o przyszłości, pełni nadziei. Wtedy jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że nic nie ma za darmo. Szczególnie podczas wojny. Obecność na liście narodowościowej dawała pewne przywileje, jednak na wszystkich wpisanych na DVL, zarówno na Niemcach, jak i na Polakach, ciążył ten sam obowiązek – służby wojskowej. Mężczyźni musieli iść na front.

O tym jednak na razie ani Adela, ani Franciszek nie wiedzieli.

[3] DVL – *Deutsche Volksliste*.

5

– Dobrze zrobiliście – przyznał Joachim – że wypełniliście wszystko.

Siedzieli wszyscy przy okrągłym stole w domu państwa Kotlińskich. Adela miała urodziny i postanowiła je świętować. Bo przecież kolejne mogły już nie nastąpić. Nie powiedziała o swoich obawach głośno, ale myślała o tym przez cały poranek.

Upiekła ciasto z mąki, której kilka worków jakimś cudem ostało się w piwnicy, i zaprosiła przyjaciół. Przyszedł jak zawsze Janek, którego traktowała niemalże jak brata, i Joachim w towarzystwie Sabiny. Może to dobrze, że pogodził się już z odejściem Racheli? W takich czasach dobrze mieć u boku kogoś, na kim można się wesprzeć. Na początku Sabina nie robiła na Adeli dobrego wrażenia, ale wojna chyba w niej coś zmieniła. Złagodniała i jakby stała się lepszym człowiekiem. Adela miała nadzieję, że Joachim będzie szczęśliwy. Zasługiwał na to.

– Dobrze zrobiliście – powtórzył Joachim. – Niemcy potrzebują Niemców.

– Na wojnę? – zaniepokoiła się Adela.

– Na wojnę też, ale również do pracy w przemyśle wojennym.

– Jak pracujemy w Unii, to nas nie wezmą? – zapytał Franciszek. – Przecież wiemy, co robimy. Po maszynach rolniczych nie ma już prawie śladu. Teraz części do łodzi podwodnych albo pociski.

– Tego nie wiem – odparł Joachim. – Mnie nie wysyłają, bo widocznie im jestem tutaj potrzebny. Albo ojciec macza w tym palce. Chociaż, co on może…

Pomyślał o Racheli. Sabina pogłaskała delikatnie jego kolano. Uścisnął jej dłoń.

– Trzeba się modlić. Szczególnie teraz – powiedziała pani Helena. – Modlić, byśmy codziennie zasypiali w takim samym składzie. Albo i większym. – Uśmiechnęła się.

– Mamo! – obsztorcowała ją Adela.

– Nic nie mówię. – Pani Kotlińska wzruszyła ramionami. – Ja już nic nie mówię.

Wstała i wyszła do kuchni. W pokoju zapadła cisza. Adela siedziała wpatrzona w talerz, a po chwili wyznała:

– Wydaje nam się, że rodzina nam się powiększy. – Złapała Franka za rękę i uśmiechnęła się.

– Kochana! Gratulacje! – Pierwsza podeszła do niej Sabina. – Tak bardzo się cieszę.

– My też się cieszymy, ale jesteśmy też pełni obaw.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał ich Janek.

Popatrzył na Franciszka z zadumą. Chciałby być na jego miejscu. Też ją kochał. Franciszka kochał jak brata i wtedy, na początku wojny, przed kinem, obiecał mu, że nie będzie walczył. Wystarczy, że na wojnie trzeba walczyć. Janek postanowił, że będzie obok, jako najlepszy przyjaciel dla nich obojga. Zawsze będą na niego mogli liczyć. Teraz będzie też mogła liczyć na niego kolejna osoba. Dziecko jego najlepszych przyjaciół.

– Kiedy się urodzi? – zapytał Joachim.

– Myślimy, że na początku roku już będzie nas więcej – poinformowała rozpromieniona Adela.

– Nic wcześniej nie powiedzieliście! – Sabina udawała obruszoną.

– Trochę się źle czułam i nie wiedziałam, jak to będzie. Jak się urodzi zdrowe, będziemy się chwalić.

– Dlaczego miałoby być inaczej? – zapytał Joachim. – Potrzebujecie czegoś?

– Spokoju – westchnęła przyszła mama.

– Tego nie mogę wam obiecać. Zresztą tego chyba nikt teraz nie może wam zagwarantować. Ale może się coś znajdzie dla przyszłej matki.

– Musisz teraz o siebie dbać. – Sabina uśmiechnęła się do Adeli. – Jakbyś czegoś potrzebowała, pamiętaj, że jestem.

– Wszystko mamy… Mamy siebie, rodzinę, a także przyjaciół. Jak człowiek nie jest sam, to zawsze sobie poradzi. Niezależnie od okoliczności. – Znowu złapała męża za rękę. – Prawda, kochanie?

Ten tylko popatrzył na nią z miłością i skinął głową.

Franciszek odprowadził wychodzących gości, a Adela została w domu.

– Ogarnę trochę i się położę. Nie mam ochoty na spacer, ale ty idź się przejść. – Pocałowała męża w policzek. – Dziękuję, że świętowaliście ze mną ten dzień. Mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat będziemy się spotykać w tak miłych okolicznościach.

– Na pewno – powiedział Jan.

Pożegnali się z solenizantką i jeszcze chwilę szli wszyscy razem. Przed piekarnią, nad którą mieszkał Jan, zatrzymali się i pogadali chwilę. Joachim i Sabina poszli dalej, a Franciszek z Jankiem jeszcze rozmawiali.

– Nie chciałem ci o tym wcześniej mówić… – bąknął Janek. – Nie przy Adeli.

– Coś się stało?

– Andrzej Rybowski.

– No tak, był w klasie wyżej. Co się stało?

– Cała rodzina znalazła się w Stutthofie. A on gdzieś blisko frontu, na robotach – poinformował Janek.

– Dlaczego?

– Bo ośmielił się powiedzieć, że nie czuje się Niemcem.

– Oni mieli taki ładny dom… – Franciszek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Wszystko rozgrabione. Nie ma już nic, jakby nigdy ich tam nie było.

Franciszek westchnął.

– Mówię ci to dlatego, byś siedział cicho. Teraz nie może się ani wam, ani mnie nic stać.

– Będę siedział cicho – obiecał Franek.

– A twój ojciec? Zawsze powtarzał, że nie będzie Niemcem.

– Tak naprawdę to nie wiem. Ale ankietę wypełnił. Nie mam z nim w zasadzie kontaktu. Nie akceptuje mojego małżeństwa…

– Franek, wnuka będzie miał! Myślisz, że to nie zmieni jego świata i nie zmiękczy go trochę?

– Naprawdę nie wiem…

– Jak będziesz mógł, powiedz mu, że ci, którzy odmawiają przyjęcia listy narodowej, mogą być wysiedleni na teren Generalnego Gubernatorstwa. Stracą wszystko, co mają. Albo, tak jak rodzina Andrzeja, znajdą się w obozie czy na robotach.

– Czuję się wrogiem ojczyzny – mruknął Franciszek. – Jakbym był zdrajcą.

– Jeżeli będziesz protestował, narazisz swoją rodzinę na śmierć. Będziesz wtedy wrogiem swoich najbliższych. Co jest gorsze?

– Nie narażę Adeli na niebezpieczeństwo. Tym bardziej teraz.

– Masz odpowiedź – powiedział smutno Jan.

– A jak u ciebie? Pojawił się ktoś, z kim chciałbyś spędzić życie?

Janek wyraźnie posmutniał. Bo co miał powiedzieć? Że taki ktoś pojawił się już dawno? I że na dodatek jest żoną jego najlepszego

przyjaciela? O czym miałby opowiadać? O tych kobietach, z którymi czasem próbował uwierzyć w miłość, ale rozmyślał się, zanim doszło do czegokolwiek albo tuż po tym, gdy właśnie do czegoś doszło? Może miałby mówić o tym, jak budził się u boku kobiety i wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedział, że nie chce tak dalej żyć? Że kobieta leżąca obok niego, choćby była nawet najpiękniejsza, nie była tą, z którą by chciał spędzić życie?

Nie chciał o tym mówić nawet przyjacielowi, a może szczególnie jemu. Wstydził się tych swoich „podbojów". Za każdym razem miał nadzieję, że jednorazowa przygoda zamieni się w wielkie uczucie. Niestety, nigdy tak się nie stało. Zamiast wielkiej miłości pozostawał wielki niesmak i zawiedzione nadzieje. I po jego stronie, i po stronie kobiet, których naprawdę nie chciał ranić.

Wciąż szukał. I wciąż nie mógł znaleźć. Chyba już nadszedł czas się z tym pogodzić i wreszcie przestać szukać.

Sabina z Joachimem zatrzymali się przed domem, w którym mieszkał mężczyzna. Do Sabiny trzeba było jeszcze iść kawałek, a potem skręcić w prawo, w Festungstrasse[4].

– Nie odprowadzisz mnie do domu? – zapytała ze zdziwieniem, bo wyraźnie kierował się do siebie.

Joachim złapał ją za rękę.

– Chodź.

– Gdzie mam iść?

– Do mnie. – Zmrużył oczy.

– Zapraszasz mnie na herbatę? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– Można to nazwać herbatą. – Spojrzał na nią porozumiewawczo. – Bo gdybyś chciała, to herbatę też możemy wypić.

– Joachimie, o czym ty mówisz?

– Chodź – ponaglił ją i przytulił. – Jak chcesz, to wypijemy tylko herbatę. Chyba po prostu chciałbym dzisiaj z kimś być.

Sabina pokiwała głową. Warto było czekać. Cierpliwość popłaca.

– Chętnie… napiję się z tobą herbaty. – Spojrzała mu w oczy.

– To idziemy. – Pociągnął ją w swoją stronę.

Weszli do kamienicy. Joachim w milczeniu otworzył drzwi do mieszkania. Sabina zdjęła beret, płaszcz i powiesiła na haczyku w przedpokoju. Joachim wszedł do kuchni, by przygotować napój. Po chwili dołączyła do niego Sabina. Odwrócił się do niej. Stała uśmiechnięta w drzwiach. Nie musiał jej dotykać, by poczuć, jaka jest miękka i gładka. Nie chciał tej herbaty, patrzył na nią i czuł, że coś się zmieniło w jego życiu. Nie to, że nie tęsknił za Rachelą. Tęsknił. Nadal ją kochał, ale zdawał sobie sprawę, jakie są wojenne realia. Gdyby żyła, zdołałby ją już odnaleźć. Niestety do tej pory mu się to nie udało. Nie chciał kolejny raz prosić ojca. Ostatnia prośba skończyła się awanturą.

– Synu, nie mogę ratować każdego cholernego Żyda! – krzyczał ojciec.

Joachim przyszedł do niego w tej sprawie do pracy, chwilę przed tym, zanim ojciec wyjechał w głąb Rzeszy. Chciał załatwić sprawę po cichu.

– Jak w ogóle możesz myśleć, że zrobię coś takiego?! – wrzeszczał, jakby chciał, by o jego antysemickich poglądach dowiedział się cały świat.

Wtedy Joachim po raz kolejny w swoim życiu postanowił, że nie chce z tym człowiekiem mieć nic wspólnego. Nie wierzył, że jego mądry, inteligentny ojciec dał się tak omotać Hitlerowi. Matka próbowała go przekonać, że to wcale nie jest tak, jak on myśli, że

jest zupełnie inaczej, że Reiner jest porządnym człowiekiem, ale Joachim nie chciał tego słuchać.

Był ciekaw, gdzie teraz są jego rodzice. A właściwie nie rodzice… Był ciekaw, gdzie jest jego matka. Ojca przecież nie miał.

Joachim spoglądał na Sabinę. Mierzył ją wzrokiem od góry do dołu. Podobała mu się. Aż był zaskoczony, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegł. Może nie była ideałem piękna, ale pociągała go. Miała długie, jasne loki i duże usta, jakby stworzone do pocałunków. Jej sukienka opinała się na obfitym biuście. Joachimowi zdawało się nawet, że gdy Sabina głębiej odetchnie, to wszystkie guziki poodpadają, odsłaniając smukłą talię i mocne uda. Nie miałby nic przeciwko, by tak się właśnie stało. Miał ochotę się wtulić w te piersi, by zapomnieć… zapomnieć o wszystkim, co do tej pory zabrała mu wojna. By zapomnieć, co wojna zabrała całemu światu i nie myśleć o tym, co będzie za chwilę.

Joachim podszedł do Sabiny. Sięgała mu ledwo do ramienia.

– Nie mogę czekać – powiedział. – Nie chcę czekać.

Zerwał z niej sukienkę i zaczął gwałtownie rozpinać swój mundur. Ciężko oddychając i rozbierając się wzajemnie, poszli w stronę sypialni, gubiąc po drodze różne części garderoby. Nie mógł się doczekać, kiedy jej okazałe piersi uwolni ze stanika, kiedy zedrze z niej całą bieliznę i przytuli się do ciepłego, miękkiego i, wydawałoby się, złotego ciała.

Sabina nie protestowała. Od dawna czekała na tę chwilę. Chyba od momentu tamtego balu, który wydawał się być tak dawno temu. W odległych, beztroskich czasach.

– Pomożesz mi się z tym uporać? – zapytał cicho, pokazując na pończochy i pas.

Sabina się roześmiała.

Chyba kochał jej śmiech. Był taki beztroski, brzmiał tak radośnie w tych smutnych czasach! Potrzebował tej radości! Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś to nastąpi. Chciał natychmiast być tak blisko niej, jak tylko było to możliwe, zanurzyć w niej twarz, całować ją od stóp do głów.

Kochali się szaleńczo, szybko, jakby zaraz świat miał się skończyć, jakby Joachim chciał nadrobić to, z czym tak długo zwlekał. Miał ochotę płakać i się śmiać. Czuł, jakby wszystkie emocje, które nagromadziły się w nim podczas tej wojny, miał podczas tego seksu wypuścić w świat.

Sabina poddawała się jego pocałunkom, odwzajemniając je i przejmując inicjatywę. Nie spodziewał się tego.

Po wszystkim leżeli wyczerpani. Joachim zapalił papierosa i wymieniali się nim bez słów. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie chciał jej przepraszać, bo nie uważał, że ją wykorzystał. Tak samo go chciała, jak on jej. Nie chciał też wyznawać jej miłości, bo nie był przekonany, co tak naprawdę do niej czuje. Na to było jeszcze zbyt wcześnie.

Nie wiedział, dlaczego zdecydował się na ten szaleńczy krok. Może atmosfera domu Adeli i Franciszka tak go zaczarowała, że też zapragnął takiej normalnej bliskości. Czułości, pocałunku i obecności kobiety. I jej zapachu. Odłożył papierosa i wtulił się w zagłębienie jej szyi. Jak ona pachniała… Ten zapach działał na niego tak, że chciał się z nią kochać natychmiast po raz drugi.

– Sabinko… – zaczął. – Ja nie wiem…

– Ciii… – uciszyła go, kładąc palec na jego ustach. – Jeżeli nie wiesz, nie mów nic. Zostawmy to tak, jak jest.

Kiedy odwróciła się do niego, zsuwająca się pościel odsłoniła jej piersi. Nie zakryła się, gdy zauważyła, że patrzył na nią zachłannie. Wręcz przeciwnie, zrzuciła z siebie kołdrę i leżała naga, pozwalając się dokładnie obejrzeć.

– Jesteś piękna – powiedział Joachim.

Leżał obok niej i gładził ją po złotym, jasnym brzuchu, bawił się delikatnymi jasnymi włoskami rosnącymi poniżej. Była taka inna od Racheli. Zresztą już prawie nie pamiętał, jak Rachela wyglądała nago. Widział ją taką tylko raz, a i wtedy wstydliwie zakrywała swoje wdzięki. Wspomnienia zamazały się, pewnie niedługo znikną zupełnie. Cieszył się, że Sabina wyglądała inaczej. Nie chciał ich porównywać. Nigdy.

Wtulił się jeszcze raz w jej piersi, przytulił ją mocno, jakby nie chciał, by mu tej nocy uciekła, i zasnął.

Sabina spoglądała na niego spod przymkniętych powiek. Bała się ruszyć, by go nie obudzić. Serce biło jej jak oszalałe, ze szczęścia, z satysfakcji, że to, na co tak długo czekała, co tak dokładnie sobie zaplanowała, wreszcie nadeszło. Spełniło się jej marzenie. Uśmiechnęła się do siebie. Warto było. Niezależnie od tego, co wydarzyło się po drodze i niezależnie od tego, jaką cenę musieli za jej szczęście zapłacić inni.

Było warto…

Pogładziła Joachima, który leżał na jej piersi, niczym na miękkiej poduszce. Wiedziała, że gdy raz jej zakosztował, nie będzie chciał zrywać innych jabłek. Była tego pewna.

[4] Dawna Forteczna.

ROZDZIAŁ VI

There's so many different worlds,
So many different suns
And we have just one world,
But we live in different ones.

Dire Straits, „Brothers in Arms"
Autor tekstu: Mark Knopfler

1

W sylwestra tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, gdy wszyscy przygotowywali się na przyjście nowego roku, na świat szykował się potomek Adeli i Franciszka. Już w południe Adeli odeszły wody. Franciszek wezwał akuszerkę.

– Spokojnie – mówiła, gdy ten ją popędzał. – Zanim się urodzi, całą chałupę zdążyłabym posprzątać i dzieci oprać. No, nie stercz pan tak nade mną, muszę się przygotować! Zdążymy!

Franciszek nie mógł znieść myśli, że jego żona cierpi. Jak to w ogóle można nazwać cudem narodzin? To naprawdę musiała być kara za grzech pierworodny, tylko, do cholery, czemu tę karę musiała ponosić jego żona?

Gdy wszedł do domu, usłyszał krzyk Adeli. Wbiegł do pokoju. Chodziła wokół stołu i śpiewała wojenne piosenki. Spojrzał pytająco na jej matkę.

– To jej pomaga – powiedziała, gdy ta nuciła o ułanach.

Niezbyt rozumiał, jak śpiewanie pieśni patriotycznych mogłoby pomóc komukolwiek w czymkolwiek, ale jeżeli jego ukochana miała dzięki temu szybciej urodzić, mógł śpiewać wraz z nią.

Po czternastu godzinach, kiedy już zaczęli śpiewać piosenki po niemiecku, gdyż takie dziwnym trafem zagrzewały Adelę bardziej do walki i przynosiły jej dużo siły, urodziła się córeczka. Zmęczony

chyba bardziej niż żona Franciszek nucił akurat lekko sprośny biesiadny niemiecki szlagier *Ein Heller und ein Batzen*. Nigdy w życiu by nie przypuszczał, że akurat refren *Heidi, heido, heida*… będzie towarzyszył narodzinom jego pierworodnej córki. Cóż, najważniejsze, że już po. I wszystko skończyło się dobrze.

Marianna była bardzo pogodnym dzieckiem, Adela z kolei – wymarzoną matką. Radzili sobie w tym wojennym czasie lepiej, niż mogłoby się wydawać. Franciszek chodził do pracy, świeżo upieczona babcia rozpieszczała swoją wnuczkę, dając tym samym nieco wytchnienia młodej mamie. Nic nie zwiastowało tego, że wkrótce będą musieli się rozstać. Bo co miałoby niby zwiastować? Wszyscy zaadaptowali się do życia w wojennym Grudziądzu i nawet przez chwilę poczuli pewnego rodzaju stabilność w tym jakże niestabilnym wtedy świecie.

2

Wraz z pogorszeniem się sytuacji Niemców na frontach z początkiem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku wzrosło zapotrzebowanie na młodych, sprawnych mężczyzn. Brakowało żołnierzy, ale także siły roboczej. Pod presją wzrastających potrzeb militarnych i gospodarczych wydano więc kolejne zarządzenia w sprawie wpisywania na niemiecką listę narodowościową. W myśl okólnika komisarza Rzeszy z dnia dwunastego lutego nazwiska osób uchylających się od tego obowiązku miały być podawane do wiadomości miejscowej policji. Niedopełnienie tego polecenia w ciągu ośmiu dni mogło skutkować aresztowaniem i wywózką do obozu koncentracyjnego.

Również odezwa Forstera z dwudziestego drugiego lutego, mówiąca, iż wszyscy, którzy odrzucą niemiecką listę narodowościową, będą traktowani na równi z najgorszymi wrogami narodu niemieckiego, była próbą zastraszenia społeczeństwa polskiego i osób uchylających się od przyjęcia niemieckiej narodowości. Wskutek tego podpisywanie folkslisty nabrało charakteru bardziej masowego. Wedle tej odezwy ludność przypisana do trzeciej grupy automatycznie dostała obywatelstwo, ale tylko warunkowo, na dziesięć lat. Ludzie ci nie musieli się już obawiać utraty mienia, ale młodzi z tą kategorią trafiali na front. Według prawa tylko obywatel Trzeciej Rzeszy mógł służyć w Wehrmachcie.

– Musicie się stawić z całą rodziną w hotelu Danziger Hof – zakomunikował kierownik Jankowi i Franciszkowi, kiedy pewnego wieczoru wychodzili już z pracy. – Jutro o trzynastej.

– Ale po co? – zdziwił się Janek.

– Przyjedzie delegacja z Gdańska. Musicie być obecni. Obowiązkowo – dodał.

Gdy Franciszek wrócił do domu i powiedział o tym Adeli, ogarnął ją strach.

– Takie spotkania nie kończą się niczym dobrym – stwierdziła jego żona. – Módlmy się, byśmy wszyscy stamtąd wrócili.

Rano Franciszek, Adela i jej rodzice oraz Janek, ubrani w najlepsze stroje, udali się do hotelu przy Starym Rynku. Przy wielkim stole siedziało kilku mężczyzn. Wszyscy bacznie obserwowali wchodzących, potem pozwolili usiąść naprzeciwko, a sami zajęli się sprawdzaniem metryk, które otrzymali. Potem zadawano pytania. Franciszek i Jan zastanawiali się po co, skoro i tak wszystko wypełnili już w ankiecie, którą dostali na początku wojny. Nawet pytali o to, jak się pracuje w fabryce Ventzki-Unia.

– Bardzo dobrze – odparł Franciszek.

– A co tam robicie? – zapytał nieznajomy mężczyzna.

– Jesteśmy mechanikami – odpowiedział zgodnie z prawdą Franek.

Jeden z mężczyzn skrupulatnie coś zapisywał.

Potem zadano pytanie, na które chyba nikt nie chciał odpowiadać.

– Czy chciałby pan wstąpić do armii niemieckiej? – zapytał mężczyzna siedzący pośrodku, patrząc Franciszkowi w oczy.

W tym momencie Marianna się rozpłakała. Adela zaczęła ją kołysać, próbując uciszyć. Franciszek powiedział, że wstąpiłby do niej tylko wtedy, gdyby mu grozili śmiercią. Dziecko darło się wniebogłosy, więc tę odpowiedź usłyszał tylko stojący najbliżej Jan. Nieznacznie pokręcił głową.

– To nie miejsce na takie rozmowy – powiedział cicho.

– A pan? – mężczyzna zapytał Jana.

– Wydaje mi się, że jesteśmy dobrymi fachowcami i bardziej się przydamy w fabryce – odrzekł wymijająco. – Bez uzbrojenia żadna wojna nie będzie wygrana. A tym się tam zajmujemy.

Potem dalej zadawano pytania, dokładnie takie same, jak w ankiecie ze spisu ludności.

– Dzięki Bogu wyszliśmy! – westchnęła z ulgą pani Helena, gdy opuścili budynek. Przeżegnała się.

– Sprawdzają nas – jęknęła Adela, wyraźnie zdenerwowana.

– Ale co mogą sprawdzać? – zapytała jej matka.

– Może… na przykład czy znamy niemiecki.

– Nie wiem, co trzeba by zrobić, by się przez te ostatnie lata nie nauczyć niemieckiego – bąknął Janek. – Zresztą my umiemy go ze szkoły.

– Mówisz lepiej niż niejeden Niemiec. – Franciszek poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Chyba jeszcze chcieli na nas popatrzeć – mruknęła pani Helena. – Czy jesteśmy wystarczająco ładni, by pasować do ich idealnego wyobrażenia niemieckiego obywatela – zadrwiła.

– Jestem ciekawy, czy zdaliśmy ten egzamin. – Jan zamyślił się na chwilę. – I jestem ciekawy, co będzie oznaczało, gdy go zdamy.

Testowali ich jeszcze wielokrotnie. Na początku lutego i potem w kwietniu. W kwietniu też „zaproszono” Jana i Franciszka na ćwiczenia wojskowe. Wtedy po raz pierwszy ich zaniepokoiło, dlaczego biorą na te ćwiczenia Polaków.

– Wszystkich biorą, jak leci – stwierdził Janek. – Przecież nie będą nas zabierać z fabryki. Jesteśmy tam niezastąpieni!

Kwietniowa komisja zadecydowała, że zarówno Jan, jak i Franciszek oraz ich rodziny są typowymi przedstawicielami rasy germańskiej. Kilka dni później wszyscy otrzymali zielone legitymacje ze zdjęciem. Wtedy też zaproszono wszystkich, którzy pomyślnie przeszli te liczne testy, na uroczystość nadania niemieckiego obywatelstwa. Były przemowy patriotyczne, chwalące Hitlera i rozsławiające jego niemiecką, a w zasadzie międzynarodową potęgę.

– Powinniśmy im pewnie za to jeszcze podziękować – zadrwiła Adela, gdy jakiś żołnierz nastawił płytę z niemieckim hymnem. Marianna się rozpłakała, więc Adela wraz z matką opuściły salę.

Po hymnie wszyscy podnieśli ręce w geście *Heil Hitler*. To był pierwszy raz, kiedy Jan i Franciszek pozdrowili Hitlera. Obaj czuli się z tym okropnie.

– Powiedz mi, jaki oni mieli w tym cel? – zapytała Adela, gdy kolejnego wieczoru szli spać.

– Potrzebują więcej Niemców – stwierdził Franciszek.

– Chyba jako mięso armatnie! Bo po cóż innego? Przecież nie po to, by się pochwalić potem w „Der Danziger Vorposten”, że wprawdzie wielu obywateli zginęło, ale za to jest wielu nowych.

– Będzie lepiej, kochanie – uspokajał ją mąż. – Teraz naprawdę powinno nam się żyć łatwiej.

– W czym będzie lepiej? Czy ty naprawdę sądzisz, że wystarczy zaśpiewać hymn niemiecki i podnieść rękę, by żyło nam się lepiej? – Zirytowała się. – To od razu uczyni nas szczęśliwszymi? Mówię ci, oni mają w tym jakiś cel.

– Przesadzasz! – zdenerwował się Franciszek.

– Franek, nie wiem, co się stało, ale straciłeś swą czujność! – jęknęła rozpaczliwie Adela. – Oni naprawdę nie robią tego, by nas uszczęśliwić.

Franciszek myślał dokładnie tak samo, jednak nie chciał niepokoić Adeli. Rozmawiał o tym wielokrotnie z Jankiem. Obaj zdawali sobie sprawę, że wyjazd na front zbliża się nieuchronnie. Organizacje podziemne zalecały, by wszyscy stwarzali wrażenie uległości wobec okupanta, wtedy straty będą najmniejsze. Tak samo mówiono w radiu BBC, którego ojciec Adeli wciąż słuchał w konspiracji.

Potem spełniły się najczarniejsze przewidywania Adeli. Jej mąż oraz najlepszy przyjaciel zostali zaproszeni na komisję poborową.

– Co teraz? – zapytał Jan.

– Pójdziemy i zakończymy tę wojnę. – Franciszek wzruszył ramionami.

– W armii wroga?

– W armii wroga – potwierdził z rezygnacją.

– Pewnie nas wyślą na front wschodni. Tam ginie najwięcej Niemców.

– Tam wrogiem jest mróz, nie tylko Sowieci.

Wracali przygarbieni. Franciszek zastanawiał się, jak ma teraz powiedzieć żonie, że to, czego się tak obawiała, nastąpi lada dzień.

W oddali ujrzeli nadchodzącego policjanta. Było już po zmroku, więc dopiero gdy był blisko, zobaczyli, że to Joachim.

– Dawno was nie widziałem! – ucieszył się.

– I pewnie znowu długo nas nie zobaczysz – westchnął Janek.

– A co się stało?

– Chyba biorą nas na front. Właśnie wracamy z komisji poborowej.

– Niedobrze… Ale nie wezmą was tak od razu. – Joachim pokręcił głową. – Najpierw traficie na szkolenie do Niemiec.

– A potem pewnie na wschód. – Franciszek wzruszył ramionami.

– Zanim odbędziecie to szkolenie, to wojna się skończy – uspokajał ich Joachim. – Wrócicie do domów i wreszcie zacznie wszystko być normalne.

– Wierzysz w to? – zapytał Janek. – Wierzysz w to naprawdę?

Joachim nic nie odpowiedział. Patrzył w zupełnie inną stronę. Bardzo chciał w to wierzyć, ale wszystko wskazywało na to, że nie będzie tak optymistycznie. Miał tylko nadzieję, że po tej wojnie, kiedykolwiek ona się zakończy, spotkają się znowu w takim samym składzie. Już dosyć tych strat. Więcej nie trzeba.

Kolejne dni na szczęście nie przynosiły złych wieści. Marianka uśmiechała się do taty, gdy tylko go widziała, co powodowało, że jeszcze bardziej miał dość tej wojny i z jeszcze większą niechęcią myślał o jakimkolwiek rozstaniu. Dni mijały, a nie było żadnych skutków stawienia się przed komisją poborową.

– Może nas nie wezmą – łudził się Franciszek. – Może byliśmy zbyt mało niemieccy?

– Lepiej się, Franek, przygotuj. – Janek był bardziej sceptyczny. – I przygotuj też na to rodzinę.

Franciszek nie potrafił… nie potrafił powiedzieć Adeli, że nagle wyjedzie, zostawi ją samą z dzieckiem i być może już nigdy nie

wróci. Jak miał jej to przekazać? Wyjazd na front to nie sanatorium. To niebezpieczna wyprawa, w której przetrwają nieliczni. Nawet nie ci najlepsi, tylko ci, co po prostu będą mieli szczęście.

Miał nadzieję, że on będzie należał do tych wybrańców.

Nie musiał nic mówić Adeli. Ona wiedziała. Gdy wrócił z pracy, zastał ją siedzącą w fotelu, z Marianną w ramionach, i bez słowa kiwającą się to w jedną stronę, to w drugą.

– Co się stało? – zapytał.

Adela pokręciła głową i wciąż milczała.

– Co się stało? – powtórzył.

– Spójrz… – Wręczyła mu jakiś dokument.

Zobaczył, że w oczach miała łzy.

– Co to jest? – Przeczytał i pobladł. Na razie szczęście mu nie sprzyjało. W ręku trzymał nakaz stawienia się za tydzień w koszarach przy ulicy Kulmerstrasse.

– Co my teraz zrobimy? – jęknęła Adela.

– Nie wiem, kochanie. Nie wiem… – Franek westchnął ciężko. – Chciałbym powiedzieć ci, że wszystko jest w porządku, że damy sobie radę. I ty, i ja… Ale tego po prostu nie wiem. Najgorsze jest nieznane. Chciałbym cię jakoś pocieszyć, ale nie potrafię. Boję się patrzeć w przyszłość, nawet tę najbliższą. Chciałbym zamknąć oczy, nic nie pamiętać i po prostu obudzić się po wojnie.

3

– Kiedy kupowałem tę porcelanę w niezapominajki, wierzyłem, że będziemy z niej pili herbatę do końca życia – powiedział Franciszek, trzymając pełną aromatycznego napoju filiżankę w dłoniach. – I nadal chcę ją pić do końca życia, ale naprawdę nie chcę, by to nasze życie tak szybko się zakończyło. – Pokręcił głową. – Adela, ja naprawdę jeszcze nie jestem gotowy na umieranie.

– Franek… – Żona przycupnęła przy nim. – Nikt nie mówi o umieraniu!

Siedzieli przy dużym, okrągłym stole. Przed nimi stały dwie jednakowe filiżanki. Dowód ich miłości. Nietypowy wojenny prezent zaręczynowy, z którym mieli iść przez życie.

– Zaczekaj… To ostatnia nasza wspólna noc. – Złapał żonę za rękę. – Chciałbym z tobą porozmawiać, chciałbym się z tobą kochać, chciałbym z tobą wszystko…

– Franek, powinieneś się wyspać.

– Kto mógłby spać w takiej chwili? Czy gdyby ktoś ci powiedział, że jutra może nie być, chciałabyś zasnąć?

Adela pogłaskała zamyślonego męża po policzku.

– Chciałbym dzisiaj wcale nie zasnąć, by nie stracić żadnej chwili z tobą i z Marianką – mówił dalej.

– Nie wiesz, co cię jutro czeka – powiedziała cicho Adela. – Może siły będą przydatne i lepiej, jakbyś był wypoczęty.

– Nie wiem… – przyznał Franek. – Własne łóżko kusi. Ale, jak już mówiłem, szkoda czasu na spanie.

Marianna cicho zapłakała.

– Poczekaj, nakarmię ją. – Podniosła córkę z kołyski i przyłożyła do piersi. Mała natychmiast się uspokoiła.

– Mógłbym na was patrzeć godzinami. – Uśmiechnął się Franek. – Jak zamknę oczy, gdziekolwiek będę, będę sobie ten obrazek przywoływał w pamięci. Nigdy go nie zapomnę. Prawda?

– Mam nadzieję, że będziesz go wielokrotnie jeszcze widział na żywo.

– Dzieci tak szybko rosną. – Pogłaskał córkę po główce. – Ona już nigdy nie będzie taka mała jak dziś.

– Ale będzie starsza. No i pewnie jeszcze będziemy mieli inne dzieci. Będziesz z nimi od początku ich dni.

– Naprawdę w to wierzysz? – zapytał z nadzieją.

– Wierzę – stwierdziła Adela z największą pewnością w głosie, na jaką mogła się zdobyć.

Nawet przed samą sobą nie odważyłaby się przyznać, jak słaba była jej wiara.

– Adela, powiedz, czemu oni nam to robią? Czemu rozbijają rodziny, zabierają ojca dzieciom? Po co? Przecież już wszyscy przestali rozumieć, o co chodzi w tej cholernej wojnie. A w zasadzie nigdy tego nie rozumieli! Przecież to w ogóle nie jest istotne dla zwykłych ludzi! Dlaczego Hitler się bawi nami jak pionkami na szachownicy? Przestawia je po swojemu i kompletnie go nie obchodzi, jak się któreś pogubią, bo wie, że może sobie wziąć nowe…

– Franek, wiesz, że nie umiem ci odpowiedzieć na to pytanie. Choćbym nawet bardzo chciała. Ja też nie rozumiem tego świata.

– Opowiesz jej o mnie? – zapytał cicho, wskazując na córkę.

– Franek!

– Powiedz tylko, opowiesz? Jak wyglądałem, jakim byłem człowiekiem? Co lubiłem robić, o tym, że zawsze zrywałem ci niezapominajki?

– Franek, niezapominajki to nawet jej mogę pokazać. Suszę je wszystkie między stronami książek. Wiesz przecież. Teraz razem będziemy je suszyć. – Uśmiechnęła się, za wszelką cenę starając się nie rozpłakać. – O wszystkim jej opowiem.

– Nawet o tym, że nie umiałem pływać? – Zmarszczył brwi.

– Nawet o tym. – Roześmiała się. – Będziesz kiedyś uczył naszą Mariankę. Po wojnie.

– Po wojnie pojedziemy na wakacje – rozmarzył się Franciszek. – Nad morze?

– Możemy jechać nad morze. Będziemy skakać przez fale.

– I będę budował z Marianną zamki z piasku – powiedział, snując swoje marzenia. – I może jeszcze będziemy mieć syna?

– Będziemy. – Odłożyła delikatnie córkę do kołyski. – Doleję ci herbaty. – Skierowała kroki w stronę kuchni.

– Zostań. Nie chcę cię tracić z oczu choćby na minutę. – Powstrzymał ją.

– Dobrze. Ale wyobraź sobie, że zamkniesz na chwilę oczy, a gdy je otworzysz, znowu będziemy razem. Ta wojna nie może trwać wiecznie!

– Gdybym wiedział, kiedy wrócę, mógłbym odliczać dni. Zaznaczać sobie upływ czasu gdziekolwiek. Jak więzień. Ale nawet tego nie wiem… I nie wiem tego, czy w ogóle kiedykolwiek wrócę.

– Nie mów tak! Wrócisz… Na pewno wrócisz. Obaj wrócicie – dodała po chwili. – Dobrze, że Janek jedzie z tobą.

– Nie, to nie jest dobra wiadomość. – Zrozpaczony Franciszek pokręcił głową.

– Dlaczego? Będziesz miał przy sobie kogoś bliskiego!

– Bo nie będzie go tutaj. Kiedyś mi obiecał, że jeżeli cokolwiek mi się stanie, zaopiekuje się tobą.

– Same musimy sobie dać radę – odparła Adela. – A zresztą są przecież jeszcze rodzice. Wzajemnie sobie pomożemy.

– Oni nie są coraz młodsi. Niedługo opieka nad nimi będzie też twoim obowiązkiem.

– Dam sobie radę – zapewniła. – No i jest jeszcze Joachim. On też mi pomoże w razie czego.

– Dopóki jego nie wyślą na front.

– Może już nikogo nie wyślą. Może się Hitlerowi w końcu ta wojna znudzi!

– Nie wiem, Adela. Ten wariat nie wygląda mi na takiego, co szybko nudzi się swoimi zabawkami. Boję się, że będzie się nimi bawił, aż wszystkie się mu zupełnie zniszczą albo pogubią.

– Musicie się wzajemnie wspierać. Obiecujesz mi to?

– Nie wiadomo, czy cały czas będziemy razem. To jest wojna, kochanie. Możemy być wiele kilometrów od siebie. Nie jest powiedziane, że nas wyślą w to samo miejsce.

Adela westchnęła.

– Każdy z was musi o siebie dbać. I starać się przeżyć. I… wrócić do nas.

Tamtej nocy naprawdę starali się nie zasnąć. Długo rozmawiali, a potem niespiesznie się kochali, dotykając swoich ciał centymetr po centymetrze, jakby chcieli na zawsze zapamiętać wszystkie, nawet te mniej dostępne zakamarki.

– Kocham cię – wyszeptał Franciszek, kiedy nad ranem leżeli wtuleni w siebie. – Zawsze będę cię kochał.

– Też cię kocham.

– Będziesz na mnie czekała? – zapytał, patrząc żonie w oczy.

– Będę. Będę na ciebie czekała, aż wrócisz.

– A jak wrócę, usiądziemy razem i spokojnie napijemy się herbaty z naszych filiżanek. Obiecujesz?

– Obiecuję.

4

Zewsząd nadchodzili młodzi mężczyźni. Wyglądało to przerażająco, jakby z każdej strony w stronę koszar szli wszyscy mieszkańcy Grudziądza i okolic. Głównie mężczyźni ubrani w swoje najlepsze ubrania, smutne kobiety z dziećmi na rękach, matki płaczące nad losem swoich synów, którzy ledwie przestali być dziećmi, a już musieli stać się zupełnie dorośli.

Franciszka odprowadzała Adela i jej rodzina. Rozglądał się, czy może gdzieś zobaczy rodziców, którzy zostali powiadomieni, że wyjeżdża na front, ale niestety nigdzie ich nie dojrzał.

Janek przyszedł sam. Poprzedniego dnia był w Kurzętniku, by pożegnać się ze swoimi bliskimi.

– Obiecałem matce, że wrócę – powiedział nerwowo. – Że wrócę i naprawię w końcu ten cholerny dach. Matka by mi nie wybaczyła, gdybym go nie zreperował. – Uśmiechnął się. – Miałbym przekichane, gdybym nie wrócił.

Franciszek zmrużył oczy. On wszystko naprawił przed wyjazdem. Jeszcze poprzedniego dnia szlifował nogi stołu, bo wydawało mu się, że za bardzo się chybocze. Czy to zły znak? Adela spoglądała na niego. Wiedział, że pomyślała dokładnie o tym samym.

– U nas jest dziura w dachu – powiedziała szybko pani Helena. – Trzeba ją szybko załatać. Ale poczekamy na ciebie.

Adela głośno odetchnęła. Zupełnie tak, jakby ta istniejąca dziura w dachu miała decydować o tym, czy jej mąż wróci z wojny, czy

nie.

Franek na chwilę zniknął im z oczu. Adela poprawiła sobie Mariankę na rękach i zwróciła się do matki:

– On wróci, prawda? Przecież jeszcze drzwi skrzypią.

– I źle się zamykają – dodała pani Helena.

Adela ze łzami w oczach spojrzała na matkę.

– Mamo, gdyby to zależało ode mnie, gotowa bym była łamać po kolei wszystkie krzesła i wybijać okna – załkała. – Gdyby tylko to było gwarancją tego, że wróci…

Franciszek w tłumie rozpoznał swoją matkę. Rozglądała się nerwowo i najwyraźniej go wypatrywała. Obok niej stał ojciec, który patrzył w przeciwnym kierunku.

– Alojzy, oni wszyscy w tych mundurach wyglądają tak samo.

Franek nie widział ich od dawna. Ostatnio raz wtedy, kiedy przyszedł i powiedział, że ma córkę. Nawet chciał, by ich odwiedzili, ale matka była wciąż nadąsana z powodu ślubu. Jakie te kobiety są pamiętliwe! O to, by powiadomił ich o wyjeździe na front, poprosił Joachima. Najwyraźniej zrobił to skutecznie.

– Mamo, tato… – Stanął przed nimi.

– Synku, jaki ty już jesteś dorosły – westchnęła pani Stanisława. – Tak bardzo bym chciała cię gdzieś ukryć. Schować pod płaszcz, by nikt mi ciebie nie zabrał. Byś był bezpieczny. Zazdroszczę tym wszystkim matkom, które mogą teraz przytulać swoje dzieci…

– Mamo, chciałbym, byś kogoś poznała.

Dwa kroki dalej stała Adela, która właśnie zauważyła rodzinę męża. Poprawiła zawiniątko z Marianną i podeszła bliżej.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało.

– Dzień dobry – odparł jej pan Alojzy.

Matka nie zareagowała, dopóki mąż jej nie szturchnął.

– Dzień dobry – mruknęła. – Dzień dobry – powtórzyła, patrząc w ziemię.

– Mamo, to jest Marianna. – Wziął córkę na ręce. – Ja wyjeżdżam, ale moja rodzina tu zostaje. Powinniście się wspierać w tych trudnych czasach, pomagać sobie nawzajem.

Matka Franciszka zacisnęła usta. Nie miała ochoty na żadne prorodzinne deklaracje. W tym momencie Marianna się obudziła. Patrzyła na babcię oczami, które pani Stanisława tak dobrze znała. Takie same miał jej syn i jej matka. Uśmiechnęła się do dziewczynki.

– Masz rację, rodzina musi trzymać się razem – powiedziała do syna.

Mimo trudnych i niesprzyjających okoliczności Franciszek dawno nie widział na twarzy matki takiej łagodności.

– Nie umiem się z tobą rozstać – wyszeptała Adela.

Babcia Stanisława trzymała dziewczynkę na rękach, a Adela stała przytulona do Franciszka.

– Nie wyobrażam sobie zasypiać bez ciebie, budzić się bez ciebie… – Miała łzy w oczach.

– Kochanie, ja wrócę – obiecał.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Wracaj… Wracaj jak najszybciej. Idź z Bogiem.

Jan przez chwilę pozazdrościł przyjacielowi. Ten miał wszystko. Żegnali go rodzice, teściowie, ukochana żona i dziecko. Jan nie miał nic. Schorowani rodzice mieszkali na wsi. Nie wiedział, czy gdy wróci, zastanie ich przy życiu. Bo tego, że wróci, był pewien.

Musiał przecież naprawić dach. Gdyby tego nie zrobił, matka nawet po śmierci by go straszyła.

Zamyślił się i nie zauważył, że przystanęła przy nim Adela.

– Janek, wracaj do nas bezpiecznie – powiedziała. – I pilnujcie tam siebie wzajemnie. Jakoś lepiej mi z tym, że jedziecie obaj. Wiesz przecież, że ciebie też kocham. – Przytuliła go. – Jak brata.

Ktoś zaintonował *Boże, coś Polsk*ę. Wszyscy chłopcy z Polski, którzy szli walczyć w niemieckich mundurach, dołączyli do wspólnego śpiewu. Rozległy się głośne komendy Niemców, ktoś nawet strzelił w powietrze. Nie pomogło. Umilkli dopiero, gdy wybrzmiały ostatnie słowa: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

ROZDZIAŁ VII

Moja miłość jest silniejsza niż wojna,
Ufnie czekaj, otrzyj łzy, bądź spokojna,
Bo ja wrócę pewnego dnia.
W drzwi zastukam, spytasz: „kto tam?”. „To ja”.
Więc gdy płakać, miła, chcesz,
Szepnij tylko: „Boże, strzeż”
I ja wrócę, ukochana, wiesz.

Mieczysław Fogg, „Ukochana, ja wrócę”
Autor tekstu: Eugeniusz Żytomirski

1

Śpiewy umilkły. Wielu ocierało łzy smutku i wzruszenia. Czas się było pożegnać. Z niektórymi pewnie na zawsze. Gdyby tak człowiek wiedział, co wydarzy się za rok, za dwa, za chwilę… A może i lepiej, że nie mamy tej wiedzy? Pewnie chcielibyśmy zmienić nasze losy, a to wiązałoby się z dużymi konsekwencjami w przyszłości. Nie powinno się mieszać Panu Bogu w jego planach.

Po jednej stronie płotu stały rodziny. Głównie kobiety, dzieci i starsi mężczyźni, którzy nie jechali na front. Po drugiej stronie młodzi mężczyźni.

Adela przed wyjściem zawiązała Franciszkowi krawat i teraz, wpatrując się w niego jak w święty medalik, przypomniała sobie ich rozmowę.

– Nie możesz pokazać Szkopom, żeś gorszy.

– Nie jestem też w niczym od nich lepszy – westchnął.

– Masz krawat. Wyglądasz elegancko, to pomaga. Czasem, gdy kobieta się wystroi albo ładnie uczesze, też jest bardziej pewna siebie – powiedziała Adela.

Kiedyż to ona była ostatnio wystrojona? Nawet na swój ślub poszła ubrana skromnie. Gdyby nie Sabina i prezent od niej, nie miałaby na sobie nic odświętnego. Tych pończoch strzegła jak oka

w głowie. Rzadko je zakładała. W tamtych czasach pończochy były na wagę złota.

Patrzyła na swojego męża, chyba najwyższego z nich wszystkich i jedynego w krawacie. Uśmiechnęła się. Wróci. Obiecał, że wróci. Ona poczeka. Ile będzie trzeba.

2

Kochana Adelo!

Szkolenie rekruckie dobiega końca. Nie wiem jeszcze, jak długo nas tutaj będą trzymać. Warunki są bardzo dobre, ale, wiesz… nie ma to jak w domu.

Traktują nas nieźle, gdyby tylko tak było cały czas! Ale wojna to nie wakacje.

Czasem, jak nam źle i tęskno za domem, śpiewamy sobie z Jankiem piosenki, a wtedy przypomina mi się ten wieczór, kiedy oboje śpiewaliśmy, a Ty rodziłaś Mariankę. Czasem wydaje mi się, że to wszystko było tak dawno… W zupełnie innym świecie.

Jak się czujecie? Ona pewnie już coraz więcej rozumie? Opowiadasz jej o mnie?

Czy moja mama się do Ciebie odzywała? Nie mam żadnych wieści od Ciebie, ale listy tutaj dochodzą rzadko. Być może niektóre wcale nie dojdą…

Mam nadzieję, że jesteście bezpieczni i jakoś sobie radzicie.

Całuję Ciebie, Mariankę i rodziców.

Twój Franciszek

Franciszku, najdroższy!

Bardzo tęsknię. Nie mogłam się pozbierać po Twoim wyjeździe. Niby dom ten sam, a jakby był zupełnie inny. Rano budzi mnie

Marianka, a nie Twoje pocałunki. Pierwszego dnia przygotowałam jedzenie do pracy. Udawałam, że Ty tylko na chwilę wyszedłeś i zaraz wrócisz. Niestety, to nie była prawda.

Nie wróciłeś.

Potem udawałam, że wyszedłeś do pracy i po prostu zapomniałeś jedzenia.

Czy Ty wiesz, jaka ja byłam przez tę chwilę szczęśliwa? Taka zabawa w to, że jest normalnie. Chociaż wtedy myślałam, że jestem nieszczęśliwa, bo była wojna, ale byłam taka szczęśliwa, bo byłeś na miejscu.

Marianka miała katar, ale to nic poważnego. Każde dziecko czasem ma katar. Mama zrobiła jej syrop z cebuli. Jak jej to smakowało! Nie spodziewałam się, że ktoś może chcieć syrop z cebuli. Jednak ona chyba jeszcze jest za mała na to, więc ja cały wypiłam. Mnie aż tak nie smakował.

Nie wiem, czy ktoś te listy czyta oprócz Ciebie, pewnie tak, zanim je dostaniesz.

Kocham Cię.

Na zawsze Twoja Adela

Kochany Franciszku!

Czasami zastanawiam się, czy ja nie piszę w nicość. Ale potem sobie przypominam, jak długą drogę te listy muszą przebyć, by do Ciebie dotrzeć.

I czekam. Czekam cierpliwie.

Nasze filiżanki schowałam. Obiecałam sobie, że będę z nich piła tylko z Tobą, jak się znowu zobaczymy. Czasem, gdy nikt nie patrzy, wyjmuję je. Będę ich strzec jak oka w głowie. To tak, jak z tym dachem u Janka, w Kurzętniku. Musi wrócić, by go

naprawić. Ty musisz wrócić, by się napić ze mną herbaty z naszych filiżanek.

Mięta w ogrodzie bardzo się rozrosła, można parzyć do woli. Mama mówi, że dobrze na żołądek robi. Z żołądkami nie mamy problemów, bo za bardzo się nie przejadamy, ale nie jest źle.

Trochę jest ciężko, bo dużo rzeczy spoczywa na moich barkach. Ojciec złamał nogę i teraz dużo muszę pomagać w domu. A Marianka też wymaga uwagi.

Była Twoja mama z wizytą. Chyba zatęskniła za Marianką. Posiedziała, wypiła herbatę i zaprosiła nas do siebie. Nie wiem, czy pójdziemy. Pewnie Tobie by zależało, byśmy poszły, przecież to Twoja mama, ale… Tak mi trudno się do niej uśmiechać, kiedy wiem, że ona była mi nieprzychylna.

Ale myślę, że w obliczu wojny powinniśmy się wszyscy wspierać, niezależnie od wzajemnych animozji.

Kocham Cię i tęsknię.

Adela

Adelo!

Piszę do Ciebie z drogi na wschód. Tak jak się obawiałem, wysyłają nas na front wschodni. Jesteśmy zmęczeni. Są pierwsze ofiary, nie wojny, ale słabości. Nie wiem, co z Jankiem, bo nas rozdzielili. Jest tu kilku fajnych chłopaków. Tutaj trzeba dobrze ze wszystkimi trzymać, bo nie wiadomo, kiedy ktoś może uratować ci życie. Nie wiem, dlaczego mogę tak spokojnie o tym pisać.

Jest coraz zimniej, ale póki lato, nie ma się czym martwić. A jak będzie zima, może mnie na urlop wypuszczą? Bo dowiadywałem się, jest to możliwe.

Dużo jest tutaj Polaków. Jeden, Klemens, z Kurzętnika. Znał Janka, nawet był jego sąsiadem. Świat jest mały, ale dla

wszystkich się znajdzie miejsce.

Franciszek

Kochany Franciszku!

Dostałam Twoje listy! Trzy naraz! Ale się ucieszyłam! Nie czytałam wszystkich od razu, tylko każdy kolejnego dnia wieczorem. To tak, jakbyś trochę był ze mną.

Zagląda do nas często Joachim. Pomaga nam dużo. Kiedy tata złamał nogę, przyszli z drugim Niemcem i nam drzwi naprawili, bo się popsuły i mocno wiało. Ja nie umiem tego robić, ale jeszcze ta wojna trochę potrwa i się wszystkiego nauczę.

Joachim pytał też, czy nie chcemy wyjechać do Niemiec. Powiedział, że mógłby pomóc to wszystko załatwić, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Mama nie chce o tym słyszeć, bo mówi, że nigdzie jej tak kwiaty nie będą rosły, jak te w ogródku przed wojną. Tata ją przekonuje, że tam też są kwiaty i rozmawiają na ten temat całymi dniami. Ja już nie mogę tego słuchać.

Sama nie wiem, co mam robić, chciałabym tylko, by było bezpiecznie. Ale tutaj jest nasz dom. Napisz mi, co myślisz o tym.

Marianna już zaczyna stawać. Taka z niej zuch-dziewczynka. Pokazuję jej to zdjęcie, które zrobił Ci ktoś, gdy wyjeżdżałeś na front. I mówię jej, że tata to ten najprzystojniejszy. Myślę, że za chwilę będzie sama umiała Cię pokazać na tym zdjęciu.

Tęsknię. Wracaj. Przyjeżdżaj do mnie, chociaż na urlop.

Adela

Kochany Franciszku!

Nie mam od Ciebie wieści, ale pisał do mnie Janek. Że u niego wszystko dobrze i że na razie nie jest ciężko. Pisał, że jest mechanikiem, tak jak tutaj. A ja nawet nie zapytałam, czy Ty masz jakąś specjalną funkcję! Przecież też jesteś dobrym mechanikiem, może gdybyś na wojnie się tym zajął, byłoby bezpieczniej…

Twoja mama trochę chorowała, ale już jest dobrze. Nie pisałam Ci, bo nie chciałam Cię martwić.

Joachim nadal namawia nas na wyjazd. Zakochał się w Sabinie na dobre. Na początku nie podobało mi się to, bo cały czas myślałam o Racheli, ale chyba takie jest życie. Może i dobrze, że znów jest szczęśliwy? Ale nie dał jej jeszcze pierścionka. Nie pytałam, ale kobiety takie rzeczy naprawdę wiedzą.

(Te kropki i kreski narysowane na liście to Marianka. Też chciała chyba coś napisać.)

Joachim chyba wyjedzie z Sabiną do Niemiec, ale jej mama sprzeciwia się temu. Ja myślę, że tutaj jest bezpiecznie, bo przynajmniej wiemy, jak jest. A tam będzie wszystko nowe i trzeba będzie się znów przyzwyczajać.

Kochamy Cię.

Adela

Adelo!

Piszę do Ciebie, bo tak tęskno mi za Tobą. I co człowiek może robić? Może tylko pisać. Śniłaś mi się dzisiaj. Och, jaki ja w tym śnie byłem szczęśliwy!

Dostałem list od Ciebie i Marianki. Ale ładnie już rysuje! Mam nadzieję, że niedługo to zobaczę.

Myślę, że nie powinniście wyjeżdżać z Grudziądza. Jeśli wyjedziecie, cały majątek przepadnie. Nie ma tego dużo, ale zawsze

coś.

Podziękuj Joachimowi w moim imieniu, że się Wami opiekuje, gdy mnie nie ma na miejscu.

Tu zaczyna się robić trochę niebezpiecznie, ale myślę, że Bóg będzie miał nas w swojej opiece.

Kocham Cię i tęsknię.

Franek

Kochany Franciszku!

Nie mam już wieści od Ciebie od trzech miesięcy. Trochę się martwię.

Janek pisał, że został ranny na froncie. Mówił, że nie to było najgorsze, bo rana nie była poważna, ale leżał w śniegu i nie mógł się ruszać, więc ma liczne odmrożenia.

Pisał ze szpitala. Mam nadzieję, że się wykuruje. Pamiętam, jak mówiłeś mi, w jakim stanie wracają żołnierze niemieccy ze wschodu i mam nadzieję, że Janek jest w lepszej formie. Martwię się o niego.

O Ciebie też się martwię.

Czasami myślę, że martwię się o cały świat.

Twoja mama przychodzi regularnie, czasem aż za często. Nie powinnam tak mówić, ale niekiedy człowiek chce pobyć sam ze swoimi myślami, a naprawdę nie ma kiedy.

Marianka jest tak żywym dzieckiem, że nie usiądę na chwilę w ciągu dnia. Jeszcze pranie, obiad i posprzątać też trzeba. Mama pracuje, ma dużo szycia i wszystko jest na mojej głowie. Ale nie żalę się. Ty jesteś na wojnie, a ja Tobie o praniu i gotowaniu marudzę. Przepraszam. Jak ja jestem zmęczona, to co dopiero Ty możesz powiedzieć…

Ostatnio trochę było gorzej z jedzeniem, ale Sabina nam pomogła.

Nie wiem, czy ktoś te listy czyta? Czy one przychodzą do Ciebie otwarte?

Kocham Cię.

Adela

Kochany Franciszku, nic nie piszesz.

Od Janka dostałam w tym czasie cztery listy, więc chyba powinny dojść od Ciebie też, jeżeli byś je napisał.

Bardzo się martwimy o Ciebie.

Myślałam, że Twoja mama chociaż coś dostała, jakiś list, ale nie, nie było nic od Ciebie.

Sąsiad przyjechał na urlop i mówił, że Ty też miałeś przyjechać. Więc może być tak, że nagle zapukasz do moich drzwi. Powiedział też, że na pewno dostaniesz ten urlop przed wiosną. Czekam! A raczej czekamy.

Twoje Adela i Marianna

Franciszku, nadal nie mam od Ciebie wieści…

Tak bardzo się boję.

Pisał znowu Janek. Odmrożenia były na tyle poważne, że nie udało się uratować jego stopy i ma duże z nią problemy. Mam tylko nadzieję, że z tego wyjdzie. Pisał, że trzeba było obciąć palce. Nie wiem, jak on sobie na tej wojnie poradzi z takimi ranami!

Codziennie modlę się za Was, byście wrócili.

Od Ciebie nie mam już tak długo żadnych wieści, że nie wiem, co mam robić. Sama bym poszła Cię szukać, ale gdzie? Dokąd mam

iść?

Gdy ktoś wraca, pytam o Ciebie, ale nikt nic nie wie. A może nie chce mówić?

Adela

Kochany Franciszku!

Dalej nie mam żadnych wiadomości od Ciebie. Odchodzę od zmysłów.

Proszę, daj jakiś znak życia.

U nas wszystko dobrze, ale nie ma dnia, bym nie myślała o Tobie.

Byłyśmy z Twoją mamą u księdza i poprosiłyśmy, by się pomodlił za Twój powrót do domu.

Adela

3

O trzeciej w nocy obudziło Adelę pukanie do drzwi. Zaniepokojona zerwała się z łóżka. Tuż przy drzwiach stał już jej ojciec i patrzył na nią z przestrachem.

Ktoś zapukał jeszcze raz.

– To ja, Janek. – Usłyszeli.

– Janek? – Adela szybko otworzyła drzwi.

Na progu stał jej przyjaciel. Na jego twarzy widać było niewyobrażalne zmęczenie.

– Janek, wejdź – powiedział tata i podał mu ramię.

Mężczyzna wsparł się na nim całą siłą.

– Wahałem się, czy czekać do rana, czy mogę was budzić. Właśnie przyjechałem.

– Na urlop? – zapytała Adela. – A… Franciszek?

Janek pokręcił głową.

– Nie miałem z nim kontaktu już jakiś czas. Każdego chyba na urlop puszczają. Tych, co mają rodziny, nawet na dwa tygodnie. Myślałem, że przyjechał wcześniej.

Adela zacisnęła usta.

Z pokoju wyszła jej mama, poprawiając szlafrok.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Janek, jak ty wyglądasz? – zatroskała się. – Wodę mam nagrzaną na piecu, zaraz dostaniesz jeść, ale się umyj najpierw! Adela, przynieś no jakieś ubrania Franka, przecież chłopak nie może tu siedzieć w tych łachach!

Jan był wycieńczony, ale pani Helenka była kobietą pokroju jego matki – nie uznawała sprzeciwu. Udał się do kuchni, gdzie za zasłonką czekała już na niego przygotowana miska z ciepłą wodą.

– A te ciuchy to najlepiej do pieca by dać. – Usłyszał mruczenie pani Helenki. – Przecież jak się je zostawi tutaj, to całe to robactwo się rozlezie.

Janek był niemalże nieprzytomny ze zmęczenia. Szedł dość długo, a noga mu bardzo dokuczała. Jeszcze się nie zagoiła zupełnie, pewnie dlatego go puścili.

Z przyjemnością obmył oblepione brudem ciało i założył czyste ubranie swojego przyjaciela. Po chwili wyszedł do kuchni.

– Jakiś ty chudy! – Pani Kotlińska załamała ręce.

Adela tylko popatrzyła współczująco i zaczęła wykładać na stół to, co mieli najlepszego w swoich zapasach.

– Wystarczy, wystarczy… – Janek uśmiechnął się słabo.

Nie zdążył nawet porządnie się posilić. Zasnął na ławie, nim dopił herbatę.

– Niech odpocznie – stwierdziła Helena. – Jutro się naje za wszystkie czasy. Teraz potrzebny mu przede wszystkim sen.

Obudził ich krzyk Janka.

– Sani! Sani! – Leżał na podłodze i cały drżał.

– Cicho, spokojnie. – Adela głaskała go po głowie. – Jesteś w domu, bezpieczny.

– On ma chyba gorączkę – stwierdziła matka, przykładając rękę do jego czoła.

Pan Hipolit pomógł zaprowadzić Janka do łóżka. Pościelono mu w największym pokoju.

– Potem się zmieni. Na razie musi chłopak odpocząć.

– Sani! Sani! – krzyczał nadal Jan, jak w jakimś transie.

– Co on mówi? – zdziwiła się pani Helenka.

– Chyba woła sanitariusza – podsunęła Adela. – Tak myślę.

– Jestem tutaj – powiedział pan Hipolit. – Już jesteś bezpieczny.

Podziałało, Jan momentalnie zasnął.

Budził się jeszcze kilka razy w nocy. Drżał, krzyczał i miotał się. Sytuacja powtarzała się codziennie. Czasami w środku nocy słychać było, jak nuci żałośnie: *Ich hatt' einen Kameraden, einen bessern findst du nit*, niemiecką piosenkę, którą śpiewano na wojskowych pogrzebach.

Kolejne dni nie przyniosły ulgi. Adela była załamana.

– Co ta wojna robi z ludzi?! – krzyczała. – Przecież to niemożliwe! To niemożliwe, by rozum stracić, palce stracić, wszystko stracić!

– Czasami lepsza może okazać się śmierć. – Pani Helena kręciła głową.

– Mamo, co ty mówisz? Nigdy… – jęknęła Adela, myśląc o mężu.

Chciała go mieć blisko siebie, w obojętnie jakim stanie. Opiekowałaby się nim, dbała o niego i doprowadziła do zdrowia. Tak jak wykuruje Janka.

Winnym okazał się silnie uzależniający narkotyk, po którym żołnierze byli bardziej sprawni bojowo. Wszyscy go brali. Dzięki niemu żołnierze mogli walczyć nieustannie, bez oznak zmęczenia.

– To pervitin – przyznał się Janek, gdy poczuł się na tyle dobrze, by mógł wstać. – Tabletki wzmacniające. Braliśmy je na froncie. Dzięki temu mogliśmy nie spać przez trzy dni i trzy noce. Wszyscy to brali. Bez tego atak pewnie nie miałby szans powodzenia. – Westchnął. – Nie sądziłem, że tak się człowiek czuje, gdy przestanie go zażywać. Już teraz wiem, dlaczego tak wielu traciło tam rozum.

– Odpocznij teraz. To już minęło. – Adela poklepała go po kolanie.

– Pewnie niedługo wróci… – Jan zamyślił się. – Wyrosła wam córka – zmienił temat. – Piękna po tobie.

Adela poczerwieniała.

– Dziękuję.

Mała wyrywała się z objęć mamy do Janka.

– Wujek jest zmęczony – powiedziała Adela.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Chodź do wujka.

Wyciągnął ręce w stronę dziewczynki, a ona ochoczo do niego przylgnęła.

Potem Adela wielokrotnie zastanawiała się, czy Janek nie wydobrzał tak szybko właśnie dlatego, że zajmował się często Marianką. Mała uwielbiała go i chyba przekazywała mu taką zwykłą dziecięcą radość. Janek wreszcie czuł się potrzebny do czegoś innego niż bycie kulą armatnią. I wydawało mu się, że w końcu ma dla kogo żyć. Każdego dnia czuł się lepiej. Noga mu dokuczała, ale wolał to, niż jakby miała dokuczać mu głowa. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że te tabletki były aż tak niebezpieczne. Jego wojenni przyjaciele brali tego coraz więcej. On też. Jakoś się trzymał, z innymi bywało różnie. Pervitin łagodził tęsknotę za domem, uciszał wojenne traumy, ale w chwilach, gdy go nie brał, było jeszcze gorzej. Napady agresji, psychozy, paniki… I strach, niewyobrażalny strach, nawet przed tym, co naprawdę nie miało miejsca.

Kochany Franku,

Każdego dnia z utęsknieniem wypatruję, czy nie przyjechałeś, każdego dnia wyczekuję listonosza, który może mi przynieść wieści od Ciebie.

Przyjechał Janek. W pierwszej chwili tak bardzo ucieszyłam się, że go widzę, a zaraz potem tak bardzo zmartwiłam się, że to nie Ty. Ja wiem, że powinnam się cieszyć, ale nie umiem. Janek jest w bardzo ciężkim stanie. Niestety nie udało się uratować palców u jego lewej stopy. Wszystkie je stracił. Zobacz, na wojnie czasem natura robi czystkę. Ale bardziej się martwiłam o to, jak się zachowywał. Teraz jest już lepiej, ale było trudno.

Długo był w szpitalu, ale teraz wypuścili go do domu. Zobaczymy na jak długo. Mieszkanie nad piekarnią wynajęto komuś innemu, zaproponowałam więc Jankowi, by zamieszkał u nas, na poddaszu. Mógłby wrócić do Kurzętnika, ale nie bardzo jest w stanie się sam sobą zajmować, a co dopiero rodzicami, którzy nie mają tyle sił, by mu pomagać. Najpierw ja będę się nim opiekowała, a potem, jak wydobrzeje, on mi pomoże.

Ale nie wiem, jak on ten dach naprawi swojej mamie. Chociaż może wcale o ten dach nie chodzi. Mogłabym Joachima poprosić, bo on zawsze taki pomocny jest! Przychodzi często, dużo rozmawiamy. Mariance przynosi prezenty. Dobrze, że ma takiego wujka, na którego może zawsze liczyć.

Nie wiem, czy Janka z taką nogą wyślą na front, przecież on nie może chodzić! A on mówi, że nie takie rzeczy na wojnie widział.

Teraz już wszyscy się martwimy, że nie ma od Ciebie listów. Janek mówi, że to niemożliwe, by aż tak poczta się opóźniała.

Niedługo święta. Kiedyś myślałam, że nie przeżyję wojennych świąt. Teraz zastanawiam się, jak ja przeżyję święta bez Ciebie. Jesteśmy zaproszeni do Twoich rodziców, ja bym wolała zostać w domu, ale Janek mówi, że trzeba czasem wyjść.

Jego noga się goi. Jednak co w domu, to w domu. Myślę, że w te święta da radę dojść do Twoich rodziców, a jak nie, może zostanę z nim? Będę miała pretekst, bo z Twoją mamą nie czuję się komfortowo. A tak zostanę z nim, przecież w taki wieczór nikt nie

powinien być sam. Mam tylko nadzieję, że Ty również nie będziesz sam.

Podskakuję na każde pukanie do drzwi, myśląc, że to Ty, ale zaraz potem zdaję sobie sprawę, że przecież Ty byś nie pukał, tylko po prostu wszedł do środka. Jak ktoś puka, nie jest domownikiem.

Czekamy na Ciebie wciąż. Układamy sobie nasze życie, ale już powiedziałam mamie, że nie będę nic zaczynać bez Ciebie, więc nawet zwlekamy z naprawą płotu.

Kocham Cię.

Adela

Najgorsze chwile mieli za sobą. Janek psychicznie dochodził do siebie na tyle, na ile było można. Chociaż traumy wojenne miały się za nim ciągnąć jeszcze bardzo długo.

Franciszek wciąż nie wracał. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Kolejne w czasie wojny.

– Myślisz, że moja córka będzie śpiewała kolędy tylko po niemiecku? – zapytała matkę Adela, gdy ubierały choinkę.

– To zależy od ciebie.

– Nauczyłam się podczas tej wojny, że naprawdę niewiele rzeczy zależy ode mnie, mamo.

– Ale to, czy twoja córka będzie śpiewała kolędy po polsku, akurat tak – ucięła krótko Helena.

– Może i masz rację – zgodziła się Adela.

Do pokoju przyszedł Janek w towarzystwie Marianny, która niemal nie odstępowała go na krok.

– Przynajmniej na coś się wam przydam, zajmując się małą. Lubimy swoje towarzystwo, prawda? – Dziewczynka zachichotała. – Nie dam rady z wami dzisiaj pójść. Idźcie, a ja zostanę w domu.

– Ale w święta nie powinieneś być sam! – Adela pokręciła głową. – Mamo!

– To nie pójdziemy do Schulzów – zdecydowała pani Helena.

– Obrażą się – westchnęła Adela.

– Nie ma w was za grosz sztuki dyplomacji – stwierdził ojciec. – Nie myślcie, jak się pokłócić, tylko jak wszystkich uszczęśliwić.

– Ja bym była szczęśliwa, gdybym nie musiała tam iść – przyznała Adela. Po chwili uśmiechnęła się szeroko. – Wiem! Zjemy tutaj skromną kolację, zaśpiewamy kilka kolęd, a potem pójdziecie do Schulzów z Marianką, a ja zostanę z Jankiem w domu. Mam przynajmniej wymówkę.

Mama westchnęła.

– Jest to jakieś rozwiązanie – przyznał tata.

Tak też zrobili. Gdy na niebie zabłysnęła pierwsza gwiazda, usiedli przy skromnie zastawionym stole. Ojciec Adeli wziął chleb i przełamał się z matką. Potem z Adelą i Jankiem.

– Obyśmy następny rok spędzali już w wolnej Polsce – powiedział. – I w komplecie.

Gdy tylko usiadł, rozległo się pukanie do drzwi. Adela zerwała się w okamgnieniu. Franek! Po chwili jednak, jak zawsze, stwierdziła, że jej mąż przecież by nie pukał. Westchnęła, otwierając drzwi gościowi. Odwiedził ich Joachim. W dłoni trzymał butelkę z nalewką domowej roboty.

– Przyjacielu! – ucieszył się Janek.

– Nie mogłem nie przyjść! – Mężczyźni serdecznie się uścisnęli. – Mam mały prezent. I nie mówię tylko o najlepszej pigwówce świata. – Wręczył szmacianą lalkę Mariance.

– Nie trzeba było. – Pokręciła głową Adela. – Już to, co robisz, jest dla nas wystarczającym prezentem. Siadaj. – Rozlała alkohol do kieliszków.

– Ja też trochę w tej sprawie… Zaczynają krążyć pogłoski, że w Grudziądzu może się zrobić niebezpiecznie. Wiem, że w głąb

Rzeszy nie chcecie jechać, ale chyba powinniście gdzieś dalej się osiedlić.

– Ale dlaczego? – zapytała Adela.

– Są plany, by z Grudziądza zrobić twierdzę. Myślę, że prędzej czy później dotrze tutaj front. Miasto będzie się broniło długo i może być bardzo gorąco. Tak więc może jeszcze nie teraz, ale zastanówcie się nad tym.

– Ja nigdzie nie wyjeżdżam! – stanowczo zaoponowała pani Helena.

– Tak, wiem, przez te twoje kwiaty w ogrodzie – mruknął ojciec.

– I nie tylko – odparła z naburmuszoną miną. – Idziemy, dopóki nam, Joachimie, zupełnie humoru nie popsujesz. I to w wigilijny wieczór! – Lekko trzepnęła go w ucho. Znała go od dziecka i zdecydowanie mogła sobie pozwolić na takie „czułości". – Adelko, wy sobie siedźcie spokojnie, my wrócimy jutro. Tak się umawiałam ze Stasią.

– Wychodzicie? – zapytał Joachim, zrywając się z krzesła.

– Spokojnie, rodzice z Marianką idą do drugich dziadków, a my zostajemy z Jankiem, bo on nie przeszedłby tak długiej drogi.

– Właśnie, jak twoja noga?

– Coraz lepiej.

– Ale chyba nie wezmą cię na front?

– Chyba nie. Komisja wojskowa orzekła, że tutaj też na coś mogę im się przydać.

– Nic nie mówiłeś – zdziwiła się Adela.

– Bo to jeszcze nic pewnego – stwierdził Janek. – Nie chcę się cieszyć czymś przedwcześnie, by potem znowu się nie rozczarować.

– Jak tam jest? – zapytała Adela, gdy Joachim już wyszedł i zostali sami.

– Nie chcesz tego wiedzieć – westchnął Janek, nalewając kolejną kolejkę alkoholu. – To jest lodowate piekło na ziemi.

– Franek wróci? – Adela wypiła wszystko jednym haustem. W głowie już jej się kręciło, ale chociaż przez chwilę chciała o wszystkim zapomnieć.

Wyciągnęła dłoń z kieliszkiem przed siebie, by Janek jej nalał kolejny.

– Chciałabyś pewnie, bym powiedział ci, że wróci… ale tego nie wiem. Nie wiem… Ja miałem cholerne szczęście, że odesłali mnie do domu. Być może nie trafię już na front, bo kalek tam nie potrzebują. – Wskazał na swoją nogę. – Za wolno chodzę, za wolno biegam. Zresztą… – Zamyślił się. – A do przemysłu mogę im się przydać.

Adela pokiwała głową ze zrozumieniem. Nie spodziewała się, że nastąpi kiedykolwiek dzień, gdy będzie się modliła, by jej ukochany miał odmrożenia, kwalifikujące do amputacji palców czy stopy, lub był ranny na tyle, żeby uznano go za niezdolnego do służby.

Wypiła kolejny kieliszek.

– Przede wszystkim było bardzo zimno… – cicho zaczął Janek. – Nasze mundury nie były przystosowane do tego, by tam je nosić. Dopiero potem ze zbiórek przychodziły jakieś ubrania, głównie cywilne. Ale one też nie wystarczały. Nie zimno było jednak najgorsze… Fale ataku sowieckiej piechoty doprowadzały nas do obłędu. Nie nadążaliśmy strzelać, a bezpośrednio przed nami piętrzyły się setki zwłok czerwonoarmistów. Strzelaliśmy z *Hitlersage* i rzeczywiście… ta broń wycinała wrogów jak piła. Tysiąc dwieście pocisków na minutę. Tysiąc dwieście! Czy wyobrażasz sobie, ilu ludzi można zabić w takim czasie? – Zamyślił się. – Najgorsze są wspomnienia. I to, że czasem w nocy

przeżywasz to wszystko na nowo… Ci, co polegli, zamarzali. Czasem służyli nam jako ochrona przed kulami. Albo drogowskazy w drodze dalej. Takie zamarznięte trupy…

– Dlatego śpiewałeś tę pieśń? Tę niemiecką, wtedy, w nocy?

– To pieśń pogrzebowa. Często rozbrzmiewała na froncie. – Westchnął i kontynuował swoją opowieść. – I konie jedliśmy, choć traktowaliśmy je jak naszych towarzyszy. Te, które ginęły od ran albo wtedy, gdy byliśmy okrążeni.

– Nie powinnam cię pytać o takie rzeczy. – Adela pokręciła głową. – Nie powinnam… Szczególnie dzisiejsza noc nie jest od tego.

Pogłaskała Janka po policzku. I być może nieco za długo przytrzymała dłoń na jego szorstkiej twarzy. Złapał tę dłoń i delikatnie pocałował. Nie protestowała. Zaczęła tylko gwałtownie szlochać.

– Janek! Dlaczego to życie jest takie niesprawiedliwe?! Ty jesteś tutaj, a on tam! Dlaczego on nie wrócił, a ty tak? Dlaczego ja tak siebie nienawidzę za to, że… chciałabym, by było odwrotnie. Janek! – Złapała go za ręce. – Przepraszam cię za to, przepraszam, że tak myślę! – Zacisnęła pięści i zaczęła go uderzać po klatce piersiowej.

Aby ją powstrzymać, mocno ją objął.

– Spokojnie… Już spokojnie – pocieszał ją.

Głaskał delikatnie po włosach, ramionach, plecach. Tak pięknie pachniały jej włosy, które zaczął całować. Chwycił jej twarz w swoje dłonie. Całował ją namiętnie, szaleńczo, gwałtownie, jakby za chwilę świat miał się skończyć. Nieważna była wojna, ważne było tu i teraz. Alkohol płynął w ich krwi, a oni chcieli wyładować z siebie wojenne emocje. Tęsknotę, rozpacz, niespełnione marzenia i przegraną młodość.

Janek pospiesznie ściągał z siebie ubranie i rozbierał Adelę, która wcale nie oponowała. Marzył o niej od momentu, kiedy tylko

ją poznał. I teraz jakby wstąpiły w niego nowe siły, bo jeszcze tego dnia rano ledwie poruszał się po domu. Rzucił ją na łóżko…

Kochali się tamtej nocy głośno, nie zważając na świat, który ich otaczał. Nie myśleli o konsekwencjach i o tym, co przyniesie kolejny dzień. Było tu i teraz. Dwoje nieszczęśliwych młodych ludzi, marzących o wolności, a uwięzionych w klatkach swoich traum i koszmarów.

Rano, gdy Adela się obudziła, Jana nie było w łóżku. Pamiętała, co się stało i nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. To nie może się powtórzyć! Janek miał się o nią troszczyć, dbać o nią, gdy Franciszka nie będzie obok, ale nie w ten sposób!

Usłyszała odgłos rąbania drewna. Pewnie Janek przygotowywał szczapy na opał. W domu było cicho, więc rodzice jeszcze nie wrócili. Okryła się szczelnie kołdrą. Ileż by dała, aby cofnąć czas! Jak to w ogóle się mogło stać? Przecież to nie mogło się wydarzyć!

Po półgodzinie, gdy zdołała nieco uspokoić oddech i opanować narastający w niej wstyd i wyrzuty sumienia, wyszła z pokoju. W łazience załatwiła swoje potrzeby i umyła się, a potem poszła do kuchni, by przygotować śniadanie. Wzdrygnęła się, kiedy usłyszała za sobą kroki. Janek wrócił.

– Słuchaj, to nie tak miało być… – zaczęła mówić i odwróciła się do drzwi.

Zaniemówiła. Oparty o futrynę drzwi, słaniający się na nogach, stał Franciszek. Jej mąż.

4

– Franek! – zawołała Adela i nie zważając na jego stan, przylgnęła do niego całym ciężarem.

– Tak bardzo się starałem, by zdążyć na Wigilię. Nie zdążyłem… Gdzie wszyscy? Gdzie Marianka?

– U twojej mamy. – Uśmiechnęła się, wciąż nie dowierzając w swoje szczęście. – Zaraz wrócą.

Czuła olbrzymią radość, ale też ogromną rozpacz spowodowaną wydarzeniami poprzedniego wieczora. Jak mogła do tego dopuścić!

– Ja tak ciebie trzymam, a ty zmęczony jesteś! – zreflektowała się.

– Chciałbym ci powiedzieć, że szkoda czasu, by spać, ale szedłem do was całą noc i rzeczywiście ledwo stoję na nogach.

Skierował swoje kroki do pokoju, w którym spali, a Adela poszła przygotować coś do jedzenia. Gdy wróciła do męża, ten już spał. Dokładnie na tym samym miejscu, na którym poprzedniej nocy spał jego najlepszy przyjaciel.

Wybiegła na podwórko.

– Franek wrócił! – krzyknęła do Janka, który kuśtykając, niósł drewno.

– Franek wrócił… – powtórzył nieprzytomnie i spojrzał na Adelę.

Wciąż czuł jej smak, zapach, dotyk… Przez chwilę pomyślał, że jest bardzo złym człowiekiem, bo nie ucieszył się tak bardzo z powrotu przyjaciela, jak powinien.

– Cudowna wiadomość! – Chciał przytulić po przyjacielsku Adelę, jednak ta wyrwała się z jego objęć.

– Janek… to nie tak miało być.

– Wiem… Przepraszam.

– To się już nie powtórzy – podkreśliła kategorycznie. – To się nie może powtórzyć… – Ukryła twarz w dłoniach. – To się nawet nie mogło wydarzyć!

Próbował dotknąć jej ramienia, ale uciekła do domu. Też nie wiedział, jak do tego doszło. Bardzo tego chciał. Od zawsze. Ale czuł się jak ostatnia świnia, że zrobił to najlepszemu przyjacielowi.

Franek żył i to było teraz najważniejsze. Wszyscy tak się martwili o niego i zaczynali już tracić nadzieję. Ale wrócił… Chyba czas wyjechać. Nawet zebrał już siły, by matce ten dach naprawić.

Franciszek spał bez przerwy osiemnaście godzin. Adela ze strachu wielokrotnie sprawdzała, czy mąż oddycha. Jednak chrapanie dobiegające z jego strony łóżka wyraźnie na to wskazywało.

To było bardzo długie osiemnaście godzin. Nie tylko ze względu na to, że czekała, aż obudzi się jej mąż, ale przede wszystkim dlatego, że mogła sobie przemyśleć dokładnie to wszystko, co stało się poprzedniej nocy.

Nie chciała tego? Chciała. Chciała przez chwilę zapomnieć o wszystkim i zatracić się w mocnych męskich ramionach. Ramionach, które były jej tak bliskie. Na których mogła zawsze się wesprzeć i które opiekuńczo ją obejmowały, gdy tylko tego potrzebowała. Nigdy się na Janku nie zawiodła, po prostu był obok, zawsze skłonny do pomocy i udzielenia wsparcia.

Jeden kieliszek nalewki od Joachima za dużo? I dlatego puściły wszystkie hamulce? Przecież to nie powinno usprawiedliwiać tego, co zrobiła. Chwila zapomnienia? Potrzeba wyładowania emocji, tych wszystkich strasznych rzeczy, które się wydarzyły i zdarzają się co chwilę? Przez tę chwilę czuła się bezpiecznie. Tak jak kiedyś, przed wojną. Gdy w nocy przytuliła się do Janka, nie czuła, że robi coś złego. Czuła, że to, co się między nimi wydarzyło, da jej siłę do przeżycia kolejnych wojennych dni, miesięcy, a może i lat.

Franciszek nie może się o tym dowiedzieć! Żadne z nich pod wpływem wyrzutów sumienia nie może zdradzić mu, co się stało tamtej nocy. Musi o tym powiedzieć Jankowi, chociaż… on chyba o tym wiedział. Wiedział też, że może stracić ich oboje.

Adela bała się obecności Janka. Wciąż czuła na sobie jego dłonie, zapach, ciepło bijące od niego tak mocne, że w nocy musiała na chwilę otworzyć okno. Nie chciała o tym więcej myśleć. Janek powinien się wyprowadzić, by więcej się to nie powtórzyło.

Tamtego dnia unikała go. Bała się spojrzeć mu w oczy. Siedziała przy łóżku swojego zmęczonego do granic wytrzymałości męża i gładziła go po dłoni. Nawet nie zdołał się umyć, zdjąć munduru… Na wszystko przyjdzie czas. Miała tylko nadzieję, że trochę tego czasu Franciszek spędzi z rodziną. Może faktycznie będą to dwa tygodnie, jak wspominał Janek?

Gdy wrócili rodzice, Adela najpierw opowiedziała o powrocie męża, a potem zajęła się Marianną. Siedziały w kuchni, by nie

obudzić Franka. Bawiła się z córką, ale myślami była zupełnie gdzie indziej.

Czy te wyrzuty sumienia kiedyś miną?

Co ona najlepszego zrobiła?

Janek wyprowadził się następnego dnia.

– Nie rób mi tego. Mam was tutaj w jednym miejscu, a ty mówisz, że musisz jechać. Zostań jeszcze kilka dni – prosił Franciszek.

– Matkę i ojca czas odwiedzić. Już dam radę z tą nogą – tłumaczył się Jan. – Czas na mnie. Długo tutaj bawiłem i jestem bardzo wdzięczny za opiekę. Teraz wy musicie się nacieszyć sobą, a ja rodzicom też jestem potrzebny – dodał, uciekając wzrokiem, by nie patrzyć na Adelę.

Adela i Franek cieszyli się sobą całe dziesięć dni. Dziewczyna wciąż starała się zagłuszyć wyrzuty sumienia, dogadzając mężowi, w czym tylko mogła.

– Z tobą jest jak w raju – westchnął w przeddzień wyjazdu. – Teraz chyba jeszcze trudniej będzie mi wrócić, kiedy przypomniałem sobie, jak to jest tutaj z wami. To tak, jakbym był w wielkiej, ciemnej dziurze, z której nic nie byłoby widać, i mógłbym na chwilę wejść na górę, z której roztacza się przecudny widok. I wtedy byłbym taki szczęśliwy… Tylko potem zejście w tę samą ciemną dolinę jest jeszcze trudniejsze. Bo już wiem, jaki z góry roztacza się piękny widok. – Przytulił szlochającą żonę. – Nie płacz. Obiecuję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Gdy Franciszek wyjechał, samotność doskwierała Adeli jeszcze bardziej. Nie umiała sobie znaleźć miejsca.

– Nawet nie przyszyłam mu ich do munduru – jęknęła, obracając w dłoni dwa guziki. – Mamo, ja nawet tego dla niego nie zrobiłam! A jak on nie wróci?

– Dziecko, on wróci – uspokajała ją matka. – Guziki zawsze zdążysz przyszyć. Nie możesz wciąż płakać. Musisz żyć dla Marianki, dla nas. Ta rozpacz w niczym ci nie pomoże.

Wiedziała, że matka ma rację, ale oprócz tęsknoty za mężem odczuwała także dotkliwie brak Janka, do którego obecności w ich domu zdążyła się już przyzwyczaić. Kiedy ich jednak odwiedził pewnego dnia, stchórzyła i nawet nie chciała się z nim zobaczyć. Powiedziała, że się źle czuje i cały dzień leżała w łóżku.

– Nie wiem, co się z nią dzieje – mówiła zdenerwowana pani Helena. – Tylko siedzi, płacze i listy pisze. Przecież ona niknie w oczach!

– Może więcej warzyw powinna jeść? – wydukał Janek, najwyraźniej nie mając pomysłu, jak skomentować zachowanie Adeli.

– Najchętniej nic by nie jadła – mruknęła Helena. – Nic! A jak już coś zje, to mówi, że jej niedobrze.

– Może powinien ją obejrzeć lekarz? – zmartwił się Janek.

– Akurat pójdzie do lekarza! – Pokręciła głową. – No cóż, miejmy nadzieję, że jej to minie. Czas leczy rany. A jak Franek wróci z wojny, to już w ogóle będzie dobrze. A co u ciebie?

– Jestem tutaj, bo przyjechałem na komisję wojskową.

– I dobre wieści?

– Dobre – ucieszył się. – Nie wrócę na front!

– Dzięki Bogu! – Pani Kotlińska się przeżegnała.

– Wrócę do pracy w Unii, u Ventzkiego, jak wydobrzeję. Oni tam cały czas potrzebują dobrych mechaników. Wielu z nich wyjechało na front, więc ciągle im brakuje rąk do pracy.

– Możesz znów zamieszkać u nas – zaproponowała pani Kotlińska. – Twój pokój na poddaszu stoi wolny. Dobrze nam z tobą było.

– Nie będę robić kłopotu… – niepewnie odparł Janek.

– Ależ żaden kłopot! – zawołała. – Adela z pewnością się bardzo ucieszy! A powiedz mi jeszcze jedno… Naprawiłeś matce wreszcie ten dach?

– Naprawiłem. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

5

Kochany Franciszku,

Tak bardzo tęsknię, nie potrafię sobie znaleźć miejsca. Takie niesprawiedliwe jest to życie!

Nauczyłam się robić skarpety na drutach. Robię je dla Ciebie. Pruję stare swetry, te zniszczone, i przerabiam na ciepłe skarpety. Takie z podwójnej wełny. Jak przyjedziesz następnym razem, to je weźmiesz. Nie mogę znieść myśli, że jest ci tam zimno.

Nie chciałeś rozmawiać o wojnie, jak byłeś tutaj, ale Janek powiedział mi o tym koszmarze, który tam ma miejsce. On ma szczęście, nie wraca na front, będzie pracował w fabryce, gdy wydobrzeje. Ale do tego chyba jeszcze długa droga. Na razie mieszka z rodzicami. Jego tata choruje, chyba to już nie potrwa zbyt długo. Już kiedy zaczynała się wojna, to niedomagał, a wiadomo, strach i wojna dołożyły więcej zmartwień.

Marianka biega po całym domu. Zaczęła chodzić kilka dni po tym, gdy wyjechałeś. Tak sobie myślę, że chciała za tobą pobiec. Cieszę się, że ona jest dziewczynką, bo mam pewność, że na żadną wojnę nie pójdzie. Ale nie chcę o tym myśleć.

Zresztą nie wierzę, by ktokolwiek po tym wszystkim, co się teraz dzieje, chciał kolejnej wojny. Nie wierzę!

Kocham Cię.

Adela

Kochany Franciszku,

Dostałam od Ciebie cztery listy! Tylko to były listy, które napisałeś, jeszcze zanim się widzieliśmy. Listonosz przyniósł je razem, związane sznurkiem. Wyglądały jak najpiękniejszy prezent!

Teraz już się tak nie martwię, że nie odpisujesz, bo wiem, jak ta poczta długo idzie.

Zrobiłam kolejną parę skarpet. Chyba ją oddam dla żołnierzy na froncie, bo nie wiem, kiedy się zobaczymy, a na pewno komuś się przydadzą. Kiedy przyjedziesz, to Tobie też zrobię. Już mam taką wprawę, że to nie zajmie dużo czasu.

U nas wszystko dobrze, tylko tata Janka zmarł. Z jego mamą też nie jest najlepiej, ale jesteśmy dobrej myśli.

Twoi rodzice cieszą się dobrym zdrowiem. Mama jak zawsze jest złośliwa. Jak ona kiedyś przestanie być niemiła, zapytam, czy jest chora albo od razu zawiozę ją do lekarza. Ale ja sobie mówię w ciszy, że ona tak po prostu ma. Trochę ją rozumiem, bo kocha Cię najbardziej na świecie, a my z Marianką jej Ciebie zabieramy. Chociaż nie mogę nic powiedzieć, Mariankę kocha nad życie i chce jej nieba uchylić.

Kochamy Cię, Franciszku.

Adela

Kochany Franciszku,

Jestem w ciąży.

Podejrzewałam już to dawno, ale teraz już nie mam wątpliwości.

Twoja Adela

ROZDZIAŁ VIII

Dziwny jest ten świat,
gdzie jeszcze wciąż
mieści się wiele zła.
I dziwne jest to,
że od tylu lat
człowiekiem gardzi człowiek.

Czesław Niemen, „Dziwny jest ten świat”

1

Grudziądz, koniec września 1939 r.

Rachela Goldblum. Kobieta średniego wzrostu, brunetka z wielkimi, brązowymi oczami. Zakochana w Joachimie. Piękna. Czasem się uśmiecha. Melancholijnie. Marzy o tym, by zasypiać bez strachu, u boku ukochanego, o tym, by mieć dwoje dzieci. Albo nawet troje.

Uwielbia ciasto drożdżowe, grubo posmarowane świeżym masłem. Jedzone na ciepło, zanim jeszcze do końca wystygnie. Lubi, gdy masło się roztapia i delikatnie wsiąka w miękkie ciasto.

Właśnie kochała się po raz pierwszy w życiu. Joachim wyszedł niedawno od niej, a ona wciąż czuje jego zapach i dotyk! Obiecuje sobie, że zapamięta te chwile na zawsze!

2

Obóz koncentracyjny Auschwitz, 15 czerwca 1944 r.

Numer 514225[5].

[5] Numer wybrany losowo, nie jest inspirowany żadną autentyczną postacią, choć zważając na ewidencje obozowe, w tym czasie z pewnością komuś został już taki przydzielony.

ROZDZIAŁ IX

Cóż, życie to czekanie,
Róż co dzień nie da nikt.
Musi być cień, by kiedyś był blask.
Nie wstydzę się prostych prawd.

Michał Bajor, „Całe życie czekam”
Autor tekstu: Jonasz Kofta

1

Grudziądz, sierpień 1943 r.

– Ile można czekać? Całe życie?

Adela wpatrywała się w ostatnie zdjęcie męża. Zrobił je ktoś na dworcu, gdy odprowadzała go do pociągu. Przystojny wysoki mężczyzna w eleganckiej koszuli. Sama wiązała mu krawat tamtego dnia. Obok niego wielu takich… młodych, którzy jadą walczyć, nawet nie o własną ojczyznę. Jadą walczyć tak do końca nie wiadomo o co.

Franciszek wyjechał niedługo po tym, gdy urodziła się Marianka. Wyruszył na nieznany front w niemieckim, jakże obcym mundurze. Obok na zdjęciu stał Janek i jeszcze kilku przyjaciół.

Adela układała swoje skarby w kartonowych pudełkach po czekoladkach i metalowych puszkach po herbacie. Listy, zasuszone niezapominajki, które otrzymała kiedyś od męża, i te kilka zdjęć.

– Zostałyśmy same, kochanie – powiedziała do dziewczynki. Mała bawiła się lalką, którą dostała od wujka Joachima. – Ale on wróci – dodała. – Ja wiem, że on wróci.

Adela była pewna, że Franek kiedyś pojawi się w drzwiach i po prostu wpadną sobie w ramiona. Skończy się ta okropna wojna i wszystko będzie tak jak kiedyś. Pójdą do Leśniczówki, potem do rosarium, wezmą na spacer Mariannę. Nie będzie strachu, nie

będzie pustej poduszki na miejscu przy ścianie i nie będzie pustego miejsca przy stole w wigilijny wieczór. Urodzi się im syn albo druga córka…

Westchnęła.

Ile tylko trzeba czekać?

Ten rok nie był łatwy. Franek przyjechał na urlop tuż po tym, o czym nie chciała, nie mogła pamiętać, ale co wryło się głęboko w jej świadomość.

A przedtem go wzięli do wojska. Może nawet o tym się mówiło, ale Adela wierzyła, że stanie się cud i jej mąż nie pojedzie na front. Chociaż Franek mówił, że wiedział o tym od samego początku. Może nie wiedział, ale to przeczuwał, odkąd tylko Niemcy zaczęli mieć kłopoty na froncie wschodnim i potrzebowali żołnierzy.

A tak nie wierzyła w to, że wybuchnie wojna. Jak przez mgłę sobie przypominała Janka, który mówił o tym, gdy wszyscy stali przed kinem, a potem, jak przybiegł do nich, by powiedzieć, że słuchał radia. Wydawało się, że od tego dnia minęło tak dużo czasu! Janek wyjechał na front i wrócił, Franka wciąż nie było z nimi. Joachim był na miejscu.

Czasem Adela miała wrażenie, że Joachim był jej aniołem stróżem. Wiele mu zawdzięczała. Ona i jej rodzina. Racheli już chyba nie było wśród żywych. Podobnie jak wielu innych zamieszkujących Grudziądz ludzi o żydowskim pochodzeniu. Pewnie Joachim ułoży sobie życie z kimś innym. Sabina miała w sobie coś takiego, co nie do końca pasowało Adeli. Ale nie jej to oceniać. Ona również nie była święta. Popełniła błąd, którego owocem mogło być nowe życie. A może to jednak Franciszek był ojcem? Tego nie wiedziała. Miała tylko nadzieję, że nikt nigdy nie będzie tego dociekał. Nie chciała komplikować sobie i tak już skomplikowanego życia.

Janek nic jeszcze nie wiedział. Nie rozmawiali w zasadzie od tamtej chwili. Kilka przelotnych, zupełnie nieistotnych zdań. Raczej unikała spotkań z nim, wykręcając się chorobą.

W końcu mama zaczęła coś podejrzewać.

– Robią te chłopy dzieci i potem znikają. – Adela usłyszała, jak jej mama mruknęła to któregoś dnia.

– Mamo! – zawołała z oburzeniem, wchodząc do pokoju, w którym krzątała się pani Helena.

– A co? Nie mam racji? Wojna mężczyzn jest zupełnie inna niż wojna kobiet. Oni na tym froncie muszą dbać tylko o swój własny tyłek. Dostają jedzenie, nawet więcej niż my tutaj, bo przecież są żołnierzami! Walczą o wolność! – mówiła zdenerwowana, gestykulując. – A my, kobiety? My walczymy o wszystko! Walczymy o nasze życie, nasze dzieci. Czekamy, tęsknimy, nie wiemy, co nam przyniesie kolejny dzień. Nie jesteśmy tak silne fizycznie, że się obronimy, gdy nas ktoś zaatakuje, dlatego musimy być silne psychicznie. Oni mają ubranie, jedzenie, a my? My robimy wszystko z niczego!

– Mamo, ale oni mogą tam zginąć.

– Tak, oczywiście, ale my też możemy tu zginąć. I nasze dzieci. I martwimy się zawsze za kilka osób od nas zależnych, a oni tylko o siebie! – Przez chwilę intensywnie wycierała zupełnie czyste szkło, za którym stały filiżanki. – Latem się urodzi, prawda?

– Latem albo na jesieni – szepnęła Adela.

– Oj, dzieciaku… – westchnęła pani Helena. – Damy radę. Z pomocą Bożą i przyjaciół. Byleby tylko zdrowe było i szczęśliwie na świat przyszło. – Przytuliła córkę.

Chyba w tym, co mówiła pani Kotlińska, było trochę prawdy. Kobiety w czasie wojny musiały zmagać się z takimi

przeciwnościami losu, które zniszczyłyby niejednego mężczyznę. Chyba nie myślały o sobie, one trwały dla innych ludzi. Dla dzieci, męża, rodziców. To też było bohaterstwo. Często zupełnie niedoceniane.

2

Początki ciąży Adeli były trudne. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy miała urodzić się Marianka. Wtedy Adela miała wsparcie męża, teraz nie było go przy niej. Czasem zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby jednak Janek zamieszkał u nich na poddaszu. Rodzice robili się coraz starsi, a ona wkrótce miała mieć pod opieką dwoje małych dzieci. Rodzice ciężko pracowali, by ich wyżywić, a ona czasem czuła się taka nieprzydatna. Tylko on teraz opiekował się swoją matką, dlaczego miałby się opiekować również nimi?

– Joachim, ja siedzę i robię te skarpety, a potem zanoszę je, by wysłano na front. Ale wiesz, ja nawet nie jestem pewna, czy one przypadną Polakom, Niemcom, czy takim jak my. I chyba nie ma to dla mnie żadnej różnicy. Po prostu chcę, by ktoś na tej wojnie pomyślał o mnie z wdzięcznością, chcę, by komuś dzięki mnie było ciepło. Nieważne, kto będzie je nosił. Robiąc je, czuję się potrzebna.

– Pomogę ci znaleźć pracę – obiecał Joachim. – Nie powinno być problemu.

– Joachim, tylko na chwilę. – Adela pokręciła głową. – Marianka wymaga opieki, a wkrótce…

– Taaak?

– Wkrótce na świat przyjdzie kolejne dziecko – wyznała, zawstydzona.

Joachim popatrzył na Adelę z zaskoczeniem.

– Powinniście wyjechać z Grudziądza – stwierdził. – Wisła wkrótce podzieli ten cały wojenny teatr na dwie części. To nie żadna tajemnica, wszyscy już o tym mówią. Zresztą wspominałem wam już o tym nie raz. Nieoficjalnie mówi się też o tym, że Niemcy przegrają tę wojnę. Ja chcę wyjechać w głąb Rzeszy.

– Namówiłeś Sabinę?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Bierzemy ślub i wyjeżdżamy. Już wszystko załatwione.

– Pierścionek dostała? – zapytała Adela.

– Dostała.

Pokiwał głową i pomyślał o rodowym pierścionku z rubinowym oczkiem, który znalazł w szparze podłogi w domu Goldblumów. Tego pierścionka nie dał Sabinie. Nie mógł. On należał do największej miłości jego życia. Do Racheli. Bo taka miłość przecież się dwa razy nie zdarza.

3

Kilka dni później Joachim z Sabiną przynieśli zaproszenia na swój ślub. Janek akurat był na komisji wojskowej w Grudziądzu, więc też zawitał na Bothstrasse. Siedział z Adelą przy stole i całe szczęście, że Marianka wdrapała mu się na kolana, bo rozmowa wcale im się nie kleiła. Adela piła herbatę i z niecierpliwością wyczekiwała zapowiedzianych gości. Wkrótce rozległo się pukanie do drzwi.

– Dzień dobry. – Sabina uśmiechnęła się od progu. – Słyszałam, że masz dobre wieści! – powiedziała do Adeli.

Ta uśmiechnęła się. Nie chciała mówić o tym przy Janku, więc szybko zmieniła temat na ślub, który miał się odbyć już za chwilę.

– Tak się cieszę waszym szczęściem – mówiła, gdy siadali przy stole. – Może chociaż u was będzie wszystko normalnie – dodała. – Od razu po ślubie wyjeżdżacie?

– Tak – potwierdził Joachim. – Wam też radzę to zrobić. Już zresztą o tym mówiłem.

– Myślisz, że front przyjdzie aż tutaj? – z niepokojem zapytała Adela.

– Jestem tego pewien. Prędzej czy później będzie tu bardzo niebezpiecznie. Lepiej się przygotować do przeprowadzki, niż uciekać w pośpiechu, zostawiając za sobą połowę majątku.

Pani Helena załamała ręce.

– Ale to niby wszystko mogłoby zostać zniszczone? Nasz dom?

– Sowieci są barbarzyńcami. Bez skrupułów. Dużo widziałem… – Janek zamyślił się na chwilę. – Nie chciałbym, byście też byli tego świadkami.

– Oj, co tak smutno i poważnie?! – zauważyła Sabina. – Miało być wesoło, o ślubie i innych przyjemnych rzeczach. – Zmarszczyła brwi. – Powiedz lepiej, Adelko, kiedy się dzidziuś urodzi.

Janek zamarł z kubkiem w połowie drogi do ust. Adela spuściła głowę.

– O Boże, myślałam, że już wszyscy wiedzą! – wykrzyknęła Sabina.

– Nie, ja nie wiedziałem. – Jan pokręcił głową, patrząc na Adelę.

– Urodzi się późnym latem – odpowiedziała cicho dziewczyna.

Joachim z Sabiną porozmawiali jeszcze z panem Hipolitem, który właśnie usiadł wraz z nimi, Sabina pobawiła się chwilę z Marianką, zostawili zaproszenie na ślub i wyszli, snując plany na najbliższą, idealną przyszłość.

– Adela… – zaczął Janek, gdy zostali sami.

Hipolit naprawiał w garażu taboret, który dostał od sąsiadów, a Helena z Marianną poszły do kuchni.

– Nie pytaj o nic – wyszeptała. – Proszę cię. Nie pytaj.

– Muszę znać prawdę. – Złapał ją za dłonie i spojrzał na nią badawczo. – Powiesz mi? Czy to dziecko jest moje?

– Nie wiem, Janek. Naprawdę nie wiem…

– A jest to możliwe?

– Jest bardzo możliwe – powiedziała cicho.

– Franek wie? O tym, co wtedy się wydarzyło?

Dziewczyna gwałtownie pokręciła głową.

– I nigdy się nie dowie. – Spojrzała na Janka.

– O to możesz być spokojna.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a później Janek gwałtownie wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju, w tę i we w tę.

– Adela, jesteś dla mnie ważna – powiedział cicho. – Przecież wiesz. Proszę tylko, nie unikaj mnie. Niezależnie od wszystkiego ja będę zawsze po twojej stronie. Nie oczekuję od ciebie niczego w zamian. Chcę cię tylko chronić. I nie dlatego, że obiecałem to Frankowi. Adela, nie ma dla mnie znaczenia, czy…

– Nie kończ, Janek – poprosiła.

– Nie ma dla mnie znaczenia, czy to jest moje dziecko, czy jego. Zawsze wam pomogę – obiecał, patrząc prosto w oczy kobiecie, którą kochał i dla której mógłby zrobić wszystko.

4

Dni mijały. Od Franciszka w dalszym ciągu nie było wieści. Adela codziennie wyczekiwała listonosza, jednak docierały do niej tylko straszne wiadomości o przegranych bitwach i morderczych zapędach Sowietów na wschodzie.

– Nie chcę tego słyszeć – mówiła ojcu. – Po co mam się denerwować? On wróci i wszystko będzie tak, jak dawniej. A nawet lepiej.

– Dziecko, chciałbym mieć taką nadzieję jak ty. Może powinnaś się przygotować na najgorsze? – martwił się pan Hipolit.

– Jak ty możesz do niej takie rzeczy mówić? – Matka była zła na męża. – Jeszcze wojna się nie skończyła, a ty już go pochowałeś! Nie minął nawet rok, a ty takie głupoty wygadujesz!

Adela wciąż wierzyła. Każdej soboty, gdy matka zabierała Mariankę, siadała i pisała list. Nie chciała, by Franciszka ominął jakikolwiek fragment z jej życia. Tylko jeden moment chciała przed nim zataić. Tę wigilijną noc, podczas której wydarzyło się to, co nie miało prawa się zdarzyć.

Janek o nią bardzo dbał. Przywoził od matki mięso i warzywa. Wszystko, by tylko cieszyła się dobrym zdrowiem.

Niestety wojna ma też swoje niewojenne ofiary. Pod koniec kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku zmarła mama Janka. Został sam w całkiem sporym domu w Kurzętniku, wśród kwiatów, które w ogrodzie sadziła jego matka i które właśnie wiosną budziły się do życia.

Joachim coraz bardziej straszył nadchodzącym frontem i tym, że ze względu na stan Adeli nie powinno się zwlekać ani chwili z poszukiwaniem nowego, bezpieczniejszego do życia miejsca. Mówił, że są plany zamiany Grudziądza w twierdzę i z pewnością będą trwały tu długie walki, bo Niemcy, dysponując fortyfikacjami, będą mogli się długo bronić.

Pewnego majowego popołudnia do domu Kotlińskich przy Bothstrasse zawitał Jan.

– Nie wiem, dlaczego tak późno na to wpadłem! – powiedział z entuzjazmem. – Przecież możecie mieszkać u mnie, dopóki tutaj nie uspokoi się sytuacja. Przez wieś front przemknie szybko, wszystko się skupi na Grudziądzu.

– Ale jak to u ciebie? – zapytała matka Adeli.

– Mam przecież duży dom, za duży jak dla mnie samego. Może nie ma tylu wygód, co tutaj, ale lepiej przeżyć tę wojnę bezpiecznie, a nie z wygodami.

– I tak mamy zostawić wszystko? – Pan Hipolit pokręcił głową.

– To, co się da, weźmiecie ze sobą. Tam i stodoła jest duża do majsterkowania i kuchnia przestronna. Dla Marianki się miejsce znajdzie i dla nowego członka rodziny też. Pomogliście mi, kiedy tego najbardziej potrzebowałem, więc chciałbym się w miarę możliwości odwdzięczyć.

Pani Helena rozglądała się bezradnie wokół, zaskoczona tym nowym pomysłem.

– A kwiaty? Ogródek?

– Pani Heleno, moja mama opiekowała się ogrodem do ostatnich dni. Teraz on potrzebuje dobrej ręki, bo ze mną to szybko zniszczeje. A kwiaty właśnie zaczynają kwitnąć. Będą tulipany i narcyzy.

– Ja nigdzie nie jadę! – stwierdziła stanowczo Adela.

– Dlaczego? – zdziwił się ojciec, któremu powoli zaczynał się podobać ten plan. – Już nawet matka dała się namówić, a ty nie?

– A jak przyjedzie Franciszek i nas nie zastanie, to co sobie pomyśli? Jak nas znajdzie? Ja nie mogę jechać, muszę tutaj na niego czekać. By go przywitać, gdy wróci do domu – powiedziała Adela, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

5

Kilka dni trwało, nim udało się przekonać Adelę. Przychodził Joachim, Sabina była kilka razy. Pani Helena już prawie wszystko spakowała, a Adela wciąż była niewzruszona. Dopiero gdy Janek przekonał ją, że obiecał Frankowi zaopiekować się nimi i że w związku z tym będzie pierwszą osobą, u której ten będzie szukał swojej rodziny, Adela zgodziła się na przeprowadzkę.

Trwało to kilka dni. Joachim chciał pomóc jeszcze przed swoim ślubem, bo zaraz potem wyruszał w głąb Rzeszy. Załatwił nawet wojskowe samochody, którymi przewieziono cały dobytek z Grudziądza do Kurzętnika.

Pakunek z filiżankami Adela traktowała jako swój największy skarb. Nie pozwoliła go nawet nikomu tknąć, by filiżanki, symbol jej małżeństwa, bezpiecznie trafiły do nowego domu.

– Tyle się wydarzyło od wybuchu wojny – westchnął Janek, gdy usiedli przy kolacji w nowym domu. – Upłynęło zaledwie kilka lat, a wydaje się, że minęły wieki.

– A tacy byliśmy jeszcze niedawno beztroscy – mruknęła Adela, gładząc się po coraz większym brzuchu. – Będziemy jeszcze kiedyś tacy?

– Pewnie. – Jan wzruszył ramionami. – Po wojnie.

– A kiedy to będzie? Wiesz, przestałam wierzyć, że będzie kiedyś coś takiego jak „po wojnie”.

– Będzie. Nie wiem, kiedy, ale mam nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej. A wtedy usiądziemy znowu przy stole i przypomnimy sobie tę rozmowę. I te nasze wątpliwości, że kiedyś się ta wojna zakończy.

Tamtej pierwszej nocy w nowym domu Adela nie mogła spać. Śniło jej się, że jest już stara, siedzi obok Franciszka i oboje piją jakąś bardzo słabą i słodką herbatę z filiżanek z niezapominajkami. W tym śnie Adela wolałaby pić tę herbatę ze zwykłego kubka niż z porcelany, ale musiała robić dobrą minę do złej gry i udawać, że jest wszystko w porządku.

Obudziła się wcześnie rano. Cały dom jeszcze spał. Majowe słońce wpadało przez okno. Adela zapragnęła wyjść na dwór i zobaczyć je. Niosło taką nienazwaną nadzieję.

Owinęła się kocem, bo wiosenne poranki były bardzo chłodne, i wyszła na zewnątrz.

– Dzień dobry. – Usłyszała.

Odwróciła się w stronę głosu. Za niewielkim płotkiem stała uśmiechnięta młoda dziewczyna. Wokół jej pogodnej twarzy wiły się jasnobrązowe, złotawe włosy, a po ramieniu spływał luźno spleciony warkocz.

– Dzień dobry. – Adela zdziwiła się, że dziewczyna tak wcześnie była na nogach i już rozwieszała pranie.

– Jestem Klara Wesołowska. Ty pewnie jesteś Adela! Janek bardzo dużo mi o tobie mówił! – trajkotała jak nakręcona. – Lubię wcześnie wstawać. Mam małe dzieci. Dwoje. I rano lubię po prostu pobyć sama. Wieczorem jestem za bardzo zmęczona i od razu zasypiam. Cieszę się, że się tutaj wprowadziliście. Dzieci

będą miały towarzystwo. – Spojrzała wymownie na brzuch Adeli. – Widzę, że towarzystwo się nam jeszcze powiększy. – Roześmiała się.

Adela patrzyła na Klarę, która niemalże tańczyła przy tych sznurkach, na których wieszała dziecięce ubranka i pieluchy, i nie mogła się nadziwić, jaka radość życia z niej bije. Miała wrażenie, że owszem, promienie słońca zaglądały dziś przez okno, ale prawdziwym słońcem była ta dziewczyna!

– Rano zawsze włosy czeszę – powiedziała Klara, pokazując swój jasnobrązowy warkocz. – Teraz jestem potargana, jak widzisz. – Dotknęła wystających niesfornie kosmyków. – Trochę mi to zajmuje. Babcia mnie uczyła, że trzeba szczotkować sto razy. Czekam na męża. Postanowiłam codziennie być dla niego ładna. Bo przecież nie znam dnia ani godziny, kiedy wróci. Albo przyjedzie na urlop. I wyobraź sobie… – mówiła, jednocześnie ściągając suche rzeczy – …wyobraź sobie, że on by przyjechał, a ja stanę przed nim taka potargana. I włosów też nie zetnę. Tak mu mówiłam… Jak wyjeżdżał, miałam do pasa. Teraz już chyba kolan sięgają. – Roześmiała się. – Musi wrócić, bo przecież nie mogę warkocza po ziemi ciągnąć!

Z domu obok dobiegło nawoływanie.

– Oho! Zaczyna się. Codzienna walka o przetrwanie, żeby ich wyżywić. Ja to Bogu dziękuję, że my na wsi mieszkamy, bo wyjdziesz kawałek za dom i już jakieś jedzenie na ciebie czeka. To tu coś rośnie, to tam. To ze wsi coś przyniosą. Jesteśmy szczęściarzami, prawda? – Obdarzyła Adelę najpiękniejszym uśmiechem i znikła za drzwiami swojego domu.

– Słyszałem, że poznałaś już Klarę. – Za Adelą stanął Janek, trzymając na rękach Mariankę.

– Ależ ona jest miła! – stwierdziła Adela. – I taka dobra!

– Jest. – Uśmiechnął się. – Taka pozytywna dobra dusza wszystkich tutaj. Dla każdego znajdzie czas i miłe słowo. Rany opatruje, porody odbiera.

– Cudowna! Nie mówiłeś mi o niej.

– Jak się opowiada o tak miłych ludziach, to nikt nie wierzy, że takimi są w rzeczywistości. A ona po prostu taka jest. Nie zdziw się, jak dzisiaj jeszcze upiecze jakieś ciasto i przyniesie. Ona zawsze wszystko ma, bo w podziękowaniu za pomoc ludzie jej wszystko dają. I tak połowę rozdaje potrzebującym. – Roześmiał się. – Poza tym uprawia w ogródku różne cuda. Nawet jakieś zioła jej rosną. Czarodziejka!

– Mówiła, że ma dzieci.

– Tak, dwoje fajnych maluchów. Zosię i Miecia.

– A mąż?

– Takie wojenne małżeństwo. Wyjechał na front tuż przed nami.

– Wrócił? – Adela spojrzała na Janka z nadzieją.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nawet na urlop nie przyjechał. Pisał, że miał przyjechać, ale ktoś z urlopu nie wrócił i mu nie pozwolili.

– A ona wciąż czeka… – westchnęła smutno Adela.

– Czeka – przyznał Janek. – Nie traci nadziei.

– Mówiła mi o włosach. – Adela uśmiechnęła się. – Że nie obetnie.

– Ja myślę, że ten jej warkocz jest dla niej kalendarzem, który pokazuje, ile to już upłynęło lat.

– Szybko rosną jej włosy.

– To samo zauważyłem. Mówiłem jej nawet o tym, a ona powiedziała, że to czas tak szybko upływa, a włosy rosną zupełnie zwyczajnie.

– To też prawda… – Adela zamyśliła się. – Z tym czasem. Pędzi nieubłaganie. Ja też już długo nie mam wieści od Franciszka.

Może jego mama coś wie? Jak pojedziemy na ślub do Joachima, to odwiedzimy ją, dobrze?

– Dobrze – zgodził się Jan.

Pomyślał jednak, że gdyby matka Franciszka wiedziała cokolwiek, z pewnością by się tą wiedzą podzieliła. Nie powiedział jednak o tym Adeli, która właśnie wzięła na ręce Mariannę.

– A dlaczego ty już właściwie wstałaś? – zapytał Jan. – Nie chciałaś się wyspać po przeprowadzce?

– A bo było tak pięknie! Promienie słońca wpadały przez okno i przez chwilę poczułam się szczęśliwa. Szkoda było mi spać!

Janek się uśmiechnął. Chciał ją objąć, pogłaskać jej włosy, ale Adela odsunęła się. Nieważne, że go unikała. Była tutaj, bezpieczna. Dobrze, że mógł o nią zadbać w ten trudny czas. Tak jak obiecał to przyjacielowi. I tak jak obiecał to sobie.

Janek miał coraz większe obawy, czy Franciszek wróci z wojny. Nie dzielił się nimi z nikim. Bo i po co miałby ich martwić? Jednak od czasu powrotu Franciszka na front nie było z nim kontaktu. Wcześniej jakieś listy jednak dochodziły, choćby z opóźnieniem. Teraz nie było nic. Adela jednak wciąż miała nadzieję.

Janek miał rację – jeszcze tego samego dnia zapukała do ich drzwi Klara. Za jej plecami chowała się dwójka dzieci. Dziewczynka, jej idealna kopia, i chłopiec, rudy i piegowaty, uśmiechnięty malec.

– Dzień dobry – zaświergotała od progu. – Ciasto przyniosłam na przywitanie. Niestety będziecie się musieli z nami podzielić, bo moje dzieci wyczują ciasto z każdej odległości.

– Wejdź! – ucieszyła się Adela.

Klara spięła swoje długie włosy w kok z tyłu głowy. Gdy zauważyła, że Adela się jej przygląda, roześmiała się.

– Przeszkadzają mi trochę podczas codziennej krzątaniny. Nie chciałam, by znalazły się w cieście.

– Klaro, to moja mama – przedstawiła panią Helenę Adela.

– Dzień dobry! – zawołała radośnie dziewczyna. – Jak to cudownie mieć sąsiadów wokół! Tak to człowiek czułby się sam jak palec. Nawet nie wiecie, jak mi się miło zrobiło, gdy zobaczyłam dzisiaj Adelę. Ja naprawdę myślę, że świat wraca do normalności! Jeszcze tylko nasi mężowie wrócą, Jankowi znajdziemy jakąś cudną kobietę i będziemy codziennie dziękować Bogu za to nasze życie!

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś intensywnie, i dodała po chwili:

– Tylko gdzie my tę kobietę znajdziemy? Ech… Coś wymyślimy.

– Po tej wojnie łatwiej kobietę znaleźć niż mężczyznę – westchnęła Adela. – Jest nas już dużo więcej.

– Na szczęście my nie będziemy musiały szukać mężczyzn. Prawda, Adelko? Oni wrócą! Ani się obejrzymy, a oni wrócą!

6

Rano, w przededniu ślubu Joachima z Sabiną, na podwórko w Kurzętniku wjechał niemiecki wojskowy samochód. Pani Helena pobladła.

– W imię Ojca i Syna, to nie może być nic dobrego – wyszeptała przestraszona. – Po co nam tu oni?

– Pani Helenko, spokojnie – odparł Janek. – Joachim się uparł, że po nas kogoś wyśle, bo nie chciał, byśmy jechali pociągiem. Bardzo mu zależy, byśmy byli na jego ślubie. Do tego stopnia, że postanowił nawet po nas przyjechać. Głównie ze względu na Adelę.

– A już się zlękłam. – Mama Adeli usiadła, trzymając się za serce. – Niemcy na twoim podwórku i to do tego tacy, którzy przyjechali samochodem, nie mogą dobrze wróżyć.

– Tym razem wróżą dobrze, pani Helenko.

– Na ślub wiozą, bo miłość wisi w powietrzu, mamo. – Uśmiechnęła się Adela. – Gotowy jesteś? – zapytała Janka.

– Tak.

– Szkoda, że Mariankę zabieracie – westchnęła. – Wolałabym ją mieć tutaj.

– Mama Franciszka też chciałaby mieć kontakt z wnuczką. A jak jest okazja, by bezpiecznie pojechać, to chcemy to wykorzystać.

– Tak, tak… – Pani Kotlińska pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną. – Wracajcie bezpiecznie.

– Na pewno. Z taką eskortą nic nam nie grozi – zapewniła Adela.

Do Schulzów zajechali jeszcze przed południem. Janek po drodze zajrzał w okna Joachima, ale były zasłonięte. Jakby nikogo w domu nie było. Pewnie miał jeszcze dużo spraw do załatwiania. Janek nie chciał mu zawracać głowy w przededniu jednego z najważniejszych wydarzeń w jego życiu, Joachim powinien teraz być z narzeczoną.

Mama Franka nie wyglądała najlepiej.

– Mamo, źle się czujesz? – zapytała Adela.

– Tak raz lepiej, raz gorzej. Ale cóż, tak to jest ze starością. Jak cię coś boli, to cieszysz się, że żyjesz.

– Mamo… mieliście jakieś wiadomości od Franciszka? – Adela z nadzieją spojrzała na teściową.

– Dziecko… – Pani Stanisława uścisnęła dłoń synowej. – Przecież byś wiedziała.

– Tak… – westchnęła Adela.

– Nie smuć się, dziecko. Powiedz lepiej, jak ty się czujesz. Dajecie sobie radę?

– Dobrze nam tam, mamo. Myślę, że powinniście do nas dołączyć. Rozmawiałam już z Jankiem na ten temat. Miejsca dla wszystkich wystarczy. Joachim mówił, że nie można tutaj zostawać, bo to nie jest zbyt bezpieczne.

Pani Schulz pokręciła głową.

– Za starzy jesteśmy na zmiany. Wystarczy, że nas wyrzucili z naszego domu. Na Mackenstrasse mieszka już jakaś rodzina niemiecka. Czasem chodzę tam i zaglądam im w okna. – Uśmiechnęła się. – Chyba są szczęśliwi. A ja nawet cieszę się ich

szczęściem. Mają syna. Biega po podwórku, jak kiedyś biegał mój Franciszek.

– Mamo, chodzenie tam nie jest dla ciebie dobre. – Adela pokręciła głową.

– Jest. Żyję wspomnieniami. I czasem mam ochotę zaczepić tę młodą Niemkę i powiedzieć jej, by cieszyła się macierzyństwem każdego dnia. By chłonęła to szczęście, że ma swego syna przy sobie. Bo w życiu może być różnie. Ty też o tym pomyśl. Mam nadzieję, że zdążę zobaczyć kolejnego wnuka…

– Oczywiście, że zdążysz. Dlaczego miałoby być inaczej?

– Pewne rzeczy się czuje. – Pani Stanisława zamyśliła się. – Adelko, nie byłam zbyt zadowolona, że Franek zakłada tak szybko rodzinę. Powiem nawet, że byłam wściekła! Takie plany miałam z nim związane. Chciałam, by po skończeniu Szkoły Budowy Maszyn zdał maturę. Mógł to zrobić eksternistycznie, nawet dowiadywaliśmy się. A potem dalej miał się kształcić.

– Po wojnie też może skończyć studia – z nadzieją odparła Adela. – Już ja tego dopilnuję!

– Najważniejsze, żebyście byli szczęśliwi. Najcenniejsze, co możesz dać drugiemu człowiekowi, to twój czas. Dlatego cieszę się, że przyjechałaś z Marianką. Dziękuję.

– Mamo, jeszcze będziesz się bawić z dwoma wnukami. – Uśmiechnęła się, gładząc się po brzuchu.

Teściowa pokręciła głową.

– A mogę poprosić o coś? Obiecasz mi, że się chociaż zastanowisz?

– Oczywiście, słucham.

– Czy będziesz mogła nazwać dziecko Staś albo Stasia? Na moją pamiątkę. Bo to życie takie kruche jest. Czas tak pędzi nieubłaganie i jedyne, co możemy po sobie zostawić, to dobre wspomnienia i naszą krew płynącą gdzieś w naszych wnukach i prawnukach.

Wieczorem zakochani we wnuczce dziadkowie poszli z nią spać, a Adela siedziała w kuchni z Jankiem i piła herbatę.

– Nie lubię spać poza domem. – Pokręciła głową. – Nie mogę zasnąć, wiercę się.

– Cieszę się, że mój dom traktujesz już jak swój. – Uśmiechnął się.

– Dziękuję ci… Dziękuję ci, że tak o nas dbasz. – Adela spojrzała na niego z wdzięcznością. – Jednak ciężko być kobietą w tych wojennych czasach.

– Nie mogę walczyć na froncie, jak inni, to mogę walczyć tutaj. O najbliższych. Jesteście dla mnie jak rodzina, więc będę walczył o to, by żyło się wam jak najlepiej.

– To chyba nawet ważniejsza walka. – Zamyśliła się i po chwili dodała: – Myślisz, że to się tak da… kochać kogoś najbardziej na świecie, a potem kochać kogoś innego? – zapytała go, nagle zmieniając temat.

– Nie wiem… Naprawdę nie wiem.

– Cały czas mam ich przed oczami… Joachima i Rachelę. Jak idą, trzymając się za ręce i uśmiechając do świata. I potem ją, jak grała na pianinie. I ojciec wolał, by grała klasykę, a ona wolała nam przygrywać piosenki. I razem je śpiewaliśmy. Widzę, jak podskakuje na tym białym taborecie i śpiewa.

– Ja też często o tym wszystkim myślę. – Janek z rezygnacją pokiwał głową.

– Myślisz, że jest jakakolwiek szansa, że ona żyje?

– Nie wiem… Chyba nie ma. Wydaje mi się, że Joachim poruszył niebo i ziemię, by ją znaleźć.

– Pewnie tak – westchnęła.

– Jestem ciekawa, co się z nią stało. I dlaczego wtedy zabrali właśnie ją i jej matkę.

– Tego się pewnie nigdy nie dowiemy…

Następnego dnia, kilka minut przed dwunastą, siedzieli w kościele farnym. Było bardzo dużo ludzi. Niemieckie mundury, a obok Polacy. Jakby świat chciał się zjednoczyć ponad podziałami. Spotkali się tam wszyscy przyjaciele młodej pary, by świętować z nimi ten dzień. To miał być też dzień pożegnania, bo po krótkim przyjęciu weselnym para młoda zamierzała wyjechać w głąb Rzeszy. Rozmawiali z Joachimem dwa tygodnie temu i wszystko już czekało na przyjęcie państwa Schmidtów. Nawet w pełni wyposażone, całkiem luksusowe mieszkanie. Będzie żyło im się jak w bajce.

– Joachim zasłużył na szczęście. – Uśmiechnęła się Adela.

– Tak – zgodził się Janek.

– Bardzo nam pomógł. I patrząc na tych ludzi tutaj, nie tylko nam.

– Bo to dobry człowiek jest. Będzie mi go brakowało, gdy wyjedzie.

– Wojna się skończy i będziemy jeździć do siebie na wakacje – stwierdziła Adela. – Oni do nas. My do nich.

Czas mijał, a pary młodej wciąż nie było. Wszyscy już zaczęli się niecierpliwić. Niektórzy nerwowo odwracali się, inni zaczęli wychodzić na zewnątrz, by zobaczyć, czy są jakieś informacje. W końcu ktoś powiedział, że ślubu nie będzie.

– Jak to nie będzie? – szepnęła Adela. – Coś się stało?

– Nie wiem, pójdę zobaczyć. – Janek wstał.

Wyszedł z kościoła, gdzie natknął się na matkę Sabiny.

– Dzień dobry! – zawołał.

Wyglądała strasznie. Machnęła tylko ręką, odwróciła się bez słowa i zaczęła szybko iść w drugą stronę. Zatrzymał ją.

– Boże, coś się stało?

– Ślubu nie będzie – jęknęła. – Joachim wyjechał na front.

– Jak to wyjechał na front? – wydukał Janek.

Pani Neumann ponownie machnęła ręką. Nie mogła mówić, głos się jej łamał.

– A Sabina? Może potrzebuje wsparcia? Może powinniśmy ją odwiedzić? – dopytywał.

Matka niedoszłej panny młodej gwałtownie pokręciła głową.

– Ona teraz nie chce nikogo widzieć. Nikogo. Do widzenia.

Gdy Janek wrócił do kościoła, wszyscy już wiedzieli, że ślub się nie odbędzie. Nikt nie znał szczegółów, ale wszyscy snuli domysły.

– Ale mówiła dlaczego? – Adela nie mogła tego wszystkiego zrozumieć.

– Nie – powiedział Janek. – Ale musiało się wydarzyć coś bardzo ważnego.

– Tego jestem pewna – zgodziła się dziewczyna.

– Joachim nigdy nie łamie złożonych obietnic. Musiało się coś stać.

– Myślisz, że ma to związek z Rachelą? – nieoczekiwanie zapytała Adela, sama dziwiąc się, że akurat taka myśl przyszła jej teraz do głowy.

Janek tylko wzruszył ramionami.

7

Dzień przed ślubem Joachim wpadł na chwilę do pracy, by załatwić transport Adeli i Janka do Grudziądza. Nie chciał, by tłukli się pociągiem. Adela w ciąży, pewnie chcieli zabrać Mariankę, a skoro on miał takie możliwości, żal było nie skorzystać. Wiedział, że jego przyjaciele zrobią dla niego wiele. Był lubiany i wśród Polaków, i pośród kolegów z niemieckiej policji.

Gdy już zorganizował samochód, który miał pojechać po przyjaciół na wieś, przyszedł na chwilę na komendę. Usiadł przy stole z Rajmundem, z którym pracował od niedawna. Rajmund awansował i przenieśli go właśnie do pokoju Joachima. Był to sympatyczny Niemiec, ale bardzo zafascynowany ideami Hitlera i oddany mu na każdym kroku. Gdyby nie to, Joachim nawet mógłby się z nim zaprzyjaźnić. A tak nie było mu z nim po drodze. Rajmund pracował w policji jeszcze przed wojną, a gdy wojna się zaczęła, był pierwszy w służbie Führerowi.

– Nie chcieliście poczekać ze ślubem, aż się skończy wojna? – zapytał Rajmund, zaciągając się papierosem. – Niedługo wygramy.

– Chyba nie ma na co czekać. – Joachim pokręcił głową. – Trzeba się sobą szybko cieszyć. – Zapalił papierosa.

– No, nie mów, że się wcześniej nie cieszyliście sobą. – Rajmund mrugnął do Joachima.

– Stary! – Uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Jasne, że się cieszyliśmy! Jakżeby czekać z taką kobietą! Musiałoby coś ze mną być nie tak!

– Przez myśl by mi nie przeszło, że możecie być razem. Ty i Sabina – stwierdził po dłuższej chwili Rajmund.

– Dlaczego? Nie pasujemy do siebie? Znamy się już tak długo. Wiele ze sobą przeszliśmy. – Zamyślił się. – Była przy mnie i w dobrych chwilach, i w tych gorszych. Zdążyliśmy się chyba dobrze poznać przez ten czas. Najwyższy czas, by wreszcie być razem tak naprawdę.

– No niby tak, ale po tym wszystkim, co zrobiła… – Rajmund skrzywił się z niechęcią. – Mimo wszystko trochę to dziwne.

– A co niby takiego zrobiła?

Niemiec spojrzał na niego zaskoczony.

– Ty o niczym nie wiesz? Byłem pewien, że do ciebie też dotarły te informacje.

Joachim nic nie odpowiedział, tylko spojrzał pytająco.

– Na początku wojny sympatyzowałeś z taką małą Żydóweczką. Prawda? Taką ładną nawet. Córką tego profesora.

Joachim poczuł, że wiadomości, które usłyszy zaraz, nie będą pomyślne.

– I twoja Sabina przyszła któregoś dnia złożyć donos, że ta dziewczyna ze swoją matką rozlepiają antyniemieckie plakaty. Dziwiliśmy się, nie było dowodów, ale panna Neumann zarzekała się, że widziała to osobiście, no i komendant wysłał ludzi, by to załatwili.

– To… niemożliwe. – Joachim nie mógł złapać tchu. – Niemożliwe…

– Pamiętam jak dziś – upierał się Rajmund. – Spieszyła się bardzo, bo szła na jakiś ślub chyba. Wszystko szybko zeznała, a ja jej dałem jakąś bieliznę damską w podziękowaniu. Sklep żydowski z ubraniami przejmowaliśmy. Nie obraź się, ale

wyobraziłem sobie ją w tych pończochach i gdy zostaliśmy sami, nawet chyba zaproponowałem, by je założyła i mi się pokazała, ale odmówiła. Powiedziała, że będzie miała gotowy prezent dla panny młodej. I uciekła. – Rajmund wzruszył ramionami. – Co ci jest? – zapytał na widok poczerwieniałej twarzy kolegi. – Stary, przecież nie wiedziałem wtedy, że będzie twoją żoną! Była wolna i wydawała się chętna, dlatego chciałem trochę skorzystać! Teraz bym w życiu tego nie zrobił!

– Nie wierzę ci… – wycedził słowa przez zęby. – Nie wierzę! – Zacisnął pięści.

– Naprawdę. Do niczego w końcu nie doszło! – bronił się Niemiec. – Przysięgam!

– Nie chodzi o to… Mamy gdzieś jeszcze te zeznania?

– Mamy. Wszystkie donosy trzymamy w archiwum.

– Muszę zobaczyć te dokumenty! – zażądał Joachim.

– Stary, jutro masz ślub, a ty takimi rzeczami się chcesz zajmować?

– Gdzie one mogą być? – Niecierpliwił się, nie zważając na słowa Rajmunda. – Gdzie trzymamy donosy z początku wojny?

– Spokojnie… Chodź.

Poszli do archiwum, gdzie stały pudła ze świadectwami ludzkiej podłości. Z jednego z tych pudeł Rajmund wyciągnął kilka teczek, po czym z jednej z nich złożoną na pół kartkę.

– O, widzisz? Jest. – Uśmiechnął się.

Joachim wyrwał mu kartkę z dłoni. Szybko przeczytał jej treść. Faktycznie. Był to donos, że Rachela Goldblum wraz ze swoją matką, Sarą Goldblum, rozwieszały plakaty i roznosiły ulotki związane z antyniemiecką propagandą. Na dole widniał zamaszysty podpis, który tak dobrze znał: Sabina Neumann.

Pociemniało mu w oczach.

Przez myśli przelatywały mu ostatnie lata życia. Ciemne włosy Racheli, jej delikatny uśmiech, drobne dłonie, na które tak

pasował pierścionek po babci. Ich ostatnia kłótnia. Po niej już się nigdy nie zobaczyli.

Właśnie się dowiedział dlaczego.

Potem Sabina, która troszczyła się o niego tak, że w końcu znowu uwierzył, że los może się do niego uśmiechnąć.

Jej blond loki, obfite piersi i miękki brzuch.

Uwierzył, że mimo niepowodzeń i tragedii życiowych można jeszcze odnaleźć szczęście. Jak bardzo można się w życiu pomylić?

– Zabiję ją! Naprawdę ją zabiję! – warknął Joachim i wybiegł z komendy policji.

Rajmund, w obawie o działania swojego towarzysza, podążył tuż za nim. Biegli tak szybko, że ludzie na ulicy byli pewni, iż coś się stało. Stało się. Zdarzyło się coś, czego Joachim Schmidt nie spodziewałby się w najgorszych koszmarach.

Po chwili Joachim dotarł na Festungstrasse. Zdyszany Rajmund dobiegł chwilę potem. Joachim załomotał w drzwi swojej narzeczonej. Otworzyła jej matka. Pewnie gdyby nie zrobiła tego tak szybko, wyważyłby drzwi.

– Gdzie ona jest? – zapytał gwałtownie. – Gdzie ona jest?!

– Co się stało? – zdziwiła się kobieta. – Ciszej, mój drogi, Sabinka jeszcze śpi. Powinna być wypoczęta przed jutrzejszym dniem, prawda? – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie będzie żadnego jutrzejszego dnia!

Otworzył drzwi do pokoju, w którym spała Sabina, i siłą wyciągnął ją z łóżka, szarpiąc za poły koszuli nocnej.

– Co ty zrobiłaś?! Co ty najlepszego zrobiłaś? Jak można być tak podłym? Jak można…?

– Joachim… – Sabina nie mogła oddychać. – Kochanie, o co ci chodzi?

– Nie nazywaj mnie kochaniem! – Rzucił się na nią i pewnie gdyby nie Rajmund, który go powstrzymał, nie skończyłoby się to dobrze. – Zobacz, co znalazłem! Dzięki Bogu dowiedziałem się o tym dzisiaj. Jutro byłoby już za późno! – Zacisnął pieści.

Cisnął ze złością kartkę z donosem, która poszybowała w powietrzu i wylądowała u stóp Sabiny. Kobieta pobladła.

– Co teraz masz mi do powiedzenia? Będziesz łgała, że to nie ty pisałaś?! – wrzeszczał wściekle.

– Joachimie, to nie tak…

– A jak? Powiedz mi jak? Kochałem ją. Tak bardzo ją kochałem… – Płakał, wykrzykując kolejne zdania. – Jak nikogo na świecie. Nikogo, rozumiesz? A ty wysłałaś ją na pewną śmierć. Jak mogłaś?

– Najdroższy… – Sabina próbowała coś powiedzieć. – Kochałam cię od zawsze. Ja po prostu… wiedziałam, że musimy być razem.

– I uciekłaś się do takiego świństwa? Co jeszcze masz na sumieniu, Sabino Neumann? Ilu ludzi skazałaś na śmierć?

– Błagam cię, nie mów tak! Postaraj się mnie zrozumieć. – Uklękła przed nim, obejmując jego nogi. – Proszę cię, przebacz mi. Przecież cię kocham! Zrobię dla ciebie wszystko.

Mężczyzna stał, trzęsąc się ze złości. Rajmund zastanawiał się, czy nie odciągnąć Sabiny na bok, bo bał się, że pogrążony w rozpaczy kolega może zrobić jej krzywdę. Miał rację. Joachim odepchnął nogą Sabinę żebrzącą o miłość. Dziewczyna upadła na podłogę, uderzając głową o łóżko. Jęknęła.

– Powinienem cię zabić! – wycedził przez zęby. – Ale myślę sobie, że śmierć byłaby dla ciebie wybawieniem.

– Joachim! – Płakała, trzymając się za krwawiącą głowę. – Proszę cię… nie odchodź.

Nawet na nią nie spojrzał. Odwrócił się i skierował kroki w stronę drzwi wyjściowych.

– Co będzie z jutrem? – zapytała cicho matka Sabiny.

– Dla mnie jutro może nie nadchodzić – westchnął Joachim.

Wyszedł z mieszkania swojej niedoszłej żony, a za nim Rajmund, który dopiero zrozumiał, co tak właściwie się stało.

Następnego dnia Joachim zgłosił się na ochotnika do wysłania na front. Nie chciał czekać. Nie chciał się z nikim żegnać. Nie mógł znieść tego, że był tak blisko dokonania najgorszego wyboru w życiu. Nie mógł zaakceptować tego, że przez chwilę osoba, która posłała największą miłość jego życia na pewną śmierć, miałaby ją zastąpić. Że miałby codziennie zasypiać z nią, budzić się, wychowywać wspólnie dzieci. Nie był w stanie nawet o tym myśleć.

Chciał iść na front.

Nie chciał walczyć.

Chciał zginąć.

ROZDZIAŁ X

Niech żyje bal!
Bo to życie to bal jest nad bale!
Niech żyje bal!
Drugi raz nie zaproszą nas wcale!

Maryla Rodowicz, „Niech żyje bal”
Autor tekstu: Agnieszka Osiecka

1

Kurzętnik, czerwiec 1944 r.

– Ale co się stało? – Pani Helena nie mogła uwierzyć w opowiedzianą przez Adelę i Jana historię o niedoszłym ślubie Joachima i Sabiny. – Nikt nic nie powiedział?

– Nie. Nawet spotkałem panią Neumann, ale niczego się nie dowiedziałem – westchnął Janek.

– To dobry chłopak, znam go od dziecka. Gdyby nie miał powodów, nigdy by tego nie zrobił, na pewno nie zostawiłby narzeczonej dzień przed ślubem. – Zafrasowana matka Adeli pokręciła głową. – Kolejna bliska nam osoba trafiła na front. A że Niemiec, to nieważne. Przyjaciel. Traktowałam go jak syna, zresztą tak jak i ciebie. Janku, czasem sobie myślę, że Bóg czuwał nad tobą, że miałeś odmrożenia i straciłeś te palce. Naprawdę miałeś ogromne szczęście.

– Nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, ale ja też tak myślę.

Spojrzał na Adelę. Ta wyraźnie nie chciała tego słuchać. Ileż to razy modliła się, by Franek też został ranny, a nawet stracił nogę czy rękę, ale… przynajmniej by wrócił! Bez słowa wyszła z kuchni. Jej matka westchnęła.

– To wszystko już za długo trwa. – Pokręciła głową. – To jej wyczekiwanie. Próbuję z nią o tym rozmawiać, ale ona ucina temat. Upiera się, że Franek wróci. Przecież gdyby żył, dałby jakiś

znak. To niemożliwe, że żaden list nie przychodzi. Gdyby został napisany, na pewno w końcu by do nas dotarł.

– Nie wiem nawet, co powiedzieć – stwierdził Janek.

– A jak myślisz?

– Niestety tak samo – mruknął.

– Kochasz ją, prawda? – zapytała pani Helena, patrząc wnikliwie na Janka. – Nie musisz odpowiadać. – Machnęła ręką. – Ja i tak wiem. Dobry człowiek jesteś, Janku.

Milczał, a matka Adeli mówiła dalej:

– Jeżeli… Jeżeli zdarzy się najgorsze i Franek nie wróci, wiem, że się nią i dzieciakami zaopiekujesz. Już i tak dużo dla nas zrobiłeś. Jesteśmy ci wszyscy za to bardzo wdzięczni.

Ku swojemu zaskoczeniu pani Helena szybko zaaklimatyzowała się w nowym miejscu. Pomógł jej w tym ogród, który pani Stefaniak z sercem pielęgnowała. Wraz z nadchodzącą wiosną Helena codziennie odkrywała nowe skarby, które to jesienią sadziła mama Janka.

– Tulipany! To będą tulipany! – powiedziała na głos podczas pierwszych prac ogrodowych.

– Tu będzie wszystko, pani Helenko! – zawołała do niej zza płotu Klara. – U mnie jest dokładnie to samo, bo wymieniałyśmy się rozsadami i nasionami. A opowiadał pani Janek, jak się kiedyś matka na niego wkurzyła?

– Nie.

– Wyrósł jej wielki ogórek. Taaaki ogromny! Nie zauważyła go chyba. Ucieszyła się bardzo i postanowiła, że będzie na pestki. Trzymała go w spiżarce i się okazało, że Janek go zjadł. I nie dość, że zjadł, to jeszcze narzekał, że przerośnięty. Ależ była zła! Podobno takich ogórków już nigdy więcej nie miała.

– Synowi żałowała?

– A jakże! Janek był krótko trzymany. I dlatego teraz taki dobry chłopak z niego! Jest dla mnie jak brat. Podobno obok siebie na nocnikach siadywaliśmy. Dzięki Bogu nikt z nas tego nie pamięta! Uciekam, pani Helenko, bo obiad muszę przygotować. Chce pani połowę kury? Bo dostałam. A zresztą co ja będę połowę kury pani dawać, zrobię wielki gar rosołu i wam przyniosę. A pani sobie poodkrywa ogrodowe skarby.

– A powiesz mi, co tutaj rośnie?

– W życiu! Najprzyjemniejsze jest to oczekiwanie na cud – powiedziała Klara, po czym się zamyśliła. – Chociaż nie zawsze. Ja już bym nie chciała czekać na ten cud. Chciałabym, by stanął w progu i powiedział: „Jestem, wróciłem”.

2

W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego Warszawa przeżywała najgorsze chwile w swojej historii, a Grudziądz ogłoszono twierdzą, tak jak mówił Joachim, i planowano przygotowania do obrony. Tymczasem w Kurzętniku żyło się całkiem spokojnie. Pani Helenka cieszyła się swoim ogrodem, o umiejętnościach Hipolita w zakresie stolarki robiło się głośno w okolicy, a i starą maszynę pani Kotlińskiej można było usłyszeć coraz częściej. Mieli sporo zleceń, tak jak w Grudziądzu. Dzieciaki bawiły się coraz głośniej i można by myśleć, że życie płynęło całkiem jak na te wojenne czasy normalnie.

Niemcy za wszelką cenę starali się utrzymać w swoich rękach zachodnią i północną część Polski, więc latem przystąpiono do intensywnej rozbudowy linii obrony nad Wisłą i Narwią. Wszyscy czuli, że będzie gorąco.

– Joachim miał rację – powiedziała Adela do Klary. – Dobrze, że wyjechaliśmy z Grudziądza.

Spotkały się w domu Janka. Adela sztrykowała skarpety. Już ich nawet nie liczyła, tyle ich zrobiła. Wszystkie wysyłała na front. Sąsiedzi przynosili jej swoje swetry do sprucia, a ona zamieniała je na ciepłe ubrania dla żołnierzy. Musiała czymś zająć ręce. Chyba z nerwów.

– Podziwiam. – Klara pokręciła głową, przypatrując się przyjaciółce. – Ja nie potrafię!

– Chociaż raz czegoś nie potrafisz! – ucieszyła się Adela.

– Jedyne, co umiem zapleść, to mój warkocz. – Uśmiechnęła się, bawiąc swoimi włosami.

– Coraz dłuższy – stwierdziła Adela ze smutkiem.

– Coraz dłuższy… – przyznała Klara. – Jestem ciekawa, ile jeszcze urośnie.

– A jeśli twój mąż wcale nie wróci? – zapytała Adela ze łzami w oczach – Włosy będą ci rosły aż do śmierci? Aż do śmierci nie obetniesz warkocza?

Klara spojrzała na nią z wyrzutem.

– Wróci. Ja to wiem. Tak więc nie zastanawiam się nad tym, co by było, gdyby stało się inaczej.

Adela nie była już tego taka pewna. Listy szły w nicość, ona nie miała żadnych wiadomości, a co chwilę któryś z sąsiadów dowiadywał się o śmierci syna, brata czy męża. Sama była zaskoczona, że czasem jeszcze potrafiła się uśmiechać.

Któregoś wrześniowego popołudnia pojawił się u nich Niemiec. Ten sam, co wiózł ich na ślub Joachima. Adela z przerażeniem wyjrzała na podwórko. Janek rozmawiał z mężczyzną. Wziął od niego jakieś papiery, pożegnali się, Niemiec wsiadł do samochodu i odjechał.

– Co się stało? – zapytała Janka. – Złe wiadomości? – Spojrzała pytająco prosto w oczy przyjaciela.

– Nie o Franciszku. Jego mama zmarła.

Adela westchnęła.

– Tak jak przeczuwała – powiedziała. – Może chorowała, ale nie chciała nas martwić?

– Pogrzeb pojutrze.

– Pojedziemy.

– Wiesz co, Adela, moim zdaniem nie powinnaś jechać. – Spojrzał na jej brzuch. – Ty przecież w każdej chwili możesz urodzić.

Adela skinęła głową. Miał rację. Ostatnio czuła się coraz gorzej. Była taka ociężała… Klara mówiła, że brzuch jest nisko, więc pewnie niedługo nadejdzie czas. Klara była akuszerką, wielu dzieciom pomogła przyjść na świat, sama urodziła dwoje, więc znała się na tym.

– Może masz rację – zgodziła się. – Podejdziesz do Sabiny? Zapytasz, co się stało?

– Podejdę – obiecał Janek. – Mam w Grudziądzu kilka spraw do załatwienia, więc właściwie powinienem tam jechać na kilka dni, ale nie chcę cię zostawiać.

– Nie zostaję sama. – Uśmiechnęła się. – Są rodzice, jest Klara. Może wrócisz na gotowe – zażartowała. – I na świecie już będzie mały człowiek.

– Nie chciałbym. – Jan pokręcił głową.

– Dlaczego? – zdziwiła się Adela.

– Chciałbym być z tobą… Gdzieś blisko ciebie – poprawił się. – W tak ważnej dla ciebie chwili.

Adela uśmiechnęła się i złapała go za rękę.

Wizyta Janka w Grudziądzu przeciągnęła się do kilku dni. Najpierw był na pogrzebie matki Franciszka. Nie przyszło zbyt wielu ludzi. Nie widział Sabiny ani jej matki. Nie został na obiedzie, mimo że pan Alojzy bardzo go namawiał. Poszedł prosto do domu Sabiny na Festungstrasse. W jej mieszkaniu panoszyła

się jakaś Niemka, która otworzyła mu drzwi odziana jedynie w frywolną podomkę.

– Wyprowadzili się – poinformowała, zaciągając się papierosem. – Z dnia na dzień. Słyszał pan? Podobno ślub miał być i ten jej narzeczony uciekł prawie sprzed ołtarza. Dzień wcześniej jej powiedział! Nie dali rady nawet gości powiadomić, bo i jak?

– Słyszałem.

– Ale musiało być jej wstyd! – zawołała.

– A wie pani, o co poszło?

– Nie wiem. Ale mówią, że jakieś porachunki z przeszłości, które dopiero teraz na jaw wyszły.

– A co z tym jej narzeczonym?

– Podobno gdzieś na front pojechał. Mówią, że specjalnie, by się zabić. Tu wojna, ludzie walczą, by nie zginąć, a ten specjalnie na front jedzie.

– Rozumiem.

– Rozumie pan? Ja wcale nie rozumiem. – Pokręciła głową. – Cóż, ja jestem od innych rzeczy, nie od rozumienia. – Uśmiechnęła się. – Wejdzie pan na chwilę?

Janek nie skorzystał z propozycji. Nie wszedł do środka, jednak rozważał to przez krótką chwilę.

Czasem się zastanawiał, czy nie mógłby zacząć wreszcie żyć normalnie. Poznać kobietę, zakochać się, mieć rodzinę, dzieci. Tylko właściwie… on już to zrobił. Poznał kobietę już dawno temu, zakochał się i prawdopodobnie nawet urodzi mu się dziecko. Jego dziecko.

Był tuż obok ukochanej kobiety, ale nie z nią. Wiedział, że w każdym momencie sytuacja może się zmienić, może wrócić

Franciszek i zabrać mu cały jego świat. Świat, który tak naprawdę do niego nie należał. Wolał o tym nie myśleć.

Na razie chciał jak najszybciej pozałatwiać wszystkie sprawy i wrócić do domu. Do Adeli i Marianny. Naprawdę miał nadzieję, że dziecko nie urodzi się, kiedy go nie będzie. Wielokrotnie zastanawiał się, czy to jego dziecko. Czy jest metoda, by się o tym przekonać? Pewnie nie ma. Pozostanie mu wierzyć, że tak jest. A nawet jeżeli nie, to dziecko jego ukochanej kobiety.

Pamiętał tamten wigilijny wieczór. Czasem zamykał oczy i przypominał sobie jej delikatne, gorące ciało. Ciało, którego nie mógł dotykać, kochać. A tak bardzo tego czasem pragnął. Każdej nocy zaciskał pięści aż do bólu, gdy słyszał, jak przewracała się na bok na swoim łóżku, tuż za cienką zimną ścianą dzielącą ich pokoje.

3

Na szczęście, gdy wrócił wieczorem, zastał Adelę w dobrej formie. Myła podłogę i podśpiewywała.

– Może ja to zrobię? – zapytał z troską.

– Klara mówi, że przed porodem trzeba się rozruszać. Mówi też, że jeżeli chce mi się sprzątać i dbać o dom, to nastąpi to już niedługo. Też tak czuję. – Stanęła i złapała się za plecy. – Teraz jestem zmęczona, ale gdy przypomnę sobie, jak jest na początku z małym dzieckiem, to naprawdę nie narzekam. – Uśmiechnęła się. – Chodź do kuchni, zjesz coś i opowiesz, jak było.

Janek opowiedział o pogrzebie, a także o wizycie w dawnym domu Sabiny, asekuracyjnie pomijając wątek frywolnej Niemki.

– Masz jakieś podejrzenia, czego on się dowiedział? – zapytała Adela.

– Nie. – Pokręcił głową.

– No nic, może się kiedyś dowiemy. Dobrze, że już jesteś. – Złapała go za rękę. – Brakowało mi ciebie.

Jan spojrzał na kobietę swojego życia i przytrzymał jej dłoń, może nieco za długo. Adela odskoczyła.

– Idę na chwilę do Klary. Po jajka. Mówiła, że ma za dużo, a nasza kura gdzieś pochowała!

– Ale po ciemku? – wydukał Janek, bo faktycznie się ściemniało.

– Porozmawiamy sobie chwilę. Trzeba wykorzystać ten cudowny czas, kiedy trójka dzieci śpi, a czwarte się jeszcze nie narodziło. – Uśmiechnęła się i wstała od stołu.

Gdy tylko Adela wyszła z domu, głośno westchnęła. Nie rozumiała swoich uczuć, nie rozumiała siebie. Obiecała, że będzie czekać na męża, ale po prostu się przyzwyczaiła do Janka. Tak, to było bardzo dobre określenie… Przyzwyczaiła się. To z pewnością nie była miłość. To nie było to szaleńcze uczucie, które pamiętała z czasów przedwojennych, kiedy biegła jak na skrzydłach przez park, by zobaczyć się z Frankiem. Kiedy wystarczył dotyk jego dłoni i jedno spojrzenie, by robiło jej się gorąco i nie mogła zaczerpnąć tchu.

Przecież kocha Franciszka… I on wróci…

Wcale nie miała zamiaru iść do Klary, ale skoro już wyszła z domu, to musiała przynieść jakieś jajka. Poszła do kurnika. Jak na złość ich kura faktycznie gdzieś pochowała jajka i Adela nie mogła znaleźć ani jednego. Udała się więc w stronę domu Klary.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikogo tam nie ma. Było ciemno. Ciemno i cicho. Może Klara już spała? Coś jednak jej się nie podobało… Drzwi były lekko uchylone. Na zewnątrz stało wiadro, na płocie niedbale wisiała jakaś szmata. Klara by w życiu nie zostawiła tak domostwa na noc.

Zaniepokojona Adela otworzyła drzwi.

– Klara? – szepnęła cicho. – Klara, jesteś tutaj?

Nikt jej nie odpowiedział. Wszędzie było ciemno, chociaż jej oczy już się do tej ciemności przyzwyczaiły, a noc też była gwiaździsta, zatem trochę można było zobaczyć.

Weszła do pokoju, gdzie zwykle Klara spała z dziećmi. Miecio wiercił się przez sen, Zosia spała przytulona do misia. Ich matki nie było z nimi. To nie było do Klary podobne, więc Adela była już zdenerwowana na dobre. Odetchnęła, kiedy weszła do kuchni i ujrzała tam siedzącą sąsiadkę, pochyloną nad stołem.

– Klara? Coś się stało?

Klara podniosła oczy i spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę. Jej krótkie włosy wiły się niedbale wokół głowy. Na stole Adela zobaczyła kilka listów, jakiś dokument z pieczątką i obcięty jasnobrązowy warkocz dziewczyny.

– Klara, co się stało? – zapytała Adela, siadając obok niej.

– Przyszła wiadomość – jęknęła zapłakana dziewczyna. – Nie żyje… Mój Klimek nie żyje!

Adela nie pytała już o nic. Zapaliła światło i zaczęła przeglądać dokumenty. Były tam nieotwarte listy adresowane do Klemensa Wiśniewskiego od Klary Wiśniewskiej oraz informacja, że Klemens Wiśniewski umarł na skutek zadanych mu ran, gdzieś w Normandii.

4

Kolejne dni jawiły się dla Klary niczym koszmar. Siedziała w domu, nie zwracała uwagi na nic. Nawet na dzieci.

– Ja się nimi zajmę – zaoferowała pani Helena. – Dziewczynę trzeba na nogi jakoś postawić. Ona zawsze wszystkim pomagała, trzeba teraz jej pomóc.

Miecio i Zosia ku swojej wielkiej radości przeprowadzili się na jakiś czas do domu Janka. Oboje uwielbiali „babcię Helenkę", jak wszyscy nazywali mamę Adeli.

– Ja z nią zostanę. Nie może być teraz sama. Jeszcze sobie coś zrobi – zdecydowała Adela.

Klara od trzech dni nie powiedziała ani słowa. To było tak do niej niepodobne. Zwykle mówiła aż za dużo i to było męczące, a teraz Adela wiele by dała za jej radosną paplaninę.

– Klara, masz dzieci, masz dla kogo żyć… – łagodnie przekonywała Adela.

Jednak przyjaciółka pozostawała niewzruszona. Nawet nie płakała… Jak można nie płakać w takiej sytuacji?

Adela nie mogła siedzieć bezczynnie. Ogarnęła bałagan, który zrobił się przez te kilka dni, wstawiła zupę na piec. Na stole wciąż leżał obcięty przez Klarę warkocz, stos listów oraz nóż. Pewnie to nim obcięła sobie włosy. Adela schowała go do szuflady i sięgnęła po warkocz.

– Zostaw! – Usłyszała nagle.

– A co masz z nim zamiar zrobić?

Klara wstała i podeszła do pieca. Zdjęła wiszący na ścianie pogrzebacz i odsunęła fajerkę, spod której buchnął ogień. Chwilę patrzyła w płomienie, a potem powoli wsuwała w ten ogień warkocz, patrząc, jak pali się kawałek po kawałku.

– Ostatnie listy wróciły nieprzeczytane. – Pokręciła głową. – Czternaście. Bez słowa komentarza. – Mówiła, patrząc nic niewidzącym wzrokiem. – Klimek był całym moim życiem, wiesz? Znaliśmy się od dziecka. Wszystko robiliśmy razem. Wszystko! Był mi bliższy niż matka, niż jakakolwiek koleżanka. Zawsze śmiałam się, że to on jest moją najlepszą przyjaciółką. Wtedy udawał, że się na mnie obraża. Teraz, bez niego, jestem zupełnie inną osobą. Ja muszę się wszystkiego uczyć na nowo. Adela, ja muszę się na nowo uczyć oddychać! Nawet teraz to przychodzi mi z trudem!

Adela przytuliła przyjaciółkę. Pogłaskała ją po krótkich, ledwo teraz zakrywających uszy włosach i obie zaczęły płakać. Zmęczone długim szlochem w końcu usnęły. Każda z nich w swoich marzeniach spała w ramionach ukochanego mężczyzny. Żadna z nich nie chciała się z tego snu obudzić.

5

Życie po tak złych wiadomościach nie wyglądało już tak samo. Adeli wydawało się, że nawet kwiaty pielęgnowane przez jej matkę w ogródku mają zupełnie inny, dużo brzydszy kolor.

Klara powoli i z wielkim trudem dochodziła do siebie. Na szczęście uświadomiła sobie, że ma dla kogo żyć. Wszyscy ci, którym kiedykolwiek pomogła, a było ich wielu, starali się być z nią w tych trudnych dla niej dniach albo chociaż w jakikolwiek sposób jej pomóc. Codziennie jednak udawała, że się uśmiecha, mechanicznie wykonywała czynności związane z domem i dziećmi.

– Myślisz, że kiedyś znowu zobaczę, że niebo jest niebieskie? – zapytała kiedyś, gdy wraz z Adelą siedziały na schodach przed domem i wpatrywały się w zachodzące słońce.

– Myślę, że kiedyś nawet będzie różowe. Jestem pewna, że obie kiedyś ten kolor zobaczymy.

Adela robiła dobrą minę do złej gry. Śmierć Klemensa uzmysłowiła jej, że praktycznie nie ma szans, żeby jej mąż przeżył. Przecież historia była dokładnie taka sama – wyjechał, pisał listy, nagle przestał i nie było od niego żadnego znaku życia, a potem… Klara obcięła sobie warkocz. Ten warkocz, który zapuszczała specjalnie na jego powrót.

– Mamo, Franciszek chyba nie wróci – jęknęła Adela. – Straciłam już nadzieję. Nie widziałam go dziewięć miesięcy. Od momentu, gdy wyjechał stąd, nie dostałam żadnego listu.

– Wiem, dziecko. – Pani Helena przytuliła córkę. – Dziewięć miesięcy to z jednej strony bardzo mało, a z drugiej bardzo dużo. Na wojnie można wielokrotnie stracić życie, a gdy jest spokój, takie życie może w tobie rosnąć.

– A jak on nie wróci, to co?

– To trzeba sobie na nowo namalować świat.

– Dzisiaj mówiłam Klarze, że jeszcze kiedyś zobaczy różowe niebo.

– Zobaczy. Ty też zobaczysz. Tylko powoli musicie odnaleźć te właściwe barwy.

– A jak będą szarobure?

– Adelko, masz nas, masz Janka. Czy my pozwolilibyśmy pokolorować twoje życie na szaroburo? Nigdy.

Adela uśmiechnęła się.

Tak bardzo nie chciała myśleć, że Franciszek podzielił los Klemensa!

6

Dwa dni później Janek pobiegł po Klarę. Adeli odeszły wody i zaczęła rodzić.

Wydawało się, że akcja będzie postępować bardzo szybko, ale męczyła się kilka godzin. Głównie spacerowała z Klarą wokół domu, zatrzymując się, gdy przychodziły skurcze, bo akuszerka twierdziła, że ruszanie się przyspieszy poród.

– Nie chcę rodzić! – wystękała, gdy były już w domu i nadeszły bóle parte.

– O nie, moja droga, musisz. Tak ten cholerny świat jest skonstruowany, że się rodzimy i umieramy. – Zacisnęła zęby.

Adela pokręciła głową.

– A jak Franciszek nie żyje?

– Adela, co ja mam ci powiedzieć? Ty masz przynajmniej jeszcze jakiś cień szansy, że twój mąż żyje. A ja? Ja mam krótkie włosy i dokument z pieczątką, że nie ma go już wśród nas!

Adela opadła z sił.

– Przyj teraz! – krzyknęła Klara. – No, przyj! Normalnie obiecuję ci, że jak nie będziesz przeć, to sama ci je z brzucha wyjmę!

– Nie mogę… – Adela była u kresu sił. – Nie mogę… – Słabła co chwilę.

– Janek! – Klara zawołała przyjaciela. – Jesteś tu potrzebny!

Kiedy wszedł do pokoju, na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Musisz nam pomóc. Jak będzie trzeba, powiem ci jak. Jak nie pójdzie, zastosujemy chwyt Kristellera, tak się to nazywa, dwoma rękoma z całej siły pchnę dziecko z góry, możesz być mi potrzebny. Jak Adeli się rodzić odechciało, to my jej to dziecko wypchniemy. Ja się nie będę przed Franciszkiem tłumaczyć, dlaczego nie żyjesz. Słyszysz, dziewczyno?! – zawołała.

Rodząca niemrawo pokiwała głową, nieco chyba wystraszona perspektywą „wypychania" z niej noworodka.

– Ostatni raz, próbuj!

Po chwili Adela krzyknęła i na świecie pojawił się pomarszczony mały chłopiec.

– Jest! – Janek uśmiechnął się, ocierając pot z czoła.

Adela ciężko oddychała.

– Najgorsze za nami – westchnęła Klara. – Zostaw teraz nas jeszcze trochę same. Potem cię zawołamy. – A potem, głaskając przyjaciółkę po policzku, dodała: – Widzisz? Dałaś radę. My, kobiety, dajemy radę ze wszystkim. Nawet z rzeczami, które wydają się mężczyznom nie do zrobienia.

7

Janek zastanawiał się wiele razy, jak zareaguje, gdy go zobaczy. Przecież to mógł być jego syn! To wszystko stało się tak szybko, Klara krzyczała, że od niego zależy, czy Adela z dzieckiem się uratują i po wszystkim czuł się zupełnie tak, jakby sam to dziecko urodził.

– Mamy syna! – oznajmił z radością pani Helenie, gdy Klara wyrzuciła go za drzwi. – Mamy wielkiego, zdrowego syna!

– Dzięki ci, Boże! – westchnęła matka Adeli i przeżegnała się.

Już po chwili zapukała w zamknięte przed Jankiem drzwi.

– To ja, mama.

– Wejdź. – Usłyszała.

Weszła po cichu. Była świadkiem kolejnego cudu narodzin. Uśmiechnęła się do córki, na której piersiach leżał syn.

Podobno dzieci są najbardziej podobne do swoich ojców kilka chwil po narodzinach. Pani Helena nie miała wątpliwości, kogo przypominał jej noworodek. Zrobiła znak krzyża na małym czółku i powiedziała:

– Bądź szczęśliwy, kochanie.

Po porodzie Adela dochodziła do siebie kilka tygodni. Jednak przy wsparciu rodziny i przyjaciół każdego dnia czuła się coraz lepiej.

– Szkoda tylko, że zaraz nadejdzie zima – mruknęła. – Trzeba znowu będzie ubierać te grube warstwy, by wyjść na dwór.

– Po zimie przyjdzie lato, potem znowu zima. Czas mija, niezależnie, czy tego chcemy, czy nie.

Codziennie wieczorem, gdy dzieci już spały, przykrywała się grubym pledem i siadywała z Jankiem na ławce przed domem. Opowiadali sobie, jak im minął dzień, mimo że jego większość spędzali razem. Lubiła te wieczory. Były takie powolne i pełne dobrej energii.

– Czuję, że niedługo się ta wojna skończy. Chociaż wszyscy nauczyliśmy się już tak żyć – stwierdziła Adela. – Dziękuję, że nas tutaj zabrałeś. Tutaj życie płynie wolniej i cały czas jestem przekonana, że jakby bliżej do szczęścia było stąd niż z Grudziądza.

Janek uśmiechnął się.

– Cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie. To jest teraz też wasz dom. Nie jesteście już tu gośćmi, tylko domownikami.

– W Grudziądzu byśmy sobie nie poradzili. – Adela pokręciła głową.

– Poradzilibyście sobie – zaprzeczył Jan. – Ty byś sobie zawsze poradziła.

– Wierzysz we mnie bardziej niż ja sama.

– Kiedyś i ty w siebie uwierzysz.

Kiedy ujął jej dłoń, Adela po raz pierwszy nie zaprotestowała. Lubiła jego ciepło, troskliwość. Jan był chyba najlepszym człowiekiem, jakiego znała.

– Janie… Dlaczego ty to wszystko dla nas robisz? Bo obiecałeś Frankowi, że się nami zaopiekujesz?

Jan przez chwilę wpatrywał się w czubki swoich butów.

– To też. Obiecałem… – Westchnął i po chwili dodał: – Ale robię to przede wszystkim dlatego, że cię kocham.

To było wszystko takie trudne…

Adela wpatrywała się w Janka. Gdyby to był inny czas, inne okoliczności, pewnie wpadłaby mu w ramiona i z radością wyznała mu to samo.

– Janek… – zaczęła, ale przerwał jej.

– Nie musisz nic mówić. Wiem, że twoje serce należy do Franka. Zawsze będę gdzieś dalej, na drugim albo kolejnym miejscu. Cóż, każdy w życiu musi zajmować któreś miejsce. Niektórzy mają naturę rycerza i walczą. Ja, niestety, nie. Nie potrafię walczyć, nawet o ciebie. Wojna również to zweryfikowała i los wolał, bym przeżył tę wojnę zupełnie inaczej. Chyba wyszło nawet lepiej dla świata. – Zamyślił się na chwilę. – Jestem szczęśliwy tutaj z wami. Ty czekasz na Franka, a ja czekam na ciebie. Tak samo. Tylko nie wiem, co jest trudniejsze, czy czekać na kogoś, jeżeli go nie ma, czy czekać na kogoś, mimo iż ten ktoś jest na wyciągnięcie dłoni.

– A jeżeli będziemy razem, będziemy próbowali stworzyć rodzinę, a on przyjedzie?

– Adela, my już nie próbujemy być rodziną. My nią jesteśmy, niezależnie od tego, czy śpimy w jednym, czy w dwóch osobnych łóżkach. Naprawdę jesteście moją rodziną. – Pogłaskał ją po policzku. – I nic tego nie zmieni. Może będziemy po prostu tak trwać wiele lat. Ja będę czekał na ciebie, a ty na niego. Może się doczekamy, a może umrzemy ze starości w nieustannym oczekiwaniu, aż się wszyscy spotkamy na tamtym świecie.

8

– Klara, czy wyobrażasz sobie życie z innym mężczyzną u boku? – Adela zapytała przyjaciółkę któregoś dnia.

– Nie wiem, nigdy o tym nie myślałam. Byliśmy razem od dziecka. Gdybym miała innego mężczyznę, to musiałabym się go uczyć na nowo. Chyba nawet nie chcę.

– Nie potrzebujesz uczucia? Miłości, akceptacji, tego, by cię ktoś przytulił?

– Potrzebuję. Ale z upływem czasu chyba stałam się jakaś taka oziębła. Jak skała, na której nawet mech nie rośnie. I chyba nawet tego „mchu" nie potrzebuję do życia. Oduczyłam się tego.

– Czy można oduczyć się miłości? – zapytała Adela.

– Mam nadzieję, że można. Nie wyobrażam sobie życia z wieczną tęsknotą. Tak się nie da.

Adela przestała pisać listy. Bo i jak pisać listy, które z pewnością pozostaną bez odpowiedzi? Wkładać w nie serce, duszę, słać je gdzieś, gdzie pozostaną wyrzucone, spalone czy przeczytane przez kogoś, dla kogo oczu nie były przeznaczone?

Janek stawał się jej coraz bliższy. Wielokrotnie, patrząc na niego, trzymającego w ramionach małego Staszka, zastanawiała się, czy jest jego ojcem. Ale czy to tak naprawdę było ważne? Był najlepszym człowiekiem, jakiego znała. Czasem chciała

zapomnieć o Franciszku i po prostu wpaść w ramiona Jankowi, nie myśleć o całym świecie.

Przypominała sobie wigilijną noc w ubiegłym roku i wspominała, jak w tych jego ramionach czuła się bezpiecznie. Ku swojemu zaskoczeniu pomyślała, że chciałaby się tam znaleźć znowu. Może czas się pogodzić ze swoim życiem? I z tym, że jej mąż nigdy już nie wróci?

9

Wieczorem dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Druga Armia Uderzeniowa oraz Ósmy Korpus Zmechanizowany Drugiego Frontu Ukraińskiego zajęły przedpola Nowego Miasta Lubawskiego, sąsiadującego z Kurzętnikiem. Następnego dnia, po krótkiej wymianie ognia, oddziały radzieckie wkroczyły do miasta, wyswobadzając je. Jan i Adela odetchnęli. Można było uznać, że nie ma już bezpośredniego zagrożenia.

Sześć dni później rozpoczęły się walki o przyczółki nad Wisłą i zaczęło się oblężenie Grudziądza. A dziesiątego lutego rozpoczęła się bitwa o miasto. W ciągu kilku dni zdobyto południowo-wschodnie przedmieścia Grudziądza, a następnie całkowicie go okrążono. Od dwudziestego drugiego lutego do drugiego marca trwały ciężkie walki o południową część miasta. Po zrealizowaniu tego planu przystąpiono do generalnego szturmu. Szóstego marca niemiecka załoga miasta skapitulowała. Pięć tysięcy niemieckich żołnierzy dostało się do niewoli.

W toku walk zabudowa miasta została w większości zniszczona. Zniszczenia pogłębiły jeszcze oddziały Armii Czerwonej, plądrujące wszystko wokół. Zaraz po wyzwoleniu usunięto ludność cywilną z centrum i rozpoczęto metodyczny rabunek. Sowieci traktowali Grudziądz jako miasto niemieckie, więc nie powstrzymywali się przed niczym, by pokazać swoją wyższość. Armia Czerwona interesowała się najpierw mieniem osobistym

mieszkańców, a potem grudziądzkimi fabrykami. Z zakładów przemysłowych, między innymi z Ventzki-Unia, gdzie pracowali kiedyś Janek i Franek, wywieziono zapasy, surowce i gotową produkcję.

Rozpoczęły się liczne aresztowania pod hasłem „oczyszczenia z wrogich elementów".

– Nie ma co wracać do Grudziądza. – Adela pokręciła głową. – Sterty gruzów, osmolone pozostałości po tym, co kiedyś było murami. Księgarni Kriedtego, w której pracowałam, już nie ma, zresztą wygląda jakby zniknęła cała ulica, wszystko w ruinie. Nie ma gazu, wody, prądu. Nie wiem, jak ludzie mogą tam w ogóle przeżyć.

– Ale ja nawet nie dopuszczałem myśli, że mielibyście się wyprowadzić – obruszył się Janek. – Tu jest wasz dom!

Adela uśmiechnęła się do Janka i pogłaskała go po policzku. Ośmielił się pocałować ją w dłoń. Nie wyrwała ręki.

– Zobacz, Janek, jakie to są dziwne czasy. Najpierw byliśmy gnębieni jako Polacy przez Niemców. Potem wpisano nas na folkslistę. Dla Niemców byliśmy zbyt mało niemieccy, a dla Polaków staliśmy się zdrajcami. Teraz, gdy już wszystko ucichło, dla czerwonoarmistów jesteśmy bardzo prawdziwymi Niemcami i trzeba nas zniszczyć. Czy nieważne jest to, jakimi jesteśmy ludźmi? Staramy się żyć dobrze, w zgodzie ze wszystkimi. Nikomu nie robimy krzywdy, a ciągle ktoś ma do nas o coś pretensje. Dokąd ten świat zmierza, Janek? Czy już zawsze ludzie będą szukać dziury w całym, by walczyć i kłócić się? Czy nie możemy po prostu trochę pożyć w spokoju?

10

Wojna się wreszcie skończyła i wszyscy mogli odetchnąć pełną piersią.

– Wydaje mi się, że nawet słońce świeci mocniej – stwierdziła pogodnie Adela.

– Na polskiej ziemi zacznie lepiej wszystko rosnąć – dodała matka. – Zobaczysz.

– Mamo, nie ma możliwości, by u ciebie plony były jeszcze większe. – Roześmiała się.

– Kto wie? Janek mówił, że to pole nad Drwęcą jest do zagospodarowania. Można by tam coś spróbować.

– Będziesz uprawiać pole? – zdziwiła się Adela.

– Jak się wojna skończyła, to i człowiekowi bardziej się chce żyć. Zobacz, przeżyliśmy. Daliśmy radę. Trzeba teraz być wdzięcznym i cieszyć się każdego dnia.

– Nie wszyscy przeżyli… – westchnęła Adela.

– Zrozumiałaś to wreszcie?

– Chyba tak. Odezwałby się przecież.

Matka pokiwała głową.

– Masz wokół siebie wielki skarb. Naucz się z niego korzystać. – Spojrzała czule na córkę.

– O czym mówisz?

– O kim raczej. O Mariannie, Staszku… Ale przede wszystkim o Janku. – Zamyśliła się. – On przywraca wiarę w ludzi.

– Moją też. – Rozpromieniła się. – Czy wiesz, że jak tylko przypominam sobie najpiękniejsze chwile z mojego życia, nie te doniosłe, jak urodzenie dzieci, ale te zwykłe, to widzę jego uśmiech? I to, jak mruży oczy. Bo te oczy mu się uśmiechają.

– On pomógł nam przetrwać tę wojnę. On i Joachim.

– Mam tylko nadzieję, że Joachim żyje – westchnęła Adela.

– Myślę, że jeżeli żyje, to się odezwie. Wie, gdzie nas szukać.

– Teraz chyba wszyscy będą się szukać. Trzeba prędko posprzątać ten wojenny bałagan.

– Klara by to szybko załatwiła – parsknęła mama. – Pomiędzy gotowaniem zupy, odebraniem dwóch porodów i nakarmieniem połowy Kurzętnika.

Adela roześmiała się, a pani Helena dodała:

– Uważaj, bo ci Janka sprzątnie sprzed nosa.

– Mamo!

– Ja tylko przestrzegam. Jej mąż przecież nie żyje.

– Mój pewnie też, ale… wciąż nie wiem tego na pewno.

– Potrzebna ci ta wiedza?

– Umarłabym chyba, jakbym dowiedziała się, że zginął – westchnęła zamyślona Adela. – Przypominam sobie ten warkocz Klary, płonący w piecu.

– Wolałabyś nie wiedzieć?

– Tak, bo wtedy mogę mieć jeszcze nadzieję, że on gdzieś tam jest. No i nie myślę o tym, jak to się stało.

– A jakbyś się dowiedziała o jego śmierci?

– Też chyba nie chciałabym żyć.

Wychodzący z domu Janek usłyszał ostatnią część rozmowy. Jednak życie nie wróciło tak do końca do normalności. Westchnął. Będzie żył obok niej tak długo, jak będzie trzeba. To mu chyba

nawet wystarczy – spokój i pozorna stabilizacja. Przecież nie można w życiu mieć wszystkiego.

Janek pogodził się już z tym swoim życiem. Był szczęśliwy. Wraz z Hipolitem i Heleną uprawiali pole nad Drwęcą, wolny czas spędzał w stodole, którą wraz z Kotlińskim przerobili na stolarnię. Opiekował się też Marianną i Staszkiem. Coraz bardziej był pewien, że jest ojcem chłopca. Tak też się czuł. Żyło im się spokojnie. Już nawet przestał myśleć, że kiedykolwiek Adela będzie chciała z nim być tak naprawdę. Dopóki była tuż obok, wystarczało mu to. Jednak najwyraźniej Adeli przestało to wystarczać…

Pogodziła się w końcu ze stratą męża. Nawet kiedy przyszedł pocztą dokument o uznaniu go za zaginionego, nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Przecież wiem, że Franek zaginął – powiedziała matce. – Nie muszę mieć tego na piśmie. Nie chcę tylko myśleć, że leży gdzieś bez grobu, bez krzyża. Chciałabym, by miał grób. By kiedyś Marianna czy Stanisław mogli pójść tam i zmówić „Wieczny odpoczynek”. To bardzo smutne, gdy po śmierci człowiek nie ma swojego miejsca, gdzie może spocząć w spokoju. Chociaż może, mamo, po śmierci jest już człowiekowi wszystko jedno?

– Tego się nigdy nie dowiemy, córciu – odparła pani Helena, bardzo niezadowolona z tematów rozmyślań swojej córki.

Uważała, że te kwestie należy zostawić wyłącznie Bogu.

Tej nocy śnił się Adeli Franciszek. Wcale nie umarł, tylko chodził po ich ogrodzie. Nawet nie zajrzał do domu, jakby nie chciał im przeszkadzać, jakby wolał oglądać jej świat z daleka.

Obudziła się, gdy było jeszcze ciemno. Nie mogła zasnąć. Wydawało jej się, że faktycznie ktoś chodzi po ogrodzie. Ale to przecież był tylko sen! Nie chciała budzić dzieci, więc poszła do kuchni. Zrobiła sobie herbatę i usiadła przy stole.

– Nie śpisz? – Usłyszała.

– Nie, taka niespokojna noc. – Pokręciła głową. – Wydawało mi się, że ktoś chodzi na zewnątrz.

– Mnie też – powiedział Janek.

– Może by to sprawdzić? – zaproponowała Adela.

– Sprawdziłem. To tylko gałęzie drzew. Wiatr jest dość mocny i spadają.

– Mogłam się spodziewać, że sprawdziłeś. Przecież byś tutaj tak spokojnie nie siedział.

Jan uśmiechnął się.

– Trzeba wracać do łóżka. Jutro nie będziesz miała siły na życie. A dzieci nie dadzą ci odpocząć.

– Nie zasnę teraz… – westchnęła.

– Zaśpiewam ci kołysankę na dobranoc – zażartował Jan i oboje parsknęli ze śmiechu.

– Tą kołysanką dzieci pobudzisz!

– Nie, jeżeli będę ci ją śpiewał u mnie w pokoju.

Adela spojrzała na niego badawczo, a potem zamknęła oczy. Może już czas przestać myśleć o przeszłości i zrobić krok do przodu? Może wraz z wolną Polską czas wyzwolić również siebie? Z oczekiwania? Tęsknoty?

Uśmiechnęła się do Janka, spojrzała mu prosto w oczy. Wstała, wyciągnęła do niego swoją dłoń.

– A co mi zaśpiewasz? – zapytała.

Nie wierzył. Widział wyciągniętą w swoim kierunku rękę i Adelę zapraszającą go do łóżka. Jego łóżka.

– To sen?

– Nie. – Powoli pokręciła głową. – Jeszcze nie śpię, czekam, aż mi zaśpiewasz. Tylko nie wiem, czy wtedy… w ogóle będę potrafiła zasnąć.

Gdy dotarli do jego pokoju, zapomnieli o jakichkolwiek piosenkach. To była ich noc. Nic im nie przeszkadzało. Nawet ktoś, kto naprawdę w nocy chodził pod ich oknami.

11

– Adela, zobacz! Jest różowe niebo! – Jak co rano spotkały się z Klarą przed domem.

Faktycznie, słońce wschodziło w taki sposób, że nad horyzontem widać było pełno różowoniebieskich chmur.

Adela się uśmiechnęła. Tak, różowe niebo. Po tak pięknej nocy nawet niebo postanowiło być kolorowe. Nie wyspała się, ale to nie było istotne.

– Rzeczywiście jest różowe! – Uśmiechnęła się Adela.

– Pamiętasz, jak siedziałyśmy na ganku i mi to obiecałaś?! – krzyczała Klara. – Pamiętasz? Adela! Klimek wrócił!

Tego samego dnia rano, gdy Klara jak zawsze chciała pobyć trochę sama ze sobą, nim wstaną dzieci, zobaczyła, że po podwórku ktoś się kręci. Szybko wyszła z domu. W pierwszej chwili zupełnie nie poznała męża. Był w obdartych łachmanach i bardzo wychudzony.

– Klimek? – Zamarła. – Klimek, przecież ty nie żyjesz! Klimek, powiedzieli mi, że nie żyjesz!

Klemensowi udało się uciec z Wehrmachtu i poddać się aliantom. Nocą, kiedy dowódcy opuszczali stanowiska karabinowe, przedostał się do pobliskiego lasu i potem długo szedł, kryjąc się w ciemnościach, by nad ranem trafić do najbliższego miasta, opanowanego przez aliantów. Najpierw ze względu na niemiecki mundur dostał się do niewoli, później trafił do Andersa i Drugiego Korpusu Polskiego we Włoszech. Po wojnie stamtąd wyruszył w długą drogę do domu. Trochę szedł piechotą, czasem podwieźli go dobrzy ludzie. Chciał jak najszybciej być z rodziną.

– Dostałam list, że nie żyjesz. Cały przebieg twojej służby wojskowej, dokładne miejsce, gdzie poległeś. – Klara przylgnęła do niego, nie wierząc sama w to, co widzi i w to, co czuje.

– Uciekłem. Niemcy nie lubili się przyznawać, że ktoś się im wymknął. Woleli uznać mnie za zmarłego.

– Boże, jaki ty jesteś wyczerpany! – Trzymała jego wychudzoną twarz w swoich dłoniach.

– A gdzie twój warkocz? – zapytał, gładząc żonę po włosach.

– Odrośnie! Ścięłam, gdy się dowiedziałam, że nie żyjesz. Ale ty żyjesz! Mam ochotę krzyczeć ze szczęścia!

12

Pojawienie się Klemensa było dla Klary „różowym niebem”, jednak spowodowało, że niebo Adeli i Jana zasnuło się szaroburymi chmurami. Adela znowu zaczęła wierzyć, że Franciszek żyje. Przyjedzie, tak jak Klemens, i weźmie ją w ramiona. Nie mogła sobie wybaczyć, że poprzedniego dnia zwątpiła w to i szukała zapomnienia w ramionach Janka.

Historia się powtórzyła. Tak jak wtedy, w wigilijny wieczór. Po cudownej nocy, która mogła zwiastować szczęście, miłość i wspólną życiową ścieżkę, natknęła się znowu na solidny mur, którego nie potrafiła pokonać.

– To jest znak, rozumiesz? Znak! – powiedziała. – Nie możemy być razem!

– Adela, spokojnie…

– Jak mam być spokojna? Janek, ja naprawdę byłam pewna, że możemy być razem, tak normalnie razem. Ale sam zobacz. Kiedy… kiedy w tamten wigilijny wieczór… to potem następnego dnia przyjechał Franek. Jak wczorajszej nocy byliśmy razem, znowu mam znak z nieba, że nie robię dobrze!

– Adela, a może to znak z nieba, że wreszcie wszyscy mają być szczęśliwi? Może ty błędnie odbierasz te znaki?

– Nie wiem, Janek, nie wiem… – Adela siedziała i kiwała się do przodu i do tyłu.

Miał taką ochotę ją przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Wczoraj tak bardzo w to uwierzył! Wiedział jednak, że będzie czekać na nią. Tyle, ile będzie trzeba. Choćby i do końca swoich dni. Chciałby budzić się obok niej co rano i zasypiać, trzymając ją za rękę, ale widać nie było mu to pisane. Musiał mu wystarczyć codzienny wspólny posiłek, śmiech, zabawa z dziećmi. Na pewno to wystarczy… O ile jest nadzieja, że kiedyś może się to zmienić. Głęboko w to wierzył. Postanowił, że będzie czekał. Na taką kobietę warto czekać całe życie.

ROZDZIAŁ XI

Jeszcze się tam żagiel bieli, chłopców, którzy odpłynęli,
nadzieja wciąż w serc kapeli na werbelku cicho gra,
bo męska rzecz być daleko, a kobieca – wiernie czekać,
aż zrodzi się pod powieką inna łza, radości łza.

Alicja Majewska, „Jeszcze się tam żagiel bieli”
Autor tekstu: Wojciech Młynarski

1

Gdańsk, grudzień 2000 r.

Czekały mnie smutne święta, sylwester w pojedynkę. Te dni chyba dla samotnych zakochanych zawsze są najtrudniejsze. Tym bardziej, że wcześniej byłam pewna, że Michał przyjedzie. Było dla mnie oczywiste, że święta spędzimy razem. Albo chociaż sylwestra. Ale on nadal zarabiał na dom. Ja już przestałam wierzyć, że kiedyś go wybuduje. Kiedyś, gdy z nim rozmawiałam, zażartowałam, że może niech lepiej zacznie zarabiać na bilet do kraju. Bardzo się wtedy zdenerwował. Nie poruszałam już więcej tego tematu. Nie proponowałam również, że kupię mu bilet. Przecież to on był Wolfem. Samcem alfa.

Przecież tam miał być raj na ziemi. Tak obiecywał i tak mi ten amerykański świat przedstawiał. Wielokrotnie dziękowałam Bogu, że nie dałam się namówić na wyjazd. Ale też wielokrotnie żałowałam, że nie umiałam go zatrzymać tutaj. Może gdybym się bardziej postarała? Ale co ja miałam zrobić, by go zatrzymać przy sobie?

– Mogłaś zajść w ciążę. – Magda, która przyszła do mnie z życzeniami świątecznymi, jak zawsze miała doskonałe pomysły.

U niej już widać było niewielki ciążowy brzuszek. Bardzo kibicowałam i jej, i Arturowi.

– Jasne, gdybym zaszła w ciążę, to teraz siedziałabym sama z brzuchem. Wtedy już w ogóle nie wiedziałabym, co mam robić –

westchnęłam.

– Co ty, nie zostawiłby cię. – Magda pokręciła głową.

– Myślę, że wtedy byłby jeszcze bardziej przekonany, że musi rzucić studia i utrzymać rodzinę. To nie byłby dobry pomysł. Wyjechałby jeszcze szybciej i zostałabym wtedy sama z dzieckiem.

– Fajnie jest być w ciąży – podsumowała Magda, kończąc przeżuwać ogórka kiszonego i jednocześnie rozpakowując czekoladę z orzechami.

Oczywiście święta spędziłam w domu, z rodzicami. Zawsze tak było. Nawet już wtedy, gdy spotykałam się z Wolfem. Wieczerza wigilijna z rodzicami, ale potem z Michałem mieliśmy w zwyczaju chodzić razem na pasterkę. Może bardziej z chęci bycia razem w tym ważnym dniu niż dla samej mszy, ale zawsze się spotykaliśmy. Przyjeżdżał po mnie, a potem wybieraliśmy sobie różne trójmiejskie kościoły, do których wyruszaliśmy tuż przed północą.

Brakowało mi tego tym razem.

Tuż przed północą zebrałam się do domu.

– Przecież możesz zostać tutaj – dziwiła się mama. – Bo mam nadzieję, że sama nie idziesz na pasterkę.

– Pójdę do domu. – Uśmiechnęłam się. – W końcu tam mieszkam. Wgramolę się pod moją kołdrę i mój koc.

– Tutaj też masz koc i kołdrę. – Mama pokręciła głową. – Przecież masz też swój pokój.

Zaprzeczyłam. Rodzice po mojej wyprowadzce zrobili remont. Nie było już mojego pokoju i przez to czułam się tam, jakbym była gościem. Nie umiałam sobie znaleźć miejsca.

– Ty to jak babcia Adela. Jak gdzieś wyjeżdża, to najlepiej na jeden dzień, by potem wrócić i spać w swoim łóżku – stwierdziła

zdenerwowana mama. – Nigdy nie potrafiła spać w nowym miejscu.

Babcia Adela w wigilijny poranek oświadczyła, że nigdzie się nie wybiera i owszem, Czesław, czyli mój tata, może po nią przyjechać do Grudziądza, ale wróci sam. Bo ona chce spędzić wigilijny wieczór w swoim domu, z Jankiem.

– Ależ mamo, przecież to było oczywiste, że święta spędzimy razem! – Moja mama była oburzona.

– Chyba dla ciebie, Marianno. Bo dla mnie było oczywiste, że będę święta spędzać w swoim domu. Nie po to przeprowadzaliśmy się do Grudziądza, remontowaliśmy sobie mieszkanie, by teraz z niego wyjeżdżać. Wreszcie jestem u siebie, kochana.

– Róbcie sobie, co chcecie – naburmuszyła się. – Coraz bardziej przypominasz mi moją matkę. Charakter dosłownie ten sam.

– To dobrze czy źle? – Próbowałam rozładować napiętą atmosferę.

– Nie mam pojęcia… – westchnęła i podreptała do kuchni.

Zapakowała mi do pudełek po lodach schab w galarecie, sałatkę i ciasto.

– Jutro znów przyjdę do was – obiecałam, przyjmując od niej reklamówkę z jedzeniem. – Nie musisz mi dawać zapasów na tydzień.

– A kto cię tam wie. – Wzruszyła ramionami. – Może stwierdzisz też, jak babcia Adela, że czasem człowiek czuje się dobrze wyłącznie w swoim towarzystwie, a potem ni stąd, ni zowąd oświadczysz, że wychodzisz za mąż. I że jeżeli nie zdążymy

na ślub, to trudno, bo najważniejszy jest mąż, a świadków można sobie wziąć z ulicy!

Tamtego dnia nie rozmawiałam z Michałem. W Stanach chyba bardziej celebrowano pierwszy dzień świąt, nie obchodzono Wigilii tak jak u nas. Dla mnie zawsze Wigilia była najważniejsza. Wspólna wieczerza, długie rozmowy.

Brakowało mi tych rozmów z nim.

Byłam pewna, że zadzwoni, więc położyłam telefon obok łóżka. Od niedawna miałam telefon komórkowy. Śliczną turkusową nokię. Kupiłam ją specjalnie po to, by Michał mógł mnie złapać w każdej chwili. Nie rozstawałam się z nią nawet na krok. Jednak on dzwonił zwykle na telefon stacjonarny, bo tak było po prostu taniej. Czasem nawet dzwonił na mój koszt. Nie miałam nic przeciwko, przecież chciałam, by jak najszybciej spłacił ten cholerny samochód, zarobił na mieszkanie, którego wcale nie chciałam, i wrócił do mnie. Zarabiałam całkiem dobrze i stać mnie było, by zapłacić za rozmowę ze Stanami.

Jakoś wtedy kompletnie do głowy mi nie przyszło, że cała ta sytuacja była bez sensu. Przecież to on pojechał do Stanów, by mnie utrzymywać, a tak naprawdę ja płaciłam nawet za to, byśmy ze sobą mieli kontakt. Pewnie gdyby moi rodzice o tym wiedzieli, szybko by mi przemówili do rozumu. Ale ja wtedy chciałam, by mój chłopak, a przyszły mąż, był przez nich widziany w jak najlepszym świetle. Dlatego pewnie nie mówiłam im o wszystkim. Sama przed sobą tłumaczyłam jego przerwane studia tym, że chce zarobić na dom i na to, by wejść w nowe dorosłe życie z pewnym kapitałem. Do dziś pamiętam wzrok mojego ojca, do którego kompletnie nie przemawiała ta argumentacja. Czułam, że zdecydowanie nie chce takiego życiowego partnera dla swojej

jedynej córki i marzy o tym, byśmy jednak nie wytrzymali naszej rozłąki. I by każde z nas ułożyło sobie życie zupełnie osobno.

Przez to wszystko ja chyba na siłę zakładałam i różowe okulary, i klapki na swoje oczy. Widziałam moją przyszłość w jasnych barwach, a nie mogłam dostrzec tego, co powinnam zauważyć.

Na przykład nie widziałam knedliczków. I zupełnie nie dostrzegałam Jany, która robiła je podobno doskonale.

2

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Święta
Data: 24 grudnia 2000

Kochanie!
Wszystkiego jak najlepszego z okazji świąt Bożego Narodzenia. Wiem, że te życzenia brzmią sztampowo, ale ja naprawdę życzę Ci wszystkiego, o czym marzysz. Po prostu byś był szczęśliwy i byś szybko do mnie wracał. Byśmy te nasze marzenia razem mogli spełnić, bo przecież tyle ich mieliśmy!
Nie dociera do mnie, że wkrótce minie rok, odkąd wyjechałeś. Gdy wyjeżdżałeś, byłam pewna, że już za chwilę wrócisz. A tu miesiąc za miesiącem mija i Ciebie nie ma. Wciąż nie ma.
Byłam pewna, że chociaż święta spędzimy razem. I potem już przyjedziesz na zawsze. Myślałam, że może nawet razem zamieszkamy…
Marzenia. Ale kim bylibyśmy bez marzeń?
Kochanie, wracaj szybko.
Masz tam choinkę? Nigdy nie przywiązywałeś wagi do takich spraw, ale jak to święta bez choinki?
Kocham Cię.
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Re: Święta
Date: December 27, 2000

Justyś! Spóźnione życzenia świąteczne!

Też życzę Ci wszystkiego, co najlepsze.
U nas święta minęły bardzo szybko. W Wigilię do późna pracowałem. Nie czułem świątecznej atmosfery. Nie czułem się tak jak w domu. Choinki nie mieliśmy. Na święta zostałem sam. Przesiedziałem wszystkie dni przed telewizorem, oglądając głupie amerykańskie programy.
Niedługo sylwester, na szczęście wracają dziewczyny z Czech i nie będzie już tak smutno. Może nawet gdzieś wyjdziemy? Bo ile można siedzieć zamkniętym w czterech ścianach?
Ten świąteczny czas jest taki melancholijny. Akurat w grudniu bardziej tęskni się za domem. Za Polską. Może to przez te wszystkie komedie romantyczne, które lecą w telewizji, i przez reklamy świąteczne, które podkreślają, że siła tak naprawdę tkwi w rodzinie. W bliskich. Ja o tym wiem i chyba właśnie dlatego tutaj jestem. Właśnie dla bliskich. By byli ze mnie dumni i bym pokazał, że jestem dorosły i potrafię zadbać o moją rodzinę. Moją przyszłą żonę…
Poczekaj jeszcze trochę.
Czasem się sam zastanawiam, czy to była dobra decyzja, ale co mam robić? Wracać? Jak wracać, to z tarczą, a nie na tarczy. Sama mnie uczyłaś, że jak coś się zaczyna, to trzeba to dokończyć. Ja chcę zrealizować mój plan. I go zrealizuję.
Tak bardzo bym się chciał do Ciebie przytulić i po prostu z Tobą być. Nie myśleć, że muszę gdziekolwiek jechać. W Polsce naprawdę miałem beztroskie życie. Tutaj to jest wieczny skok przez przeszkody. I nie wiesz, kiedy się wypierdolisz.
Mam nadzieję, że to nie nastąpi.
Kocham Cię.
Wolf
PS To zdjęcie, które mi przysłałaś! Zabraniam Ci tak wychodzić na ulicę. Za krótka spódniczka! :)

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Ej!
Data: 28 grudnia 2000

Ja w tej spódniczce tylko do zdjęcia! Ale wracaj, bo inaczej będę chodzić w niej codziennie!
Zmartwiłeś mnie tymi świętami. Tymi przemyśleniami. Nikt nie powinien być sam w taki wieczór! Moja babcia ma znajomych w Stanach, ale kompletnie nie wiem, w jakiej części. Muszę zapytać. Może dziwnym trafem są gdzieś obok? I czasem

moglibyście się spotkać? Zobacz, jakie to dziwne czasy, tylu ludzi wokół, a człowiek jest w święta zupełnie sam. Samotność w wielkim świecie.
Nie będę się powtarzać, ale wracaj. Tu też jest co robić.
J.
PS Szczęśliwego nowego roku! Obyśmy spędzali go w większości razem!

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Nowy rok
Data: 1 stycznia 2001

Kochanie, smutno mi.
Tak po prostu po ludzku smutno.
Siedziałam cały wieczór sama, nie chciałam nigdzie iść. Wypiłam wino. Prawie całe. Jaki sylwester, taki nowy rok? Czy jaka Wigilia, taki nowy rok? Nie pamiętam już. Ale czy ma to jakieś znaczenie? I Wigilia, i sylwester w moim przypadku były samotne. Czy to znaczy, że cały kolejny rok będzie bez Ciebie?
Idę spać. Czy wiesz, że tutaj, w moim mieszkaniu, mam duże łóżko? Takie na dwie osoby? Byś się zmieścił tutaj ze mną. A tak ta twoja połowa, na której nigdy nie spałeś, jeszcze jest pusta.
Szczęścia w nowym roku.
Czego Ci jeszcze mogę życzyć?
J.

3

Już chyba przyzwyczaiłam się do bycia samą. Wypracowałam sobie swoje własne rytuały i coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że do życia nie są mi potrzebni inni ludzie.

– Może już czas wyjść z tej skorupy? – powiedziała mama któregoś mroźnego styczniowego popołudnia.

Byłyśmy na spacerze w Parku Oliwskim. Lubiłam to miejsce. Jako dziecko chadzałam tam z tatą na kasztany. Karmiliśmy też kaczki pływające w stawach.

– Ależ ja nie siedzę w żadnej skorupie – zaprotestowałam. – Na przykład teraz jestem na spacerze z tobą.

– Wiesz, o czym mówię.

– O skorupie – odpowiedziałam wprost.

– Justynko, to przenośnia. Metafora…

– Miałam szóstkę z polskiego, wiem. – Zaczynałam się irytować.

– Ja tylko chcę dla ciebie dobrze.

– To nie denerwuj mnie.

– Czasem trzeba na coś zwrócić uwagę własnemu dziecku. Nawet jeżeli ono jest już całkiem dorosłe.

– No, to słucham. – Przystanęłam i spojrzałam mamie w oczy.

Westchnęła głośnia i machnęła ręką.

– E tam…

– Mamo, zaczęłaś, to mów.

– Justynko… – powiedziała cicho. – Ty naprawdę myślisz, że Michał wróci z tych Stanów? Że warto na niego czekać?

– Mamo, obiecałam mu to. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

– Może zapytaj go… porozmawiaj z nim konkretnie, kiedy ma zamiar wrócić. Może powiedz mu, że nie możesz bez końca czekać!

– Babcia na dziadka czekała pięćdziesiąt lat. – Wzruszyłam ramionami. – To ja chyba mogę poczekać rok czy dwa.

– Babcia miała dzieci, to była inna sytuacja – wyrwało się mamie.

– To chodzi ci o mój zegar biologiczny?

– Nie, ale boję się, że jak tak będziesz czekała, to życia sobie nie ułożysz. I potem będziesz żałowała… – westchnęła i ku mojej wielkiej radości zmieniła temat: – Chodź do Pałacu Opatów na herbatę. Rozgrzejemy się trochę.

Skłamałabym, gdybym stwierdziła, że czasem też nie myślałam o tym, o czym mówiła mama. Niestety zdawałam sobie sprawę, że ma rację. Kiedy rozmawiałyśmy z koleżankami o ślubie czy dzieciach, każda z nas była zdania, że pierwsze dziecko należy urodzić przed trzydziestką. Poza tym moja przyjaciółka Magda za chwilę miała rodzić i razem chodziłyśmy po sklepach, oglądając te wszystkie rozkoszne ubranka i gadżety, nic więc dziwnego, że dosyć intensywnie zastanawiałam się nad swoją przyszłością. Babcia i mama miały już w moim wieku dzieci, ale byłam przekonana, że dwadzieścia pięć lat to jeszcze nie starość. Co z tego, gdy ja czułam, że z każdą chwilą mój zegar biologiczny tyka jakby szybciej…

– A jeżeli on cię zostawi? – zapytała kiedyś Magda. – Ot tak powie, że nie przyjeżdża, że ma inną albo po prostu że się odkochał?

– To będę musiała pojechać do niego – westchnęłam.

– I co? Zamieszkasz tam? Co tam będziesz robiła?

– Nie, namówię go na powrót tutaj.

– A jeżeli nie dasz rady?

– Magda! – Zdenerwowałam się. – Nie wierzysz w mój dar przekonywania!

– Nie… Bo myślę, że żaden normalny facet, zdrowy i z normalnym poziomem testosteronu, nie wytrzymałby tyle bez baby.

– Magda!

Wzruszyła ramionami.

– Mówię to, co myślę. Znasz mnie.

Faktycznie, nigdy nie owijała w bawełnę. Znałyśmy się już tak długo, że mogła sobie na to pozwolić. Ja już jednak miałam dosyć tych szczerych rozmów, bo z każdej strony ktoś mi mówił, jak powinnam żyć. Nic więc dziwnego, że teraz siedziałam zła na cały świat.

– Uwzięłyście się na mnie – powiedziałam w końcu.

– Kto?

– Ty i moja mama.

– A nie zastanowiłaś się choćby przez chwilę, że to samo niezależnie od siebie mówią ci dwie osoby, które cię kochają i nie mają w tym żadnego interesu? Osoby, które po prostu lubią, jak jesteś szczęśliwa? I to nie przez trzy sekundy, ale najlepiej przez całe życie.

Każda rozmowa z moją mamą czy Magdą wyglądała podobnie. Co ja im miałam powiedzieć? Że też się martwię? Że wkurzają mnie samotne wieczory? Tak, wkurzały mnie! Starałam się oszukiwać samą siebie, że to nie ma znaczenia, ale miało!

Dlatego też obie bardzo się ucieszyły, gdy poznałam Konrada. A ja? Ja podświadomie chyba też.

Ale miało jeszcze dużo czasu upłynąć, bym się sama przed sobą do tego przyznała. Bo przecież ja byłam stworzona po to, by czekać. Dokładnie tak samo, jak moja babcia.

ROZDZIAŁ XII

Jedyne, co prawdziwe, to jest tu i teraz.
Jest pięknie, nie narzekaj.
Po co, po co, po co, po co…
Doceniaj to, co masz.
Zapomnij, czego nie ma,
I nie martw się na zapas.
Po co, po co, po co, po co…

Kayah, „Po co”

1

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Święta
Data: 3 kwietnia 2001

Kochany Wilku,
Dni mijają, przyzwyczajam się do samotności. Chociaż czy można się do niej przyzwyczaić?
Dużo pracuję, chyba dlatego, że chcę zabić czas. Doceniają to. W przyszłym tygodniu wysyłają mnie na szkolenie do Szczecina. Tam moja firma ma siedzibę i co roku organizują spotkania dla pracowników z całego kraju. Trochę integracji i sporo szkoleń. Cieszę się, że jadę, zawsze to jakaś odskocznia od samotnych dni.
Najgorsze są weekendy. Wszyscy gdzieś razem wychodzą, a ja już nawet przestałam chcieć gdziekolwiek choćby wyściubić nos. Nie lubię tak „na doczepkę".
Nie mogę się z nikim zaprzyjaźniać, bo wydaje mi się, że oni chcą się zaprzyjaźniać za bardzo! Mówię o mężczyznach.
Oczywiście żartuję. Chociaż… w każdym żarcie jest odrobina prawdy.
Wracaj!
Tęsknię za Tobą.
Justyna

Dopiero niedawno zauważyłam, że wszystkie przełomowe zdarzenia w moim życiu miały miejsce w pociągach. Z pewnością wśród moich przodków musiał być jakiś kolejarz, który teraz z nieba trochę kieruje moimi drogami. Podobno dziadek od strony taty był kolejarzem. Może kiedyś poznam jego historię.

A może podróż koleją jest tak ważna, bo w pociągu człowiek przez krótką chwilę jest tylko dla siebie? Nie musi nic, tylko poddaje się bezwolnie podróżowaniu. Teraz oczywiście może zanurzyć się w świecie wirtualnym, w swoim telefonie i laptopie, ale jeszcze kilka lat temu tak nie było… Bardzo często, wchodząc do niewielkiego przedziału, wkraczało się w świat współpasażerów. Obserwując ich, można było dokładnie stwierdzić, czym się zajmują, a nawet jakie mają troski i zmartwienia. Często zastanawiałam się, do kogo jadą, co spowodowało, że wsiedli akurat do tego pociągu. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądała ich codzienność.

Lubiłam jeździć pociągami. Nie angażowałam się zbytnio w rozmowy, zawsze miałam przy sobie książkę. Na dłuższych trasach często udawało mi się przeczytać ją całą i niekiedy zostawiałam ją w przedziale. Wkładałam do środka karteczkę z informacją, że można ją zabrać. Teraz to nazywa się bookcrossing, wtedy jeszcze się wcale nie nazywało, ale byłam przekonana, że pozostawione w pociągach książki sprawiły radość wielu podróżującym.

Tym razem nie udało mi się przeczytać książki. Właściwie nie czytałam wcale. Wracałam ze Szczecina. Pracowałam wtedy w firmie, która miała siedzibę właśnie tam i kilka razy do roku trzeba było się tam pojawić na spotkaniu firmowym czy szkoleniach. Pociągi w każdym innym kierunku wydawały się bardziej komfortowe i miałam wrażenie, że jeździły dużo szybciej. Ten na trasie Gdańsk–Szczecin wlókł się strasznie. I w zależności od wybranej na podróż książki albo się z tego cieszyłam (o ile była ciekawa i chciałam czytać jak najdłużej), albo z niecierpliwością czekałam na stację Szczecin-Dąbie, gdzie to zawsze wysiadałam. Jednak czas w pociągu to był czas dla mnie, gdy nikt mi nie przeszkadzał i przez te kilka godzin nic ode mnie nie chciał.

Oprócz Konrada… Konrada Wilczyńskiego.

Ale wtedy, gdy wsiadałam do pociągu, z niewielką różową walizką, nawet nie wiedziałam jeszcze o jego istnieniu. Byłam młodą dziewczyną wracającą właśnie ze spotkania firmowego. Dziewczyną, którą nieco bolała głowa po szaleństwach poprzedniego wieczoru. Dziewczyną, która właśnie się pokłóciła ze swoim chłopakiem, kiedy dzwonił w najmniej oczekiwanych porach, bo ze względu na różnice czasowe tak mu było wygodniej.

– A co ty robisz? – zapytał, dzwoniąc poprzedniego dnia o drugiej w nocy. W Nowym Jorku dopiero był wieczór. – Nie śpisz?

– Nie. Wiesz przecież, że jestem w Szczecinie. Jakbym spała, to bym przecież nie odebrała. – Roześmiałam się.

– Jesteś na imprezie? – zapytał ze zdziwieniem.

– Wiesz przecież. Mamy imprezę firmową.

– Nie szalej za bardzo. – Wolf był wyraźnie niezadowolony.

– Dlaczego? – zapytałam zaczepnie.

– No, jak możesz o takie rzeczy pytać? Jak to „dlaczego”?

– Po prostu pytam. Ja nawet nie wiem, czy ty nie szalejesz tam za bardzo.

– Justyna, ja tu pracuję, a nie się bawię. Robię to dla nas.

– Michał, ja już przestałam w to wierzyć. Pracujesz przede wszystkim po to, by spłacić swoje długi. Dla nas? Co ja z tego mam, że ty tam pracujesz? Nie mam cię przy sobie.

– Mam ci wysłać kasę? – zapytał zaczepnie.

Miałam wrażenie, że nie był do końca trzeźwy.

– Wolf, zupełnie nie chodzi mi o pieniądze!

– A o co?

– O ciebie.

– Jak o mnie? Przecież dzwonię co chwilę.

– No właśnie, dzwonisz. Ale nie ma cię obok. Niedługo zapomnę, jak wyglądasz.

– Bilety są drogie, bez sensu latać tak daleko w tę i z powrotem.

– Jasne – powiedziałam sarkastycznie. – Bez sensu.

– Czy ty masz do mnie pretensje? Haruję tutaj jak wół, od rana do nocy na budowie, a jak do ciebie dzwonię, to masz pretensje?!

– Wolf, nikt ci nie kazał tak pracować. Mogłeś skończyć studia i pracować tutaj.

– Za tysiąc złotych?

– Ja nie pracuję za tysiąc złotych. A zresztą co masz teraz z tego, że tam zarabiasz więcej? Wątpię, żebyś po tym roku wyszedł już na zero. A nawet jeśli, to masz trochę więcej kasy, ale jesteś sam jak palec.

– Nie jestem – obruszył się.

– To jeszcze lepiej – powiedziałam z przekąsem. – Tutaj byśmy sobie poradzili. Na co ta kasa, jak nie jesteśmy razem?

– Ty wciąż o kasie! – zdenerwował się.

– Michał! – krzyknęłam. – Ja mówię o tym, że wolę ciebie niż wszystkie pieniądze świata.

– Jasne… A potem będziesz mi wypominać, że mieszkamy w kawalerce.

– Przecież wiesz, że rodzice mi pomogą.

– Nie chcę nic od twoich rodziców. Nie chcę!

– Czasem trzeba się ugiąć i nie zadzierać nosa. Oni pomogą nam, a my potem będziemy pomagać naszym dzieciom. W przyrodzie tak to działa. – Przez krótką chwilę zwątpiłam, czy kiedykolwiek będą jakieś dzieci. Raczej nie da się zajść w ciążę na odległość.

– Nie będę się przed nikim uginał – oświadczył.

– Nawet kosztem naszego związku?

– Nawet! – stwierdził szybko.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałeś – ucięłam krótko i rozłączyłam się.

Co miałam powiedzieć więcej? To, że od półtora roku nasz związek był związkiem wyłącznie telefonicznym? Czasem rozmawialiśmy przez internet, wysyłaliśmy sobie zdjęcia. Teraz może i byłyby większe możliwości, ale wtedy to musiało wystarczać. Mnie jednak nie wystarczało. Zupełnie nie wystarczało. Potrzebowałam mężczyzny na miejscu. Takiego, do którego mogłabym się przytulić, ale też takiego, z którym mogłabym o wszystkim porozmawiać. Co to za miłość na odległość?

Michał dzwonił do mnie zawsze w nocy, kiedy skończył swoją pracę. Często już spałam albo byłam wykończona po całodziennej gonitwie. Nie miałam siły, by pogadać z nim o mojej codzienności, o tym, że ktoś mnie zdenerwował w pracy, czy o tym, że jest mi smutno. Tak bardzo chciałam, by wrócił. Niestety nic nie wskazywało na to, by w tej kwestii miało się zmienić cokolwiek.

Na pociąg ze Szczecina do Gdańska trzeba było wykupić miejscówki. Wagon ósmy, miejsce dwudzieste czwarte. Weszłam do przedziału.

– Dzień dobry – przywitałam się z jedynym siedzącym tam pasażerem, ciemnowłosym mężczyzną czytającym książkę.

– Dzień dobry – odpowiedział i podniósł się z fotela. – Pomogę pani z walizką.

– Dziękuję, jest lekka. – Pokręciłam głową.

– No, proszę dać mi się wykazać! – Zrobił zmartwioną minę. – Mężczyznom jest to bardzo potrzebne do życia. Takie wykazywanie się przed kobietami.

Podniosłam brwi i lekko się uśmiechnęłam.

– No tak… Wyszedłem na egoistę. Że niby robię to tylko dlatego, by zaspokoić swoją próżność. – Udał zmartwionego.

– Może trochę… – Roześmiałam się.

– Wiedziałem. Pomyślała pani, że siedzi sobie facet w pociągu i tylko czeka, aż jakaś ładna kobieta wejdzie do przedziału. I wtedy tenże facet z własnych egoistycznych pobudek wrzuci jej walizkę na górę. Różową walizkę, dodam.

– Proszę się nie krępować. – Wskazałam na bagaż. – Jeżeli ma to panu podbudować ego, to proszę ją włożyć na samą górę.

– Bardzo dziękuję – powiedział z udawaną powagą.

– Ależ nie ma problemu. Jak będzie pan sobie życzył w trakcie podróży podreperować samopoczucie, to może pan mi ją jeszcze kilka razy zdjąć i odłożyć na górę. Polecam się. – Mrugnęłam do niego.

Godzinę później uzmysłowiłam sobie, że w walizce zostały kanapki i woda. Na samą myśl o tym, że mężczyzna znowu będzie chciał mi zdejmować walizkę, zachciało mi się śmiać. Nie chciałam, by pomyślał, że specjalnie namawiam go, by zajmował się moją walizką.

– To chyba jest ten czas – powiedziałam cicho, patrząc porozumiewawczo na niego.

W przedziale nie było nikogo oprócz nas. Spojrzał pytającym wzrokiem znad książki.

– Ten czas?

– Żeby pan podreperował swoje ego. – Uśmiechnęłam się.

– Rozumiem! – Roześmiał się i spojrzał na zegarek. – Godzina minęła. Ma pani rację, to już najwyższa pora, by znowu poczuć się prawdziwym mężczyzną. – Wstał energicznie i sięgnął po mój bagaż.

– Kanapki tam zostawiłam – wytłumaczyłam się. – Naprawdę nie chciałam pana fatygować.

– Ależ to dla mnie przyjemność. Takie mam hobby.

– Hobby? Ściąganie walizek z półek?

– Pomaganie pięknym dziewczynom.

– Dziękuję… – Poczułam się przez chwilę jak dziewiętnastowieczna pensjonarka, która słyszy komplement. Można by powiedzieć, że nawet spłonęłam rumieńcem.

– Konrad Wilczyński. – Mężczyzna podał mi rękę.

– Justyna Borkowska. – Odwzajemniłam uścisk.

Pomyślałam, że same wilki wokół mnie. Michał miał na nazwisko Wilk, a teraz jeszcze ten Wilczyński… Człowiek człowiekowi wilkiem?

– Masz ochotę na kanapkę? – zapytałam.

– Sama robiłaś? Kocham, gdy kobiety robią mi kanapki. Zwykle muszę to ogarniać sam, ale czasem się zdarzy… – Zamyślił się.

– Niestety. – Pokręciłam głową. – Ale z pewnością robiła je jakaś miła pani w sklepiku na dworcu w Szczecinie.

– No, zawsze to lepsze, niż gdybym sam je sobie zrobił.

– Proszę. – Podałam mu jedną kanapkę.

– To ja pójdę po kawę albo herbatę. Co wolisz?

– Kawę. Z mlekiem. Dużo mleka.

– Oddam ci swoje. – Uśmiechnął się. – Piję czarną.

– Czarna jest gorzka. – Skrzywiłam się.

– Ale życie jest słodkie. – Konrad wzruszył ramionami.

– Zależy czyje – wyszeptałam.

– Twoje nie?

– Nie wiem… Chyba nie, skoro muszę sobie kawę mlekiem łagodzić.

– Cukier przynieść?

– Nie, dziękuję. – Pokręciłam głową.

– To chyba jeszcze nie jest tak źle z tym twoim życiem, skoro go sobie nie dosładzasz – podsumował i wyszedł, kierując się w stronę przedziału Warsu.

Faktycznie, zawsze mogłoby być gorzej. A tak był Michał, miałam pracę, mieszkałam w swojej własnej kawalerce w centrum Gdańska i naprawdę nie miałam się czym martwić. Oprócz tego, że od półtora roku nie widziałam swojego chłopaka. Gdyby mi ktoś to powiedział w momencie, gdy się rozstawaliśmy, nie uwierzyłabym. Nie uwierzyłabym, że będę tak długo czekać i łudzić się, że wróci. Za pół roku, potem za miesiąc i kolejny, kolejny… Aż z tego miesiąca zrobi się rok i potem dwa lata. Ile jeszcze? Tego nie wiedziałam.

– Była z mlekiem – tryumfalnie oznajmił Konrad, gdy wrócił. – A raczej mleko z kawą. Latte ci wziąłem.

– Właśnie taką lubię. – Wzięłam od niego papierowy kubek z napojem. – Dziękuję.

– Ja mam podwójne espresso, jakby mnie szlag trafił, może podam namiary na swoich bliskich?

– Podaj. Żona, dzieci? Kot?

– Niestety, ani żony, ani dzieci. Kota niestety też nie. Zbyt często wyjeżdżam. Musiałabyś dzwonić do moich rodziców. Jakby mi się coś stało, to z moją matką nie byłaby łatwa przeprawa. Z pewnością od razu uznałaby cię za winną przedwczesnego zgonu jej ukochanego syneczka.

Zmrużyłam oczy, czekając na ciąg dalszy.

– Niestety. Jestem jedynakiem, całym światem mojej mamy i tak dalej. – Machnął ręką, niemalże wylewając kawę na swój garnitur. – Masz dzieci?

– Nie, nie mam. I na razie żadnych chyba perspektyw, by je wkrótce mieć – mruknęłam.

– Perspektywy zawsze są. Jakieś…

– Dziecka nie da się mieć na odległość.

– A co, mąż daleko?

– Narzeczony. A nawet chyba jeszcze nie. – Wzruszyłam ramionami. – Chłopak.

– To może jednak sobie tę kawę posłodzisz? – zapytał.

– Aż tak źle nie jest. A nawet jest dobrze. Wyjechał dwa lata temu, by zarobić na dom dla nas. – Gdy wypowiedziałam to na głos, wydało się jeszcze mniej wiarygodne.

– Jeszcze nie zarobił? – zdziwił się Konrad.

– Niestety nie. A przynajmniej nie na tak duży, jakby chciał. To zresztą długa historia. Jechał z myślą, że wróci szybko i kupimy mieszkanie. Teraz w planach ma dom, a szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy byłoby go stać chociaż na wycieraczkę – powiedziałam złośliwie.

– Jak jeszcze trochę tam posiedzi, to będzie pałac – stwierdził Konrad. – Przepraszam, nie powinienem tak mówić, bo w sumie co mi do twojego pałacu. Życzę ci, żebyś miała jak największy.

– Masz rację. Czasem zastanawiam się, czy to wszystko ma sens. Ale, jak już powiedziałam, nie mam żadnych perspektyw.

– Nigdy nie ma sytuacji bez wyjścia. Trzeba się tylko rozejrzeć wokół.

– Wiesz, mi niewiele potrzeba. Właściwie drobnostek, jak chociażby to, że przed świętami ktoś mi wniesie choinkę na moje trzecie piętro. Sama nie daję rady.

– Z tym to chyba najmniejszy problem, co? – Uśmiechnął się Konrad. – Boże Narodzenie już w sumie niedługo, kiedy mam przyjść?

– Przecież mamy kwiecień! – Roześmiałam się.

– To zupełnie nieistotne. Możesz mieć taką rodzinną tradycję i choinki zawsze ubierać na Wielkanoc. Ja jestem tolerancyjny – powiedział, udając powagę. – Wiesz przecież, że lubię tachać różne rzeczy. Na przykład różowe walizki. Wnoszenie choinki na trzecie

piętro jeszcze bardziej pozwoli mi poczuć się mężczyzną. Szczególnie w kwietniu. Naprawdę. Dasz mi swój numer telefonu?

– Mam chłopaka.

– Ja doskonale to rozumiem, akceptuję, przecież mówiłem, że jestem tolerancyjny, ale on akurat ci nie pomoże przy tej choince, więc chętnie go zastąpię, jako prawdziwy dżentelmen.

Konrad otworzył torbę na laptop, z której wysypały się jakieś dokumenty po niemiecku. Spojrzałam z zainteresowaniem.

– Miałem pracować w pociągu. Jestem tłumaczem i zawsze zabieram robotę ze sobą. Gdzieś miałem wizytówki. – Wyciągnął niewielkie pudełeczko. – Są.

Napisał coś szybko pod nazwiskiem i wręczył mi karteczkę.

– Konrad Wilczyński. Tłumacz przysięgły języka niemieckiego – przeczytałam.

– Nie przeczytałaś wszystkiego. – Wskazał palcem na odręczny dopisek.

– Roznosiciel wielkanocnych choinek i tragarz różowych walizek. – Uśmiechnęłam się.

– Jestem fachowcem w swojej dziedzinie – powiedział poważnie. – Jak za coś się zabieram, to zawsze robię to dobrze. Zadzwonisz?

– Nie wiem… – Położyłam wizytówkę na stoliczku, obok kawy. – Może.

– Kiedy kobieta mówi „może”, to znaczy, że jest nadzieja – z entuzjazmem stwierdził Konrad i wypił łyk kawy.

Tamtego dnia żadne z nas nie czytało. Przegadaliśmy całą drogę. Może nawet trochę flirtując? Aż do samego Gdańska nikt nie wsiadł do naszego przedziału, więc rozmawialiśmy swobodnie.

Tak długo nie pozwalałam sobie na beztroską rozmowę z mężczyzną. Zawsze, gdy tylko jakiś się do mnie uśmiechnął, miałam przed oczami Michała i uważałam, że zwykły uśmiech jest już naruszeniem pewnych zasad. Zasad, które sobie sama narzuciłam.

Konrad wysiadł w Oliwie, ja jechałam do Gdańska Głównego. Pomachałam mu i powoli zaczęłam zbierać się do wyjścia. Wizytówkę schowałam do kieszeni płaszcza. Gdy stałam już w przedsionku wagonu, chciałam jeszcze raz ją zobaczyć. Nie było jej w kieszeni. Pociąg już się zatrzymywał, a ja nagle poczułam, że muszę mieć numer telefonu do Konrada.

– Popilnuje pani walizki? – zapytałam szybko kobietę stojącą tuż przede mną. – Zostawiłam coś ważnego w przedziale.

– Ale ja zaraz wysiadam! – krzyknęła kobieta.

– Ja też. – I zaczęłam przeciskać się między wysiadającymi w stronę przedziału, który zajmowaliśmy z Konradem.

Wizytówka leżała na siedzeniu. Musiała wypaść, gdy wychodziłam. Zgarnęłam ją i poszłam w stronę wyjścia. Pociąg już stał na stacji. Wysiadłam ostatnia. Kobiety pilnującej mojej walizki już nie było. Ale to nieważne. Miałam numer do Konrada i wiedziałam, że prędzej czy później do niego zadzwonię. Przez chwilę nawet żałowałam, że był kwiecień i naprawdę nie mogłam kupić choinki, by wykorzystać mojego nowego znajomego w charakterze tragarza.

A może gdzieś w kwietniu sprzedają choinki?

2

Wizytówkę Konrada włożyłam do notesu z ważnymi adresami. Kilka dni szukałam pretekstu, by do niego zadzwonić. Niestety kompletnie nie mogłam nic wymyślić. Nie należałam do kobiet, które po prostu dzwonią po to, by umówić się na kawę.

– Czy ty wiesz, jak sobie utrudniasz życie? – zapytała mnie Magda, gdy zadzwoniłam do niej, by podzielić się z nią moją kolejową przygodą.

– Nie utrudniam sobie życia! Madzia, ja nie wiem, czego chcę! – wyznałam. – No bo chciałabym się z nim spotkać, ale jednak jest Wolf.

– Jak to nie wiesz, czego chcesz? Masz ochotę spotkać się z facetem, z którym przegadałaś pięć godzin. Po prostu. Dobrze się wam rozmawiało i chciałabyś to powtórzyć. Proste! – Dla Magdy zawsze wszystko było proste.

– Magda, to nie jest takie łatwe. – Pokręciłam głową. – Bo po co ja chcę się z nim spotkać? Do czego to ma prowadzić?

– Ty jak dziecko jesteś – westchnęła Magda. – Wyjścia są zawsze dwa. Albo będziesz się z nim bzykać, albo nie. Innej opcji nie ma.

– Magda! – Byłam oburzona.

– Nie przerywaj mi. Oczywiście bzykanie jest lepszą alternatywą, ale to zapewne wiesz. Jakby na to popatrzeć, też można to zrobić dwojako. Ot, dla sportu, czego nie polecam, chyba że lubisz sporty ekstremalne, albo z miłością, co jest, wiadomo, dużo lepszą opcją.

– Jak to z miłością?

– Normalnie. Jedno spotkanie, drugie, trzecie, zakochujesz się i już.

– A Wolf? – wydukałam.

– Przecież jest w Stanach! – Moje pytanie zdenerwowało Magdę. – W Wolfie się po prostu odkochujesz. Już dawno zresztą powinnaś to zrobić.

– Aha, rozumiem – mruknęłam, chociaż nie rozumiałam zupełnie nic.

– No to dobrze. Jak już się zakochasz w panu z pociągu…

– W Konradzie – przypomniałam.

– W Konradzie – powtórzyła Magda. – No więc, jak już się w nim zakochasz, to dzwonisz do Wolfa lub jeszcze lepiej piszesz do niego maila, a w mailu śliczne amerykańskie SORRY. I już. Możesz napisać: *Sorry, too late* albo coś równie fajnego. Na pewno coś wymyślisz.

– I już – powtórzyłam zdezorientowana.

– I już – potwierdziła moja przyjaciółka. – Justyś, wiele problemów w życiu bierze się z tego, że ludzie nie mówią sobie pewnych rzeczy wprost. Gdybyśmy walili prosto z mostu, zaoszczędzilibyśmy sobie często bardzo dużo czasu.

– Ale może nie oszczędzilibyśmy łez?

– Łez pewnie nie – zgodziła się Magda. – Ale, tak czy inaczej, przy okazji pewnych spraw łzy i tak są, tylko później. Wiesz, że ja jestem zwolenniczką szybkich akcji. Rach-ciach, w prawo albo w lewo… I dlatego powinnaś zadzwonić do tego gościa. Pamiętaj, są trzy wyjścia.

– Mówiłaś, że dwa.

– No dobra, trzy. Pierwsze to zakochujesz się, drugie to po prostu się nim trochę bawisz, a trzecie – pijesz kawę i traktujesz go jako kolejnego dobrego kumpla. Gradacja od sportów najbardziej ekstremalnych do najmniej.

– Miłość jest sportem najbardziej ekstremalnym? Myślałam, że seks bez zobowiązań.

– Jednak miłość. Miłość to największy rollercoaster na świecie. Skok spadochronowy i freediving w jednym. Zdecydowanie tak. Jestem o tym przekonana – westchnęła Magda.

Nie zadzwoniłam wtedy do Konrada. Zawsze bałam się sportów ekstremalnych. Nie lubiłam ryzyka i rollercoasterów. Nigdy też nie marzyłam o freedivingu.

Oczywiście trudno wierzyć w przypadki i przeznaczenie, ale kilka dni po rozmowie z moją przyjaciółką zachorowała Ada, sekretarka naszego dyrektora. Niestety weszłam do jaskini lwa w momencie, gdy mój szef się miotał i próbował coś znaleźć, zrzucając na wszystkich winę za swój bałagan. Ada była jedyną osobą, która umiała go ujarzmić i wprowadzić w dobry humor. Jak to robiła? Nikt nie wnikał.

– Do cholery! Gdzie ona trzyma te wizytówki? Nie można się do niej dodzwonić.

– Jest w szpitalu – powiedziałam cicho.

– No, racja. – Usiadł zrezygnowany przy jej biurku. – Pozamiatane – burknął.

– A może ja w czymś pomogę? – zapytałam.

– Poszukaj mi jej wizytownika – powiedział, rozglądając się wokół. – Jest gdzieś tutaj. – Pokazał ręką na zrobiony przez siebie bałagan.

Szukałam dwie godziny. Nie powiem, co myślałam o moim szefie, który również starał się szukać wizytówek, robiąc przy tym taki bałagan, że Ada, która poszła do szpitala na drobny zabieg, po powrocie do biura od razu pójdzie na chorobowe, albo z powodu

depresji, albo zawału serca. Bo było pewne, że serce pedantki tego rozgardiaszu zdecydowanie nie wytrzyma.

– Ja się poddaję, szefie – przyznałam w końcu.

– To znajdź mi tłumacza. – Popatrzył błagalnym wzrokiem. – Na jutro. Przyjeżdża szefostwo jednego z naszych klientów i ja dopiero zorientowałem się, że to Niemcy. Dogadać się dogadamy, ale jakieś papiery trzeba będzie podpisywać, a tutaj bez tłumacza się nie obędzie. Znaczy zorientowałem się wcześniej, ale dzisiaj do mnie dotarło, że Ady nie ma i nikt nie załatwił tego cholernego tłumacza. Jak Ada jest, to wszystko się załatwia jakby samo!

Uśmiechnęłam się wtedy promiennie do mojego szefa i zapewniłam go, że zrobię wszystko, by zorganizować na jutro tłumacza. Nawet nie wiedział, jaką sprawił mi przyjemność, dając mi pretekst, by zadzwonić do Konrada.

– Konrad Wilczyński, słucham? – Nie dałam mu mojego numeru telefonu, więc nie wiedział, kto dzwoni.

– Dzień dobry, mówi Justyna Borkowska.

– Dzień dobry – odpowiedział.

Najwyraźniej mnie nie kojarzył. Od naszej wspólnej podróży minęły już dwa tygodnie, pewnie już o niej zapomniał.

– Dałeś mi swoją wizytówkę w pociągu, jakbym potrzebowała pomocy… – zaczęłam.

– Justyna! – Ucieszył się. – Zdecydowałaś się jednak na choinkę w kwietniu! Brawo! – Czułam, że Konrad się uśmiecha. – Bardzo odważna decyzja!

Roześmiałam się.

– O choinkę to może poproszę cię w grudniu, teraz dzwonię, byś mi szefa uratował.

– A o co chodzi? Szef tonie? Czy może potrzebuje choinki?

– Można tak powiedzieć. Jutro ma jakieś ważne spotkanie z niemiecką delegacją. Bardzo potrzebuje tłumacza. Możesz do nas przyjść?

– Tylko, Justyna, jest jeden problem. A właściwie całkiem spory… Ja teraz jestem w Warszawie. I muszę tu zostać do jutra – zmartwił się. – Daj mi chwilę, dobrze? Godzinę. Odezwę się, może ci kogoś znajdę.

Byłam rozczarowana. Nie chciałam, by mi znajdował kogokolwiek innego. Chciałam, by to on przyszedł. I chciałam się z nim spotkać. Starałam się nie myśleć o trzech możliwych scenariuszach, które zakładała moja przyjaciółka.

Godzinę później zadzwonił.

– Wisisz mi kawę – powiedział. – Mocną, dobrą kawę bez żadnych zabielaczy i dosładzaczy.

– Załatwiłeś kogoś? – Uśmiechnęłam się. Myśl o wspólnej kawie, nawet takiej bez mleka, zdecydowanie poprawiła mi humor.

– Załatwiłem. Jutro w Warszawie zastąpi mnie koleżanka, a ja wracam do Gdańska. Już jadę. Możesz wysłać mi mailem wszystkie szczegóły? Wieczorem, gdy będę w domu, odbiorę.

– Mogę dać twój telefon mojemu szefowi?

– Jasne.

Zapadła chwila ciszy.

– Miło mi będzie cię spotkać – dodał cicho i tak jakoś miękko. – Żałowałem, że nie wziąłem od ciebie namiarów. Ale cały czas łudziłem się, że zadzwonisz.

3

Następnego dnia spotkałam Konrada dopiero wtedy, gdy kończyłam pracę. Oczywiście nie zliczę, ile razy wychodziłam ze swojego pokoju, by zrobić sobie kawę, herbatę czy do toalety. Miałam za każdym razem nadzieję, że dziwnym trafem go spotkam.

Cały dzień był zamknięty wraz z Niemcami i szefem w jego jaskini i już nawet zastanawiałam się, czy nie zanieść im kawy, ciastek czy czegokolwiek. Niestety wszystko było przygotowane. Okazało się, że szef dodzwonił się do Ady i ona wszystko zdalnie zorganizowała, a na dodatek wraz z cateringiem załatwiła kelnerkę.

Nieco później niż zwykle zaczęłam zbierać się do domu, zrezygnowana tym wyczekiwaniem. Rozpromieniłam się, kiedy zobaczyłam, że Konrad czekał na mnie przy drzwiach.

– Wychodzimy – zakomunikował.

– Jak to? – zapytałam, zaskoczona jego obecnością. Byłam pewna, że tego dnia go już nie spotkam.

– Powiedziałem, że nie mogę z nimi iść na obiad, bo się spieszę. Jestem umówiony.

– Jak to umówiony? – zdziwiłam się.

Konrad złapał mnie za rękę.

– Jestem umówiony z tobą. Nie pamiętasz? Umówiliśmy się na obiad!

Kompletnie zdezorientowana poszłam za nim.

– Ale ja tu mam auto!

– Pozwoliłbym ci odstawić samochód przed domem, ale boję się, że mi uciekniesz. – Uśmiechnął się. – Możesz jutro pojechać do pracy taksówką?

– Oczywiście.

Potulnie ruszyłam za nim, tylko przez chwilę zastanawiając się, czy wsiadanie do auta mężczyzny, którego tak naprawdę zupełnie nie znałam, jest rozsądne. Uznałam, że w razie czego mają na niego namiary. Oczywiście nie pomyślałam, że „w razie czego", gdy ci, co będą mnie poszukiwać, będą korzystać z tych namiarów, mi już może być wszystko jedno.

Pojechaliśmy do jednej z restauracji nad Motławą.

– Pewny siebie jesteś – stwierdziłam, gdy zamówiliśmy już dwa identyczne dania.

– Czasem tak. Jak mi na czymś bardzo zależy. Albo na kimś.

– Pamiętasz, że mam chłopaka?

– Pamiętam. Buduje pałac. Albo zbiera na złotą wycieraczkę do niego.

Roześmiałam się. Po chwili jednak poczułam ogromne wyrzuty sumienia względem Michała.

– No, na wycieraczkę pewnie go już stać. – Próbowałam sama siebie rozśmieszyć. – Może nie złotą, ale na srebrną powinno wystarczyć.

– A musimy mówić o twoim chłopaku? – zapytał Konrad. – Nie mamy lepszych tematów do rozmów?

– Z pewnością mamy – zgodziłam się.

W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz – babcia Adela.

– Tak, babciu? – Odebrałam od razu. Rzadko dzwoniła na komórkę. Bałam się, że coś się stało.

– A tak dzwonię pogadać.

– Babciu, dzwonisz na komórkę. Po co masz przepłacać? Może zadzwonię do ciebie, gdy wrócę do domu?

– Faktycznie. Człowiek dzwoni i zupełnie nie wie, gdzie się dodzwoni. Nie ma cię teraz w domu?

– Nie, babciu. Jestem na obiedzie… z kolegą.

– Z kolegą! – ucieszyła się babcia. – Dobrze, dobrze, to zadzwoń potem. Tylko o dwudziestej z Jankiem film oglądamy, to przed albo po filmie. Bo, wiesz, leci jakiś film, który Janek chce oglądać, ja nie wiem, czy chcę, on chyba nie dla mnie jest. Widziałam zapowiedź i strasznie klną w tym filmie.

– A jaki film?

– Nie potrafię nawet tytułu ci powiedzieć. Jakiś angielski. Coś tam fikszyn.

– Dobrze, babciu. Zadzwonię po filmie. – Uśmiechnęłam się i rozłączyłam. – Przepraszam cię – powiedziałam do Konrada. – Moja szalona babcia.

– Masz to po niej?

– Szaleństwo? Ja chyba nie jestem szalona. – Pokręciłam głową. – Ja jestem grzeczna, poukładana, wiernie czekam. Chociaż… – Zamyśliłam się. – Babcia też wiernie czekała. Do czasu.

Konrad spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Długa historia. – Machnęłam ręką. – I to chyba taka, o której się nie mówi poza gronem najbliższych.

– Tym bardziej chciałbym ją usłyszeć. Lubię rodzinne zagadki.

– Moi dziadkowie pochodzą z Grudziądza. Mój dziadek, podobnie jak znaczna większość młodych mężczyzn z Pomorza, wyruszył na wojnę w niemieckim mundurze. I z niej nie wrócił. Nie wiemy, co się stało. Listy urwały się nagle. Babcia czekała całe życie. Aż nagle przestała czekać.

– Coś się stało?

– Chyba zdawałam wtedy maturę albo byłam na pierwszym roku studiów. Nagle babcia stwierdziła, że wychodzi za mąż za swojego długoletniego przyjaciela. Takiego jeszcze z czasów, gdy była z dziadkiem.

– To chyba dobrze?

– Bardzo dobrze, tylko on ją wielokrotnie prosił o rękę, a ona wciąż czekała na dziadka. I nagle sama podobno mu zaproponowała małżeństwo.

– Po prostu długo trwa u niej proces decyzyjny.

– Najwyraźniej.

– A może dowiedziała się czegoś o dziadku? – Zmrużył oczy, zastanawiając się.

– Nie, na pewno nie. Wiedziałabym. Przecież o takich rzeczach by nam powiedziała. A ani mama, ani brat mamy, wujek Staszek, nic na ten temat nie mówili.

– Wiesz, różne rzeczy się zdarzały w tych wojennych czasach. I w dokumentach, które wtedy były wystawiane. – Zamyślił się. – Kiedyś tłumaczyłem papiery dziewczynie, która chciała studiować w Niemczech. Miała wykazać swoje niemieckie korzenie. Przyniosła dokumenty, które dostała od swojej babci. I coś mi się nie zgadzało.

– Co takiego?

– Jej mama urodziła się trzy lata po śmierci swojego ojca. Według papierów oczywiście.

– Jak to?

– Dziadek uciekł do Andersa, a Niemcy za bardzo nie chcieli się tym chwalić, więc woleli go uśmiercić, przynajmniej formalnie. Babcia dostała informację o śmierci męża, a po roku mąż zapukał do drzwi.

– Mój dziadek, niestety, nigdy nie zapukał – westchnęłam.

– Jak chcesz, może uda mi się czegoś dowiedzieć. Mam znajomego, który zajmuje się odszukiwaniem zaginionych żołnierzy Wehrmachtu. Pracuje w takich służbach. Może będzie w stanie coś powiedzieć. Tylko musisz mi podać więcej szczegółów.

Babcia nie była chętna do rozmowy na temat dziadka. Zadzwoniłam do niej zaraz potem, jak Konrad odwiózł mnie do domu. Po filmie, tak jak prosiła. Najpierw przez pół godziny opowiadała mi, że kompletnie nic z tego filmu nie rozumiała i zupełnie nie wie, po co Janek chciał go oglądać.

– Justyś, tylko jakieś trupy i przekleństwa.

– A już wiesz, jaki to był tytuł?

– Nie, i nie chcę wiedzieć! – stwierdziła stanowczo babcia. – A powiedz, co u ciebie słychać.

Streściłam babci znajomość z Konradem, bo przede wszystkim skupiłam się na tym, że być może uda się nam odnaleźć dziadka.

– Justynko, po co rozgrzebywać jakieś stare historie? – Babcia nie była zadowolona z tego pomysłu.

– Babciu, ale nie chcesz wiedzieć, jak było naprawdę?

– Ja dobrze wiem, jak było naprawdę.

– No tak, wiesz, że poszedł na wojnę i nie wrócił. A nie interesowało cię nigdy, co się z nim stało?

– Justynko, a co to zmieni? – zapytała babcia. – Nie można wciąż żyć przeszłością. Czego i tobie życzę – powiedziała, wyraźnie akcentując ostatnie zdanie. – Woła mnie Janek. Pa, kochanie, śpij dobrze. Jutro mi opowiesz więcej o tym twoim nowym koledze, bo jestem naprawdę bardzo ciekawa.

Od babci nie dowiedziałam się nic. Dopiero moja mama dała mi jakieś szczątkowe informacje. Datę i miejsce urodzenia oraz ostatnie miejsce zamieszkania. Nie było tego dużo. Znalazła dokument poświadczający, że dziadek stawił się do wojska w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

– Wysłałam ci to mailem – powiedziałam, gdy zadzwoniłam do Konrada. – Nie wiem, czy wystarczy, ale to wszystko, co mam.

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecał.

Tego samego wieczoru ekscytowałam się, opowiadając o wszystkim mamie.

– Byłoby niewiarygodne, gdyby go znalazł! Ale skoro tyle lat nikt nic o nim nie wiedział, dlaczego teraz nagle mielibyśmy poznać prawdę?

Nie wiedziałam wtedy, że prawda często jest tuż obok nas, tylko my wciąż uparcie patrzymy w niewłaściwą stronę. Nie wiedziałam, że prawda to nie są tylko dokumenty, bo one mogą kierować nas na zupełnie niewłaściwe tropy. Nie wiedziałam również, że tajemnice lubią się odkrywać dokładnie w momencie, gdy tego potrzebujemy. Ten czas miał nadejść dopiero kilka lat później. Musiałam swoje przeżyć, by pewne rzeczy zrozumieć. Może bez mojego doświadczenia życiowego nie umiałabym zrozumieć dokładnie tej całej historii?

4

Kilka dni później zadzwonił telefon. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dochodziła dwudziesta trzecia, a dzwonił Konrad. Nigdy nie kontaktował się ze mną tak późno…

– Justyna, mogę przyjechać?

– Ale teraz? – zdziwiłam się. – Coś się stało?

– Myślę, że chciałabyś poznać pewne informacje jak najszybciej. Dlatego dzwonię teraz.

– Coś się stało? – Zdenerwowałam się.

– Spokojnie. Tak, stało się. Jakieś pięćdziesiąt lat temu – powiedział Konrad.

– Boże, dziadek! – Zamarłam na chwilę. – Przyjeżdżaj.

Konrad zjawił się chwilę później. Musiał dzwonić do mnie z samochodu, bo nawet nie zdążyłam dobrze ogarnąć mieszkania. Jeszcze nigdy nie był u mnie, więc wolałabym się lepiej przygotować na tę pierwszą wizytę.

– Przepraszam, nie spodziewałam się dzisiaj gości…

– Nie szkodzi. – Uśmiechnął się. W ręku trzymał teczkę. – Wydrukowałem to wszystko, co mi przesłał Adam. Ten mój kolega z Niemiec.

– Czytałeś, co tam jest?

– Czytałem. – Podał mi teczkę. – Zobacz sama.

Drżącymi rękami wyjęłam dokumenty, a w zasadzie jeden dokument, wydrukowany na dwóch stronach formatu A4. Nic z niego nie rozumiałam.

– Możesz mi powiedzieć, o co tutaj chodzi? – zapytałam.

– Tutaj jest napisane, że twój dziadek, Franciszek Schulz, zmarł siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Śmierć była spowodowana licznymi ranami wojennymi.

Kartka wypadła mi z rąk i zrobiło mi się zimno. Nie mogłam nic z siebie wydusić.

– Może napijemy się herbaty? – Konrad przerwał milczenie.

Pokiwałam głową. Wstałam bez słowa i poszłam do kuchni.

– Czuję się, jakbym ducha zobaczyła. – Pokręciłam głową. – Albo jakbym go poczuła. Już za późno, by dzwonić do babci. Zrobię to z samego rana. – Zamyśliłam się. – Zobacz, Konrad, ile lat ona na niego czekała. Tak długo trwała jakby w zawieszeniu, wciąż łudząc się, że jednak do niej wróci. Dopiero niedawno wyszła za mąż, jakby pewnego dnia po prostu jej się to czekanie nagle znudziło. A Janek był zawsze przy niej. Mogła to zrobić już tak dawno…

Tamtej nocy siedzieliśmy razem do rana. Konrad tłumaczył mi słowo po słowie treść niemieckiego dokumentu. Był tam przebieg służby wojskowej dziadka, jak i informacja o tym, kto interesował się dziadkiem po jego śmierci. Oprócz nazwiska babci i jej adresu (jeszcze w Kurzętniku), zapytanie wysłał też ktoś o nazwisku Schmidt, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. – Uśmiechnęłam się i złapałam Konrada za rękę.

Pogłaskał mnie delikatnie.

Całą noc rozmawialiśmy. O naszych przodkach, o tej bardzo dalekiej przeszłości. Nie skłamałabym, gdybym powiedziała, że ta noc była magiczna. Przecież dostałam wiadomość z zaświatów.

Jak się okazało, dla babci Adeli wiadomość o śmierci dziadka nie była wcale ważna. Nie chciała ze mną o tym rozmawiać.

– Babciu, ale jak dla ciebie to jest nieistotne? – Denerwowałam się. – Po tylu latach dowiadujesz się, że twój mąż umarł, i nie robi to na tobie wrażenia? – Nie mogłam tego zrozumieć.

– Jakbym się dowiedziała, że żyje i cieszy się dobrym zdrowiem, byłoby to dla mnie ważne – stwierdziła babcia. – Oznaczałoby to, że jestem bigamistką. A tak? – Zamyśliła się na chwilę. – Po co mi ta informacja? Ułożyłam sobie przecież życie. Zresztą… nie wierzę im.

– Jak to? – zdziwiłam się. – Dokumentom nie wierzysz?

– Bałagan mają – stwierdziła babcia autorytarnie.

– Babciu, a co z tym typowo niemieckim *Ordnung muss sein*?

– Oni bardzo dbają o to, by wszystkim się tak wydawało. Ale niekoniecznie tak jest. Bywały przypadki, gdy kogoś pochowali na papierze, a w rzeczywistości sobie żył.

– Myślisz, że dziadek żyje? – wydukałam.

Zapadła dłuższa cisza.

– Babciu? Jesteś tam?

– Jestem… Nie, jestem pewna, że już nie żyje. Ale jestem też przekonana, że nie umarł w kwietniu czterdziestego czwartego roku.

Kilka dni później dostałam list od mojej babci. A w zasadzie było to ksero listu dziadka do niej. Opatrzony był datą trzydziesty pierwszy lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, czyli jakieś trzy miesiące po rzekomej śmierci Franciszka Schulza.

Gdyby to była pieczątka na kopercie, mogłabym myśleć, że list został wysłany już po jego śmierci, ale data ta została napisana w prawym górnym rogu, jego charakterem pisma.

Tajemnica goniła tajemnicę. Niemcy jednak nie mieli nieskazitelnego porządku w papierach. A może dziadek, podobnie jak dziadek dziewczyny, o której opowiadał mi Konrad, też uciekł do Andersa? Tylko dlaczego nie wrócił? Co się z nim stało?

A co, jeżeli jeszcze żyje?

Gdzie on jest?

I dlaczego… dlaczego się do nas do tej pory nie odezwał?

5

Przez kolejne tygodnie próbowaliśmy z Konradem rozwikłać tajemnicę dziadka Franciszka. Nawet wybraliśmy się do babci. Po ślubie sprzedali z Janem dom w Kurzętniku i o dziwo wystarczyło im pieniędzy na mieszkanie w starej kamienicy w Grudziądzu i na kawalerkę w Gdańsku.

– Mamo, to ile ty dostałaś za ten dom? – dziwiła się moja mama.

– A od kiedy ty mi do kieszeni zaglądasz? – denerwowała się babcia.

– No, bo zaskoczona jestem, że taka rudera była tyle warta.

– Rudera? Marianno, wychowywałaś się tam! – strofowała córkę. – Dla ciebie to może i była rudera, a dla nas to był cały świat. A cały świat jest wart każdych pieniędzy – powiedziała wyniośle.

Jednak mama była zmartwiona.

– A jak ona się zapożyczyła i będziemy spłacać te pieniądze po jej śmierci? – zastanawiała się w rozmowie ze mną i ojcem.

– Mamuś, ale kredytów żadnych nie masz? – zapytała babcię kiedyś przez telefon.

– Jedyny kredyt, jaki mogę brać, to kredyt zaufania. Wiesz, Marianno, że nie lubię pożyczać pieniędzy i nigdy tego nie robię.

Były różne podejrzenia mojej mamy co do tego, skąd babcia miała tyle pieniędzy, łącznie z tym, że rzekomo wygrała

w totolotka albo w karty. Potem jednak odpuściłyśmy obie ten temat i nie pytałyśmy więcej.

Kawalerkę w Gdańsku, tę, w której później zamieszkałam, babcia z moją pomocą wynajęła, a do mieszkania w Grudziądzu przeprowadziła się z Janem. Podobno to mieszkanie było bardzo ważne, bo kiedyś, jeszcze przed wojną, należało do ich przyjaciół. Ani babcia, ani Jan nie dali się namówić na nowe budownictwo, które pewnie byłoby i wygodniejsze, i tańsze w eksploatacji.

– Wracam do domu – westchnęła babcia. – Po prostu wracam do siebie. I nic nikomu do tego.

Babcia miała silny charakter. Zawsze decydowała sama o sobie, ale nie mówiła głośno o swoich decyzjach. Pod koniec swojego życia stała się jeszcze bardziej odważna. Dlatego też gdy pojechaliśmy do niej, by podpytać o dziadka, stanowczo powiedziała, że nic nam nie powie.

– Ja nic nie pamiętam. Naprawdę chcę pożyć w spokoju, a nie roztrząsać coś, co było dawno temu. I Jan też nie pamięta. – Spojrzała wymownie na męża.

– A nawet jak pamięta, to nic nie powie – wyrwało się Janowi, a babcia zmierzyła go surowym wzrokiem.

– Jak już sobie wszystko wyjaśniliśmy w temacie twojego dziadka, to możemy zająć się przyjemniejszymi sprawami. Nałożę wam serniczka, zrobię herbatki, a ty mi opowiesz coś o swoim nowym przyjacielu. – Babcia uśmiechnęła się promiennie.

– Babciu, to tylko znajomy.

– No, właśnie mówię… Albo wiecie co? Janek, zalej herbatkę, a ja tu pana o wszystko wypytam.

Przeegzaminowała wtedy Konrada z całego życiorysu, niemalże do pięciu pokoleń wstecz.

– Zdałem? – zapytał, gdy wracaliśmy wieczorem do domu.

– Nie mam pojęcia. – Roześmiałam się.

– Mam nadzieję, że zdałem. – Udał śmiertelną powagę. – Tylko jestem ciekaw, na jaką ocenę. I koniecznie muszę wiedzieć, jaka jest nagroda.

– To już musiałbyś babcię zapytać. O tę nagrodę.

– Wnuczka za żonę?

– Konrad! Nie psuj wszystkiego.

– Ależ w żadnym wypadku! Tylko wiesz, jakby to jednak była taka nagroda, musiałbym się psychicznie przygotować. Bo po pierwsze, nie śmiałbym się sprzeciwić twojej babci, a po drugie, jeżeli charakterek odziedziczyłaś po niej, to nie byłoby lekko.

– Wariat. – Uśmiechnęłam się.

Wracaliśmy z Grudziądza do Gdańska. Konrad prowadził.

– Jak myślisz, dlaczego ona nie chce wiedzieć, co się stało? – zapytałam, bo nie dawało mi to spokoju.

– A po co ma wiedzieć?

– No, nie wiem… Z ciekawości? – Wzruszyłam ramionami.

– Myślę, że życie ją nauczyło, że nie warto roztrząsać przeszłości. Zastanawiać się, co by było gdyby. Pewnie doszła do wniosku, że już niewiele jej z tego życia zostało i chce po prostu cieszyć się z każdego kolejnego zwykłego dnia. I wiesz co? To naprawdę jest bardzo mądra kobieta.

ROZDZIAŁ XIII

Stało się.
Spadło i zbiło się jak szklanka.
Zgasło coś,
Jak lampa w ciemną noc.
Nie widzę ciebie
ani ty mnie,
W ciemnościach łatwiej powiedzieć „nie”.
Po prostu stało się.
Spadło i zbiło się.
W sercu pozostał mi jedynie wstyd.

Bajm, „Po prostu stało się”
Autor tekstu: Beata Kozidrak

1

Przyzwyczajałam się do Konrada. Lubiłam jego towarzystwo, długie rozmowy, nasze wspólne wyjścia. Już nie czułam się taka samotna. Nawet zaczęłam powoli pokazywać się gdzieś na imprezach, na których wypadało być „z osobą towarzyszącą". Konrad był świetnym kompanem do wszystkiego. Mogłam o nim powiedzieć, że jest bardzo dobrym przyjacielem. Już nawet się nie umawialiśmy, po prostu wpadał do mnie, kiedy miał na to ochotę. Ja też często go odwiedzałam. Nie było w naszych relacjach żadnej pozy czy fałszu. Bardzo miło wspominam ten czas, kiedy żadne z nas od drugiego niczego nie oczekiwało.

– A może on jest gejem? – zapytała jak zwykle we wszystkim zorientowana Magda. – Chociaż nie… – Zmarszczyła brwi. – Widziałam, jak na ciebie patrzy. Aczkolwiek dziwię się, że się jeszcze na ciebie nie rzucił. Ja tam bym się rzuciła. Śpi z tobą w jednym mieszkaniu i nic.

– Madzia, ty wszystko sprowadzasz do seksu. – Pokręciłam głową.

– Wiesz co, bo bez tego nie ma życia. I chyba cały świat się wokół tego kręci – podsumowała smutno.

– Dlaczego tak myślisz?

Siedziała przez chwilę zamyślona, po czym powiedziała nagle:

– Artur mnie zdradza.

– Magda! – Nie mogłam w to uwierzyć. Ta idealna para, którą zawsze stawiałam za wzór Michałowi, gdy tylko z nim

rozmawiałam.

– Chociaż to nawet nie to. Nie mogę powiedzieć, że tylko zdradza. On się zakochał. Po prostu. Pewnego dnia przyszedł do mnie i powiedział mi, że kocha kogoś innego. – Wzruszyła ramionami. – Ja już nawet nie umiem płakać.

– Magduś, nie wiem, co powiedzieć. – Przytuliłam ją.

– Nic. No bo co tu mówić? Mogłybyśmy zacząć go wyzywać, ale co to da? Nic. Tylko się niepotrzebnie zdenerwujemy.

Córka Magdy miała już kilka miesięcy. Ostatnio nie miałyśmy zbyt wiele okazji do spotkań. Zresztą świat mężatki z dzieckiem wyglądał zupełnie inaczej niż świat bezdzietnej kobiety, której chłopak był jakby nieobecny w jej codziennym życiu.

– I co teraz? – zapytałam.

– Nic.

– Jak to nic?

– Po prostu. Będziemy razem ze względu na Zosię. I tak będziemy udawać przed nią, aż będzie dorosła.

– Naprawdę tak chcesz?

– Nie wiem. Ale nie widzę innego wyjścia z tej sytuacji. – Magda pokręciła głową. – Chociaż powiem ci, że czasem myślę, że mu przejdzie. Że się wyszaleje. Minie mu kryzys wieku średniego i wróci z podkulonym ogonem. I jak w bajce będziemy żyć dalej długo i szczęśliwie.

– Magda… – Żadne słowa nie mogły oddać tego, co wtedy czułam.

– No co? W każdej bajce musi być punkt zwrotny. Taki, by czytelnik czy widz się denerwował, że na pewno się nie uda. – Spojrzała na mnie znacząco. – Wiesz, taki odjeżdżający pociąg z nim na pokładzie, kiedy ona zapłakana wbiega na dworzec chwilę potem, jak pociąg rusza.

– W filmach potem się okazuje, że on wcale nie wsiadł do tego pociągu – zwróciłam uwagę.

– No właśnie – zgodziła się Magda. – Ale dobre kilka sekund czy tam minut jesteśmy pewni, że wsiadł i odjeżdża w siną dal. I mam nadzieję, że to jest w moim życiu właśnie te kilka minut. A ile to będzie trwało? Tego nie wiem.

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Karuzela
Data: 2 października 2001

Dawno nie pisałam. Życie mnie porwało i jak wpadłam w wir, to nie mogę przestać. Jak na karuzeli, która nie chce się zatrzymać, bym na chwilę mogła wysiąść.
Dużo pracuję. Trochę też wyszłam z jaskini.
Czekam na Ciebie, Wolf, ale też chyba chcę iść do kina czy gdzieś po prostu wyjść. Nie masz mi tego za złe? Bo wtedy, gdy byłam na imprezie firmowej, odniosłam wrażenie, że nie byłeś z tego zadowolony.
Była u mnie Magda. Okazało się, że Artur kogoś ma. Tak sobie teraz myślę, że odkąd wyjechałeś, tyle się zmieniło. Magda wyszła za mąż, urodziła dziecko i nawet jej mąż zdążył się w niej odkochać. Tak jakbyś wyjechał, zostawiając cały swój świat, a wrócił i zastał kompletnie inny od tego wcześniejszego. Rozumiesz, co mam na myśli?
Jestem ciekawa, jak my się zmieniliśmy przez ten czas i czy będziemy umieli ze sobą być tak naprawdę, gdy wrócisz. I kiedy wrócisz? Nie odpowiadasz mi nigdy wprost na to pytanie. Nie chcesz? Nie możesz? Czy coś się zmieniło w Twoim życiu?
Niestety coraz częściej zauważam, że nasze życie w pewnym momencie poszło zupełnie innymi drogami. Tak jak najpierw trzymaliśmy się za ręce, tak teraz ty skręciłeś w jedną stronę, ja w drugą i coraz bardziej oddalamy się od siebie. Czasem któreś z nas odwróci głowę, by zobaczyć, co tam się dzieje, ale chyba już coraz mniej widzimy. Coraz mniej widzimy siebie i to, co u nas słychać.
Takie mam przemyślenia. Ciężki to był tydzień. Dużo myślałam. O Tobie, o nas, o życiu.
Justyna

From: Michał Wilk

To: Justyś B.
Subject: Re: Karuzela
Date: October 5, 2001

Nie myśl tyle, bo Cię zjedzą motyle.
Odezwę się.
M.

– A co ty dzisiaj jesteś taka smutna? – zapytał Konrad kilka dni po mojej rozmowie z Magdą.

Dopiero się zobaczyliśmy po jakimś czasie, bo Konrad był dwa tygodnie w Niemczech.

Byłam rozżalona po ostatnim liście Wolfa, który nie wnosił nic do mojego życia. I co ja miałam mu na niego odpowiedzieć? Gdyby był na papierze, podarłabym kartkę i wyrzuciła ją do śmieci. Maila mogłam jedynie skasować, co też zrobiłam, by zaraz go potem znowu odzyskać. Przecież musiałam przeczytać go jeszcze raz. I jeszcze raz… Chyba tylko po to, by się znowu zdenerwować. „Nie myśl tyle, bo Cię zjedzą motyle". Bardzo śmieszne!

– Była u mnie Magda – westchnęłam. – Jej mąż kogoś ma. Zobacz, jak to trzeba uważać… na każdym kroku trzeba się starać pielęgnować swój związek. Nie można nawet na chwilę zasnąć, bo w tym czasie może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

– I ty pomyślałaś o Michale – powiedział, odrywając się na chwilę od komputera.

Zjedliśmy u mnie obiad i rozleniwieni siedzieliśmy na kanapie, każde, zajmując się swoimi sprawami. Co chwilę jednak rozmawialiśmy.

– Tak… Nie mam pojęcia, co on robi. Pokażę ci coś.

Otworzyłam ostatniego maila od Wolfa.

– Naprawdę chcesz, żebym powiedział ci, co ja o tym myślę?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Ja dokładnie wiem, co ty o tym myślisz – powiedziałam cicho. – Tylko chyba nie chcę tego usłyszeć.

Konrad myślał dokładnie to samo, co myślała moja mama, babcia i moja przyjaciółka – że to wszystko za długo trwało. Wszyscy chcieli, bym wreszcie zrozumiała, że naprawdę życie nie polega na wiecznym czekaniu.

A ja czekałam.

Chociaż teraz miałam wrażenie, że czekałam już tylko na cud.

I naprawdę to czekanie nieco mi już obrzydło.

2

Któregoś wrześniowego wieczoru Magda wyrwała się z domu i mnie odwiedziła.

– Znalazłam kandydata na kochanka – poinformowała, zaciągając się papierosem. Stała na moim balkonie, drżąc na całym ciele, bo wrześniowe noce bywały już chłodne, i paliła cienkiego mentolowego. – Jest cholernie inteligentny.

– A po co ci inteligentny kochanek? – zapytałam z sofy, gdzie siedziałam okryta kocem.

Drzwi na balkon były otwarte. Nie lubiłam, gdy Magda paliła, ale lubiłam ją. A przyjaciół się lubi mimo wszystko. Kilka lat próbowałam ją przekonać do tego, by przestała, ale bezskutecznie. Na chwilę porzuciła nałóg, gdy była w ciąży, ale wróciła do niego bardzo szybko. „Nie będę sobie odbierać jedynej przyjemności w życiu. Jeść nie mogę, pić nie lubię, seksu nie mam…" – zwykła mi mówić. Teraz też zaciągała się szybko, trzymając papierosa w drżącej z zimna dłoni.

– Po co mi inteligentny kochanek? – zdziwiła się. – Mam ochotę z kimś porozmawiać. Z kimś, kto widzi we mnie kobietę. Inteligentną kobietę.

– No, a nie możesz się z nim tylko na kawę umówić?

Magda pokręciła głową.

– Nie, on mnie kręci intelektualnie. A to bardzo cienka granica. Na przykład wyobrażam sobie, że będzie się ze mną kochał, opowiadając mi o gwiazdach, planetach albo fizyce kwantowej.

– Podczas seksu będziecie rozmawiać o fizyce kwantowej? – Teraz to ja się zdziwiłam. – Przecież ty nigdy nie lubiłaś fizyki.

– Nie lubiłam – przyznała. – Ale myślę, że z nim mogłabym polubić wszystko. Nawet fizykę kwantową.

– Jak ma na imię?

– Mariusz.

– Mariusz… – powtórzyłam. – A co na to Artur?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Nie będzie o nim wiedział. Albo może będzie wiedział? To nieistotne po tym, co od niego wtedy usłyszałam.

Chyba miała rację. Po tym, jak jej mąż oświadczył, że ma inną, musiała coś zrobić ze swoim życiem. Często wspominała, jak on tak po prostu, siedząc przy kawie, poinformował beznamiętnym tonem, że nic do niej już nie czuje i ma inną. Magda płakała wtedy całą noc, Artur przeniósł się ze spaniem do drugiego pokoju. „Tatuś mocno chrapie" – powiedział córce, chociaż i tak była zbyt mała, by cokolwiek rozumieć. To właśnie dlatego Magda nie chciała kopnąć Artura w dupę, by uciekał na koniec świata.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego ty się z nim nie rozwiedziesz – powtarzałam jej wciąż.

Za każdym razem słyszałam jedną odpowiedź:

– Nie mogę tego zrobić Zosi.

– A możesz spotykać się z innym? I możesz pozwalać na to, by twój mąż noce spędzał z kochanką?

– Ależ ja na to zupełnie nie pozwalam! Tylko, wiesz… – Zgasiła papierosa o glinianą doniczkę. – …nikt mnie nie pytał o zdanie. Artur nie przyszedł do mnie i nie zapytał o zgodę. Co za szuja, prawda? Dlatego ja też nie mam zamiaru pytać go o pozwolenie.

– Nie boisz się, że się wyda?

– Przed kim? Przed nim? No proszę cię! – Magda usiadła na fotelu i przykryła się kocem. – Jasna sytuacja. On się bzyka

z jakąś laską o połowę od niego młodszą, a ja znajdę sobie faceta, z którym będę sobie miło spędzała czas.

– Bez sensu… – Pokręciłam głową.

– No, bez sensu, ale Zosia będzie miała oboje rodziców, którzy z uśmiechem na ustach przełamią się ze sobą opłatkiem w wigilijny wieczór, by potem zniknąć w kiblu, oczywiście każdy w innym, by wysłać życzenia esemesowe do tych, z którymi to chcieliby akurat być. Artur już sobie taką znalazł, a ja dopiero poszukam.

– Magda…

– No co? Ty też mogłabyś sobie kogoś znaleźć. Myślę, że Konrad byłby bardzo chętny. Jak długo nie widziałaś już Wolfa? Dwa? Trzy lata?

– Dwa.

– No, właśnie! I czy to ma sens? – zapytała Magda.

– Moja babcia całe życie czekała na dziadka, który nie wrócił z wojny.

– Popatrz, coś w tym jest. Bo z kolei moja babcia rozwiodła się z dziadkiem tuż po ślubie moich rodziców. Jakby czekała na dorosłość mojej mamy. Każdy założył nową rodzinę i żyją długo i szczęśliwie. Nawet wigilie spędzamy wspólnie. Wesoło jest. Taki klasyczny patchwork. Widać mamy coś wspólnego z tymi naszymi babciami.

– Nie musimy być takie same jak one.

– Nie musimy, kochana. – Magda pokręciła głową. – Nie musimy, ale często chcemy. Ja świadomie zaczepiłam Mariusza, wiedząc, czego od niego oczekuję.

– On jest żonaty?

– W życiu! Nie zrobiłabym tego innej kobiecie.

– Przynajmniej tyle… – mruknęłam.

– On wie, że to czysty układ. Seks, rozmowa i brylanty.

– Brylanty? – Uśmiechnęłam się.

– No… o brylantach nie było wprawdzie mowy, ale kto wie? – Roześmiała się Magda. – A seksu też jeszcze nie było. Ale wszystko wskazuje na to, że wkrótce będzie. Mam trzydzieści lat, jestem już całkiem dużą dziewczynką, ale na tyle jeszcze młodą, by sobie nie żałować. Tobie też radzę zacząć wreszcie korzystać z praw młodości, a nie czekać jak ta wierna Penelopa, aż twój ukochany wreszcie zdecyduje się wrócić. Nie wiesz, jakie podejście do życia ma teraz Wolf, bo z pewnością się zmienił… A Konrad sam ci się pcha do łóżka.

– Sugerujesz coś? Nie w temacie Konrada, a w temacie Wolfa?

– No, wiesz, przystojny, młody i całkiem rozsądny facet, sam gdzieś w dalekiej Ameryce…

– Ja też jestem sama, a wciąż jestem mu wierna.

– I co z tego masz? Czekając wciąż na niego, blokujesz się przed poznaniem nowych, fajnych mężczyzn albo chociaż przed pójściem na całość. Ja ci tego zazdroszczę.

– Czego? – zdziwiłam się.

– Wolności – westchnęła Magda. – Gdyby nie Zosia, to dawno bym się rozwiodła.

– Teraz też możesz to zrobić.

– Ale po co? Moja Zosia ma szczęśliwą rodzinę. Oglądamy razem telewizję, chodzimy do kina. Przytulamy się nawet i nie kłócimy się wcale. Powiedziałabym, że jest całkiem miło. A wiesz… nie sypiamy ze sobą, bo tatuś chrapie. I to jest szczęście, bo Zosia może spać ze mną w wielkim łóżku. Dla niej szczęście. Chociaż w sumie dla mnie też, bo czuję się spełniona jako matka, a za chwilę będę się czuła spełniona jako kobieta.

– Z Mariuszem.

– Z Mariuszem albo z kimkolwiek innym.

– Magda… To nie jest normalne.

– Nie jest. Ale czy życie jest normalne? Znasz kogoś, kto jest tak do końca normalny?

– Czy ja wiem…

Zaczęłam się zastanawiać. Chyba, niestety, nie znałam nikogo takiego. Moja babcia pół życia czekała na dziadka, a potem zupełnie nagle i niespodziewanie przestała i wyszła po raz drugi za mąż? Moja mama i tata, którzy męczyli się ze sobą chyba dla samej frajdy codziennych sprzeczek, bo nie potrafili bez tego żyć? Ja, która od kilku lat czekałam na chłopaka, bo wciąż wierzyłam, że wreszcie wróci i będziemy razem szczęśliwi?

Każda kolacja z Konradem czy każdy wypity razem kieliszek wina kończyły się wyrzutami sumienia i zadawanym wciąż sobie pytaniem, czy to już nie było zbyt wiele. Czy nie było naruszeniem pewnych zasad, złamaniem obietnicy, którą kiedyś bezgłośnie złożyłam Wolfowi? Ale, do cholery, czy ja mu cokolwiek obiecywałam? Nie zobowiązałam się, że będę czekać całe życie! Nie wyruszał na wojnę, jak mój dziadek, nie musiał jechać do tych cholernych Stanów, tylko chciał! Chciał zarobić na mieszkanie, wrócić i być ze mną. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia – najpierw miało być mieszkanie, potem dom, a potem już sama nie wiem.

– Mogę w razie czego powiedzieć, że byłam z tobą? – Magda wyrwała mnie z zamyślenia.

– Będziesz się jednak kryć przed nim?

– Masz rację, to bez sensu. Niby po co, skoro on się przede mną nie kryje.

– Mówi, że jedzie do niej?

– Nie, że jedzie do Łodzi. Do tej pory byłam pewna, że to były wyjazdy służbowe.

– Tak mówił?

Magda pokręciła głową.

– Nie… Najgorsze jest to, że on nigdy nie mówił, że jedzie do pracy. To ja tak sobie założyłam i wcale go o to nie wypytywałam. I jeszcze mu, durna, robiłam kanapki na drogę i kawę do kubka

termicznego! – Magda wstała i złapała paczkę papierosów. – Pójdę już, nie będę ci smrodzić.

– Pal. – Skinęłam głową. – No co ty?

– Nie. – Złapała swój płaszcz. – Wiesz, jak mi się cholernie nie chce znowu uczyć, jaką ktoś lubi kawę i czy woli kanapki z krakowską suchą czy z salami? Tak bardzo mi się nie chce… Poznawać znowu czyjąś matkę, ciotkę i dbać, by nie powiedzieć przy nich jednego słowa za dużo. Tak bardzo chciałabym sobie w spokoju pożyć. A tak? Za cholerę nie wiem, czy Mariusz lubi salami. No, ale on nie ma być od kanapek i od poznawania ciotek. On ma być tylko od seksu.

– I oczywiście od rozmów o fizyce kwantowej – dodałam ironicznie.

– Właśnie – potwierdziła Magda, szukając czegoś w kieszeni. – Masz zapałki?

– Na balkonie zostawiłaś zapalniczkę, pójdę po nią.

Po chwili przyniosłam zgubę.

– Pamiętaj, Justyś, ta wiedza o salami i krakowskiej jest bez sensu. Nie rób nikomu kanapek, niech sobie sam robi. Idę! Artur nie będzie dzwonił i pytał, czy jestem u ciebie. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja go wcale, ale to wcale nie interesuję. Póki jest porządek, a Zosia jest nakarmiona i zadowolona z życia, to do niczego nie jestem mu potrzebna. A ja cóż? Otóż odkąd jestem zarejestrowana na portalach randkowych, widziałam więcej męskich penisów niż niejedna aktorka porno w szczycie popularności. Mężczyźni dziś są widać dość bezpośredni.

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: Motyle
Data: 15 października 2001

Myślałam, że coś więcej napiszesz po tych motylach. Wszystko OK? Może się martwię bezpodstawnie…
Szkoda, że na papierze czy w mailach nie można pokazać emocji. Nie można pokazać tego, co się czuje. Papier jest beznamiętny, podobnie jak ekran komputera.
Nie wiem, co mam robić. Nie wiem, jak mam odbierać tego Twojego maila. Mam wrażenie, że coraz mniej wiem.
J.

– Nie wiem, co mam robić – powiedziałam do Konrada.
– Niby z czym?
– Z życiem. – Wzruszyłam ramionami.
– Ty z życiem nic nie musisz robić. Po prostu żyjesz. Żyjesz i czasem cieszysz się życiem, a czasem nie. To jest zupełnie normalne.
– To chyba teraz jest po prostu czas zamartwiania się.
– Chyba trochę bez sensu, co?
– Nie wiem… – westchnęłam.
– Nie powinienem ci nic doradzać.
– Dlaczego? – zdziwiłam się.
Konrad westchnął i spojrzał na mnie.
– Bo będę mało obiektywny.
– Przecież jesteś moim przyjacielem.
– No właśnie – zgodził się.
– Nic z tego nie rozumiem…

Zaczęłam rozumieć kilka dni później. Chyba wtedy, gdy Konrad przyszedł do mnie wieczorem, przyniósł wino i kwiaty. Wtedy dotarło do mnie, dlaczego nie jest obiektywny. Nic jednak nie powiedziałam.

Napisałam kolejne trzy listy do Wolfa, próbując dowiedzieć się, o co chodzi, jednak na żaden z nich nie otrzymałam odpowiedzi. Zaczęłam podejrzewać, że to koniec, że nasza miłość jednak nie przetrwała dzielącej nas odległości. Nić łącząca nas była zbyt krótka albo zbyt mało elastyczna, by dała radę ciągnąć się aż przez ocean i nie urwać się przez te wszystkie lata.

W listopadzie pojechaliśmy z Konradem do Grudziądza, do mojej babci. Gdy wracaliśmy, zaczął padać śnieg i wpadliśmy w poślizg, który mógł się dla nas bardzo źle skończyć. Zwykle podróż zajmowała nam dwie godziny, a nawet mniej, teraz byliśmy w domu tuż po północy, po pięciu godzinach jazdy.

– Jestem wykończony – mruknął Konrad, gdy stanęliśmy przed moim domem. – Prześpię się chyba w samochodzie. Tutaj, przed twoim domem.

– Będzie ci zimno. – Roześmiałam się.

– Dobra, pomogę ci z tymi siatkami i wracam do domu.

Babcia jak zawsze przygotowała dla mnie dwie torby słoików. Dżem, jabłka na szarlotkę, ogórki i kompoty.

– Jedź do domu, odpocznij. Następnym razem to przyniesiesz.

– Nie. – Konrad już wypakowywał torby z bagażnika. – Potem będę jeździł z tym cały tydzień. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby te słoiki mi się tu potłukły?

– Nie przeżyłbyś chyba tego.

– Mogłoby tak być – zgodził się Konrad.

Weszliśmy na górę.

– Może napijesz się herbaty? – zaproponowałam, gdy usiadł.

– A poproszę. Chyba nie mam siły wstać. – Roześmiał się.

Po chwili usiedliśmy razem na sofie. Nawet nie wiem, kiedy zasnęliśmy oboje, wtuleni w siebie. Przykryci jednym kocem.

Obudziłam się nad ranem. A w zasadzie obudziły mnie pocałunki. Konrad całował moje włosy, jego ręka niebezpiecznie wędrowała pod moją bluzką. Nie odsunęłam się. Nie dlatego, że byłam zaspana, ja po prostu tego chciałam! Chciałam na przekór wszystkiemu.

Przenieśliśmy się do sypialni, po drodze zrzucając z siebie ubrania. Kochaliśmy się tamtej nocy po raz pierwszy. Nie znaliśmy swoich ciał, nie znaliśmy swoich reakcji na dotyk. Uczyliśmy się siebie wzajemnie.

– Dzień dobry – powiedział pogodnie Konrad, gdy się obudziliśmy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się. – Zapytam tak… Wypoczęłeś?

– No, właściwie to nie wiem. – Przeciągnął się. – Poodpoczywałbym jeszcze trochę z tobą. Jakieś dwa tygodnie. Albo trzy. Albo… całe życie – dodał, patrząc mi prosto w oczy.

– Ja chyba też – powiedziałam cicho.

– To jesteśmy umówieni?

– Na wspólny wypoczynek?

– Oczywiście.

– Zobaczymy…

Konrad poszedł do łazienki. Słyszałam, jak podśpiewuje pod prysznicem. Ja też chciałam śpiewać. Po raz pierwszy od dawna poczułam się szczęśliwa. Naprawdę było mi dobrze. I nie chodziło tu o seks, ale chyba o bezwarunkową akceptację mojej osoby.

Czy miałam wyrzuty sumienia? Żadnych. Przynajmniej na początku. Pojawiły się dopiero dwa dni później. A właściwie przyleciały samolotem z Nowego Jorku wraz z Michałem Wilkiem, moim dawno niewidzianym chłopakiem.

3

Konrada na szczęście nie było u mnie, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Nawet przez chwilę myślałam, że to on, ale przecież był w pracy. Do mojej firmy przyjechali znowu jacyś Niemcy i szef wyraźnie powiedział Konradowi, że tym razem nie uda mu się wywinąć ze wspólnej kolacji.

Dwa krótkie, jeden długi, dwa krótkie.

Zaniepokoił mnie dźwięk domofonu.

Tak zawsze dzwonił Michał.

Kiedy wyszłam na klatkę, usłyszałam znajome pokasływanie. Czułam, że to on.

– Michał?! – zawołałam, gdy go tylko zobaczyłam.

Nic nie powiedział, tylko mnie przytulił.

Nie wiedziałam wtedy, że spotykamy się tylko na chwilę, bo musiał odwiedzić mamę, babcię i ojca, który mieszkał gdzieś pod Poznaniem. Nie wiedziałam, że będziemy mieli dla siebie tylko jedną noc. Noc, w czasie której nic nie będzie takie, jak być powinno. Szybki seks, za szybki, byśmy zdążyli się sobą nacieszyć. Za mało czasu, byśmy zdążyli się nagadać, bo każdy poruszony

przeze mnie temat uważany był za niewygodny. Podobno psułam atmosferę, próbując dowiedzieć się, czy Michał ma zamiar kiedyś do mnie wrócić. Może nie tyle, czy ma zamiar, bo obiecywał, że oczywiście wróci, że nie może żyć beze mnie, ale na moje stanowczo postawione pytanie, kiedy to wreszcie nastąpi, nie chciał odpowiadać. Wytykał mi, że psuję atmosferę. Do dzisiaj słyszę jego karcący ton, gdy mówił: „Maleństwo, mamy dla siebie tylko tę jedną noc, naprawdę chcesz wszystko popsuć?". Nie chciałam. Nie chciałam psuć, ale coraz bardziej miałam wrażenie, że wszystko psuło się samo.

To tak jak z rośliną – niepodlewana usycha. Nie da się pielęgnować kwiatów na odległość. Zawsze można jednak poprosić o to sąsiada. Albo miłego towarzysza podróży, który kiedyś wszedł z kawą do przedziału w pociągu relacji Szczecin–Gdańsk.

4

Stałam na rozstaju dróg. I zupełnie nie wiedziałam, w którą stronę mam skręcić.

Michał wyjechał rano, mówiąc, że nie uda mu się już ze mną zobaczyć przed wylotem, ale zapewniał, że teraz wszystko będzie inaczej i na pewno niedługo przyjedzie. Z drugiej strony stał spokojnie Konrad, który tak naprawdę niczego nigdy mi nie obiecywał, ale po prostu był. Michał od czasu, gdy wyszedł ode mnie, nie odezwał się ani razu, a od Konrada miałam cztery nieodebrane połączenia i esemes: *Wszystko w porządku? Jak będziesz mogła rozmawiać, zadzwoń*. Nie dzwoniłam do niego przez cały dzień. Bo co miałam mu powiedzieć? Że był Michał? No i co w związku z tym?

Przez krótką chwilę byłam wściekła na Wolfa, że w ogóle przyjechał. Wydawało mi się, że zaczyna się w moim życiu coś dziać, że będę wreszcie miała siłę zerwać ten bezsensowny układ. Spotkanie z Wolfem spowodowało, że zrobiłam trzy kroki w tył i znowu stałam na tym cholernym rozstaju dróg i kompletnie nie wiedziałam, co mam robić.

Jednak musiałam zrobić cokolwiek… Ale co, do cholery?

Dzwonek do drzwi. Konrad. Przyszedł, uśmiechnięty, oprószony pierwszym listopadowym śniegiem.

– Zimę mamy. – Uśmiechnął się. – Przyniosłem ci miód i cytryny. Do herbatki. Zaczyna się sezon na przeziębienia. Albo

już się nawet zaczął, w każdym razie musimy o siebie wzajemnie dbać.

Przez chwilę stałam jak wmurowana w podłogę. Nie odwzajemniłam jego pocałunku. Mechanicznie wzięłam od niego siatkę i położyłam na stole w kuchni.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Konrad.

Pokiwałam głową i bez słowa usiadłam na sofie.

– Pomilczymy czy opowiesz mi, co się stało? – zapytał Konrad, łapiąc mnie za rękę.

– Michał był u mnie – wyznałam, patrząc mu w oczy. – Przyjechał ze Stanów. Na chwilę.

Konrad gwałtownie wstał z sofy. Nic nie mówił, chodził tylko w tę i we w tę po pokoju, wpatrując się w czubki swoich stóp.

– I co? – zapytał w końcu. – Nic więcej nie powiesz?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, co mogłabym dodać, bo też nie wiedziałam, co ta nieoczekiwana wizyta zmieniała w moim życiu i co dalej powinnam robić. Siedziałam więc chwilę w milczeniu.

– Mam sobie iść? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– To znaczy „tak”?

Nie umiałam mu patrzeć w oczy.

– Konrad, ja muszę chyba o tym wszystkim pomyśleć – jęknęłam. – Znowu znalazłam się w sytuacji, której za wszelką cenę chciałam uniknąć.

– W jakiej mianowicie?

– Nie lubię podejmować decyzji – przyznałam. – Nienawidzę tego robić!

– Takie życie… – westchnął Konrad. – I wiesz, co jest najlepsze? Jak już podejmiesz tę decyzję, jakakolwiek ona by była, nigdy nie dowiesz się, co stałoby się, gdybyś wybrała inaczej – mruknął, wychodząc do przedpokoju.

– To tak…

– I wiesz co jeszcze? Najśmieszniejsze jest to, że wszystko zostało już zaplanowane. I los tak naprawdę dokładnie wie, co zrobisz. Tylko ty tego jeszcze nie wiesz.

– Konrad… – Próbowałam się do niego przytulić.

Wziął moją twarz w swoje dłonie. Byłam pewna, że chce mnie pocałować, jednak tego nie zrobił.

– Justyna, pomyśl jeszcze raz o tym wszystkim. Na spokojnie. Zastanów się, czego ty tak naprawdę oczekujesz. Może po prostu tak lubisz? Jak już będziesz wiedziała, o co ci chodzi, daj znać.

– Konrad… – Złapałam go za rękę.

– Tak?

– Poczekasz? Poczekasz, aż ja to wszystko w mojej głowie ogarnę?

– Poczekam. Może nie jestem aż tak cierpliwy jak ty, ale trochę poczekam. – Wzruszył ramionami. – Jak znudzi mi się to czekanie, zadzwonię i zapytam, czy u ciebie się coś zmieniło.

– A jeżeli się nie zmieni? Jeżeli nadal będę stała na rozstaju dróg?

– To zostaniesz tam sama – spokojnie stwierdził Konrad. – Z bagażem doświadczeń i z różową walizką pełną marzeń. Tylko obok ciebie może już nie być nikogo, kto ci tę walizkę z marzeniami pomoże unieść.

Konrad nic więcej już nie dodał, tylko wyszedł ode mnie. Zostałam sama.

Michał nie odbierał telefonu. Nawet nie wiedziałam, kiedy wylatuje do Stanów. Nic nie wiedziałam… Do jego mamy nie chciałam dzwonić, nie byłam tam mile widziana. Tym bardziej teraz, kiedy chciała pewnie mieć go na wyłączność.

Po południu jednak się złamałam. Wybrałam numer stacjonarny. Ten, który tak dobrze znałam na pamięć. Odebrała jego mama.

– Dzień dobry, pani Zosiu, mówi Justyna Borkowska, czy zastałam Michała?

– Dzień dobry. – Była oschła, jak zawsze. – Nie, syna nie ma.

– A kiedy będzie?

– Wyjechał do ojca, do Poznania.

– A może mi pani powiedzieć, kiedy wróci?

– Nie wiem, Justyna, może jutro, może pojutrze.

Czułam się upokorzona, bo byłam jego dziewczyną, a nic nie wiedziałam na temat tego pobytu w Polsce. Przecież teraz powinnam być z nim cały czas!

– A kiedy wylatuje do Stanów? – zdobyłam się na jeszcze jedno pytanie.

– Justyna, powiem Michałowi, że dzwoniłaś. Jak wróci, z pewnością się z tobą skontaktuje.

– A ma może przy sobie jakiś telefon komórkowy, na który mogłabym zadzwonić?

– Przykro mi – powiedziała, chociaż byłam pewna, że wcale nie było jej przykro.

Westchnęłam. Jeszcze jedno pytanie… Zawsze wychodziłam z założenia, że jeżeli człowiekowi na czymś zależy, to musi zrobić wszystko, co w jego mocy, by się udało. Oczywiście o ile nie krzywdziłoby to innych.

– A może mi pani dać telefon do pana Wilka?

– Justynko, powiem Michałowi, żeby do ciebie oddzwonił. Przepraszam cię, ale bardzo się spieszę i nie mogę zbytnio rozmawiać. Do widzenia.

Nie zdążyłam się z nią pożegnać, a już się rozłączyła.

Niczego się nie dowiedziałam.

Michał odezwał się dwa dni później.

– Dzwonię, żeby się pożegnać.

– Nie zobaczymy się już? – zapytałam, zdziwiona. Niby coś tam napomknął na ten temat, ale nie spodziewałabym się tego w najgorszym scenariuszu.

– Nie dałem rady wygospodarować więcej czasu – westchnął. – Powinienem być niedługo znowu… Musimy porozmawiać.

– Tak – przyznałam, nieco oschle. – Odezwij się, gdy dolecisz na miejsce.

– Jasne.

Żadne z nas nie pożegnało się tak jak zwykle. Nie było żadnego „Kocham cię", „Będę tęsknił" czy „Niedługo wrócę". Po prostu oschłe „Pa".

Jeszcze długo patrzyłam na słuchawkę telefonu, nie wierząc w to, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie to spotkanie z Michałem po tak długiej przerwie. Zupełnie inaczej…

Oczywiście sama przed sobą próbowałam go tłumaczyć. Przecież przyjechał tylko na chwilę, musiał załatwić sporo różnych spraw, odwiedzić rodzinę. Oni też go potrzebowali, nie mogłam być przecież taka zaborcza. Zawsze wyobrażałam sobie, że będzie niczym ten książę na białym rumaku i porwie mnie ze sobą. Ale chyba stało się tak, jak powiedział Konrad – Michał nie udźwignął mojej różowej walizki pełnej marzeń. A sama nie dałam rady jej podnieść.

Niepotrzebnie go tłumaczyłam. Czułam, że nie jest tak jak dawniej. Czar prysnął. Nasza miłość była jak rozbite w drobny

mak lustro, w którym odbijały się jeszcze z trudem moje oczekiwania. Przecież kiedyś byliśmy nierozłączni. Pewnie dawniej razem pojechalibyśmy do Poznania, odwiedzili jego ojca i babcię. Wszystko robiliśmy razem. Kiedyś.

Po jego powrocie do Stanów wymieniliśmy kilka maili. Spowodowały one, że na jednej z dróg, którą jeszcze niedawno mogłam pójść, został zbudowany wysoki mur. I znowu ode mnie zależało, czy pójdę tą drogą, która mi została, czy będę siedzieć w miejscu i patrzeć przez dziurę w murze, co mnie w życiu właśnie omija i kto akurat z tego korzysta.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Polska
Date: December 1, 2001

Justyna, bardzo miło było Cię zobaczyć. Szkoda, że mieliśmy dla siebie tak mało czasu. To był szalony pobyt w Polsce. Powinienem znowu być tam w lutym. Tak więc wtedy pewnie się zobaczymy.
Dużo mam pracy, odezwę się.
Wolf

Od: Justyna Borkowska
Do: Michał WOLF
Temat: ???
Data: 2 grudnia 2001

Wolf, Ty chyba żartujesz???
Żartujesz, pisząc, że miło było Ci mnie widzieć! Czy to jest, kurna, „Proces” Kafki, czy ja jestem w jakimś cholernym Big Brotherze, który ma za zadanie na oczach publiczności ze mnie zadrwić?
Mam tego dość!
To koniec?

Czy nadal zamierzasz ze mną grać w jakąś dziwną grę, której reguły znasz tylko Ty?
Czekam na telefon.
J.

From: Michał Wilk
To: Justyś B.
Subject: Polska
Date: December 2, 2001

Zadzwonię.
To nie tak miało być.
Przepraszam Cię.
Wolf

Chwilę po tym, gdy przeczytałam maila, zadzwonił Michał.

– Miałem ci o tym powiedzieć już wtedy… jak byłem w Gdańsku.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytałam.

– Nie umiałem. Czekałaś na mnie – westchnął.

– Michał, czy ty wtedy przyjechałeś tylko po to, by mi to wszystko powiedzieć? Żeby mi powiedzieć, że to koniec?

– Tak – przyznał cicho.

– To, do cholery, dlaczego mi nie powiedziałeś?! Wiedziałeś, że to już koniec, a nie przeszkadzało ci to, by się ze mną pieprzyć pół nocy! – Byłam wściekła. – Wolałeś mi to powiedzieć, nie patrząc mi w oczy? Wolf, jesteś tchórzem! Cholernym tchórzem!

– Justyś, przepraszam… – mówił drżącym głosem.

– To ona, prawda? – Uzmysłowiłam sobie nagle coś, na co powinnam wpaść już dawno.

– Co ona? – zapytał niepewnie.

– Ta Czeszka od knedliczków?

– Tak.

Zrobiło mi się gorąco. Tym razem zawiodła mnie kobieca intuicja. Nie przewidziałam takiego rozwoju sytuacji.

– Justyś… Przepraszam cię bardzo. Ciężko tutaj było. Byliśmy często razem, niekiedy sami i tak jakoś wyszło. Nie wiem, co mam ci powiedzieć! Naprawdę nie wiem…

– Lepiej już nie mów nic! Dobrze, że chociaż zadzwoniłeś w tej sprawie, a nie wysłałeś maila. Chociaż… czy to ma teraz jakiekolwiek znaczenie?

– Justyś… napiszę ci jeszcze maila. Na spokojnie wszystko wyjaśnię.

– Co tu wyjaśniać? I to mailem?

– Ja naprawdę cię kochałem.

– Michał, szkoda twojego i mojego czasu, a także twoich cennych dolarów, które możesz przeznaczyć na coś innego niż rozmowa z byłą dziewczyną, z którą nie miałeś odwagi zerwać, patrząc jej w oczy. Pa.

– Pa, Justyś. Przepraszam…

– Pa.

Nie umiałam się pierwsza rozłączyć. Nie umiałam rozłączyć tego cholernego telefonu!

– Pa… – powiedział jeszcze raz.

Chwilę razem pomilczeliśmy i w końcu usłyszałam sygnał zakończonego połączenia.

Nie mogłam się pozbierać. Życie z ostatnich dwóch lat przelatywało mi przed oczami. Czekałam na niego tak długo… Łudząc się, że wróci. Pocieszając go, gdy było mu źle, wspierając, martwiąc się. A on w tym czasie miał już wsparcie! Dlaczego nie

powiedział mi tego wcześniej? Może zaoszczędziłby mi tego oczekiwania?

Kilka dni później zadzwoniłam do Magdy. Bałam się, że będzie mi wypominać, że już dawno mi doradzała, bym to zakończyła. Bałam się tego typowego: „a nie mówiłam?", dlatego nie chciałam jej się zwierzać wcześniej. Miała przecież swoje problemy.

Jednak Magda nie powiedziała tego, co bałam się usłyszeć. Przyjechała z butelką wina i wielkim tortem czekoladowym. Usiadłyśmy na podłodze, zjadłyśmy tort prosto z kartonika, wypiłyśmy wino, wyzwałyśmy wszystkich mężczyzn tego świata (a w szczególności dwóch) od najgorszych i zrobiło nam się dużo lepiej. Przynajmniej chwilowo.

Rozstanie odchorowywałam kilka dni. Jednak ku swojemu zaskoczeniu nie byłam smutna dlatego, że Michał mnie zostawił. On właściwie zostawił mnie w momencie, kiedy wyjechał do Stanów. Byłam zła na siebie, że tak długo żyłam złudzeniami i wierzyłam w coś, co zupełnie nie miało szans się ziścić. Miałam żal do siebie za te lata, za stracone nadzieje i za to, że byłam tak bardzo naiwna.

Szóstego grudnia wyszłam na spacer. Chodziłam bez celu. Wszędzie uśmiechnięci ludzie, niektórzy w czapkach Mikołaja. Przed marketami zaczęto już sprzedawać choinki.

„Stracone szanse, stracone nadzieje" – pomyślałam i wyciągnęłam telefon.

– Dzień dobry – powiedziałam, łykając łzy. – Mówi Justyna Borkowska. Dzwonię do pana, bo napisał pan na wizytówce, że jest pan roznosicielem wielkanocnych choinek i tragarzem różowych walizek. Czy to prawda? Czy oprócz wielkanocnych te na

Boże Narodzenie też pan nosi? – zapytałam i nie mogłam już powiedzieć ani słowa.

– Justyś, wszystko w porządku? – Usłyszałam lekko przestraszony głos.

Pokręciłam głową, ale oczywiście Konrad nie mógł tego widzieć.

– Jesteś w domu? – zapytał.

– Będę za chwilę – wyszeptałam.

– Jadę – powiedział i się rozłączył.

Uśmiechnęłam się przez łzy. To nic, że jedna droga była zamknięta. Na początku drugiej drogi stał Konrad, niosący choinkę i pomagający ciągnąć dwie walizki. Tę z marzeniami i tę z doświadczeniami życiowymi. Michał za wysokim murem, który sam zbudował, święta miał spędzać zupełnie z kimś innym i zamiast choinki mieć w domu kolejny raz z rzędu *Christmas tree*. Gdzieś tam, daleko za oceanem.

ROZDZIAŁ XIV

Serce me
[…]
Śpij – nie patrz na moje łzy,
to tylko soli krople dwie.
Spróbuj zapomnieć jego wzrok,
ja zapomnę śmiech.
I wszystko będzie dobrze,
wszystko będzie dobrze…

Anita Lipnicka, „Wszystko będzie dobrze”

1

Grudniowy wieczór, ten, kiedy Konrad przyniósł mi choinkę, spędziliśmy razem. Nie rozpamiętywaliśmy przeszłości, nie mówiliśmy o przyszłości. Po prostu uznaliśmy, że trzeba chwycić się za ręce i podążyć tą drogą, którą wspólnie możemy iść. Nie odwracać się za siebie, nie oglądać się na to, co było. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie zawsze będzie łatwo, ale życie mnie jednak nauczyło, że nie chodzi o to, by przeczekać burzę, ale by tańczyć w deszczu.

– Zostaniesz dzisiaj ze mną? – zapytałam.

– Chcesz tego?

– Po prostu potrzebuję być z kimś, komu na mnie zależy.

– No to zostanę.

Całą noc rozmawialiśmy. Zasnęliśmy nad ranem, przytuleni do siebie. Byłam zmęczona płaczem. To nie były łzy smutku za tym, że zostawiła mnie miłość mojego życia, to była złość na samą siebie za to, że niewłaściwie ulokowałam swoje uczucia. Chociaż może teraz już będzie inaczej? Był Konrad, który chciał, bym po prostu była szczęśliwa.

Michał się do mnie nie odzywał. Tak było lepiej. Myślałam o nim. Często. Czasem porównywałam ich do siebie. Po co? Nie wiem. Czasem się zastanawiałam, czy wybrałam tę drogę, którą

szłam, dlatego że chciałam, czy dlatego że wydawała mi się jedynym możliwym kierunkiem. Moje emocje przypominały sinusoidę. Jednego dnia kochałam Konrada najbardziej na świecie, a drugiego moje myśli zaprzątał ten, z którym nie mogłam być.

Nie kochałam Michała, ale tęskniłam chyba za taką studencką beztroską, której teraz nie miałabym nawet z nim. Wtedy, gdy byliśmy tacy młodzi, świat wydawał się bardziej przyjazny, a wszystkie wyzwania – dużo łatwiejsze do pokonania.

Teraz sobie myślę, że tak często myślałam o Wolfie, bo zawsze cenniejsze wydaje nam się to, na co nie możemy sobie pozwolić. Marzymy o tym dniami i nocami, a bardzo często nie doceniamy tego, co mamy obok. Zachowywałam się dokładnie tak, jak moja babcia, mimo że wtedy nie znałam jeszcze całej historii Adeli. Miałam ją poznać dopiero za kilka lat.

Po wieczerzy wigilijnej u moich rodziców poszliśmy z Konradem na pasterkę. Nieważne, że chodziliśmy utartymi szlakami, tymi, którymi wcześniej podążałam z Michałem. Pojechaliśmy do centrum, do kościoła świętego Mikołaja. Po mszy spacerowaliśmy wzdłuż brzegu Motławy. Rozmawialiśmy, patrzyliśmy w gwiazdy. Nagle zobaczyliśmy jedną spadającą, choć nie byłam pewna, czy to nie samolot.

– Pomyśl szybko życzenie – powiedział Konrad.

Kiwnęłam głową.

– Pomyślałaś? – zapytał po chwili.

– Tak.

Gdy zaparkowaliśmy przed moim domem i ruszyliśmy w kierunku bloku, okazało się, że Konrad zapomniał czegoś z samochodu. Wrócił się, a ja poszłam już do mieszkania.

Zrobiłam herbatę. Nie chciałam jeszcze iść spać, mimo że było już po drugiej. Szkoda spać, kiedy wokół czuje się magię świąt.

– Jakie pomyślałaś życzenie? – zapytał Konrad z przedpokoju.

– A nie powiem. – Uśmiechnęłam się, nie patrząc wcale w jego stronę. – A ty?

Konrad wszedł do pokoju z wielkim bukietem kwiatów. Ukląkł przede mną i zaczął mówić:

– Nie wiem, jak się to robi, chyba oglądam za mało komedii romantycznych. Pewnie to, co spadało, to nie była gwiazda, tylko jakiś zabłąkany samolot, latający w wigilijną noc po niebie. Ale pomyślałem życzenie. I mam nadzieję, że to życzenie się spełni. A pomyślałem sobie wtedy: „Żeby powiedziała TAK". – Uśmiechnął się do mnie. – Justyś, zostaniesz moją żoną? Ja wiem, że to szybko, ale znamy się już trochę, tyle nocy mamy przegadanych. I przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi. A to chyba najważniejsze.

Konrad miał rację. To było najważniejsze. Miłość czasem mija, mijają emocje, fajerwerki, te słynne motyle w brzuchu czasem odlatują, a przyjaźń? Przyjaźń chyba zostaje.

– Justyś? – Konrad wciąż przede mną klęczał. – Wyjdziesz za mnie?

Przytuliłam się mocno do niego.

– Tak.

Nie planowaliśmy ślubu od razu. Myśleliśmy, że się nacieszymy swoim narzeczeństwem. Bo naprawdę był to bardzo fajny czas. Mieszkaliśmy trochę u mnie, trochę u Konrada. Niezobowiązująco szukaliśmy mieszkania, w którym kiedyś będziemy budowali naszą przyszłość.

Jednak los często bywa przewrotny i decyduje o pewnych sprawach za nas. Tak było też i tym razem. O ślubie musieliśmy pomyśleć nieco wcześniej, ale oboje byliśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi.

Gdańsk, marzec 2002 r.

– Zwariowałaś! – stwierdziła moja mama.

– Z czym zwariowałam? Z tym, że chcę wziąć ślub? – Denerwowałam się. – Sama mówiłaś, że nie warto czekać na Michała, no to w końcu przestałam czekać i chcę wziąć ślub z kimś innym. Kimś, kto wydaje się bardziej odpowiedzialny.

– Tak mówiłam, to wszystko racja, ale to nie jest za szybko? – dziwiła się mama.

– Mamo!

– Jesteście ze sobą kilka miesięcy, a i tak wydaje mi się, że w tym czasie tęskniłaś trochę za Michałem. – Mama pokręciła głową. – To ważna życiowa decyzja, może warto jeszcze chwilę poczekać? Zaręczyny zaręczynami, ale od razu ślub?

– Mamo!

– Justynko, postaram się już nie komentować, ale ja naprawdę staram się zrozumieć, dlaczego tak szybko.

– Widać to u nas rodzinne. – Wzruszyłam ramionami. – Najwyraźniej mam to po babci.

Grudziądz, 1993 r.

– Tak się spieszysz, babciu, z tym ślubem, że gdybyś nie miała tyle lat, to pomyślałabym, że jesteś w ciąży i nie chcesz, by się wydało, że to dziecko z nieprawego łoża. – Roześmiałam się, rozmawiając z babcią przez telefon.

Poprzedniego dnia oświadczyła, że biorą z Jankiem ślub, i to jak najszybciej się da. I powiedziała też, że jeżeli nie chcemy przyjechać, to ona weźmie sobie jakichś świadków z ulicy. I nie, nie jest wcale na nas obrażona i nie ma się zamiaru obrażać, gdy na ten ślub nie przyjdziemy, tylko po prostu chce go wziąć.

– Za szybko? – zdziwiła się babcia. – Wyście wszyscy powariowali. Najpierw każdy na mnie krzyczy, że muszę przestać czekać, a jak wreszcie chcę zrobić krok naprzód, to mówicie, że wszystko się dzieje za szybko!

Gdańsk, marzec 2002 r.

– Najpierw każdy na mnie krzyczy, że muszę przestać czekać, a jak wreszcie się zdecydowałam, to macie pretensje, że wszystko się dzieje za szybko! – powiedziałam niemal dokładnie to samo, co prawie dziesięć lat temu Adela.

Siedziałam zdenerwowana w salonie, naprzeciwko mamy. Piłyśmy herbatę. Od kawy mnie ostatnio odrzucało.

– Czy ja zostanę babcią? – zapytała moja mama wprost.

– Wszystko na to wskazuje – powiedziałam cicho.

Przytuliła mnie.

– To nie pozostaje nam nic innego, jak się cieszyć. – Uśmiechnęła się do mnie. – I wyprawić wesele! Nie mogę się doczekać, aż powiem ojcu. On się chyba ucieszy bardziej niż ja. Do babci dzwoniłaś?

– Dzwoniłam – przyznałam się.

– No tak, babcia musiała być pierwsza…

– Mamuś…

– No, dobra, nic już nie mówię. Według starszeństwa. Daj mi trochę się przyzwyczaić do tej myśli. Przecież bycie babcią to dla mnie też zupełnie coś nowego!

2

Ślub mieliśmy w czerwcu. Był to jeden z najpiękniejszych dni mojego życia. Stojąc przed ołtarzem, byłam pewna tego, że chcę wyjść za Konrada. Nawet przez chwilę nie pomyślałam o nikim innym. Wiedziałam, że będziemy szczęśliwi. Miałam rację. Tylko nie zdawałam sobie sprawy, że droga do tego naszego szczęścia będzie trochę wyboista. Ale czy docenialibyśmy dobro, które nas spotyka, gdyby przychodziło ot tak?

Magda była moją świadkową. Chyba powoli zaczęło się na nowo układać w jej małżeństwie, bo przyszła na nasz ślub z Arturem.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytała.

– Jestem. – Uśmiechnęłam się. – Nawet nie spodziewałam się, że można być tak szczęśliwym.

– To dobrze – powiedziała po dłuższej chwili. – Po tych wszystkich rozmowach na portalach randkowych doszłam do wniosku, że ludzie bez sensu szukają jakiejś megamiłości, takiego trafienia piorunem. A możesz na ten piorun nigdy w życiu nie trafić albo możesz trafić, ale potem zniszczenia będą nie do ogarnięcia. Taki piorun może siać spustoszenie. Tak naprawdę chodzi o spokojne życie razem. By wspólnie się śmiać i by ta druga osoba cię nie denerwowała. Po prostu.

– Może masz rację. Na dłuższą metę… – zaczęłam, ale nie bardzo wierzyłam w to, co mi powiedziała Magda.

– I jeszcze pamiętaj o tym, że z małżeństwem jest jak z odchudzaniem.

– To znaczy? – zdziwiłam się.

– Jak raz nawalisz, to najprawdopodobniej nic się nie zmieni. Ale jeżeli będzie się to powtarzało, to wydarzy się katastrofa. Gdy w czasie diety zjesz kostkę czekolady, to też się nic nie stanie, ale jak będziesz ją codziennie jadła, to pozamiatane. A najgorzej, jak grzeszysz i obiecujesz sobie od jutra poprawę. Może nadejść takie „jutro", że będzie za późno. Pamiętaj o tym.

My w naszym małżeństwie od początku chyba mieliśmy niezupełnie właściwą „dietę". A jak wiadomo, przyzwyczajenia bardzo trudno zmienić.

3

Naprawdę chciałabym napisać, że moje małżeństwo było udane. I że po ślubie żyliśmy sobie jak pączki w maśle. Niestety tak nie było. W zasadzie od początku naszego małżeństwa było ono dla mnie jednym wielkim rozczarowaniem.

Teraz wiem już dlaczego. Wtedy byłam pewna, że nie ma w tym zupełnie mojej winy. Gdy patrzę wstecz, widzę dokładnie błędy, jakie popełniłam…

Przede wszystkim wciąż czekałam. Czekałam na wszystko. Najpierw czekałam na pierwsze dziecko, potem na drugie. Czekałam, aż Konrad wróci z pracy, potem – aż do niej wyjdzie. Jak dzieci dorosną, zaczną chodzić, mówić, uśmiechać się… Czekałam też, aż Konrad będzie pamiętał o moich urodzinach, rocznicach, zakupie prezentów świątecznych. Znałam go jednak i wiedziałam, że nie będzie pamiętał, więc czekałam, aż będę miała tę satysfakcję, by wieczorem, w moje urodziny, z wyrzutem móc mu powiedzieć: „Zapomniałeś”. W zasadzie chyba cały dzień na to czekałam, by mu o tym właśnie powiedzieć!

Teraz jest zupełnie inaczej. Dwa tygodnie przed urodzinami wpisuję mu do kalendarza, że jego kochana żona ma urodziny. Miesiąc przed świętami wysyłam maila z linkami do konkretnych produktów w sklepach internetowych. Tym samym unikam rozczarowań. Przecież rozczarowania są tak niepotrzebne. Wtedy było zupełnie inaczej. Myślałam, że go zmienię, chciałam, by był dokładnie taki, jakim bym chciała go widzieć, a to przecież

niemożliwe. Wyszłam za mąż za dojrzałego, ukształtowanego w pełni człowieka.

To temat na zupełnie inną historię…

Czekałam też wciąż na Michała. Byłam pewna, że jeżeli zapukałby do moich drzwi, naprawdę musiałabym się dwa razy zastanawiać, co mam robić. Czy paść mu w ramiona, czy pozostać w moim niezbyt szczęśliwym życiu i wciąż czekać. Teraz dziękuję Bogu, że jednak nie przyszedł. Nie przyjechał ze Stanów, nie zadzwonił tym swoim charakterystycznym „dwa krótkie, jeden długi, dwa krótkie". Bo mogłabym wtedy bardzo wiele stracić.

Kiedyś go spotkałam. Nawet nie wiedziałam, że przyjechał do Polski. Bo i skąd miałam wiedzieć? Był z Janą w supermarkecie. Tą od knedliczków. Nie zauważył mnie, bo schowałam się za regałem. Tylko wózek wystawał.

Niestety Jana była ładna, niestety była zgrabna i niestety wyglądała zupełnie normalnie i całkiem sympatycznie. Wolałabym, by okazała się okropną zołzą, mogłabym ją nienawidzić w spokoju, a tak nawet nie miałam za co jej nie lubić. Bo jak mogłabym ją nienawidzić za to, że zrobiła dokładnie to samo, co ja kiedyś – zakochała się w Michale. Bywały chwile, nawet już po moim ślubie, gdy wiele bym dała, by być na jej miejscu.

Teraz tak sobie myślę, że byłam bardzo nieszczęśliwa. I wciąż czekałam na szczęście. Czy szczęście przyszło wtedy, gdy na nie czekałam? Nie. Przestałam czekać? Tak, teraz nie czekam. Jedynie na autobus, chociaż zwykle jeżdżę samochodem. Czasem czekam na dzieci z obiadem czy na nowy odcinek serialu. Ale nie czekam, aż ktoś coś zrobi. Sama jasno komunikuję, czego oczekuję. I często to dostaję. A jak nie dostaję? Nie mam o to żalu.

To wszystko, oczywiście, uświadomiła mi, jak zawsze, babcia Adela, która kilka dni przed śmiercią opowiedziała mi całą tę niewiarygodną historię. Historię, która pokazuje, że nie zawsze warto czekać. Że nie warto oglądać się za siebie. Musiałam jednak do tego dojrzeć. Historia babci pokazała mi również, że to tylko od nas zależy, jak bardzo będziemy się cieszyć naszym życiem. To od nas zależy, czy będziemy widzieć różowe chmury.

Babcia Adela chorowała. Tak naprawdę podupadła na zdrowiu po śmierci wujka Janka.

– Już mi się znudziła samotność, Justynko – powiedziała, gdy przyjechałam do niej.

Zadzwoniła do mnie. Chyba czuła, że to już długo nie potrwa. Opiekowała się nią mama. Babcia nie chciała przyjechać do Gdańska, więc mama wzięła urlop i przeprowadziła się tam. Gdy ja przyjechałam, rodzice wrócili razem do swojego domu. Chcieli pozałatwiać kilka spraw.

– Jestem, babciu. – Uśmiechnęłam się. – Teraz już nie będziesz samotna.

– To wiem. Ale nie mówię o dzisiejszej samotności, tylko takiej codziennej.

– Przecież zawsze możesz do nas przyjechać. Do Gdańska.

– Mogę, ale naprawdę chcę umrzeć w swoim łóżku. Chciałam, byś przyjechała, bo mam ci sporo do opowiedzenia. Póki mam siłę i energię. Bo potem nie wiadomo, jak to może być.

Opowiedziała mi wtedy niewiarygodną historię. Historię, która miała wpływ na moje dalsze życie.

ROZDZIAŁ XV

Cóż wam powiedzieć mam,
Gdy stoję znów na dróg rozstajach
I tych widzę wśród was,
Co każdy krok mój pamiętają.
Że z dróg wybrałem tę
Utkaną z róż, powiedzieć mogą,
Lecz ja szedłem od lat
Mą własną drogą.

Michał Bajor, „Moja droga”
Autor polskiego tekstu: Andrzej Ozga

1

Grudziądz, 14 sierpnia 2006 r.

– Chciałabym, byś wszystkiego spokojnie wysłuchała. Twoja matka nie chce mnie słuchać. Szczególnie gdy zaczynam mówić o tym, o czym teraz chcę ci powiedzieć. Uważa, że jestem stara i wszystko sobie wymyśliłam. Nie muszę jej przekonywać, że jest inaczej. Z tym, że stara jestem, ma rację. Może nie mogę chodzić, ale myśleć mogę. Mogę zapomnieć o zażyciu lekarstw, ale pamiętam każdy szczegół wojennych dni i każdy szczegół spotkania z twoim dziadkiem. – Babcia Adela zamyśliła się na chwilę. – Nie chodzi mi o to przed wojną, tylko to po pięćdziesięciu latach.

– Babciu? O czym ty mówisz? To dziadek żyje? – zapytałam.

Oczywiście przez myśl mi też przeszło, że babcia gorzej się czuje i że to, co mówi, nie może być prawdą.

– Już nie. Nie żyje. Zmarł tuż po naszym spotkaniu. Sama go pochowałam. Chorował na serce, a jeszcze emocje pewnie dolały oliwy do ognia. Ale poczekaj, dojdę do tego. To będzie długa opowieść. Nie wiem, czy dzisiaj zdążymy. Ale zależy mi bardzo, bym jej nie zabrała ze sobą do grobu.

– Babciu, do grobu to ty się jeszcze nie wybierasz – mruknęłam.

– O tym ani ty, ani ja nie decydujemy. Nie chcę, byś potem, za kilka lat, żałowała, że nie porozmawiałaś ze mną na ten temat. – Spojrzała na mnie.

– Nie wiedziałam też, że ciocia Klara tyle przeżyła… Pamiętam ją jednak zawsze uśmiechniętą i z tym długim warkoczem. Potem już całym siwym.

– Klemens lubił ją z warkoczem. – Babcia uśmiechnęła się na samo wspomnienie przyjaciół. – A co do ich przeszłości, nigdy do tego nie wracali. To wszystko było dla nich zbyt trudne. Do dziś pamiętam ten warkocz płonący w piecu. – Zamyśliła się. – Ale do końca życia byli razem. W tę ostatnią podróż również razem się wybrali.

– Tak, pamiętam. Byliśmy przecież w zeszłym roku na pogrzebie. Wujek Klemens odszedł zaraz po niej.

– Tak, nie umiał już bez niej żyć. Zmarli dzień po dniu. Klara mówiła, że obiecali sobie, że się nigdy nie rozstaną. Słowa dotrzymali. Klara zmarła pierwsza, a Klemens kilkanaście godzin później. I tak jak razem szli przez życie, w tę ostatnią podróż również wybrali się wspólnie…

– Babciu, ale opowiedz mi w końcu o dziadku – poprosiłam.

– To będzie długa historia. Dziadek służył na froncie wschodnim w mundurze Wehrmachtu. To chyba wiesz. Taki los przedwojenny, kiedy stawiano cię przed wyborami, z których jeden był zły, a drugi gorszy. Niemców wciąż ubywało, bo nie byli oni zupełnie przygotowani do surowych warunków panujących na wschodzie. To zima tak naprawdę ich pokonała. Potrzebowali ludzi, właśnie po to, by zasilić armię na całym pasie wschodnim. Po urlopie, który dziadek spędził w domu, w czterdziestym drugim roku, los rzucił go na Łotwę. Z racji tego, że podczas swojej pracy na początku wojny wykonywał wiele napraw i pracował jako mechanik, na froncie naprawiał samoloty w jednostkach bombowych i transportowych. Nie wiem, jak tam było. Nie mówił mi. W ogóle nie mówił o wojnie, czuł potrzebę wytłumaczenia się z tego, co było potem… Może chciał mi to później opowiedzieć? – Westchnęła. – Pod koniec wojny został

poważnie ranny i dostał się do radzieckiej niewoli. Tutaj tak naprawdę się kończy nasza wspólna historia, a zaczyna się zupełnie inna, taka, której się obawiałam w najgorszych koszmarach. Wiele razy mi się śnił ten scenariusz. Nie wiedziałam jedynie, że był tak bardzo prawdopodobny.

– Coś mu się stało? – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Ta opowieść wydawała mi się zupełnie nierealna.

– Stało. Miał ciężki uraz głowy, prawie nic nie pamiętał. Ale nie to było najgorsze… Najgorsze było to, że on nawet nie pamiętał, że ma nas. – Zamyśliła się.

– Poznał kogoś? Zakochał się?

– Poznał. I chyba się zakochał. To była dobra kobieta.

– O Boże… – Wydawało mi się to niedorzeczne.

– Nazywała się Astrida Krasts i mieszkała w Windawie. Sprawdziłam potem na mapie, gdzie to jest. Północ Łotwy.

– Miał dzieci?

– Nie. Nawet chyba chciał, ale nie udało się.

– Dlaczego on z nią został? Dlaczego nie wrócił do domu? Przecież na niego czekałaś! – Nie mogłam zrozumieć, z jakim spokojem babcia opowiada mi o tak ważnych wydarzeniach. O kobiecie, przez którą tak zwlekała z ułożeniem sobie życia.

– Czekałam… Czekałam, zamiast patrzeć, co się dzieje wokół. To czekanie przysłoniło mi wszystko, nie potrafiłam cieszyć się bieżącą chwilą, bo wciąż czekałam na tę lepszą. Spotkanie z nim uświadomiło mi, że nie warto było czekać.

– Ależ musiałaś być wściekła, gdy się o tym wszystkim dowiedziałaś! – Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– Ależ skąd! – Babcia uśmiechnęła się do mnie. – Byłam szczęśliwa! Byłam bardzo szczęśliwa, że wreszcie wiem, co się stało. W końcu nie żyłam w zawieszeniu. Po raz pierwszy poczułam się wolna i wiedziałam, że mogę zrobić to, co chcę.

– I zrobiłaś – powiedziałam cicho. – Wyszłaś za mąż za wujka Janka.

– Tak. – Rozpromieniła się. – Starałam się nie żałować, że tak późno, bo na co by mi to żałowanie było. To było piękne dziesięć lat. Wiesz, to taki prawdziwy happy end, jak w filmach, które lubimy oglądać.

Złapałam babcię za rękę.

– Tylko do tego happy endu jeszcze była długa droga.

– Długa. – Zamyśliła się. – Moją historię w zasadzie znasz. Nie wiesz tylko, dlaczego dziadek nie wrócił.

– Babciu, będziesz go usprawiedliwiać? Po tylu latach? To niepotrzebne.

– Nie. Opowiem ci, starając się nie oceniać. Bo przecież gdyby wrócił wcześniej, mój los by się zupełnie inaczej potoczył. Może nie byłabym tak szczęśliwa?

– A może byłabyś bardziej?

– Dziecko, szczęśliwszym chyba na starość być już nie można. Każdemu życzę takiej starości. Przecież ja wszystko miałam. A wiesz, jak ktoś nie chce być stary, to musi się w młodości powiesić.

– A co z dziadkiem? Poznał tę Astridę i po prostu został tam? Zostawiając za sobą całe dotychczasowe życie? I koniec?

– Nie, tak właściwie to dopiero początek. – Adela pokręciła głową. – Zaraz ci opowiem. Nalej mi, proszę, herbaty.

Nalałam herbatę do kubka z niezapominajkami. Lubiła z niego pić.

– Dziadek został ranny – kontynuowała. – Jak już mówiłam, znalazł się w radzieckiej niewoli, z której dziwnym trafem w bardzo ciężkim stanie zdołał się wyswobodzić. Chyba tylko dlatego, że nie dawał żadnego znaku życia. Uratowała go młoda pielęgniarka.

– Astrida?

– Tak, Astrida Krasts.

2

Windawa, 1944 r.

– Słyszy mnie pan? – zapytała kobieta. – Proszę dać jakiś znak, że mnie pan słyszy.

Mężczyzna starał się poruszyć ręką, ale wszystko go bolało. Nie miał siły, by oddychać, chciał po prostu odpocząć.

– Proszę nie zasypiać. Zaraz panu pomogę. Proszę tylko nie zasypiać! Nie wolno panu…

– Gdzie ja jestem? – zapytał mężczyzna.

Po chwili usłyszał szept. Głos kobiecy po rosyjsku odpowiedział mu, że wszystko będzie dobrze.

– Wreszcie się pan obudził. – Usłyszał. – Myśleliśmy, że nic z pana nie będzie, kochaneńki.

– Nic nie widzę. – Zaczął nerwowo poruszać głową. Po chwili poczuł na swojej twarzy ciepłą dłoń.

– Spokojnie. Ma pan opatrunek na głowie. Zawiązane oczy. Długo był pan nieprzytomny.

– Jak długo? – zapytał.

Sam dziwił się, że słowa układają się same. Mówił po rosyjsku i rozumiał kobietę.

– Długo. Ale wygląda na to, że kryzys minął – powiedziała radośnie. – Jak się pan nazywa?

Mężczyzna się zaniepokoił. Przez jego głowę przechodziły różne nazwiska. Hitler… Przypomniał sobie krzyczącego coś mężczyznę z wąsami. Strach… Wojna…

– Jest wojna – jęknął.

– Tak, ale jesteśmy bezpieczni – uspokoiła go kobieta.

– Gdzie ja jestem? – zapytał cicho.

– Na Łotwie. Nad morzem.

– Daleko… Daleko od domu – westchnął.

– Pamięta pan, gdzie pan mieszka?

– Nad rzeką. Ale nie umiem pływać. Gdy miałem cztery lata, topiłem się – przypomniał sobie. – Od tamtej pory boję się wody.

– U nas też jest rzeka. Ale pan nietutejszy. A jak się pan nazywa?

Mężczyzna chwilę się zastanawiał i westchnął.

– Nie wiem… Nie pamiętam, jak się nazywam – wyszeptał z paniką w głosie.

– Spokojnie… Przypomni pan sobie. – Kobieta pogłaskała go po policzku. – Proszę odpoczywać. Teraz pana nakarmię. Tę zupę pan lubi?

Mężczyzna poczuł w ustach znajomy smak.

– Lubię. Jadłem ją kiedyś.

– No, widzi pan. Będzie pan jadł i będzie pan wracał do zdrowia – obiecywała kobieta, karmiąc go. – Tylko nie wiem, jak ma pan na imię, a muszę jakoś do pana się zwracać. Może Ralfs? Podoba się panu? A może Kristaps?

Te imiona nic mu nie mówiły.

– Ralfs chyba będzie lepszy – trajkotała dziewczyna. – Krótsze i takie bardziej męskie, prawda, kochanieńki? A ja nie przedstawiłam się. Astrida jestem.

Mężczyzna był już zmęczony. Męczyła go ta gadanina. Chciał spać, a dziewczyna wciąż mówiła i mówiła.

– Pięknie zjadłeś, Ralfs – pochwaliła go. – Coraz więcej. Jak będziesz tak jadł, szybko wrócisz do zdrowia. Ale ty już chyba mnie nie słyszysz, bo zasnąłeś. No to dobrze. Sen i zupa szybko cię postawią na nogi. A potem będziesz jeszcze samogon z chłopakami żłopał!

Astrida Krasts była trzydziestoletnią wdową. Jej mąż zginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, podczas niemieckiego bombardowania Windawy, miasta na północy Łotwy. Nie miała dzieci. Radziła sobie w tych trudnych czasach, jak umiała. Przed wojną była pielęgniarką. Ten fach w ręku w czasie wojny był jeszcze bardziej przydatny niż wcześniej. Zawsze uśmiechnięta i życzliwa, często sprawiała, że te ostatnie dni rannych żołnierzy, niezależnie od ich narodowości, były jednymi z najlepszych.

– Nago każdy jest taki sam – mówiła. – Nieważne, czy Niemiec, czy Polak, czy Rosjanin. Każdy dokładnie taki sam. A to, że mają inne mundury? Co za różnica? W szpitalu i tak wszyscy leżą albo na golasa, albo w takich samych koszulach.

Tym razem przywieziony pacjent był w opłakanym stanie. Myślała, że po prostu musi pozwolić mu umrzeć. Jednak nigdy się nie poddawała. Opiekowała się nim i ku jej zaskoczeniu wciąż żył. Jeden dzień, drugi, trzeci… Karmiła go, myła, opatrywała krwawiące wciąż rany. Każdego dnia było lepiej, aż w końcu się obudził na dłużej i nawet powiedział kilka słów.

– Myślę, że byłeś już, Ralfs, w połowie drogi do nieba. – Pokręciła głową, krzątając się po pokoju. – O ile wierzysz w niebo… Albo nawet dalej niż w połowie drogi. Ale na szczęście zawróciłeś.

Usłyszał szuranie zasłon, po czym poczuł, jak Astrida odwiązuje mu opatrunek z oczu.

– Nic nie widzę – powiedział ze strachem. – Ja nic nie widzę!

– Zaraz się przyzwyczaisz, kochaneńki – uspokoiła go.

Po chwili zobaczył stojącą przy nim drobną postać. Nachylała się nad nim. Jej włosy związane były w dwa warkocze. Już wiedział, co czasem go tak łaskotało po twarzy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Witaj w moim świecie. Cieszę się, że zdecydowałeś się jednak tu trafić.

Rozejrzał się po pokoju. Nie kojarzył tego miejsca. Meble, książki z napisami, których jeszcze nie był w stanie odczytać…

– Gdzie ja jestem?

– W Windawie.

Mężczyzna pokręcił głową, dalej nie kojarząc.

– Na Łotwie. Nad samym morzem. Już ci to mówiłam, ale, jak widać, musisz jeszcze sobie kilka rzeczy poprzypominać, kochanieńki. Postaram ci się w tym pomóc. A w zasadzie razem sobie pomożemy. – Przycupnęła przy nim na łóżku i złapała go za rękę. – Miałeś niemiecki mundur, czyli jesteś Niemcem.

– Nie! – zaprzeczył stanowczo.

– Nie? – zdziwiła się Astrida. – To skąd ten mundur?

– Nie wiem…

– Rosjaninem nie jesteś, sądząc po akcencie – stwierdziła. – Polakiem?

Mężczyzna skinął głową. Tak, to wiedział na pewno. Na razie wiedział na pewno tylko trzy rzeczy: że jest Polakiem i kiedyś mieszkał nad dużą rzeką, że topił się jako dziecko i że dlatego nie potrafi pływać.

Dni mijały, a Ralfs Jansons, jak do mężczyzny zwracała się Astrida, miał coraz więcej sił. Niestety w dalszym ciągu nie przypomniał sobie, skąd pochodzi ani jak się nazywa. Wiedział, że potrafi naprawiać różne rzeczy, nawet te bardziej skomplikowane, więc zaczął pomagać sąsiadom Astridy. Nadal u niej mieszkał. Nie wiedział, co ma robić i gdzie się podziać. Liczył na to, że w końcu sobie coś przypomni i będzie mógł wrócić do swojego życia.

Na razie jego życie było w Windawie. A Astrida opiekowała się nim, jak najlepiej potrafiła. Zresztą nie tylko nim. Znajdowała schronienie dla każdego potrzebującego pomocy żołnierza. Jednak sytuacja w Kurlandii robiła się coraz bardziej niebezpieczna. Wojska radzieckie powoli, ale sukcesywnie kierowały się w stronę Windawy i wszyscy mówili, że trzeba uciekać. Posłuchali i tuż przed zajęciem miasta przez Armię Czerwoną udało się im wyjechać do Szwecji. Zamieszkali w małym miasteczku nieopodal Malmö. Jako obywatele łotewscy, bo za takich oboje uchodzili, Ralfs i Astrida szybko otrzymali pozwolenie na pobyt, co wiązało się z możliwością znalezienia pracy. Ona zatrudniła się w pobliskim szpitalu, a on naprawiał wszystkie sprzęty, których wydawałoby się, że nie można już naprawić.

Kiedyś poszedł po Astridę do pracy i wracali do domu drogą przez łąkę pełną małych niebieskich kwiatków.

– Pamiętam te kwiaty… Takie drobne, bardzo niebieskie. Można je ususzyć w książkach – powiedział, zdziwiony.

– *Neaizmirstule* – podpowiedziała Astrida.

– Tak się nazywają?

– Po łotewsku tak. Po rosyjsku *niezabudka*.

Uśmiechnął się.

– Lubisz? – zapytał.

– Lubię.

– Będę ci zrywał. – Pogłaskał ją po policzku. – A ty będziesz je suszyła w książkach.

Dopiero wieczorem, gdy szedł spać, przypomniał sobie, że to niezapominajki. Uśmiechnął się do siebie. Musi powiedzieć to Astridzie. Cieszył ją każdy jego sukces w przypominaniu przeszłości. Niewiele tych sukcesów było.

Skierował swoje kroki w stronę kuchni. Drzwi były lekko uchylone. Już chciał wejść do pomieszczenia, ale ją zobaczył i nie mógł oderwać wzroku. Zdjęła koszulę i nalała wody do wielkiej miski. Potem postawiła ją na środku i do niej weszła. Była bardzo szczupła, miała niewielkie piersi i drobne pośladki. Włosy, spięte na samym czubku głowy, odsłaniały jej smukłą szyję.

Stał w drzwiach, przyglądając się jej. Patrzył, jak myła białą ściereczką każdy kawałek swojego ciała, nachylając się to w jedną, to w drugą stronę. Coś nuciła. Podobało mu się to. Zastanawiał się przez chwilę, czy miałaby coś przeciwko, gdyby teraz do niej wszedł. Chyba nie. Wydawało mu się, że niejednokrotnie dawała do zrozumienia, że nie jest jej obojętny. Złapał za klamkę, ale po chwili zmienił zdanie.

Astrida skończyła swoją toaletę. Drżała na całym ciele, aż miał ochotę ją przytulić, by ją ogrzać. Może teraz nadszedł czas, by to on się nią zaopiekował? Była taka drobna, z pewnością potrzebowała opieki. Kiedy okryła się ręcznikiem i zaczęła wycierać, spojrzała w stronę przymkniętych drzwi. Na szczęście zdążył czmychnąć, więc go nie zauważyła. Odetchnął z ulgą, poczekał chwilę i zawołał:

– Astrido! Przypomniałem sobie! One nazywają się niezapominajki! Te kwiaty nazywają się niezapominajki!

Usłyszał, jak się roześmiała. Po chwili przyszła do niego, z wilgotnymi włosami, cała jeszcze ciepła i pachnąca mydłem.

– Brawo! Tylko co teraz będzie, jak sobie przypomnisz, jak masz naprawdę na imię? Co się stanie z Ralfsem? Trochę się już do niego przyzwyczaiłam. – Spojrzała smutnym wzrokiem.

– Ja też – przyznał, patrząc jej w oczy. – Przyzwyczaiłem się i nawet mi się podoba.

Dotknął palcem jej ust i przybliżył się do jej twarzy. Tuż przed tym, jak ich usta się zetknęły, Astrida odsunęła się.

– Nie, Ralfs. Poczekaj… Nie wiemy, kim jesteś. Nie zaczynajmy nic. Przypomnisz sobie swoją przeszłość i wrócisz do siebie, a ja będę cię kochać i zostanę sama. Już kiedyś byłam w takiej sytuacji, gdy mój mąż, Edgars, zginął. Drugi raz nie chcę tego przeżywać.

– A jeżeli już jest za późno?

– Za późno na co?

– Za późno, by się powstrzymać przed miłością? – Astrida milczała, a Ralfs mówił dalej: – A jeżeli nigdy nie wróci mi pamięć? Będziemy tak chodzić wokół siebie, czasem tylko przypadkowo na siebie trafiając? Do końca życia będziemy czekać, aż sobie przypomnę, kim jestem?

– Nie wiem… – Astrida pokręciła głową. – To już trwa tyle czasu. Może kiedyś sobie przypomnisz. Powoli przychodzą do ciebie pewne wspomnienia.

– Bardzo powoli… A najlepsze w tym jest to, że przypomniałem sobie nazwę kwiatów, które sugerują mi, bym po prostu nie zapomniał.

Astrida była nieugięta. Nie pozwalała się do siebie zbliżyć. Do codziennych rytuałów należało podglądanie jej przez Ralfsa podczas wieczornej toalety przez niedomknięte drzwi. Najbardziej lubił, gdy stała do niego tyłem, rozplątywała warkocze i je czesała. Długie jasne włosy spadały, zakrywając pośladki.

Któregoś dnia po prostu wszedł do kuchni. Astrida starała się sięgnąć po okrycie, jednak było zbyt daleko.

– Nie uciekaj mi więcej – poprosił, podchodząc do niej. – Nie uciekaj…

Posadził ją na stole, tak by ich twarze były na tej samej wysokości. Wziął jej loki w swoje dłonie i całował centymetr po centymetrze. Wydawało mu się, że zna każdy kawałek jej ciała, wie, co robić, by osiągała rozkosz. Wziął ją w ramiona i zaniósł na łóżko. Położył w miękkiej pościeli i kochał się z nią do utraty tchu.

– Adela… – jęknął.

Potem ją mocno przytulił. Zdawał sobie sprawę, co powiedział, ale też zupełnie nie wiedział dlaczego. Miał nadzieję, że Astrida nie usłyszała. W takim momencie! Boże, dlaczego w takim momencie, kiedy chciał, by to Astrida, kobieta, z którą właśnie się kochał, była dla niego najważniejsza!

– Chciałabym się cieszyć – powiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy. – Bo sobie znowu coś przypomniałeś. – Przełknęła łzy. – Naprawdę mnie to cieszy, bo wiem, że to dla ciebie bardzo ważne. Ale wiemy już oboje, że była w twoim życiu jakaś Adela. I z pewnością ją kochałeś. – Pogłaskała go po policzku. – Dobrej nocy, Ralfs. Albo jakkolwiek masz na imię.

Wstała i poszła do swojego łóżka, a Ralfs długo nie mógł zasnąć.

Adela… Gdy pomyślał sobie o niej, robiło mu się ciepło w sercu. Tak samo, jak wtedy, gdy myślał o Astridzie. Zastanawiał się, czy była wysoka, czy niska, czy miała jasne włosy, czy ciemne i jak brzmiał jej śmiech. Nie pamiętał nic. Z jednej strony bardzo chciał sobie przypomnieć, a z drugiej – bał się, że odzyskane

wspomnienia bardzo namieszają w jego obecnym życiu. Dość miał zawirowań, dość miał tułaczki. Tęsknił za normalnym życiem. Choć właściwie on nie pamiętał, jak takie normalne życie wygląda…

Minęło sporo czasu, zanim po raz kolejny przekonał Astridę do siebie.

– Ralfs! – powstrzymywała go. – A co, jeżeli nagle sobie przypomnisz, że tam ktoś na ciebie czeka?

– Nie czeka. Nikt tak długo by nie czekał. Już dwa lata mieszkamy tutaj. Czekałabyś na mnie dwa lata? Gdybyś nie miała ode mnie żadnych wiadomości?

– Ja bym na ciebie czekała. – Uśmiechnęła się. – Nie pokochałbyś kobiety, która tak szybko by z ciebie zrezygnowała. Dobrze to wiesz.

– Ale, Astrido, ja kocham ciebie. Nie wyobrażam sobie, bym mógł kochać kogokolwiek innego!

– Wiesz, że to dla mnie trudne – westchnęła.

– Wiem, ale takie już jest to powojenne życie. Przede mną też był Edgars.

– Był. Ale on nie żyje. To wiem na pewno. Będąc z kimkolwiek, już go nie zranię.

– Astrido… Jesteśmy tutaj razem. Ja nie umiem bez ciebie żyć. Ja nie umiem zasypiać w osobnym pokoju, wiedząc, że leżysz tuż za ścianą. Nie potrafię przechodzić obok ciebie i cię nie dotknąć, choćby na sekundę. Zasypiam i budzę się z twoim obrazem przed oczami. Tylko nie mogę cię przytulić… Ja cię potrzebuję! Uratowałaś mi życie i dzięki temu jestem cały twój.

Ralfs i Astrida pobrali się w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Astrida miała na sobie wianek z błękitnych niezapominajek i białą letnią sukienkę. Byli najszczęśliwsi na świecie.

Pierwszy rok małżeństwa upłynął im jak w bajce. Astrida była wymarzoną żoną – troskliwą i cierpliwą. Ralfs nie mógł uwierzyć, że jest takim szczęściarzem, bo po najgorszych chwilach swojego życia zdołał znaleźć kogoś tak cudownego. Kochał ją i starał się jej dawać codziennie dowody, że jest dla niego najważniejsza.

Astrida nie mogła doczekać się pierwszej rocznicy ślubu. Miała prezent dla Ralfsa, który z pewnością go ucieszy! Od pewnego emigranta kupiła polskie piwo. Jedną butelkę. Z ładnie wydrukowaną owalną etykietą. Szkoda, że tylko jedno! Nie mogła doczekać się momentu, w którym pokaże mężowi, co udało jej się zdobyć!

– Mam coś dla ciebie – powiedziała, gdy tylko wrócili z pracy.

– Niespodziankę? – zapytał z nadzieją.

Już tyle czasu starali się o dziecko i jednak nie wychodziło. Wojna nie tylko wpływała na psychikę, ale również rujnowała ciało i powołanie na świat potomka nie było łatwe.

– Niespodziankę – potwierdziła Astrida.

– Czyżby? – zaczął, a ona w tym momencie wyciągnęła butelkę.

– Co to jest?

– Piwo! Polskie piwo! – Roześmiała się głośno. – Zobacz!

– Zdrój Nadwiślański – przeczytał. – Browary Kuntersztyn w Grudziądzu. – Spojrzał na Astridę. – Mieszkałem przed wojną w Grudziądzu! Nad Wisłą…

W kolejnych dniach, spoglądając na etykietę na butelce z piwem, przypominał sobie coraz to nowe fakty. Pamiętał Grudziądz, księgarnię na rogu ulic… Nie potrafił sobie przypomnieć ich nazwy, kiedyś często tam chodził. W czasie wojny pracował w fabryce i naprawiał maszyny. Jeździł tam tramwajem. Jedynką. Rzeka, nad którą spacerował, nazywała się Wisła. Była też kobieta… Z pewnością Adela. To sobie przypomniał już wcześniej. I Janek. Chyba brat. Może przyjaciel? Pamiętał, że kiedyś mu obiecał, że wypije sto butelek takiego piwa. Teraz miał jedną, którą chciał zachować jak najdłużej nietkniętą.

– Nie wypijesz jej w końcu? – zapytała któregoś dnia Astrida.

– Wypiję. Czekam na właściwy moment. – Uśmiechnął się.

– Jak się czeka na właściwy moment, to można go przegapić. Bo skąd masz wiedzieć, że to właśnie ten? Może on jest akurat teraz? Dobrej nocy, kochanie. – Ucałowała go w czoło i poszła do łóżka.

Ralfs został jeszcze w kuchni. Przez chwilę spoglądał na butelkę. Może Astrida ma rację? Może trzeba cieszyć się życiem natychmiast? Powinien się nauczyć, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie kolejny dzień, kolejna godzina, minuta czy nawet sekunda. Czas płynie nieubłaganie i wciąż szykuje dla nas niespodzianki. Niekoniecznie te pozytywne. Otworzył butelkę i wziął duży łyk. Tak, to był ten właściwy moment. Poczuł dobrze znany smak, który powodował, że ożyły wspomnienia…

Wojna, na stole zapalone świeczki, kilka piw i dwa wina. Trochę jedzenia. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn, odgłosy strzelaniny. I on… Franciszek Schulz. Urodzony w Grudziądzu w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Zamieszkały przy ulicy Jagiellończyka, pod numerem ósmym.

Przypomniał sobie! Drżącymi rękami dotknął swojej twarzy. Z oczu płynęły mu łzy.

Kładąc się do łóżka, spojrzał na śpiącą Astridę. Uśmiechała się lekko przez sen. Oddychała spokojnie. Przez te wszystkie lata byli

naprawdę szczęśliwi. Budowali swoje życie niespiesznie, powoli, kawałek po kawałku układając solidny fundament z miłości, przyjaźni, zaufania i wzajemnego szacunku. Wielokrotnie mu opowiadała, że boi się tego dnia, gdy on sobie przypomni, kim był kiedyś, w poprzednim życiu. Starała się o tym nie myśleć, nie mówić, ale wiedział, że bardzo często o tym myślała. Czy miał teraz rozbijać jej świat na drobne kawałki? Tak drobne, że nie będzie ich już można poskładać? Rozsypią się jak porcelanowe filiżanki rzucone na podłogę.

Właśnie przypomniał sobie kolejną rzecz… Filiżanki! Porcelanowe filiżanki z delikatnym motywem niezapominajek. Też były ważne w jego życiu. Ale dlaczego, nie pamiętał.

Czy ma dalej dociekać prawdy, starać się odnaleźć siebie z przeszłości? Czy lepiej żyć każdym dniem i chłonąć jak najwięcej z tego, co mu teraz daje los? A jeżeli ktoś z poprzedniego życia potrzebuje jego pomocy? Ktoś, dla kogo kiedyś był ważny, potrzebuje jego wsparcia?

Nie mógł zasnąć tamtej nocy. Miotał się z boku na bok, aż w końcu wstał, by nie obudzić Astridy. Nie chciał jej mówić o swoim odkryciu, przynajmniej nie teraz.

Usiadł przy stole w kuchni. Z szuflady wyjął wojenne drobiazgi, które miał przy sobie, gdy go przynieśli do szpitala w Windawie. Okulary, notes, w którym ktoś wyrwał kartki, i chusteczkę z monogramem „A.S.”. Pewnie należała do Adeli, kimkolwiek ona była.

Wyrwał kartkę z notesu i zaczął pisać:

Lockarp, wrzesień 1948 r.

Nie wiem, do kogo adresować ten list. Sam nie wiem, kim tak naprawdę jestem. A w zasadzie nie wiedziałem do dzisiaj.

Nazywam się Franciszek Schulz, urodziłem się w Grudziądzu. Pewnie mam tam krewnych, przyjaciół, którzy pomogliby mi

odpowiedzieć na to pytanie. Rany odniesione na wojnie spowodowały, że zupełnie straciłem pamięć. Każdego dnia łudziłem się, że sobie przypomnę cokolwiek z mojego poprzedniego życia, jednak ten moment nastąpił dopiero teraz.

Franciszek odłożył pióro. Cóż miałby jeszcze napisać? Że wraca? Wraca do tych, których zostawił? I pojawi się nagle w ich życiu, domagając się atencji?

A co miałby powiedzieć Astridzie? Która po tak długim czasie wreszcie uwierzyła, że razem płyną przez to życie i wspólnie, we dwoje, dobiją bezpiecznie do portu? Nie mógł tego zrobić. Był rozdarty pomiędzy przeszłością a przyszłością. Teraz wolałby nie pamiętać. Nie pamiętać nic, by nie chcieć do tego wracać.

Przypomniał sobie więcej…

Miał żonę. I córkę. Dopiero co się urodziła.

Boże… Może one go potrzebują? Może czekają?

Ale przecież nie mógł tak nagle zjawić się w ich pewnie już ponownie poukładanym życiu, stanąć w drzwiach i stwierdzić: „Wróciłem". A co miałby powiedzieć Astridzie? Żegnaj? Czy miałby żyć kolejne lata rozdarty pomiędzy Polską i Szwecją? Jak? Na dwa domy? Na dwie kobiety? Na dwa życia?

To niemożliwe!

Siedział pół nocy w ciemnościach, rozmyślając nad wszystkim, co się wydarzyło. Przeczytał jeszcze raz to, co napisał. Nie, nie mógł tego wysłać. Wziął list i podpalił go. Patrzył przez chwilę, jak płomień zjada napisane przez niego z takim trudem słowa.

Położył się z powrotem, tuż u boku Astridy. Objął ją jedną ręką i wtulił się w jej plecy. Włosy, luźno związane na noc w warkocz, zawsze go łaskotały, gdy się przytulał.

Odwróciła się do niego.

– Nie śpisz? – zapytała zaspanym głosem.

– Nie mogę zasnąć.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Patrzę na ciebie i myślę sobie, że cię kocham.

– Głuptas! – Uśmiechnęła się.

– W życiu.

– Śpij lepiej. – Odwróciła się do niego plecami.

Przytulił się do niej mocno. Sama odsunęła koszulę nocną, odsłaniając pośladki.

– Może teraz zaśniesz – wymruczała.

Tym bardziej nie mógł zasnąć. Kochał się z nią powoli, niemalże w półśnie.

Czasami w życiu trzeba dokonywać wyborów. Nie jest problemem wybrać pomiędzy dobrem i złem. Największą trudnością jest wybrać między dobrem a dobrem. I to w taki sposób, by nikogo nie skrzywdzić.

Pewnie w Polsce już się pogodzili z tym, że go tam nie ma. Upłynęło tyle lat… Już przeżyli jego stratę, już cierpieli z jego powodu i pewnie ten żal trochę minął. Nie mógł pozwolić, by kolejna osoba przez niego płakała. Wiedział to. Nie skrzywdzi Astridy. Obiecał sobie tamtej nocy, że dopóki ona będzie żyła, nie dowie się o tym, że odkrył tajemnicę swojego pochodzenia.

Następnego dnia spakował swoje wojenne pamiątki i wysłał je pocztą, bez słowa komentarza, na swój polski adres. Pewien rozdział jego życia został zamknięty.

ROZDZIAŁ XVI

Kiedyś, gdy z tej wojny wrócę,
Za jakieś kilkadziesiąt lat,
Plecak złożę, buty zrzucę
I wyciągnę nogi rad.
Wnuków zbierze się gromadka,
Ciesząc mnie szczebiotem swym,
I o bajkę będą prosić dziadka,
A cóż ja opowiem im?!

Marian Hemar, „Pamiętaj o tym, wnuku”

1

Grudziądz, 14 sierpnia 2006 r.

– Niewiarygodne! – Pokręciłam głową. – I tak było? Faktycznie jej nic nigdy nie powiedział?

– Nie powiedział – potwierdziła babcia. – A przypominało mu się coraz więcej. Nawet zapisywał sobie wszystko. Potem zaczął szukać informacji o Polsce i Grudziądzu. Dowiedział się, że cały Grudziądz został zniszczony przez Sowietów. To była prawda, tylko że nie wiedział o tym, że nas tam już wtedy nie było. Dzięki Joachimowi i Jankowi oczywiście. Franciszek mówił, że widział zdjęcia zbombardowanej ulicy, na której stała księgarnia, gdzie pracowałam. Był pewien, że nas już tam nie ma. Rozmawiał z ludźmi z Polski i wszyscy mówili, że do Grudziądza nie ma po co wracać. Oczywiście rozpytywał dyskretnie, by jego żona się nie dowiedziała, że wszystko sobie przypomniał. – Westchnęła babcia. – Astrida zmarła miesiąc przed przyjazdem Franciszka do Polski. To była zupełnie niespodziewana śmierć, bo czuła się całkiem nieźle. Miała tętniaka i on dał znać o sobie. Franek po jej śmierci poczuł się znacznie gorzej. Przeszedł zawał. Ledwo go tam, w Szwecji, odratowali. Nie chciał umierać na obczyźnie, więc postanowił przyjechać do ojczyzny. I zdecydował się jeszcze raz zaryzykować i sprawdzić, czy ktoś z jego bliskich wciąż żyje. A jak nie żyje, to gdzie jesteśmy pochowani, by dołączyć do nas chociaż na cmentarzu.

– To jest niewiarygodna historia. – Pokręciłam głową.

– Niewiarygodna. Dlatego gdy pokazałaś mi wtedy te papiery, które przysłali ci z Niemiec, że niby zginął w czterdziestym czwartym, wiedziałam, że to nieprawda.

– A ja myślałam, że nie chcesz roztrząsać przeszłości.

– Ja wtedy już tę przeszłość znałam. Ale obiecałam Frankowi, że o niej nie powiem. Teraz zmieniłam zdanie. Będę się mu tłumaczyć, gdy się spotkamy.

– Babciu, ale jak on cię w ogóle znalazł? – zapytałam.

– Szukał po prostu. Wiedział, że z jego sercem jest kiepsko, dlatego też w Polsce chciał mieć kogoś, kto się nim zaopiekuje. Zatrudnił pielęgniarkę, która miała z nim być na czas jego pobytu tutaj. Już w Szwecji powiedział jej, że chce mnie odnaleźć. A ona dowiedziała się, że ja wciąż żyję i mieszkam razem z Jankiem w Kurzętniku. Był pewien, że jesteśmy razem. To tylko utwierdziło go w przekonaniu, że powinniśmy się spotkać. Myślał, że ułożyłam sobie życie i już na niego nie czekam. Postanowił natychmiast przyjechać, by o wszystkim mi opowiedzieć. O tym, jak było naprawdę.

– Przyjechał?

– Nie, ja pojechałam do niego. Nie pamiętasz? Przecież ty mnie tam zawiozłaś. Dopiero co zrobiłaś prawo jazdy i ojciec wtedy kupił ci samochód. Pewnie gdyby wiedział, że będę kazała ci gdzieś dalej jeździć, w życiu by się na to nie zgodził.

– Pamiętam… – Uśmiechnęłam się. – To była ta droga, podczas której się żarliwie modliłyśmy.

– Ja się modliłam, byś szybciej jechała. – Babcia roześmiała się, gładząc mnie po ramieniu.

– No tak, a ja w ogóle chciałam dojechać. Wrzuciłaś mnie wtedy na głęboką wodę. Gdyby mama wiedziała, nie byłaby zadowolona!

– Trudno, matki tak mają, że czasem są niezadowolone.

– Szkoda tylko, że wtedy nie wiedziałam, że to mój dziadek – westchnęłam.

– Wiem, kochanie. Chciałam ci powiedzieć, ale poprosił mnie, bym tego nie robiła. Do dzisiaj nie wiem, czy to była dobra decyzja. – Zamyśliła się.

Przytuliłam się do niej. Była taka drobna, gdy leżała na tym łóżku, w białej pościeli.

– Dobrze, że teraz wyznałaś mi prawdę. Babciu, mów dalej…

2

Kurzętnik, 1995 r.

Janka nie było w domu, gdy zadzwonił telefon z wiadomością, na którą Adela czekała całe życie. Co jakiś czas jeździł z kolegami na ryby. Lubił te męskie wyprawy.

– Halo? – Telefon odebrała Adela.

– Dzień dobry. – Usłyszała kobiecy głos. – Szukam kontaktu do pani Adeli Schulz albo do pana Jana Stefaniaka.

– Tak, słucham? – zapytała Adela, czując, że dzieje się coś ważnego.

– Dzwonię ze szpitala.

– O Boże… – Adela usiadła na krześle. – Coś się stało? – zapytała zaniepokojona.

Oczekiwała na wnuczkę, która lada chwila miała przyjechać swoim nowym samochodem z Gdańska. Wyruszyła wcześnie rano i Adela wyglądała jej już z niecierpliwością. Telefon ze szpitala nie wróżył nic dobrego.

– Coś z Justynką? – wydukała, wstrzymując oddech.

– Nie, spokojnie, nic się nie stało – uspokoiła ją rozmówczyni. – Tylko mam pacjenta, który bardzo chce się z panią spotkać. Czy mówi pani coś nazwisko Ralfs Jansons?

Adela zmarszczyła brwi. Nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek.

– To chyba jakaś pomyłka. Nie znam nikogo takiego i chyba nigdy nie znałam.

– Chwileczkę… – Adela usłyszała szelest papierów. – A czy mówi pani coś nazwisko Schulz? Franciszek Schulz?

Franciszek Schulz mówił jej wiele.

Przez jej głowę myśli przelatywały z prędkością światła. Wielokrotnie wyobrażała sobie tę chwilę. Najpierw myślała, że on stanie w progu i po prostu ją przytuli, potem, że przyśle list, telegram, a gdy założyli telefon w domu, zdarzyło jej się czekać na połączenie z nim. I sprawdzać, czy na pewno jest sygnał, bo aparat wciąż milczał jak zaklęty. Jednak chyba w głębi serca nie wierzyła, że to w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

Siedziała w fotelu i rozmyślała. Nie mogła na niczym się skoncentrować. Oczywiście, obiecała, że wyruszy do Grudziądza tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Miała nadzieję, że Justynka nie będzie miała nic przeciwko, by ją podwieźć te kilkadziesiąt kilometrów. Bo kto miałby to zrobić? Janek? On teraz pewnie łowił rekordowo wielką rybę i nie miała z nim żadnego kontaktu.

Nie wiedziała, co ma wziąć ze sobą. Miała ochotę pokazać Frankowi całe swoje życie. Od momentu, gdy odszedł. Ale jak spakować te kilkadziesiąt lat do jednej torby? Co wziąć najważniejszego? Zabrała jedynie kilka zdjęć. To powinno na początek wystarczyć. Będą mieli jeszcze dużo czasu, by sobie wszystko poopowiadać. A może jeśli on jest w szpitalu, wcale tego czasu tak dużo nie zostało? Wstała z fotela i podeszła do niedużej oszklonej witrynki, w której trzymała porcelanę. Wspięła się na palce i sięgnęła na górną półkę. Zdjęła z niej dwie filiżanki. Te same, które dostała od Franciszka w prezencie zaręczynowym.

Kiedyś sobie obiecali, że wypiją z nich jeszcze herbatę. Wszystko wskazywało na to, że słowa dotrzymają.

Filiżanki były takie delikatne. Lekko nadszarpnięte zębem czasu. Tyle lat minęło, a one mimo swojej kruchości wciąż były piękne i wciąż można było z nich korzystać. Adela owinęła je starą gazetą i włożyła do kartonika, obwiązując go sznurkiem. Kiedy była gotowa, przez okno usłyszała pisk opon. Wyjrzała na zewnątrz. Na podwórko właśnie wjeżdżała Justyna.

– Dziecko, podwiozłabyś mnie gdzieś jeszcze?

– Jasne, babciu. – Wnuczka pocałowała ją w policzek. – Mogę jeździć i jeździć. Chcę nacieszyć się tym samochodem! Daj te tobołki. – Wzięła kartonik od babci.

– Ostrożnie! – zawołała Adela. – Ja może lepiej będę to trzymała na kolanach. – Wzięła od Justyny pakunek i z nabożnością postawiła go na swoich szczupłych nogach.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– A dokąd właściwie jedziemy? – zapytała Justyna.

– Do Grudziądza.

– Do Grudziądza? – Justyna zahamowała gwałtownie.

– Tak, jedziemy do szpitala, odwiedzić mojego znajomego.

– Babciu, ale to jakieś siedemdziesiąt kilometrów!

– Tylko tyle? – Uśmiechnęła się Adela. – Jak blisko!

– Babciu, za tobą się nie nadąży! – Wnuczka pokręciła głową.

– Nadążysz, nadążysz, ale musisz jechać szybciej. Tu masz ograniczenie do dziewięćdziesięciu, to dlaczego jedziesz sześćdziesiątką? Dawaj!

3

– Ja na chwilę tam wejdę, a ty sobie pozwiedzaj miasto – nakazała babcia, gdy zajechałyśmy przed szpital.

– A nie mogę iść z tobą? – zapytała Justyna. – Po co mam chodzić bez sensu w tę i we w tę?

– To trochę potrwa. Muszę z nim sama porozmawiać. Jak chcesz, poczekaj na korytarzu. Albo idź sobie na kawę – zaproponowała Adela, nieco zdenerwowana. – Albo na miasto.

– Jesteś bardzo tajemnicza. A do kogo my właściwie idziemy?

– Do znajomego… Znajomego sprzed lat.

Przed wejściem na salę Adela żałowała, że nie zabrała ze sobą nalewki. Może gdyby łyknęła sobie, byłaby bardziej odważna.

Na łóżku przy oknie leżał mężczyzna podczepiony do aparatury monitorującej rytm jego serca. Opaska na ramieniu co chwilę pompowała powietrze, by sprawdzać ciśnienie. Nie zauważył jej wejścia. Patrzyła na niego przez chwilę. Nie poznałaby go chyba na ulicy. Może nie dlatego, że tak bardzo się zmienił, ale po prostu chyba nie pamiętała już, jak wyglądał.

– Dzień dobry – powiedziała cicho.

Mężczyzna poruszył się. Nie mógł wstać z łóżka, ale spojrzał na gościa i wyciągnął rękę.

– Adela.

Usiadła przy nim i przez dobrych kilka minut nic nie mówili. Jakby żadne słowa nie mogły wyrazić tego, co czują. Mogła mu robić wyrzuty, mogła na niego krzyczeć. Mogła płakać, że

zniszczył jej całe życie, bo tak późno ją odnalazł. Nie zrobiła jednak tego. Zapytała tylko:

– Dasz radę powiedzieć, co się działo przez te wszystkie lata?

Ze szczegółami relacjonował jej ostatnie lata. Skupiając się na emocjach, myślach, marzeniach i planach. Poznawała Franciszka, jakiego w ogóle nie znała. Patrzyła na niego jak na sympatycznego, ale słabo jej znanego człowieka, który po prostu opowiadał historię swojego życia. Nie czuła się związana w żadnym stopniu z tą historią. Wydawało jej się, że ogląda film w sali kinowej albo czyta książkę o kimś zupełnie nieznajomym.

Była po prostu obok i się przysłuchiwała.

Nie czuła w zasadzie nic.

– A co u ciebie? – zapytał Franciszek, gdy skończył. – Gdybym widział cię ostatni raz dzisiaj rano, pewnie zapytałbym, jak minął ci dzień.

– A tak zapytasz, jak minęło mi ostatnie pięćdziesiąt lat? – Uśmiechnęła się.

– Chyba tak. Bo o co mógłbym zapytać?

Adela opowiadała mu o wojnie, o tym, jak Joachim ich ostrzegł przed zbliżającym się do Grudziądza frontem i Armią Czerwoną, jak wyjechali do Kurzętnika. O tym, jak Janek zabrał ich do siebie i jak od tamtej pory żyją razem pod jednym dachem.

– Wzięliście ślub? – zapytał.

– Nie. – Pokręciła głową. – Wciąż czekałam na ciebie. Teraz… już nie muszę.

Franciszek nic nie powiedział. W jego głowie kłębiły się myśli dyktowane przez wyrzuty sumienia. Życie jednak ma się tylko jedno i nie można zweryfikować, czy dokonane przez nas wybory okazały się dla nas najkorzystniejsze.

– Mam kilka zdjęć. Może będziesz chciał je zobaczyć. – Wyciągnęła kopertę z fotografiami i uśmiechnęła się. – To jest nasza córka. Tak wyglądała, gdy była mała, a tu, gdy przyjmowała pierwszą komunię. Tu na własnym ślubie i teraz. – Wyjmowała po kolei zdjęcia.

– Marianna – wyszeptał. – Podobna do mnie!

– A to jest Staszek. – Wyciągnęła zdjęcie syna. – Urodził się dwa lata po Mariannie.

– Ale czy…? – Franciszek spojrzał na zdjęcie, a potem na Adelę.

Ta patrzyła mu prosto w oczy. Po tylu latach miała odwagę, by wyznać mu prawdę. Ale on wiedział, nie musiała nic mówić. On wiedział i chyba po pięćdziesięciu latach go to zabolało, chociaż zupełnie nie miało prawa.

– A to Justynka, twoja wnuczka. Zaraz ją poznasz.

– Adela… – powiedział cicho Franciszek. – Ja mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Nie mów im jeszcze o tym. Albo… nie mów im wcale.

– Franek, dlaczego? – zdziwiła się.

– Dość dużo namieszałem w waszym życiu. Nie chcę już więcej robić rozgardiaszu.

– Ale, Franek! Oni powinni o tym wiedzieć! Nie rób im tego! Nie zabieraj im kawałka przeszłości!

Mężczyzna pokręcił głową.

– Możesz zastanowić się nad tym na spokojnie? – poprosiła Adela. – Przemyśleć tę sprawę jeszcze raz?

– Przemyślę – obiecał Franciszek.

Do sali weszła salowa z kolacją. Adela skrzywiła się. Zapomniała już, jakie posiłki serwują w szpitalach.

– Ma pan kubek? – zapytała salowa.

– Mam. – Franciszek wskazał na stolik nocny.

Kobieta nalała do kubka słabej, słodkiej herbaty.

– Napij się – zaproponował Adeli, gdy salowa wyszła. – Długo rozmawiamy, pewnie masz ochotę na coś ciepłego.

– Poczekaj. – Uśmiechnęła się.

Wyciągnęła kartonik i rozplątała sznureczek. Odwinęła z papieru obie filiżanki z niezapominajkami. Franciszkowi w momencie zaszkliły się oczy.

– Mówiłeś, że jeszcze się kiedyś spotkamy i napijemy herbaty z tych filiżanek. – Adela nalała każdemu trochę napoju z dużego kubka. – Wiedziałam, że zawsze dotrzymujesz obietnic. Nie zawiodłam się.

Mężczyzna spoglądał w filiżankę, jakby chciał coś wyczytać z fusów, których nie było.

– Byłem pewien, że sobie ułożyłaś życie.

– Ułożyłam. – Uśmiechnęła się. – Jestem szczęśliwa, że żyjesz i cieszysz się w miarę dobrym zdrowiem. I że to twoje życie było szczęśliwe.

– A twoje?

Adela uśmiechnęła się do swoich myśli. Przypomniała sobie wszystkie najpiękniejsze chwile. To, jak urodziła Staszka, a Janek był przy niej, a także to, jak ją wspierał we wszystkim, co robiła. Był z nią w chwilach największego szczęścia, ale też smutku. Na przykład wtedy, gdy umarli jej rodzice. Kochał ją, nie oczekując zupełnie niczego w zamian.

– Nie mogłabym sobie innego wymarzyć. Chociaż… chyba go nie doceniałam. Dobrze, że jeszcze żyję i mogę zacząć doceniać.

Kiedy Franek na chwilę przysnął, Adela złapała go za rękę.

– Późno już. Musisz odpocząć. Jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać. Niejedną. Na razie musisz się wykurować.

– Adela, a powiedz mi, ta przesyłka, co ją wysłałem… Dotarła kiedyś?

– Nie. Nigdy. Może gdyby dotarła, pomyślałabym, że nie żyjesz i wszystko inaczej by się potoczyło. Ale pod tamtym adresem nie było już nikogo, kto mógłby nam ją przekazać – westchnęła.

– Adela… – Franek jakby sobie jeszcze coś przypomniał. – Mógłbym ją poznać?

– Kogo? – zdziwiła się.

– Justynę. Naszą… Naszą… wnuczkę. – Z trudem przychodziło mu wypowiedzenie tych słów.

– Mogę jej powiedzieć o tobie? Zmieniłeś zdanie?

– Nie… Mówiłem ci, byś nie mieszała w jej życiu.

– To jako kogo mam ciebie przedstawić? – zapytała Adela, otwierając drzwi na korytarz.

– Jako kogo… – zastanowił się dziadek. – Jako Ralfsa. Znajomego z bardzo dawnych lat.

4

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie Justyna, gdy weszła z babcią do sali.

– Dzień dobry. – Mężczyzna uśmiechnął się promiennie.

– Justynko, to jest Ralfs, znajomy z bardzo dawnych lat – przedstawiła go Adela.

– Jeszcze z czasów wojny? – zapytała dziewczyna.

– Tak – powiedział Franciszek.

– To cudowne, że po tylu latach się odnaleźliście. Pewnie wam nie starczyło czasu, by sobie wszystko opowiedzieć! Dobrze, że wyszłam na miasto, bo bym tutaj siedziała i siedziała!

– Wiesz, Justynko, w pewnym wieku czas jest mocno ograniczony – stwierdziła babcia.

– Przez co ograniczony? – zapytała dziewczyna.

– Przez Boga – dodał Franciszek.

Zapadła chwila ciszy.

– Justynko, zrobisz nam zdjęcie? – zapytała Adela.

– Jasne, babciu.

Mężczyzna i kobieta trzymający porcelanowe filiżanki w dłoniach. Oboje patrzący przymrużonymi oczyma w przyszłość, która już niczym nie mogła ich zaskoczyć. Ich oczy uśmiechały się mądrością dojrzałych ludzi, którzy niejedno przeżyli.

Kolejne zdjęcie. Uśmiechający się mężczyzna.

– Mogę mieć z tobą zdjęcie? – zapytał Justynę.

– Oczywiście. A może sobie zrobimy wszyscy razem? Zawołam pielęgniarkę!

Gdy wracały do Kurzętnika, Justyna powiedziała:

– Nie mogę się pozbyć uczucia, że ten mężczyzna mi kogoś bardzo przypomina.

– Mnie też, kochanie. Mnie też…

Do Kurzętnika zajechały późnym popołudniem. Janek już był w domu.

– No, wreszcie! – ucieszył się. – Już się martwiłem, że coś się stało. Gdzie byłyście?

– W Grudziądzu – wymsknęło się Justynie.

Babcia spojrzała na nią porozumiewawczo.

– W Grudziądzu? – zdziwił się Janek. – A co wyście tam robiły?

– To zaraz… – ucięła Adela. – Na razie musimy coś zjeść. A potem wszystko ci opowiem.

Janek, lekko kulejąc, poszedł do kuchni. Czasem stopa mu dokuczała bardziej. Dzisiaj widocznie był ten dzień. Adela udała się w ślad za nim.

– Janek, zgadzam się – powiedziała cicho.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Na co się zgadzasz? Wreszcie przemyślałaś remont łazienki? – zapytał, spoglądając na nią z drabinki, na której stał.

Sięgał po zapasy cukru, który mieli w górnej szafce. Gromadzenie zapasów weszło im w nawyk w czasie wojny.

– Na to też się zgadzam. – Uśmiechnęła się.

– A na co jeszcze? – zdziwił się Janek, zamykając szafkę.

– Janek… Dawno temu o coś mnie zapytałeś. Jeżeli nie zmieniłeś zdania, to ja się zgadzam…

Janek o mało co nie spadł z drabiny.

– Adela? Co ty chcesz mi powiedzieć? – Spojrzał na nią badawczo.

– Kochanie, może się wreszcie pobierzemy?

Jan nie mógł dojść do siebie po tych nietypowych oświadczynach. Tak długo czekał na to ciastko, że już przyzwyczaił się do myśli, że go nigdy nie zje.

– Skąd ta zmiana decyzji? – Usiadł przy stole, obok Adeli.

Justyna poszła odpocząć do swojego pokoju, jak nazywała panieński pokój matki.

– Franciszek żyje. – Zadrżał jej głos.

– Co? Co ty mówisz? Żyje? – Janek zamarł. – Ale to jak, on żyje, a ty chcesz ze mną brać ślub? Jak to?

– To bardzo długa historia…

– Ale… Ale ja… ja zaraz po wojnie dostałem jego rzeczy osobiste. – Złapał się za głowę. – Notes, ołówki, z którymi się nie rozstawał. Byłem pewien, że on nie żyje, że ktoś to znalazł i wysłał.

– To dlaczego nie powiedziałeś mi tego? – z wyrzutem zapytała Adela.

– Kiedyś mi mówiłaś, że umrzesz, jeżeli się dowiesz o jego śmierci. Ja bym przestał żyć razem z tobą. A tego nie chciałem.

Adela pokręciła głową.

– Zobacz – westchnęła. – Wojna się już dawno skończyła, a my wciąż jesteśmy uwikłani w te wojenne historie. Już tyle lat minęło…

– Opowiesz mi, co się stało?

– Mogę ci opowiedzieć. Ale chyba będzie lepiej, jak wsiądziesz w samochód i do niego pojedziesz.

– Dokąd?

– Jest w szpitalu w Grudziądzu. Jak teraz wyjedziesz, to zdążysz przed wieczorem. Nie mów nic Justynie. Franciszek prosił, bym im nie mówiła. Muszę to uszanować.

– Dlaczego? – Janek nie mógł tego zrozumieć.

– Powiedział, że wystarczająco dużo im w życiu namieszał i nie chce już bardziej… Ale pomyślałam sobie, że powinieneś do niego pojechać. Może go przekonasz.

Jan zaczął szukać kluczyków.

– Może najpierw spodnie przebierz. – Roześmiała się Adela. – Po tych rybach nie są najczystsze.

– Czekaj… – Janek usiadł w fotelu, nie zważając na spodnie. – To jest kompletnie bez sensu. – Pokręcił głową. – Ty mi się oświadczasz. Nadszedł dzień, na który czekałem niemalże całe swoje życie, a ja jadę do twojego męża. I wszystko pięknie, tylko trudno mi zrozumieć, dlaczego gdy go nie było, trzymałaś mnie na dystans, a jak on nagle cudownie się pojawił i moglibyście być znowu razem, na co ty czekałaś latami, to ty chcesz wyjść za mnie. Nigdy nie rozumiałem kobiet…

– Janek… – Uśmiechnęła się. – Ja ci to wszystko potem wytłumaczę. Ale obawiam się, że jeżeli chcesz z nim porozmawiać, to musisz się spieszyć.

Spojrzał na nią pytająco.

– Nie jest dobrze. Mam nadzieję, że zdążysz. Ty idź się przebierz, a ja mu zapakuję trochę jedzenia. W szpitalach nie jest z tym najlepiej, a on tutaj nie ma nikogo.

14 sierpnia 2006 r.

– Pojechał? – zapytałam.

– Pojechał. Wyjechał zaraz potem. Ja zostałam sama i miałam okazję, by przemyśleć jeszcze raz to wszystko. Janek miał rację. Zobacz, jak ten los z nami igrał. Mogłam być z nim szczęśliwa, a czekałam na twojego dziadka. Gdy Franek się pojawił, wiedziałam, że niczego bardziej nie pragnę, jak być z Jankiem.

– Ale co się stało? Dziadek cię rozczarował?

– To nie tak… Nie rozczarował mnie, bo też niczego nie oczekiwałam – westchnęła babcia. – Siedziałam obok niego, piłam tę strasznie słodką herbatę z naszych filiżanek, tych samych, których nie pozwalałam nikomu dotykać, i nie czułam nic. Nasza miłość była taka… nieużywana, jak te filiżanki. Już zapomniałam, jak z nich smakuje herbata. Zapomniałam, jakie są delikatne. Nawet zastanowiłam się przez moment, czy ta herbata nie smakowałaby lepiej w zwykłym ceramicznym czy glinianym kubku. Takim codziennym.

– Babciu, smutne to wszystko. – Złapałam ją za rękę.

– Smutne. Ale też pokazuje, że nie warto czekać całe życie. Nie warto chować swojego życia za szkło i czekać na lepsze okazje, by z niego korzystać. Trzeba chłonąć każdy dzień i się nim cieszyć. Rano być wdzięcznym za to, że się obudziliśmy, a wieczorem dziękować za to, że mamy zapisaną kolejną kartkę z kalendarza naszego życia.

– Przecież byliście sobie przeznaczeni – westchnęłam.

– Chyba tak. Ale te lata nas zmieniły. Nie byliśmy już tymi samymi ludźmi, którymi byliśmy w czasie wojny. Justyś, minęło

pięćdziesiąt lat. Sama wiesz, ile może się przez te pięćdziesiąt lat wydarzyć.

– Wybaczyłaś mu?

– Tak. Nie mam do niego żalu. – Babcia pokręciła głową. – Znowu życie okazało się zbiorem różnych wyborów, dylematów, myśli w stylu: „co by było gdyby". Życie nigdy nie jest białe albo czarne. Bo, wiesz, Justynko, gdyby nie poznał tej kobiety, to pewnie by nie żył. Tego bym nie chciała… A ja jestem szczęśliwa, że tak późno poznałam prawdę. Pewnie gdyby wcześniej dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci, nie umiałabym również ułożyć sobie życia. A to spotkanie uświadomiło mi, że jestem wolnym człowiekiem. Że już nie muszę czekać. Ty nie popełnij tego samego błędu.

– Spotkaliście się potem jeszcze? – zapytałam.

– Nie – powiedziała babcia.

– Dlaczego?

Kurzętnik, 1995 r.

Janek delikatnie potrząsnął za ramię śpiącą Adelę.

– Adelko, obudź się.

Kobieta zerwała się z łóżka.

– Franciszek nie żyje – wyznał Janek.

– Jak to? Zdążyłeś z nim porozmawiać?

– Zdążyłem. Ale chyba było zbyt dużo emocji. – Janek pokręcił głową. – Winię siebie za to. Za tę rozmowę. Może trzeba było z nią poczekać?

– A jakbyś nie zdążył z nim porozmawiać? Jakbyś do niego nie pojechał i dzisiaj by się okazało, że nie żyje?

– To nie umiałbym sobie tego wybaczyć – powiedział cicho Jan.

Trudno im było pogodzić się z tym, że Franciszek pojawił się w ich życiu na tak krótko. Pojawił się tylko po to, by powiedzieć „do widzenia”. Chociaż może to i dobrze?

– Smutno by było, gdyby odszedł bez pożegnania – powiedziała Adela, stojąc nad świeżo usypanym grobem.

– On wiedział – stwierdził Janek. – On czuł, że jego koniec jest już bliski.

– Skąd wiesz?

– Mówił mi. Sprzedał mieszkanie i wszystko nam zapisał.

Adela pokręciła głową.

– Zobacz. Jeszcze kilka dni temu nie było nic. Dzisiaj mamy grób Franciszka, pieniądze i wiedzę o tym, co było.

– Ale to chyba dobrze, co? – zapytał Jan.

– Chyba dobrze. – Westchnęła Adela. – Po tylu latach. Staram się nie myśleć, „co by było gdyby”, bo to niczego nie zmieni. Lepiej przeznaczyć czas na robienie dobrych rzeczy niż na rozpamiętywanie i rozliczanie tych złych. Lepiej planować przyszłość, niż zastanawiać się, jak mogłaby wyglądać teraźniejszość, gdyby ktoś kiedyś podjął inne decyzje.

– Masz rację. – Objął ją ramieniem i stali przez chwilę nad grobem przyjaciela, zastanawiając się nad tym, co stało się przez te wszystkie lata.

EPILOG

1

Wtedy, gdy usłyszałam tę historię, chciałam wiedzieć więcej. Trochę byłam zła na dziadka, że nie pozwolił mi siebie poznać, i na babcię, że tak późno mi o tym wszystkim opowiedziała. Przecież miałabym okazję porozmawiać z dziadkiem! Nawet miałam z nim zdjęcie. Wtedy zastanawiałam się, dlaczego ten sympatyczny starszy pan, mówiący z nieco dziwnym akcentem, chce mieć ze mną zdjęcie. Teraz wiem – chciał, bym ja je miała.

Tamtego wieczoru miałam ochotę pytać więcej i więcej. Chociaż chyba to, co było najważniejsze, już zostało opowiedziane. Zawiłe losy babci, dziadka i ich przyjaciół.

Najważniejsze, że przez ostatnie dziesięć lat swojego życia babcia była szczęśliwa. Ona i wujek Janek. Na nic już nie czekali, mogli żyć chwilą i cieszyć się sobą. Tylko szkoda, że tak późno.

Babcia jednak niczego nie żałowała.

– Szkoda czasu na żałowanie tego, co się straciło, czy tego, czego się nie zrobiło – powiedziała babcia. – Pamiętaj o tym. Każdy dzień przynosi ci nowe, zupełnie nowe dwadzieścia cztery godziny. I tylko od ciebie zależy, czym te godziny wypełnisz. Szkoda czasu na wspominanie tego, co było, bo, jak widzisz, twój czas się kiedyś skończy.

– Babciu, teraz musisz odpocząć – poprosiłam. – Za dużo tych emocji. Jutro też jest dzień. Pewnie będę miała milion pytań!

Niestety nie miałam okazji ich zadać, bo nad ranem babcia zmarła. Myślę, że była spokojna, że powierzyła mi już wszystkie tajemnice.

2

Po pogrzebie mogłam w spokoju pobyć w mieszkaniu babci. Poczytać listy i chłonąć atmosferę starego Grudziądza. Tę, o której babcia mi opowiadała dzień przed śmiercią. Powiedziała mi jeszcze, że tak zależało im na kupnie tego mieszkania, bo należało kiedyś do państwa Goldblumów.

Gdy stałam przed drzwiami i wpatrywałam się w całkiem ładnie odnowioną kamienicę, oczyma wyobraźni widziałam ten moment, gdy dwóch osiłków wynosiło z domu białe pianino Racheli. Widziałam w każdym kącie tego mieszkania tych młodych ludzi, którym przyszło żyć w tak trudnych czasach. I pierścionek z rubinem leżący w szparze podłogi.

Podczas rozmowy z babcią rozwiązał się również temat pieniędzy. Dziadek, wyjeżdżając ze Szwecji, spieniężył cały swój majątek i wszystko zapisał Adeli. Nie było tego bardzo dużo, ale wystarczyło na kilka dobrych inwestycji. Takich na przykład, jak to mieszkanie Racheli Goldblum, przy niegdysiejszej Gosslerstrasse, oraz moja kawalerka w Gdańsku. Trochę jeszcze zostało.

Podobno babcia próbowała to wszystko opowiedzieć mamie i wujkowi Staszkowi, ale mama nie chciała słuchać, a wujek robił zawsze to, co mama. Chyba nie wspominałam, ale wyjechał do

Niemiec w latach osiemdziesiątych i tam ożenił się. Nie ma dzieci. Dosyć często nas odwiedza i to on teraz moim dzieciakom kupuje najlepsze zabawki.

Dlaczego mama i wujek nie chcieli słuchać? Nie wiem. Babcia prosiła, bym nie mówiła im nic na siłę. Zależało jej jednak, by moje dzieci poznały tę historię.

3

Tamtego wieczoru, gdy zostałam sama w mieszkaniu babci, poczułam się tak bardzo blisko niej, jak nigdy wcześniej. Zapaliłam świeczkę i siedziałam przy niej długo w nocy. Jeszcze raz czytałam listy dziadka, które tak nagle się urwały. W pudełku po czekoladkach Goplana znalazłam jeszcze jeden skarb. Taki, który wyjaśniał kolejną tajemnicę.

Hartford, USA, marzec 1947 r.

Adelo!

Mam nadzieję, że ten list do Ciebie dotrze. Nie wiem, gdzie teraz mieszkasz, ale podobno poczta dochodzi. Piszę, bo chcę, byś wiedziała, że żyjemy. Mamy nadzieję, że Ty też cieszysz się dobrym zdrowiem.

Jesteśmy razem z Rachelą. Nareszcie! Po długich trudach rozłąki i po koszmarnych przeżyciach Racheli w Auschwitz. Kocham ją jeszcze bardziej niż wtedy. Za to, jaka była i za to, że po tych wszystkich przejściach jeszcze ma siłę żyć. Dla mnie, dla nas.

Mamy syna i spodziewamy się kolejnego dziecka.

Po tym, gdy wywieźli Rachelę do obozu, nie mieliśmy zupełnie kontaktu. A mimo to byłem pewien, że nie zginęła. Gdy byłem na froncie, dotarła do mnie informacja o jej śmierci. Ciężko to przeżyłem. Jednak coś mi nie dawało spokoju… I miałem rację!

Owszem, według zapisów w dokumentach Rachela nie żyła, ale na szczęście papiery były sfałszowane! Nie uwierzysz, ale w ucieczce z obozu pomógł jej mój ojciec! Mój ojciec, którego miałem za najbardziej fanatycznego zwolennika Hitlera, wiedział, jak mi na niej zależy.

Rachela i jej matka zachorowały i przewieziono je do szpitala. Tam pracował przyjaciel ojca, Rupert, i to on sfałszował papiery. Napisał, że Rachela zmarła na tyfus. Jej matka, niestety, zmarła naprawdę…

Potem przewieziono Rachelę do jakiejś wioski niedaleko obozu i tam się nią opiekowano, aż wydobrzała. Wielkanoc w czterdziestym czwartym roku spędzała już na wolności. Mówiła, że to były jej najpiękniejsze święta. Musiała się ukrywać, ale na szczęście w końcu się odnaleźliśmy.

I popatrz, chciałem popełnić mój największy życiowy błąd już w momencie, gdy ona była wolna. A ja zupełnie o tym nie wiedziałem! Mówię o ślubie z Sabiną… Nawet ciężko mi o niej myśleć.

Rachela powiedziała mi, że Rupert, ten lekarz, razem z ojcem pomogli wielu osobom. Tak mi jest przykro, że nie mogę już mu powiedzieć: „dziękuję". Nie ma go już wśród nas. Żałuję, że odszedł, kiedy myślałem o nim same najgorsze rzeczy. A on był dobrym człowiekiem. O tym, że pomagałem Wam, też wiedział. Wszystko wiedział i mnie krył, chronił…

Nie wiem, co by się stało, gdyby nie jego i, oczywiście, Boża opieka. Ciepło o nim myślę, nawet cieplej niż za jego życia. To takie przykre, że dopiero po czyjejś śmierci wychodzą na jaw dobre rzeczy, które zrobił. Pewnie też wychodzą złe, ale ja nie chcę o tym teraz myśleć. Dowiedziałem się, że ojciec dlatego musiał wyjechać w głąb Rzeszy, bo na miejscu zaczęli podejrzewać, że za bardzo pomaga Żydom i Polakom. Podobno intensywnie szukał Racheli i zrobiło się to podejrzane. Mama zmarła już w Stanach. Okazało

się, że ona wiedziała o wszystkim, tylko nie mogła mi nic powiedzieć.

Adelo, powiedz Jankowi, że Sabina nie jest dobrym człowiekiem. Uważajcie na nią, a najlepiej nie kontaktujcie się z nią wcale. O ile ona jeszcze żyje…

Tak sobie marzymy z Rachelką, że kiedyś się spotkamy i jeszcze zobaczymy nasz Grudziądz. Razem pójdziemy na spacer nad Wisłę. Słyszałem, że niewiele zostało z naszego miasta, że już nie jest tak, jak było.

Napisz mi, proszę, czy u Was wszystko w porządku. Szukałem Franciszka przez Czerwony Krzyż, ale nic nie wiedzą, zatem jestem przekonany, że jesteście razem w dobrym zdrowiu.

Joachim i Rachela

Wszystko układało się w jedną całość. Nawet goście ze Stanów – Rachela, Joachim i ich dzieci. Te dzieci, w wieku mojej mamy, które kiedyś odwiedziły nas w Gdańsku i przywożąc lalkę Barbie, spełniły moje marzenia.

Teraz już znałam ich trudną historię. Byłam pełna podziwu dla drogi, którą przeszli. Dla ich pogody ducha i uśmiechu mimo przeciwności losu. Bo życie ludzkie jest jak porcelanowe filiżanki. Kruche, delikatne. Po latach możemy spotkać się, niby jesteśmy tacy sami, a jednak rysy, którymi życie nas naznaczyło, mogą uczynić nas zupełnie innymi ludźmi. Tak jak spękania na filiżankach mogą narysować na nich zupełnie nowy wzór.

Wszystkie tajemnice zostały rozwiązane. I gdy wracałam pociągiem do domu, dostałam tę gazetę. A potem skręciłam nogę

i dzięki temu mogłam ten artykuł w spokoju przeczytać i nad wszystkim się zastanowić.

Podobno w życiu nie ma przypadków.

4

Z artykułu i potem z wielu książek, które na ten temat czytałam, dowiedziałam się, że często powtarzamy schematy z życia naszych przodków i jesteśmy w stanie to przerwać tylko w momencie, gdy sami to zrozumiemy. Dopiero gdy zobaczymy te powiązania, to jesteśmy w stanie żyć własnym życiem.

Po tej historii, którą opowiedziała mi babcia Adela, ja zobaczyłam, że w wielu wypadkach zachowywałam się zupełnie tak samo jak ona. Dokonywałam nawet podobnych wyborów. Chyba powinno się to skończyć! To powinno być moje życie, sama powinnam je kreować.

Każdy człowiek ma swoją historię, ona potem żyje w jego potomkach, a podświadomość ma dobrą pamięć i lubi więzy rodzinne. Przodkowie przekazują nam wszystkie swoje życiowe doświadczenia, a my z kolei przekazujemy je naszym dzieciom. Wyniki najnowszych obserwacji klinicznych i badań naukowych pokazują, że traumy z przeszłości mogą przechodzić z pokolenia na pokolenie i ukazywać się w postaci koszmarów albo powtarzających się zdarzeń, czasem nawet dziejących się w określonych, zawsze tych samych dniach. Takie koszmarne doświadczenia dziedziczone są nawet do trzech pokoleń do przodu. To znaczy, że ja nosiłam w sercu wojenne losy mojej babci. A co przekażę moim dzieciom?

Nie chciałabym, by moje córki wciąż czekały. Najpierw na miłość, potem na szczęście. Nie chciałabym, by pogubiły się w tym

czekaniu, tak jak ja się zgubiłam. Na szczęście przypadkowe spotkanie w pociągu kobiety, która podarowała mi gazetę z artykułem o psychogenealogii, pozwoliło mi odnaleźć drogowskaz. Drogowskaz z napisem „szczęście”.

Na szczęście nie rozwiodłam się z Konradem. Powoli, krok po kroku, budowałam jeszcze raz swoje małżeństwo. Już nie tęskniłam za Wolfem. Nie czekałam. Teraz ta tęsknota nawet wydawała mi się śmieszna.

Codziennie wieczorem kładłam się obok człowieka, z którym naprawdę chciałam iść przez życie. Z którym chciałam zapisywać te dwadzieścia cztery nowe godziny, jakie codziennie są nam dane. Chciałam wraz z nim pić i z porcelanowych filiżanek, i z papierowych kubków.

– Kocham cię – powiedziałam, gdy odwiedziliśmy babcię, wujka Janka i dziadka na starym cmentarzu w Grudziądzu.

Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i kupiliśmy kawę. Te dwa kubki pełne kawy stały obok siebie na dachu naszego samochodu.

Konrad spojrzał na mnie badawczo.

– Coś się stało?

– Nie… Po prostu… lubię z tobą pić kawę.

Konrad uśmiechnął się.

– A jak wrócimy do domu, to napijemy się herbaty ze starych filiżanek babci. Dobrze?

– Dobrze.

Gdy wieczorem siedzieliśmy w fotelach i piliśmy herbatę, opowiedziałam Konradowi całą historię. Dopiero wtedy byłam na to gotowa.

– Zobacz, gdy twój dziadek wyruszał na wojnę, obiecał babci: „Jeszcze się kiedyś spotkamy". Słowa dotrzymał.

Pokiwałam głową, obracając filiżankę w dłoni.

Pomyślałam, że psychika ludzka jest tak samo delikatna, jak te filiżanki. Życie odciska na człowieku jeszcze większe piętno niż czas na kruchej porcelanie. Każdego dnia trzeba dbać o drugiego, szczególnie bliskiego ci człowieka. Gdy go zranisz, to jego duszę pewnie da się posklejać, ale rysy, czasem bardzo głębokie, pozostaną na zawsze. Dokładnie tak samo, jak te na starych zaręczynowych filiżankach babci.

Tamtego roku jeszcze raz pojechaliśmy do Grudziądza. W taką podróż sentymentalną szlakiem wszystkich, o których usłyszałam w przeddzień śmierci babci. Wsiedliśmy w tramwaj i po kolei odwiedzaliśmy miejsca znane nam z jej opowieści. Najpierw ruszyliśmy do Tarpna, gdzie kiedyś mieszkała Adela. Przeszliśmy się ulicą Paderewskiego. Widzieliśmy miejsce, gdzie piekarnię miał kiedyś Jan Węgorzewski, ten, od którego Janek wynajmował mieszkanie. Potem ruszyliśmy ulicą Legionów, dawną Adolfa Hitlera. Dostaliśmy się do środka kamienicy oznaczonej numerem trzydzieści jeden, gdzie kiedyś mieszkała rodzina Joachima.

– Tu jest podobno najstarsza winda w Europie – powiedział Konrad. – Z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku.

– Przejedziemy się nią?

– Nieczynna od czterdziestego szóstego. – Pokręcił głową.

– Myślisz, że Rachela i Joachim się w niej całowali? – Pocałowałam mojego męża, patrząc w kierunku windy.

– Myślę, że ona była bardziej przyzwoita niż ty – mruknął, udając oburzenie.

– No, halo! Ja jestem mężatką!

– Właśnie! Stateczną matką dwójki dzieci. – Roześmiał się, mocno mnie przytulając. – A całowanie w windzie ci w głowie!

Potem poszliśmy na Forteczną. Tam, gdzie kiedyś mieszkała Sabina. Byłam ciekawa, czy ktoś, kto tam teraz mieszka, zna historię dawnej lokatorki. Ale nikogo takiego nie spotkaliśmy.

Zobaczyliśmy też wtedy stary dom państwa Schmidtów, przy Jagiellończyka. W ogrodzie znowu bawił się mały chłopiec. Tak jak pięćdziesiąt lat temu. Wzięłam moją córkę na ręce i mocno ją przytuliłam. Pamiętałam słowa prababci, że trzeba cieszyć się dziećmi, bo one tak szybko dorastają.

Widzieliśmy też szkołę babci i szkołę, do której chodzili Franciszek, Jan i Joachim.

Na koniec pojechaliśmy do domu Adeli i Jana. Dawnego mieszkania Goldblumów. Gdy spoglądałam na drzwi do kamienicy, widziałam dokładnie to białe pianino, które było wynoszone przez dwóch nieokrzesanych drabów. Pianino, które z trudem mieściło się w drzwiach i zostało poobijane z każdej możliwej strony. Chyba białe pianino już zawsze będzie dla mnie symbolem zwycięstwa Racheli Goldblum. Zwycięstwa nad śmiercią.

Od tamtego czasu minęło kilka lat. Moje małżeństwo jest coraz mocniejsze i trwalsze. Przestaliśmy oboje czekać, aż zdarzą się cuda, tylko sami te cuda tworzymy. Chyba nie tylko my, bo Magda i Artur też zgodnie, ramię w ramię, idą przez życie. Mają trzecie dziecko i możliwe, że nigdy nie było u nich lepiej niż teraz. Magda mówi, że chyba za szybko się pobrali i nie zdążyli się wyszaleć

przed ślubem, to trzeba było po. Nie wnikam w to, najważniejsze, że są razem i są szczęśliwi, mimo licznych zawirowań i przygód. Oni też nie wracają do tamtych chwil – patrzą do przodu, nie rozpamiętują przeszłości.

Namówiłam wreszcie Konrada na długi urlop. Nie czekałam, po prostu kupiłam bilety na samolot i dałam mu w prezencie na naszą rocznicę ślubu. Polecieliśmy do Stanów. Wypożyczyliśmy samochód i jeździliśmy po bezdrożach. Odwiedziliśmy też Joachima i Rachelę. Mieszkają razem w prywatnym domu opieki w małym miasteczku w Connecticut. Joachim powiedział nam, że założył się z Rachelą, że pierwszy nie umrze. A że jego żona twarda jest i długowieczna, to musi jeszcze trochę poczekać i pomęczyć się na tym świecie. Mają czworo dzieci i siedmioro wnucząt. Dwoje z nich studiuje w Polsce. Czasem wpadają do nas w odwiedziny. Jesteśmy z nimi umówieni na obiad w przyszłym tygodniu.

Filiżanki stoją nadal za szkłem, ale wyciągamy je wtedy, gdy mamy na to ochotę. Nie czekamy na okazję, bo ta, gdy się nadarzy, może nas rozczarować. Żyjemy chwilą i łapiemy życie takim, jakie ono jest. A jest piękne! Nauczyliśmy się, że trzeba się z nim delikatnie obchodzić i o nie dbać, ale też korzystać z niego, jak z tych kruchych filiżanek. Delikatnie, z troską i miłością.

Korzystamy z każdego dnia i nie marnujemy czasu na rozliczanie przeszłości, tylko staramy się budować cudowną przyszłość.

KONIEC

Gdańsk, 30 stycznia 2019 r.

POSŁOWIE I PODZIĘKOWANIA

Kochani!

Myślę, że po tym, co wspólnie przeżyliśmy na kartach tej powieści, mogę się już do Was tak zwracać. Pochowaliśmy kilka osób, tęskniliśmy, płakaliśmy, urodziliśmy sporo dzieci, a nawet jedno przy dźwiękach niemieckiej piosenki biesiadnej. To zbliża, prawda?

Podobało się Wam? Z całego serca marzę, byście teraz uśmiechnęli się i pokiwali głową.

Przy niektórych pisanych przeze mnie książkach mam tak, że historie rodzą się same, w najmniej oczekiwanych momentach. Czasem jedno słowo, jeden gest powoduje, że rozpala się płomień, którego potem nie umiem zgasić. I nawet nie chcę! I nowa historia tli się we mnie tak długo, aż zdecyduję się ją napisać. A potem już płonie!

O tej historii zaczęłam myśleć kilka lat temu, podczas spotkania autorskiego w Krakowie. Nie pamiętam już dokładnie, jak to się stało, że zaczęłam na spotkaniu opowiadać o mojej babci i dziadku. Może mówiłam o książce „Cześć, co słychać?" i o ustawieniach rodzinnych, a może zupełnie o czymś innym. Nie pamiętam. W każdym razie opowiedziałam Wam, że mój dziadek zaginął na wojnie, a moja babcia na niego czekała. I w tym momencie poczułam całą sobą, że to byłaby dobra historia. Wyraźnie poczułam to oczekiwanie mojej babci.

Potem zaczęłam o tym myśleć. W tym czasie napisałam kolejne powieści, ale ja zawsze tak mam, że z tymi najważniejszymi książkami muszę trochę „pochodzić w ciąży". Tak też było i z tą. Nie był to jej czas. Aż do tej pory.

Tak, ta książka jest inspirowana historią rodzinną. A ile w niej prawdy? Nie wiem. Może przez przypadek napisałam coś, co wydarzyło się rzeczywiście? Tego się pewnie nigdy nie dowiem.

We wstępie napisałam, że prawdą jest jedynie to, że dziadek Klemens zaginął. Prawdziwa jest jeszcze piekarnia w Tarpnie, należąca do Jana Węgorzewskiego, brata mojej babci Janki. Ale nie wiem, czy wynajmował on komuś pokój nad piekarnią. Być może…

W moim domu nigdy nie mówiło się o dziadku Klemensie. Wiedziałam tylko, że to była taka cudowna miłość. Dopiero gdy byłam dorosła, dowiedziałam się, że został wcielony do Wehrmachtu. Przyznam, że było to dla mnie szokiem. Jak to, mój dziadek? W niemieckim wojsku? Przecież to niemożliwe!

I teraz, gdy opowiadam tę historię na Śląsku czy na Pomorzu, wszyscy kiwają ze zrozumieniem głowami. Gdy opowiadam tę historię w Krakowie czy Poznaniu, czuję dystans i pewnego rodzaju niechęć. Nie dziwię się wcale!

Otóż w Grudziądzu do 1945 roku 87% obywateli zostało wpisanych na listę narodowościową. I tak jak profesor Kaczmarek napisał w swojej książce (spis literatury, z której korzystałam, zamieszczam na samym końcu), w Grudziądzu czy w ogóle na Pomorzu, żeby się nie dostać na folkslistę, trzeba było się natrudzić. Z kolei w Wielkopolsce trzeba było natrudzić się, by się tam dostać. Szacuje się, że Wehrmachcie było 200–400 tysięcy Polaków, czyli około 3% wszystkich żołnierzy tej formacji.

Podczas pisania tej książki nauczyłam się więcej niż podczas całej mojej nauki historii w szkole…

Jedno chciałabym, byście zapamiętali. Nie zawsze było tak, że Polacy wpisywali się dobrowolnie na folkslistę. Czasem, na przykład w Grudziądzu, wystarczyło znać kilka słów po niemiecku, by zostać na tę listę wpisanym.

Przeglądając dokumenty, odkryłam, że mój dziadek poszedł do wojska 26 marca 1942 roku. Trzy tygodnie po tym, jak urodziła się moja mama. Mogę wnioskować, że został wezwany do wojska, bo Niemcy tracili ludzi na froncie wschodnim i brakowało im ludzi… Nie wiem, co robił wcześniej.

W czasie wojny najtrudniejszy jest wybór pomiędzy jednym złym a drugim złym. Która matka, wiedząc, że jej dzieci będą miały jedzenie, nie zrobiłaby czegoś, czego nie robi zazwyczaj?

Moi bohaterowie też stają często przed takim wyborem. Przed trudnym wyborem, którego nikomu nie życzę.

W książce tej jest prawda historyczna. Nawet repertuar kina Gryf się zgadza. Tak, naprawdę 15 sierpnia 1939 roku grano „Wrzos", czyli to, na co wybierali się moi bohaterowie. Sprawdziłam!

Przeglądałam gazety, oglądałam filmy. Cały listopad 2018 roku minął w moim domu pod hasłem „II wojna światowa". Powiem nawet, że nastrój przez to miałam minorowy i nie mogłam zupełnie się zabrać do pisania książki.

Przez pewną chwilę miałam nawet wrażenie, że ci wszyscy moi przodkowie bardzo nie chcą, bym zaczęła szperać w historiach rodzinnych. Jakby mi nie wierzyli, że to nie ma być historia rodzinna, tylko opowieść o Franciszku i Adeli, których tak dobrze poznałam przez ten nasz wspólny czas!

Wracając do dziadka Klemensa… Gdy zaczęłam pisać tę książkę, wiedziałam tylko tyle, że wyjechał na wojnę i nie wrócił.

Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Kiedyś wróżka powiedziała babci, że dziadek Klemens żyje. Ale czy można wierzyć wróżce? Nie wiem… Nigdy nie rozmawiałam z babcią na ten temat, czego tak naprawdę nie umiem sobie wybaczyć… Nie pytałam, gdy było można. Teraz jest już za późno.

Gdy zaczęłam myśleć o tej książce, zaczęłam zgłębiać źródła historyczne: książki, programy dokumentalne, czasopisma. Rozmawiałam z różnymi ludźmi. Pamiętam rozmowę z moim bratem.

– Zobaczysz, jeszcze dziadka znajdziemy – powiedziałam któregoś dnia.

– Nie zdziwiłbym się – odparł pewnie mój brat.

I teraz opowiem Wam coś, co się zdarzyło, a gdybym napisała Wam to w książce, w życiu byście mi nie uwierzyli, że to się mogło stać naprawdę…

Mój brat ma przyjaciela. Niemca. Kiedyś sobie siedzą, piją wino i rozmawiają. I nagle do tego przyjaciela ktoś próbuje się dodzwonić.

– Kto to dzwoni? – pyta mój brat.

– A taki mój kolega sprzed lat – odpowiada jego przyjaciel. – Artysta, ale musi pracować, by zarobić na życie. Urodził się w Rumunii.

– A czym się zajmuje?

– Pracuje w takiej instytucji, która zajmuje się znajdowaniem zaginionych żołnierzy Wehrmachtu.

Mojemu bratu zrobiło się zimno. Taki zbieg okoliczności! Niewiarygodny! Czy muszę mówić również, że ostatnie listy dziadka są właśnie z Rumunii?

Następnego dnia mój brat zadzwonił do mnie, zebraliśmy wszystkie dane naszego dziadka i wysłaliśmy zapytanie do tej instytucji. Kilka dni później o drugiej w nocy dzwoni telefon. Mój

brat. Telefony o drugiej w nocy od własnego brata ZAWSZE się odbiera.

– Siedemnasty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Umarł na skutek odniesionych ran. – Usłyszałam w telefonie.

– Dziadek Klemens?

– Dziadek Klemens.

Całą noc nie mogłam spać. Myślałam o nim, o babci, która była pewna, że dziadek żyje, i o tych wszystkich ludziach, którzy chodzili tymi trudnymi wojennymi ścieżkami.

Następnego dnia dostałam od mojego brata skan dokumentu poświadczającego, że dziadek zmarł, przyczynę śmierci i informacje, kto przez ten czas pytał o niego.

Zaniosłam ten papier mamie. Mama wyciągnęła listy. Piękne listy dziadka do babci. Początkowo chciałam zamieścić je w książce, ale jednak uznałam, że one są ich. Tylko ich. I trochę moje. Ale tylko trochę…

Jednak słowa: „Mam czas, więc piszę do Ciebie ten list, bo tak mi bardzo tęskno za Tobą, więc żeby sobie ulżyć, trzeba choćby tylko pisać" są prawdziwe. Napisał je mój dziadek do mojej babci, dokładnie 31 lipca 1944 roku. Zauważyliście datę? Tak, nie pomyliłam się. Napisał je ponad 3 miesiące po swojej rzekomej śmierci wskutek poniesionych ran. To nie był datownik na kopercie, ale data napisana odręcznie, jego pismem.

Kiedy to zobaczyłam, to z kolei mnie zrobiło się zimno. Układanka przestała pasować! Nadal nic nie wiedzieliśmy. I nadal nic nie wiemy…

Może kiedyś wyruszymy do Rumunii śladem naszego dziadka. I może wtedy urodzi się kolejna historia? Znajomy przyjaciela mojego brata, który przecież doskonale zna rumuński, obiecał pomóc. Czyż istnieją zbiegi okoliczności? Pewnie powiecie, że nie.

O dziadka pytał w 1988 roku jego brat, Jerzy, oraz ktoś ze Stanów. Pierwsze, co pomyślałam, to Rachela i Joachim! Ale przecież… nie było żadnych Racheli i Joachima. Ja ich sobie wymyśliłam. Niestety też nie było żadnego Janka i babcia do śmierci pozostała sama.

Mówię Wam, moje życie przez ostatnie kilka miesięcy przeplatało się z życiem moich bohaterów i sama traciłam czasem rozeznanie, co było prawdą, a co fikcją, wymyśloną przeze mnie. A może ktoś z góry mi to wszystko dyktował? Tego się też nigdy nie dowiemy.

Miałam jednak wrażenie, że gdy moi przodkowie odkryli, że za bardzo nie grzebię w ich życiu, to sami pozwalali mi rozwinąć fabułę…

Wszystkie fragmenty z radia, gazet i odezw są prawdziwe. Przepisane słowo w słowo.

Pisanie tej książki było wspaniałą przygodą, chociaż jeszcze żadna powieść do tej pory mnie tak fizycznie i emocjonalnie nie wykończyła. Jakby całe moje siły witalne zostały przeniesione w świat fikcji, by moi bohaterowie mogli normalnie funkcjonować na kartach książki.

Ta powieść pisała się sama…

Może odezwie się do mnie ktoś, kto powie: „Znałem go. Znałem Klemensa Samulewskiego już po wojnie. Nie mógł wrócić”. Mój bohater wrócił. Wrócił tylko po to, by napić się herbaty z porcelanowych filiżanek. O moim dziadku nadal nie wiemy nic, poza tym, co mówią listy i ten niemiecki dokument z rzekomą datą jego śmierci.

W tej powieści bardzo istotną rolę odgrywa również psychologia transgeneracyjna. Gdy zaczęłam czytać o tym i porównywać

pewne fakty w mojej rodzinie, wiele zrozumiałam. Zastanówcie się, czy i Wy nie powielacie pewnych zdarzeń z życia Waszych przodków. Jestem pewna, że gdy pomyślicie dłużej, pewne elementy zaczną się Wam układać w całość. Mnie się poukładały. Koniecznie poczytajcie sobie na ten temat!

Ta książka nie powstałaby, a przynajmniej nie byłaby taka, gdyby nie wiele osób, które napotkałam na mojej drodze. Mam ogromne szczęście do ludzi!

Przede wszystkim dziękuję moim najbliższym, że ze mną wytrzymują. Mojemu mężowi, za to, że wytrzymuje jeszcze z żoną w dresach. Dzieciom, które się wstydzą tylko wtedy, gdy mama je odbiera ze szkoły w tych różowych. :) Jak Wy ze mną wytrzymujecie, to ja doprawdy nie wiem!

Małgosi Kowalskiej… To pierwsza książka, którą intensywnie piszę, gdy ty ogarniasz moją rzeczywistość. Bez Ciebie deadline by wykończył wszystkich w promieniu stu kilometrów od miejsca, w którym piszę! A moja rodzina kazałaby mi się wyprowadzić do piwnicy albo garażu. Gosia, dziękuję ci też za niemalże codzienne słuchanie „powieści w odcinkach". Za wynajdywanie nieścisłości. Dziękuję, że byłaś ze mną w tym moim świecie i tak samo się zżyłaś z bohaterami. To właśnie Gosia, gdy zobaczyła, że ktoś pytał o dziadka z USA, zapytała nagle: „A może to Rachela?".

Tak, praca z pisarką nie jest normalną pracą. :) Gosia, wybacz. Nikt nie obiecywał, że będzie normalnie. A wiecie, że gdy zaczynałam czytać Gosi o wojnie, to powiedziała, że jak będzie się ze mną spotykać, to będzie zakładać słuchawki dźwiękoszczelne? Powieść nawet ją przekonała i w końcu sama czekała na dalsze odcinki.

Joannie Żyndzie i Marcinowi Żyndzie – za ulokowanie moich bohaterów dokładnie w tym miejscu, w którym mieszkają. Wyobrażacie sobie, że Marcin usiadł któregoś wieczoru i znalazł

mi kilkanaście możliwych lokacji w Grudziądzu? Nie dość tego, napisał mi też, jak kiedyś się te ulice nazywały i dał link do kamienic na Google Street View. Mam mapkę, gdzie wszystko zaznaczyłam!

Marcin był skarbnicą wiedzy na temat wszystkiego, co w Grudziądzu. Na moje pytanie, czy w 1939 roku w Grudziądzu były wina mszalne, od razu pokazał mi reklamę takowych w przedwojennej prasie. Niesamowite!

Marcin, przez Ciebie, jak nie lubię piwa, napiłabym się z przyjemnością tego z browaru Kuntersztyn! Może kiedyś będziemy mieli okazję razem je wypić! O ile zaczną je znowu produkować. Dziękuję, że poświęciłeś czas, czytając to, co napisałam i cierpliwie poprawiając wszelakie nieścisłości!

Małgosi Mielcarek Żuczek, która jest zawsze pomocna i potrafi odnaleźć to, co jest tak naprawdę nie do odnalezienia. I zawsze, ale to zawsze mogę na niej polegać.

Jadwidze Biedzińskiej – mieszkance Grudziądza, dziękuję za skany starych gazet. Muszę przyjechać do Was, do Grudziądza, na spotkanie autorskie!

Justynie Gross – kolejnej mieszkance Grudziądza – za historię jej dziadka. To ta o tym, że syn urodził się kilka lat po rzekomej śmierci swojego taty. Jest prawdziwa!

Stefanowi Dardzie, który przy okazji pisania *Cymanowskiego Młyna* okazał się najlepszym nauczycielem kreowania złych, takich do cna złych postaci. Udało mi się z Sabiną, prawda? I chyba też nauczyłam się, że aby pisać o bohaterach w kinie 15 września 1939 roku, warto sprawdzić PRAWDZIWY repertuar. Jesteś dla mnie mistrzem szczegółów!

Marcinowi Witkowskiemu, za olbrzymią wiedzę na temat wojska. To jest niesamowite, że gdy piszesz na Facebooku, że potrzebujesz informacji, jak wyglądały guziki z munduru niemieckiego, po chwili masz ich zdjęcie. Marcin, dziękuję!

Dziękuję również za przekazanie mi ogromnej wiedzy dotyczącej frontu wschodniego. Dzięki Tobie mogłam sobie wyobrazić, jak to naprawdę wyglądało…

Rolandowi Skubale i Joli Walusiak-Skorupie, mojej dyżurnej pani profesor, odpowiedzialnej za wszelakie choroby w moich książkach. Dziękuję, Jolu, za nasze rozmowy na temat chorób wszelakich, ran, symptomów i objawów. A wszystko dlatego, bo chciałam, by Franciszek zapomniał o poprzednim życiu i nie narobił dzieci w dalekiej Szwecji. A to, że był chory na świnkę, to wiem, tylko ta choroba tak mało poważnie się nazywa! A „zapalenie przyusznic" z kolei zbyt skomplikowanie!

Dagmarze Klasie-Mazurkiewicz i Markowi Korożanowi – dziękuję za pomoc w odebraniu porodu mojej bohaterki. Przy takich dwóch lekarzach musiało się wszystko skończyć dobrze! Następnym razem też Was poproszę o pomoc. Bez Was nikt się już w moich książkach nie urodzi! :)

Sylwii Winnik, autorce książki *Dziewczęta z Auschwitz*, za konsultacje w sprawie uratowania Racheli z obozu. Sylwia, robisz dobrą robotę! Jestem pełna podziwu!

Magdzie Cieślińskiej, koleżance z klasy w liceum, za to, że kiedyś zwierzyłam jej się z mojego marzenia i okazało się, że dziwnym trafem ona może pomóc mi je spełnić. Nie mogę się doczekać, kiedy wypiję herbatę z porcelanowych filiżanek z motywem niezapominajek…

Agacie Łybackiej za wiedzę historyczną. Wszak korzenie mamy te same!

Melanii Grygoruk za wymyślanie imion różnorakich oraz dywagacje nocne na temat męskich i żeńskich gimnazjów i potańcówek tamże.

Wiesławowi Hawełce dziękuję za pomoc w dotarciu do literatury. Wiesław jest prawdziwym miłośnikiem Grudziądza!

Ja piszę dla Was, nie dla siebie. I bardzo, bardzo zależy mi na tym, by to, co piszę, Wam się podobało. Dlatego też zawsze wysyłam fragmenty kilku osobom do czytania, bo chcę wyczuć, czy to, co robię, ma sens. Dziękuję Edycie Pietrzak-Waś, Magdzie Fryt, Monice Tresce, Agacie Bizuk, Izie Salamon, Ani Jeziorskiej, Agnieszce Jarosławskiej, Ani Krzyczkowskiej za wsparcie na każdym kroku i za wiarę we mnie. I za to pogłaskanie po głowie.

Aniu, dziękuję za nocne rozmowy o historiach niekoniecznie takich, które można opisywać.

Agacie dziękuję również za to, że po przeczytaniu oświadczyła: „Ale ja nie wiem, co się stało z Klarą!". Dzięki Tobie Klara i Klemens mają też swój happy end!

Magdzie Goławskiej za pomysł z życia, jak zatrzymać dłużej Michała w Stanach.

Edyta! Ty wiesz, siostro. Dobrze, że jesteś.

Ani Piotrowskiej za Magiczne Miejsce – grupę na FB i wszystkich, którzy na tej grupie prężnie się udzielają!

Aleksandrze, musimy się odchudzać, bo idziesz ze mną, jako osoba towarzysząca, wiesz gdzie. No, chyba że męża wyciągnę. Więc już, do dzieła! ;) Dziękuję za to, że choć mnie ostatnio normalnie zaniedbujesz, :) to wiem, że mogę do Ciebie zadzwonić w środku nocy i na pewno mnie wysłuchasz.

Mamo! Pamiętaj, ta historia nie jest o dziadku i babci! Chociaż zastanawiałam się wielokrotnie, co by się stało, gdybyśmy dziadka Klemensa znaleźli…

Ani Choińskiej i Alinie Demczyńskiej za pokazanie mi, jak bardzo istotni w naszym życiu są nasi przodkowie i jak wiele zależy od zrozumienia pewnych spraw związanych z przeszłością.

Ani Seweryn, mojej ulubionej redaktorce. Aniu, dziękuję za to, że mogę Ci zaufać! Bo to w tej robocie najważniejsze!

I Tobie, Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku, też dziękuję. Dziękuję za to, że jesteś. Gdy podzielisz się ze mną swoimi

wrażeniami z lektury, będzie mi bardzo miło!

No i na końcu – niestety po angielsku to ładniej brzmi: *last but not least* – kochana ekipo z Wydawnictwa Filia, dobrze, że ze mną wytrzymujecie, mimo że ja, jak babcia Adela albo Magda z mojej książki, zawsze mówię wszystko wprost i prosto z mostu! Dziękuję!

Magdalena Witkiewicz

mail: magdalena.witkiewicz@gmail.com
www.magdalenawitkiewicz.pl
Facebook.com/witkiewicz
Instagram.com/magdalenawitkiewicz

PS Jedyną niemiecką piosenką z wojennych czasów, jaką kojarzyłam, była właśnie piosenka biesiadna *Ein Heller und ein Batzen*. Znałam tylko słowa refrenu: „Heidi, Heido, Heida", chociaż na początku myślałam, że te słowa są na cześć Hitlera! Heili, Heilo! To nieprawda! Jak pamiętacie, Adela śpiewała tę piosenkę, gdy rodziła Mariannę. Dopiero gdy napisałam tę książkę (przed chwilą), sprawdziłam co znaczą te „Heidi, Heido, Heida". Otóż „Heidi, Heido, Heida" to zdrobnienia imienia żeńskiego Adelheid, czyli Adela…

Czy może być większy zbieg okoliczności?

M.

BIBLIOGRAFIA

1. Joachim Ceraficki: Wasserpolacken. Relacja Polaka w służbie Wehrmachtu. Wydawnictwo Ośrodek Karta, Warszawa 2018.
2. Maria Daniel: Wspomnienia z czasów wojny 1939–1945. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Bydgoszcz-Horodło-Grudziądz 2017.
3. Bolesław Dobrski: Byłem żołnierzem Wehrmachtu. Polska Fundacja Kulturalna, Clark 2011.
4. Katarzyna Droga: Sekrety przodków, czyli jakie znaczenie ma to, że twoja prababka zwiała przez okno z kochankiem? Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2018.
5. Krzysztof Drozdowski: Graudenz 1945. Ostatnie tchnienie. Wydawnictwo Pomost, Poznań 2014.
6. Grudziądz dawniej i dziś. Wydawnictwo KALAMARSKI, Grudziądz 2012.
7. Ryszard Kaczmarek: Polacy w Wehrmachcie. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.
8. Czesław Knopp: Spod Stalingradu do Andersa. W mundurze obcym i polskim. Wydawnictwo Maszoperia Literacka Sp. z o.o., Gdańsk 2011.
9. Marian Kulik: Gott mit uns – ostatni żołnierze. Mega Press II, Instytut Slunskij Godki, [b.m.] 2017.
10. Jacek Kutzner, Aleksander Rutkiewicz (red.): Polacy z Wehrmachtu w polskiej 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2011.

11. Katarzyna Minczykowska, Jan Sziling (red.): Społeczeństwo pomorskie w latach okupacji niemieckiej 1939–1945. Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek, Toruń 2014.
12. Stanisław Myśliborski-Wołowski: Szkice grudziądzkie. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne w Grudziądzu, Gdańsk 1969.
13. Norman Ohler: Trzecia Rzesza na haju. Narkotyki w hitlerowskich Niemczech. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015.
14. Anne Ancelin Schutzenberger: Psychogenealogia w praktyce. Wydawnictwo Virgo, Warszawa 2017.
15. Anne Ancelin Schutzenberger: Tajemnice przodków. Ukryty przekaz rodzinny. Wydawnicwo Virgo, Warszawa 2016.
16. Ryszard Sudziński (red.): Historia Grudziądza 1920–1945. Tom I i II. Urząd Miejski w Grudziądzu, Grudziądz 2012.
17. Barbara Szczepuła: Dziadek w Wehrmachcie. Wydawnictwo słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2007.
18. Jan Sziling (red.): Pomorzanie w Wehrmachcie. Materiały z XXI Sesji Naukowej w Toruniu w dniu 3 listopada 2011 roku. Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej, Toruń 2012.
19. Aleksandra Zaprutko-Janicka: Okupacja od kuchni. Kobieca sztuka przetrwania. Ciekawostki Historyczne.pl. Znak Horyzont, Kraków 2015.

Pierwszy tom nowej serii Agnieszki Olejnik

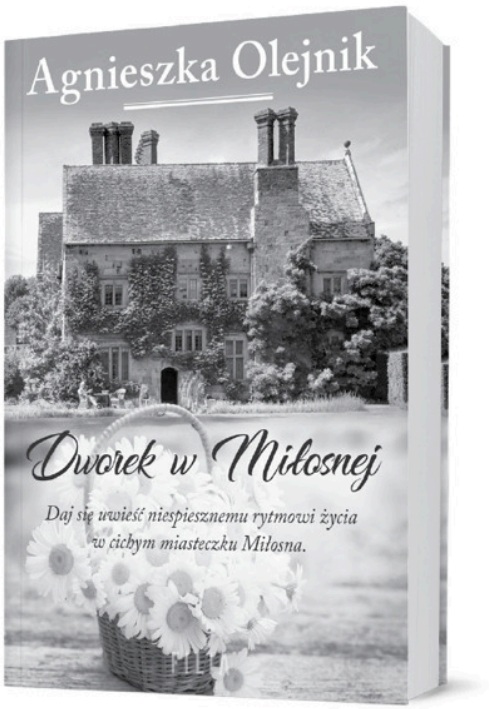

Bogna Rytter, dziedziczka posiadłości, zapisuje swój majątek jedynym krewnym – kuzynkom Adzie i Monice. Co zrobią z nieoczekiwanym spadkiem? Czy każda zmiana jest zmianą na lepsze? Jak ułożą się stosunki między dwiema niemal obcymi kobietami, między którymi staną wielkie pieniądze i... mężczyzna?

FILIA

Copyright © by Magdalena Witkiewicz, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: Katarzyna Borkowska
Zdjęcie na okładce: © Metra Stelmahere / Trevillion Images

Redakcja: Anna Seweryn-Sakiewicz
Korekta: Karolina Hamkało, Marta Akuszewska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-710-3

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl